



BERNARD

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VIII



PUSTY
TRON



BERNARD
Cornwell

PUSTY
TRON

TLUMACZENIE
PAWEŁ LIPSZYC


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Dla Peggy Davis

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VIII

PUSTY
TRON





SZKOCJA

Morze Północne

NORTHUMBRIA

Morze Irlandzkie

Eoferwic (York)

Humber (dawniej rzeka, dziś estuarium rzek Ouse i Trent)

Grimesbi (Grimby)

Buchestanes (Buxton)

Lindcolne (Lincoln)

Gwaesc (The Wash, estuarium kilku rzek)

Ceaster (Chester)

Snotengaham (Nottingham)

Liccefeld (Lichfield)

Tameworthig (Tamworth)

ANGLIA WSCHODNIA

WALIA

MERCIA

Teotanheale (Tetenthall)

Tofecestre (Towcester)

Eleg (Ely)

Gleawecestre (Gloucester)

Cirrenceastre (Gloucester)

Fagranforda (Faireford)

WESSEX

Exanceaster (Exeter)

Wintanceaster (Winchester)

Wihht (Wight)

Londyn

NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundonii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru, a także Lundres. Bez wątpienia znajdą się czytelnicy, którzy będą woleli inne warianty nazw aniżeli te, których użyłem w powieści* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Przykładowo nazwa Hayling w 956 roku zapisywana była zarówno jako Heilincigae, jak i Haeglingaiggae. Przyznaję, że i ja nie zawsze byłem wierny przyjętemu kluczowi: wolałem posługiwać się nazwą Northumbria zamiast Nordhymbraland, by uniknąć posądzenia, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa pokrywały się ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego prezentowaną tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

ABERGWAUN	Fishguard, hrabstwo Pembrokeshire
ALENCESTRE	Alcester, hrabstwo Warwickshire
BEAMFLEOT	Benfleet, hrabstwo Essex

BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BRUNANBURH	Bromborough, hrabstwo Cheshire
CADUM	Caen, Normandia
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
CIRRENCEASTRE	Cirencester, hrabstwo Gloucestershire
CRAGELAD	Cricklade, hrabstwo Wiltshire
DEFNASCIR	hrabstwo Devonshire
EOFERWIC	York, hrabstwo Yorkshire
EVESHOMME	Evesham, hrabstwo Worcestershire
EXANCEASTER	Exeter, hrabstwo Devon
FAGRANFORDA	Fairford, hrabstwo Gloucestershire
FEARNHAMME	Farnham, hrabstwo Surrey
GLEAWECESTRE	Gloucester, hrabstwo Gloucestershire
LUNDI	wyspa Lundy, hrabstwo Devon
MAERSE	rzeka Mersey
NEUSTRIA	najdalej na zachód wysunięta prowincja państwa Franków (obejmująca Normandię)
SAEFERN	rzeka Severn
SCIREBURNAN	Sherborne, hrabstwo Dorset
SEALTWIC	Droitwich, hrabstwo Worcestershire
TEOTANHEALE	Tettenhall, hrabstwo West Midlands
THORNSAETA	hrabstwo Dorset
TYDDEWI	St Davids, hrabstwo Pembrokeshire
WILTUNSCIR	hrabstwo Wiltshire
WINTANCEASTER	Winchester, hrabstwo Hampshire
WIRHEALUM	półwysep Wirral, hrabstwo Cheshire

* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora Lundene. Ten sam zabieg zastosowano w przypadku Tamizy (w dosłownym tłumaczeniu: rzeka Temes). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

PROLOG

Nazywam się Uhtred. Jestem synem Uhtreda, syna Uhtreda, którego ojciec również miał na imię Uhtred. Mój ojciec zapisywał swoje imię Uhtred, ale widywałem też pisownię Utred, Ughtred czy nawet Ootred. Niektóre z tych imion można znaleźć na starodawnych pergaminach zaświadczających, że Uhtred, syn Uhtreda i wnuk Uhtreda, jest jedynym prawowitym właścicielem gruntów starannie wyznaczonych przez kamienie, groble, dęby, jesion, mokradła i morze. Ziemia ta leży na północy kraju, który nauczyliśmy się nazywać Englland. To ziemia pod wietrznym niebem, smagana przez fale. Nazywamy ją Bebbanburg.

Po raz pierwszy ujrzałem Bebbanburg dopiero jako dorosły mężczyzna. Nasz pierwszy atak na wysokie mury zakończył się niepowodzeniem. W owym czasie tą potężną fortecą dowodził bratanek mego ojca. Jego ojciec ukradł ją mojemu ojcu. To była rodowa pomsta. Kościół usiłował ją powstrzymać, twierdząc, że nieprzyjaciółmi wszystkich saskich chrześcijan są poganie z Północy, zarówno Duńczycy, jak i Norwegowie, ale mój ojciec kazał mi przysiąc, że przystąpię do rodowej pomsty. Gdybym odmówił, ojciec by mnie wydziedziczył, tak jak wydziedziczył mojego starszego brata – nie dlatego, że ten nie chciał przystąpić do rodowej pomsty, ale dlatego, że został chrześcijańskim kapłanem. Niegdyś nazywałem się Osbert, ale kiedy mój starszy brat został kapłanem, dostałem jego imię. Nazywam się Uhtred z Bebbanburga.

Mój ojciec był poganinem, wojownikiem i budził lęk. Często mi mówił, że bał się swego ojca, ale trudno dać temu wiarę, ponieważ najwyraźniej niczego się nie bał. Wielu ludzi uważa, że gdyby nie mój ojciec, nasz kraj nosiłby nazwę Daneland i oddawalibyśmy cześć Thorowi oraz Wodanowi. To prawdziwe słowa. Prawdziwe, ale i osobliwe, albowiem mój ojciec

nienawidził chrześcijańskiego boga, nazywał go ukrzyżowanym bogiem. Pomimo tej nienawiści większość życia poświęcił na walkę z poganami. Kościół nie przyzna, że Englalund istnieje dzięki mojemu ojcu – utrzymuje, że kraj stworzyli i podbili chrześcijańscy wojownicy, ale mieszkańcy Englalundu znają prawdę. Mój ojciec winien nazywać się Uhtred z Englalundu.

Jednak w roku Pańskim 911 nie było Englalundu. Istniały Wessex, Mercja, Anglia Wschodnia i Northumbria, a gdy zima tamtego roku przechodziła w posępną wiosnę, przebywałem właśnie na granicy Mercji i Northumbrii, w gęstych lasach na północ od rzeki Maerse. Było nas trzydziestu ośmiu, wszyscy na koniach. Wszyscy czekaliśmy na wzgórzu, w ogołocym przez zimę lesie. Pod nami leżała dolina, gdzie niewielki bystry strumień płynął na południe, a w cienistych wąwozach utrzymywał się szron. Dolina świeciła pustkami, chociaż dopiero co sześćdziesięciu pięciu jeźdźców pogalopowało wzdłuż potoku na południe i zniknęło w miejscu, gdzie dolina i woda skręcają ostro na zachód.

– Już niedługo – rzekł Raedwald.

Powiedział tak tylko z powodu zdenerwowania, a ja nie odpowiedziałem. Sam odczuwałem niepokój, ale starałem się tego nie okazywać. Wyobrażałem sobie, jak na moim miejscu postępowałby ojciec. Siedziałby w siodle nieruchomo, przygarbiony i zasepiony, więc i ja przygarbiłem się i utkwilem wzrok w dolinie. Dotknąłem rękojeści miecza.

Nazywał się Kruczy Dziób. Przypuszczam, że wcześniej nosił inne miano, należał bowiem do Sigurda Thorrsona, który musiał nadać mieczowi imię, ale nigdy go nie poznałem. Początkowo sądziłem, że miecz zwie się Vlfberht, ponieważ właśnie to dziwne miano wypisano na klindze dużymi literami: „†VLFBERH†T”.

Przyjaciół mojego ojca Finan powiedział mi, że Vlfberht to imię

frankijskiego płatnerza, który wykuł miecz. Podobno wytwarza on najznakomitsze i najdroższe ostrza w całym chrześcijańskim świecie. Spytałem Finana, jak możemy odnaleźć Vlfberhta i kupić więcej mieczy, ale Finan mówi, że Vlfberht jest czarodziejskim płatnerzem, który pracuje potajemnie. Kowal zostawia palenisko na noc, a gdy wraca nazajutrz, stwierdza, że kuźnię odwiedził Vlfberht i zostawił miecz wykuty w ogniu piekielnym, przesycony smoczą krwią. Nazwałem ten miecz Kruczym Dziobem, ponieważ na proporcu Sigurda widniał kruk. Właśnie tym mieczem walczył ze mną Sigurd, gdy rozprułem mu brzuch saksem. Doskonale pamiętam cios mieczem, pamiętam, jak jego zbroja nagle ustąpiła, a w oczach mojego przeciwnika pojawił się wyraz zrozumienia, gdy pojął, że umiera. Pamiętam, z jakim uniesieniem przeciągnąłem saksem, by wylać z niego życiodajną krew. Działo się to w zeszłym roku podczas bitwy pod Teotanheale, kiedy wygnaliśmy Duńczyków ze środkowej Mercji. Podczas tamtej bitwy mój ojciec zabił Kanuta Ranulfsona, ale również wtedy ojca ranił miecz Kanuta, Lodowa Furia.

Kruczy Dziób był dobrym mieczem – uważałem, że przewyższa nawet Oddech Węża, miecz mego ojca. Mimo długiej klingi Kruczy Dziób był zadziwiająco lekki, inne ostrza kruszyły się o niego. To była broń wojownika i miałem ją ze sobą w lesie na wzgórzu nad oszronioną doliną, gdzie płynął rwący strumień. Prócz Kruczego Dzioba wziąłem też swój saks, Attora. Attor znaczy „trucizna”. Był to krótki miecz, przydatny w walce w tłoku, w murze tarcz. Attor potrafił kasać i właśnie jego jad zabił Sigurda. Miałem też okrągłą tarczę z wymalowanym wilczym łbem, godłem naszego rodu. Nosilem hełm z łbem wilka, na skórzaną kamizelę wdziałem frankijską kolczugę, a na to wszystko płaszcz z niedźwiedziego futra. Jestem Uhtred Uhtredson, prawowity pan na Bebbanburgu, a tego dnia ogarniało mnie zdenerwowanie.

Stałem na czele grupy wojów. Miałem tylko dwadzieścia jeden lat – niektórzy z ludzi czekających za moimi plecami byli niemal dwa razy starsi – ale jako syn pana Uhtreda dowodziłem. Większość ludzi ukryła się wśród drzew, przy mnie stali tylko Raedwald i Sihtric. Obaj starsi ode mnie, obaj mieli służyć mi radą czy raczej powstrzymywać przed głupim uporem. Sihtrica, jednego z zaufanych mego ojca, znałem od zawsze, natomiast Raedwald służył pani Aethelflaed.

– Może nie nadciągają – powiedział Raedwald.

Coś mi mówiło, że ten zrównoważony, ostrożny człowiek liczył na to, iż nieprzyjaciel się nie pojawi.

– Nadciągają – warknął Sihtric.

I tak było. Z północy runęła banda jeźdźców z tarczami, włóczniami, toporami i mieczami. Norwegowie. Pochyliłem się w przód na siodle, usiłując zliczyć jeźdźców, którzy dali koniom ostrogę nad strumieniem. Trzy grupy? Co najmniej stu ludzi, wśród nich Haki Grimmsen, w każdym razie widziałem jego proporzec z okrętem.

– Stu dwudziestu – stwierdził Sihtric.

– Więcej – rzucił Raedwald.

– Stu dwudziestu – powtórzył beznamiętnie Sihtric.

Stu dwudziestu jeźdźców ścigało sześćdziesięciu pięciu, którzy chwilę wcześniej przejechali dolinę. Stu dwudziestu pod proporcem Hakiego Grimmsena mającym przedstawiać czerwony okręt na białym morzu, ale czerwony barwnik wełny wyblakł i zbrązowiał, poplamiał białe morze, przez co zdawało się, że okręt z wysokim dziobem krwawi. Chorąży jechał za rosnącym wojownikiem na masywnym karym koniu, więc domyśliłem się, że ów potężny woj to Haki. Ten Norweg osiadł w Irlandii, skąd przepłynął się do Brytanii, znalazł ziemię na północ od rzeki Maerse i postanowił się wzbogacić najazdami na południe, w głąb Mercji. Haki zabierał

niewolników, bydło i majątek, przypuścił nawet szturm na rzymskie mury Ceasteru, ale garnizon pani Aethelflaed bez trudu go odparł. Krótko mówiąc, Haki się naprzykrzał, dlatego też ruszyliśmy na północ i przekroczywszy Maerse, ukryliśmy się wśród ogołoconych przez zimę drzew, skąd patrzyliśmy, jak jego grupa wojenna galopuje na południe zamrażającą drogą wzdłuż strumienia.

– Powinniśmy... – zaczął Raedwald.

– Jeszcze nie – przerwałem mu i dotknąłem Kruczego Dzioba, tak by poruszył się w pochwie.

– Jeszcze nie – zgodził się Sihtric.

– Godricu! – zawołałem, a mój dwunastoletni giermek Godric Grindanson spiął konia i oderwał się od czekających. – Włócznia – rozkazałem.

– Panie – powiedział Godric, podając mi długą na dziewięć stóp jesionową włócznię z ciężkim żelaznym grotem.

– Jedź za nami – poleciłem mu. – W sporej odległości. Masz róg?

– Tak, panie.

Godric pokazał instrument. Jego odgłos mógł wezwać na pomoc sześćdziesięciu pięciu ludzi, jeśli sprawy przybrałyby zły obrót, chociaż wątpiłem, czy mogliby nam pomóc, gdyby posępni jezdni Hakiego zaatakowali mój mały oddział.

– Jeśli zsiądą z koni, pomożesz je przepłoszyć – zwrócił się do mojego giermka Sihtric.

– Powiniennem trzymać się blisko... – zaczął chłopak i niewątpliwie chciał prosić, by pozwolili mu zostać u mego boku, a tym samym włączyć się do walki, ale urwał w pół zdania, bo Sihtric zdzielił go w twarz wierzchem dłoni.

– Pomożesz przepłoszyć konie – warknął Sihtric.

– Tak jest – odparł młodzik. Z jego wargi sączyła się krew.

Sihtric poluzował miecz w pochwie. Jako chłopiec służył mojemu ojcu i z pewnością pragnął wtedy walczyć u boku dorosłych, ale nie było rychlejszej śmierci dla młodzieńca niż walka z zaprawionymi w bojach Norwegami.

– Jesteśmy gotowi? – zwrócił się do mnie niecierpliwie.

– Zabijmy drani – powiedziałem.

Banda Hakiego skręciła na zachód i zniknęła nam z oczu. Jechali wzdłuż strumienia wpadającego do dopływu Maerse około dwóch mil od ostrego skrzyżowania doliny na zachód. Oba strumienie łączyły się pod pagórką, właściwie podłużnym trawiastym kopcem podobnym do tych, jakie usypywali dawni ludzie. Właśnie tam Haki miał umrzeć lub zostać pokonany, co ostatecznie wychodziło na to samo.

Daliśmy koniom ostrogi, zjechaliśmy ze wzgórza, ale nie spieszyłem się, nie chciałem bowiem, by ludzie Hakiego odwrócili się i nas dostrzegli. Po dotarciu do strumienia skręciliśmy na południe. Nie galopowaliśmy, wręcz zwolniłem, kiedy Sihtric pojechał przodem na zwiady. Patrzyłem, jak zsiada z konia i znajduje miejsce, skąd roztaczał się widok na zachód. Siedział przykucnięty i ostrzegał nas gestem dłoni, dopiero po pewnym czasie podbiegł do swego konia i machnął nam, żebyśmy dołączyli. Obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

– Zatrzymali się w dolinie – wyseplenił, ponieważ w bitwie pod Teotanheale duńska włócznia pozbawiła go przednich zębów. – Potem przygotowali tarcze.

Wcześniej Norwegowie jechali za nami z tarczami na plecach, ale Haki najwyraźniej spodziewał się kłopotów u wylotu doliny, więc przygotował ludzi do walki. Nasze tarcze trzymaliśmy już w pogotowiu.

– Na końcu doliny zsiadą z koni – stwierdziłem.

- I zewrą tarcze.
- Czyli nie ma pośpiechu – dokończyłem z uśmiechem.
- Może oni się pospieszą – zasugerował Raedwald. Niepokoił się, że walka może się zacząć bez nas.
- Czeka na nich sześćdziesięciu pięciu Sasów – powiedziałem, kręcąc głową. – Haki może i ma przewagę liczebną, ale nie traci czujności.

Norwegowie mogli mieć prawie dwa razy więcej wojowników niż czatujący Sasi, ale ci ostatni zajęli pozycję na wzgórzu i już zwarli tarcze. Haki musiał nakazać swoim ludziom zejście z koni w sporej odległości, by nie zostali zaatakowani, gdy tworzyli mur tarcz. Dopiero wtedy, po odprowadzeniu koni, mogli ruszyć, a natarcie musiało odbywać się powoli. Walka w murze tarcz wymaga olbrzymiej odwagi, kiedy czujesz oddech nieprzyjaciela, ostrza świszczą i dźgają. Haki nacierałby powoli, pewny swoich sił, ale uważałby na ewentualną saską zasadzkę. Nie mógł sobie pozwolić na stratę ludzi. Mógł liczyć na rozstrzygnięcie walki na swoją korzyść w miejscu, gdzie strumień wpadał do rzeki, ale z pewnością nie zamierzał tracić czujności.

Norwegowie z Irlandii przenikali na teren Brytanii. Finan, towarzysz mojego ojca, twierdził, że siła irlandzkich klanów była zbyt wielka, toteż Norwegowie zostali przykuci do wschodniego wybrzeża Irlandii. Jednak po tej stronie morza, na północ od Maerse i na południe od szkockich królestw, rozciągała się dzika, niepodbita kraina, więc ich okręty przemierzały fale i wojownicy osiedlali się w dolinach Kumbrii. Nominalnie Kumbria należała do Northumbrii, ale duński król w Eoferwicu przychylnie patrzył na nowo przybyłych. Duńczycy obawiali się rosnącej potęgi Sasów, a Norwegowie z Irlandii byli waleczni i mogli pomóc Duńczykom w utrzymaniu władzy. Haki przybył po prostu jako ostatni. Liczył na wzbogacenie się kosztem Mercji i właśnie z tego powodu posłano nas, abyśmy go zniszczyli.

– Pamiętajcie! – zawołałem do swoich. – Tylko jeden z nich ma pozostać przy życiu.

Jednego zostaw przy życiu, tak zawsze radził mój ojciec. Niech jeden człowiek zanieś złe nowiny do domu i odstraszy innych, choć podejrzewałem, że przybyli tu wszyscy ludzie Hakiego, co znaczyło, że ten, który przeżyje, o ile taki będzie, przekaże wieści o klęsce wdowom i sierotom. Kapłani mówią nam, że winniśmy kochać nieprzyjaciół, ale nie okazywać im litości, i Haki na żadną litość nie zasłużył. Płądrował ziemię wokół Ceasteru, a tamtejszy garnizon, zdolny przetrwać oblężenie, ale niemogący walczyć z oblegającymi i jednocześnie wysłać wojowników za Maerse, poprosił o wsparcie. My byliśmy owym wsparciem, jechaliśmy na zachód wzdłuż strumienia, który stawał się coraz szerszy i płytszy, woda nie rwała już po kamieniach. Karłowate olchy były tu grubsze, ich nagie gałęzie, smagane nieustannym wichrem znad morza, wykrzywiały się na wschód. Minęliśmy spalone gospodarstwo, gdzie nie zostało nic prócz poczerniałych kamieni paleniska. To był najdalej na południe wysunięty przyczółek Hakiego i właśnie to miejsce zaatakowaliśmy w pierwszej kolejności. W ciągu dwóch tygodni od przybycia do Ceasteru spaliliśmy tuzin jego osad, zabraliśmy mu dziesiątki sztuk bydła, zabijaliśmy jego ludzi, braliśmy jego dzieci w niewolę. Teraz Haki sądził, że zapędził nas w kozi róg.

Mój rumak poruszył się, przez co ciężki złoty krzyż wiszący mi na szyi uderzył o pierś. Powiodłem wzrokiem na południe, gdzie na ciemniejącym niebie srebrzyła się przesłonięta chmurami tarcza słoneczna, i zmówiłem cichą modlitwę do Wodana. Jestem w połowie poganinem, może mniej niż w połowie, ale nawet mojemu ojcu zdarzało się modlić do chrześcijańskiego boga. „Jest wielu bogów – powtarzał mi nieraz. – Nigdy nie wiadomo, który akurat czuwa, więc módl się do wszystkich”.

Modliłem się zatem do Wodana. Jestem z twojej krwi – mówiłem – więc

mnie ochraniaj. Naprawdę byłem z jego krwi, albowiem nasz ród wywodził się od Wodana. Bóg ten zstąpił na ziemię i położył się z kobietą, ale działo się to na długo przed tym, zanim nasi ludzie przemierzyli morze i zajęli Brytanię. „On nie położył się z kobietą – słyszałem wzgardliwy głos ojca, gdy jechałem przed siebie. – Porządnie ją wychędożył, a w takiej chwili się nie leży”. Zastanawiałem się, czemu bogowie nie zstępują już na ziemię. Gdyby tak było, znacznie łatwiej by się wierzyło.

– Nie tak szybko! – zawołał Sihtric, a ja przestałem rozmyślać o bogach chędożących dziewczęta i zobaczyłem, że trzech naszych młodszych ludzi wysforowało się do przodu. – Cofnąć się – rozkazał, po czym odwrócił się do mnie z uśmiechem. – Już niedaleko, panie.

– Powinniśmy ruszyć na zwiady – doradził Raedwald.

– Wystarczy zwiadów – odparłem. – Jedziemy dalej.

Wiedziałem, że Haki każe swoim ludziom zsiąść z koni i zaatakować czekający mur tarcz. Konie nie pogalopują na tarcze, ale odbiegają na bok, więc ludzie Hakiego utworzą własny mur tarcz, by zaatakować Sasów czekających na długim, niskim kopcu. My dobierzemy się do nich od tyłu, a konie ruszą na tylny szereg muru, który nigdy nie jest tak mocny jak przedni. Na froncie są zwarte tarcze i błyszcząca broń, na tyłach zaczyna się panika.

Skręciliśmy nieco na północ, przemierzyliśmy grzbiet wzgórza i wtedy ich zobaczyliśmy. Słońce przebiło się przez chmury, oświetliło chrześcijańskie proporce na szczycie wzgórza, błysnęły ostrza. Sześćdziesięciu pięciu ludzi, zaledwie sześćdziesięciu pięciu, zwarty mur tarcz w dwóch szeregach na wzgórzu, pod proporcami z krzyżami. Między nimi a nami dopiero tworzył się mur tarcz Hakiego, a najbliżej nas, po prawej, jego giermkowie pilnowali wierzchowców.

– Raedwaldzie! – krzyknąłem. – Trzech ludzi do przepłoszenia koni!

– Panie – odparł posłusznie.

– Jedź z nimi, Godricu! – zawołałem do swego giermka.

Dźwignąłem ciężką jesionową włócznię. Norwegowie wciąż jeszcze nas nie dostrzegli. Wiedzieli tylko, że grupa jezdnych z Mercji zapuściła się w głąb terytorium Hakiego, Norwegowie ruszyli za nimi, żeby ich wybić, ale mieli się przekonać, że zostali zwabieni w zasadzkę.

– Zabić ich! – wrzasnąłem i spałem konia.

Zabić ich. O tym właśnie śpiewają poeci. Nocą, w komnacie, gdy pod powalą gęstnieje dym z paleniska, ale leje się do rogów, harfista brzdąka w struny i niosą się pieśni bitewne. To pieśni naszego rodu, naszego ludu, dzięki nim pamiętamy o przeszłości. Poetę nazywamy bardem. Bard to ktoś, kto nadaje rzeczom kształt. Poeta kształtuje naszą przeszłość, abyśmy pamiętali o chwale naszych przodków, o tym, jak pozyskali dla nas ziemię, kobiety, bydło i chwałę. Pomyślałem, że nie powstanie żadna norweska pieśń o Hakim, będzie to bowiem saska pieśń o saskiej wiktorii.

Ruszyliśmy na nich. Mocno dzierżyłem włócznię, tarczę tuż przy ciele, Harding, mój dzielny rumak, tłukł ziemię kopytami, po mojej lewej i prawej galopowały konie, sterczały nisko włócznie, końskie oddechy parowały, nieprzyjaciel odwrócił się zdumiony, a ludzie z tyłu muru nie mieli pojęcia, co począć. Niektórzy pobiegli do swych koni, inni próbowali zewrzeć nową formację i stawić nam czoło, ja jednak ujrzałem szczeliny i pojąłem, że są już martwi. Dalej, na kopcu, czekający Sasi dosiadali już koni, ale to my mieliśmy rozpocząć rzeź.

I rozpoczęliśmy.

Utkwiłem wzrok w wysokim wojowniku z czarną brodą, w kunsztownej kolczudze i hełmie ozdobionym orlimi piórami. Człowiek ten wołał, przypuszczalnie nakazywał ludziom połączyć tarcze z jego własną, na której widniał orzeł z rozpostartymi skrzydłami, ale dostrzegł mój wzrok,

zrozumiał, co go czeka, przygotował się, uniósł orlą tarczę, zamierzył się mieczem, aż pojąłem, że chce zadać cios Hearingowi, licząc na to, że oślepi mego konia lub wybije mu zęby. Zawsze walcz z koniem, nie z jeźdźcem. Zrań albo zabij wierzchowca, wtedy jeździec padnie twoim łupem. Mur tarcz pękał, pierzchał w panice, usłyszałem krzyki, gdy moi ludzie próbowali ścigać uciekających. Naparłem na włócznię, wycelowałem, dotknąłem Hearinga lewym kolaniem i skręcił w lewo w chwili, gdy brodacz zadał cios. Jego miecz ciał Hearinga w pierś, popłynęła krew, ale to nie było zabójcze cięcie, nie mogło zrobić koniowi większej krzywdy, moja włócznia przecięła tarczę brodacza, wierzbowe deszczułki trzasnęły, grot włóczni rozdarł kolczugę. Czując, jak mostek tamtego się łamie, odrzuciłem jesionową włócznię, dobyłem Kruczy Dziób, zawróciłem Hearinga, aby wbić Kruczy Dziób w kręgosłup innego wojownika. Wykuta przez czarownika klinga przeszła przez kolczugę jak przez korę drzewa. Hearing runął między dwóch wojów, obu przewracając na ziemię, ponownie zawróciliśmy, wokół nas roilo się od spanikowanych ludzi masakrowanych przez konnych, z kopca zjechali kolejni, wszyscy nasi ludzie nieśli śmierć, krzyczeli, furkotały w górze proporce.

– Merewalhu! – rozległ się ostry okrzyk. – Zatrzymaj konie.

Garstka Norwegów dobiegła do wierzchowców, ale zaprawiony w boju Merewalh poprowadził swoich, by ich wytłuc. Haki nadal żył, otoczony przez trzydziestu–czterdziestu wojów, którzy utworzyli mur tarcz wokół swego pana. Mogli jedynie patrzeć na śmierć towarzyszy. Kilku naszych też padło. Widziałem trzy konie bez jeźdźców oraz wierzchowca, który dogorywał w kałuży posoki, ryjąc ziemię kopytami. Skręciłem w tamtą stronę i ciałem wojownika, który właśnie wstał, oszołomiony, więc jeszcze bardziej ogłuszyłem go ciosem w hełm, aż runął ponownie. Po mojej lewej ryknął wojownik, wymachując oburącz toporem, Hearing skręcił, zwinny

jak kot, obuch ześlizgnął się po mojej tarczy, ponownie zawróciliśmy, Kruczy Dziób ciął tylko raz i zobaczyłem jasną krew. Krzychałem w uniesieniu, wołałem swoje imię, aby umierający wiedzieli, kto sprowadził na nich zagładę.

Spiąłem konia i pognałem dalej, zakląłem pod nosem i zacząłem wypatrywać siwka zwanego Gast. W końcu dostrzegłem go pięćdziesiąt–sześćdziesiąt kroków od siebie. Dosiadająca go osoba, z mieczem w dłoni, galopowała w kierunku ludzi osłaniających Hakiego tarczami, ale trzy inne konie zabiegły drogę siwkowi. Po chwili musiałem jednak zapomnieć o Gaście, ponieważ jeden z nieprzyjaciół nagle zadał mi cios mieczem znad głowy. Nie miał już hełmu, połowę twarzy zalała mu krew. Na jego tułowiu też widziałem posokę, ale oblicze miał posępne, a oczy bezlitosne. Ruszył na mnie, grożąc mi śmiercią, więc przywitałem jego miecz Kruczym Dziobem, klinga tamtego pękła na dwie części, z których górna utkwiała w łuku mego siodła. Dolna połowa ostrza przecięła mój prawy but, poczułem napływającą krew, gdy wróg się zatoczył. Kruczym Dziobem roztrzaskałem mu czaszkę, pognałem dalej i ujrzałem, że Gerbruht zsiadł z konia i okłada toporem człowieka, który był już martwy, albo niewiele mu do tego brakowało. Gerbruht zdążył wypatroszyć ofiarę, teraz najwyraźniej postanowił oddzielić mięso od kości, z wściekłym rykiem wymachiwał ciężkim ostrzem, na trawę tryskała krew, padały strzępy ciała, kawałki kolczugi i odłamki kości.

– Co robisz?! – zawołałem.

– Nazwał mnie grubasem! – odkrzyknął Gerbruht, Fryz, który dołączył do nas zimą. – Ten psi syn nazwał mnie grubasem!

– Jesteś gruby – zauważyłem, zgodnie z prawdą.

Gerbruht miał brzuch jak świnia, nogi niczym pnie, potrójny podbródek, był jednak obdarzony ogromną siłą. Jako wróg na polu bitwy budził grozę, za to dobrze było go mieć u boku w murze tarcz.

– Więcej nie nazwie mnie grubasem – warknął Gerbruht, po czym przeciął toporem czaszkę nieboszczyka, rozplątując twarz i odsłaniając mózg. – Chuderlawy sukinsyn.

– Za dużo jesz – stwierdziłem.

– To dlatego, że stale dręczy mnie głód.

Zawróciłem konia i ujrzałem, że walka dobiegła końca. Haki i jego towarzysze z tarczami nadal żyli, ale zostali zdziesiątkowani i otoczeni. Walczący po naszej stronie Sasi zsiadali z koni, aby dobić rannych i ogołocić ciała z kolczug, broni, srebra i złota. Nieprzyjaciele, wzorem wszystkich ludzi z Północy, lubili nosić bransolety na ramionach, by chełpić się sprawnością bitewną. Na pociętej mieczami, przesiąkniętej krwią opończy usypaliśmy spory stos z bransolet, brosz, ozdobnych pochew i naszyjników. Zabitemu brodaczowi zabrałem złoty naramiennik z wyrytymi kanciastymi literami Norwegów, przeciągnąłem go przez lewy przegub, by dołączył do innych. Sihtric uśmiechał się szeroko. Miał jeńca, chłopca, który był już prawie mężczyzną.

– Nasz jedyny ocalały, panie – oznajmił.

– Nada się – odparłem. – Odetnij mu dłoń mieczową, daj konia i może jechać.

Haki nie spuszczał z nas oczu. Podjechałem do garstki ocalałych Norwegów i uważnie przyjrzałem się temu krępemu brodaczowi z bliznami na twarzy. W zamęcie bitewnym hełm zsunął mu się z głowy, a skołtunione włosy pociemniały od krwi. Uszy sterczały mu jak ucha dzbana. Haki buńczucznie odwzajemnił moje spojrzenie. Na kolczudze na jego piersi połyskiwał złoty młot Thora. Wokół Norwega naliczyłem dwudziestu siedmiu wojów, którzy zwarli krąg, wystawiając przed siebie tarcze.

– Zostań chrześcijaninem, a może zachowasz życie! – zawołałem do niego po duńsku.

Haki zrozumiał, chociaż wątpię, by był to jego ojczysty język. Na moją propozycję zaśmiał się i splunął. Nie miałem nawet pewności, czy powiedziałem mu prawdę, choć wielu pokonanym darowano życie, jeśli zgodzili się przyjąć chrzest. Decyzja nie należała do mnie, lecz do osoby na siwku imieniem Gast. Odwróciłem się do kręgu jeźdźców, którzy otoczyli Hakiego i jego ludzi. Postać na siwym koniu zerknęła na mnie i rzuciła:

– Hakiego weźcie żywego, resztę zabić.

Nie trwało to długo. Większość najwaleczniejszych Norwegów już nie żyła, a przy Hakim trwała zaledwie garstka doświadczonych wojowników, resztę stanowili młodzicy, którzy krzyczeli, że się poddają, ale i tak poszli pod nóż. Przyglądałem się rzezi. Merewalh, zacny człowiek, który porzucił służbę u pana Aethelreda i stanął przy Aethelflaed, kierował atakiem i to właśnie on wyciągnął Hakiego ze stosu zakrwawionych ciał, odebrał mu miecz i tarczę, po czym kazał klęknąć przed siwkim.

Haki podniósł wzrok. Słońce stało nisko na zachodzie, za postacią na siwym koniu, oślepiając Hakiego, ale wyczuł on nienawiść i wzgardę patrzących na niego oczu. Haki przekręcił głowę, tak by jego oblicze znalazło się w cieniu jeźdźca, może więc widział frankijską zbroję, wypolerowaną piaskiem, aż lśniła jak srebro. Widział biały wełniany płaszcz, obsyty jedwabistym zimowym futrem łasicy. Widział wysokie buty zszyte białym sznurkiem, długą pochwę zdobioną polerowanym srebrem, a gdyby ośmielił się spojrzeć wyżej, zobaczyłby zimne niebieskie oczy, surową twarz okoloną złocistymi włosami pod hełmem wypolerowanym na taki sam wysoki połysk jak zbroja. Hełm ze srebrnym otokiem był zwieńczony srebrnym krzyżem.

– Zabrać mu zbroję – rozkazała biało odziana osoba na siwku.

– Tak, pani – odparł Merewalh.

Panią była Aethelflaed, córka Alfreda, niegdyś króla Wessexu. Poślubiła Aethelreda, pana Mercji, lecz wszyscy w Wessexie i Mercji wiedzieli, że

przez lata była kochanką mego ojca. To właśnie Aethelflaed sprowadziła swoich ludzi na północ, by wzmocnić garnizon Ceasteru, i to ona obmyśliła zasadzkę, dzięki której Haki klęczał teraz przed jej koniem.

– Dobrze się spisałeś – zwróciła się do mnie, niemal niechętnie.

– Dziękuję, pani – odparłem.

– Zawieziesz go na południe – poleciła, wskazując Hakiego. – Może umrzeć w Gleawecestre.

Decyzja wydała mi się dziwaczna. Czemu nie pozwolić mu umrzeć tutaj, na wypłowiej, zimowej trawie?

– Nie wrócisz na południe, pani? – spytałem.

Aethelflaed najwyraźniej uznała pytanie za impertynencję, ale odpowiedziała:

– Mam tu mnóstwo pracy. Zawieziesz go. – Gdy zacząłem się oddalać, powstrzymała mnie dłonią w rękawicy. – Dopilnuj, aby dotrzeć na miejsce przed Dniem Świętego Kutberta. Słyszysz?

Posłusznie pochyliłem głowę, potem związaliśmy Hakiemu ręce na plecach, wsadziliśmy go na marnego konia i ruszyliśmy w drogę powrotną do Ceasteru, gdzie dotarliśmy po zmroku. Ciała Norwegów zostawiliśmy tam, gdzie padli, na pastwę kruków, ale naszych poległych, w liczbie zaledwie pięciu, zabraliśmy ze sobą. Wzięliśmy wszystkie wierzchowce Norwegów, załadowaliśmy na nie zdobyczną broń, zbroje, kolczugi, ubrania i tarcze. Zwycięsko powiewając proporcem odebrany Hakiemu, jechaliśmy za sztandarem pana Aethelreda przedstawiającym białego konia, chorągwią Świętego Oswalda oraz osobliwą flagą Aethelflaed z białą gęsią dzierżącą miecz i krzyż. Gęś była symbolem Świętej Werburgi, która w cudowny sposób uwolniła pole zboża od stada gęsi, choć nie pojmowałem, czemu pracę, jaką mogło wykonać dziesięcioletnie dziecko obdarzone silnym głosem, uważano za cud. Nawet trzynogi pies mógł przepędzić te gęsi z pola,

ale nie ośmieliłbym się powiedzieć tego Aethelflaed, która świętą płoszącą gęsi darzyła najwyższą estymą.

Burh Ceaster wznieśli Rzymianie, stąd kamienne mury, w odróżnieniu od naszych saskich grodów z murami z ziemi i drewna. Wjechaliśmy w bramę, nad którą znajdował się plac, minęliśmy tunel oświetlony pochodniami, aż dotarliśmy do głównej ulicy, biegnącej prosto jak strzała między wysokimi kamiennymi domami. Tętent końskich kopyt odbijał się echem od murów, potem rozbrzmiały dzwony kościoła Świętego Piotra na cześć powrotu córki króla Alfreda.

Aethelflaed i większość jej ludzi udali się do kościoła, by podziękować za zwycięstwo, potem zebrali się w wielkiej sali w samym centrum Ceasteru. Sihtric i ja umieściliśmy Hakiego w niewielkiej kamiennej chacie, ale nie rozwiąaliśmy mu rąk na noc.

– Mam złoto – powiedział po duńsku jeniec.

– Za łożę posłuży ci siano, zamiast piwa dostaniesz szczyzny – rzucił Sihtric. Zatrzasnęliśmy drzwi i zostawiliśmy dwóch ludzi na straży. – Czyli jedziemy do Gleawecestre? – zwrócił się do mnie w drodze do sali.

– Tak mówi ona.

– Musisz być szczęśliwy.

– Ja?

Sihtric błysnął bezzębnym uśmiechem.

– W tawernie Pod Snopem Pszenicy jest ta ruda.

– Jedna z wielu, Sihtricu – odparłem wyniośle. – Jedna z wielu.

– Poza tym twoja dziewczyna na farmie pod Cirrenceastre – dodał.

– To wdowa – zauważyłem, starając się nadać głosowi jak najwięcej godności. – Naszą chrześcijańską powinnością jest ochranianie wdów.

– Nazywasz to ochroną? – Zaśmiał się. – Ożenisz się z nią?

- Oczywiście, że nie. Ożenię się dla ziemi.
- Powinieneś kogoś poślubić – stwierdził Sihtric. – Ile masz lat?
- Chyba dwadzieścia jeden.
- Już dawno powinieneś mieć żonę – powtórzył. – Co z Aelfwynn?
- Co z nią? – spytałem.
- To ładna klaczka – powiedział Sihtric. – Podejrzewam, że dobrze galopuje.

Pchnął ciężkie wrota i weszliśmy do sali oświetlonej świecami z knotami z sitowia. W topornym, kamiennym palenisku buzował ogień, od którego popękała rzymska podłoga. Załoga garnizonu i ludzie przybyli na północ z Aethelflaed nie mieścili się przy stołach, więc niektórzy jedli, kucając na ziemi. Ja jednak dostałem miejsce przy głównym stole, nieopodal Aethelflaed. Po obu stronach pani siedzieli dwaj kapłani, z których jeden zaintonował długą modlitwę po łacinie i dopiero po niej mogliśmy jeść.

Aethelflaed budziła we mnie lęk. Miała zaciętą twarz, choć niektórzy twierdzili, że w młodości była piękna. Wtedy, w 911 roku, musiała mieć czterdzieści lat lub więcej. W złotych włosach widniały pasma siwizny. Spojrzenie intensywnie błękitnych oczu mogło wytrącić z równowagi największych śmiałków. Aethelflaed patrzyła zimno, z rozważą, jak gdyby czytała w twoich myślach i nimi gardziła. Nie ja jeden bałem się Aethelflaed. Aelfwynn, jej rodzona córka, chowała się przed matką. Lubilem tę dziewczynę, roześmianą trzpiotkę. Była nieco młodsza ode mnie, w dzieciństwie często spędzaliśmy razem czas i zdaniem wielu powinniśmy się pobrać. Nie wiem, czy Aethelflaed uważała to za dobry pomysł. Chyba mnie nie lubiła, choć trzeba przyznać, że nie lubiła większości ludzi. Mimo jej chłodnego usposobienia mieszkańcy Mercji ją wielbili. Jej mąż Aethelred, pan Mercji, był formalnym władcą kraju, ale ludzie kochali jego żonę, z którą nie dzielił łoża.

– Gleawecestre – odezwała się do mnie teraz.

– Tak, pani.

– Zawieziesz wszystkie łupy. Użyj wozów. Zabierz też jeńców.

– Tak, pani.

Jeńcami były głównie dzieci, które zabraliśmy z osad Hakiego w pierwszych dniach najazdu. Miały zostać sprzedane w niewolę.

– Musisz dotrzeć na miejsce przed Dniem Świętego Kutberta – powtórzyła. – Zrozumiałeś?

– Przed Dniem Świętego Kutberta – odparłem posłusznie.

Pani posłała mi długie spojrzenie. Siedzący obok niej kapłani patrzyli na mnie z podobną wrogością.

– Zabierzesz też Hakiego – ciągnęła.

– Wezmę Hakiego.

– Powiesz go przed komnatą mojego męża.

– Zrób to powoli – dodał jeden z kapłanów.

Człowieka można powiesić na dwa sposoby, szybko albo powoli, w męczarniach.

– Tak, ojciec – odpowiedziałem.

– Najpierw jednak pokaż go ludowi – rozkazała Aethelflaed.

– Naturalnie, pani – odrzekłem, po czym się zawahałem.

– Co takiego? – Moja niepewność nie uszła jej uwadze.

– Ludzie zechcą wiedzieć, dlaczego tu zostałeś, pani.

Aethelflaed obruszyła się, a drugi z kapłanów zmarszczył czoło.

– Nic im do tego... – zaczął, lecz Aethelflaed uciszyła go gestem dłoni.

– Wielu Norwegów opuszcza Irlandię i usiłuje osiedlić się tutaj – mówiła ostrożnie. – Należy ich powstrzymać.

– Klęska Hakiego wzbudzi w nich lęk – zauważyłem, ona jednak

zlekceważyła mój nieudolny komplement.

– Ceaster powstrzymuje ich przed wykorzystaniem rzeki Dee, ale Maerse stoi otworem – wyjaśniła. – Wybuduję burh na jej brzegu.

– Wyborny koncept, pani – pochwaliłem, co skwitowała tak pogardliwym spojrzeniem, że spiekłem raka.

Aethelflaed machnęła ręką na znak, że rozmowa jest zakończona, wróciłem więc do potrawki z baraniny. Kątem oka zerkalem na panią, obserwowałem zaciśnięte szczęki, gorzko wygięte usta, nie mogłem pojąć, co, na Boga, widział w niej mój ojciec i dlaczego ludzie ją wielbili.

Nazajutrz miałem się od niej uwolnić.

– Ludzie idą za nią, ponieważ, jeśli nie liczyć twojego ojca, tylko ona była gotowa podjąć walkę – wyjaśnił Sihtric.

Jechaliśmy na południe drogą, którą tak dobrze poznałem w ostatnich latach. Biegła wzdłuż granicy między Walią a Mercją, będącą przedmiotem nieustannych sporów pomiędzy walijskimi królestwami a mieszkańcami Mercji. Walijczycy byli, rzecz jasna, naszymi wrogami, ale owa nieprzyjaźń nie wyglądała na taką prostą. Oni również byli chrześcijanami i bez tych walijskich chrześcijan nigdy nie zwyciężylibyśmy pod Teotanheale. Niekiedy, jak pod Teotanheale, walczyli za Chrystusa, ale równie często po prostu grabili, pędząc bydło i niewolników w swoje górskie doliny. Z uwagi na nieustanne najazdy wzdłuż drogi ciągnęły się warowne grody, gdzie ludzie mogli się kryć przed nieprzyjaciółmi i skąd można było wypuszczać się na tychże nieprzyjaciół.

Jechałem na czele trzydziestu sześciu ludzi, z giermkim Godrikiem u boku. Czterech wojów stale podążało z przodu, wypatrując przydrożnej zasadzki, reszta pilnowała Hakiego i dwóch wozów z łupami. Prócz tego strzeżliśmy osiemnaściorga dzieci, mających trafić na targi niewolników,

choć Aethelflaed nalegała, aby wcześniej pokazać jeńców mieszkańcom Gleawecestre.

– Ona chce zrobić przedstawienie – powiedział mi Sihtric.

– Owszem! – zgodził się ojciec Fraomar. – Mieszkańcom Gleawecestre daliśmy do zrozumienia, że pokonujemy wrogów Chrystusa. Gleawecestre. – Młody Fraomar był jednym ze spolegliwych kapłanów Aethelflaed, żarliwym i pełnym entuzjazmu. Skinął głową na jadący przed nami wóz pełen zbroi i oręża. – Sprzedamy to, a uzyskane pieniądze pójdą na nowy burh, chwała Bogu.

– Chwała Bogu – wtórowałem skwapliwie.

Wiedziałem, że pieniądze są problemem Aethelflaed. Budowa burhu mającego strzec rzeki Maerse musiała kosztować, a pieniędzy stale brakowało. Jej mąż otrzymywał daniny z ziemi, podatki od kupców i opłaty celne, ale pan Aethelred nienawidził swojej małżonki. Może i kochała Mercję, ale to Aethelred trzymał rękę na kiesie, a ludzie nie śmieli mu się przeciwstawiać. Nawet teraz, gdy Aethelred leżał chory w Gleawecestre, ludzie składali mu hołdy. Jedynie najodważniejsi i najbogatsi, ryzykując jego gniew, posyłali ludzi i srebro Aethelflaed.

Aethelred umierał. Podczas bitwy pod Teotanheale włócznia ugodziła go w tył głowy, przebiła hełm i zdruzgotała czaszkę. Nikt nie spodziewał się, że przeżyje, a jednak tak się stało, choć krążyły pogłoski, że leżał jak nieżywy, wrzeszczał niczym szalenciec, ślina ciekła mu z ust, podrygiwał albo wył jak wypatroszony wilk. Cała Mercja czekała na jego śmierć i cała Mercja zastanawiała się, co po niej nastąpi. Nikt o tym nie rozmawiał, przynajmniej nie otwarcie, choć potajemnie nie mówiono o niczym innym.

Ku mojemu zdziwieniu ojciec Fraomar poruszył ten temat już pierwszej nocy. Z powodu wozów i jeńców podróżowaliśmy wolno i zatrzymaliśmy się w gospodarstwie nieopodal Westune. To była świeżo zaludniona część

Mercji, bezpieczna dzięki burhowi Ceaster. Wcześniej gospodarstwo należało do Duńczyka, teraz urzędował tu jednooki mieszkaniec Mercji z żoną, czterema synami i sześcioma niewolnikami. Jego dom był marną lepianką z gliny, słomy i drewna, nędzna wiklinowa obora przeciekała, ale całość otaczała solidna palisada z dębowych pni.

– Walińczycy są blisko – powiedział gospodarz, wyjaśniając obecność palisady.

– Nie obronisz się przy pomocy sześciu niewolników – zauważyłem.

– Odwiedzają mnie sąsiedzi – odparł krótko.

– Pomogli ci ją zbudować?

– Owszem.

Związaliśmy Hakiemu nogi w kostkach, upewniliśmy się, że sznury na przegubach trzymają mocno, potem przykuliśmy go do pług porzuconego obok gnojówki. Osiemnaścioro dzieci upchnęliśmy w domu pod strażą dwóch ludzi, sami zaś zadowoliliśmy się podwórzem uwalanym gnojem. Rozpaliliśmy ogień. Gerbruht jadł nieprzerwanie, a inny Fryz, Redbad, grał na fletni. Melancholijne dźwięki muzyki niosły się w nocnym powietrzu. Iskry szybowały w górę. Wcześniej padało, ale teraz wiatr rozwiał chmury i ukazały się gwiazdy. Na widok iskier padających na dach lepianki zastanawiałem się, czy strzecha zajmie się ogniem, ale słoma pokryta mchem była wilgotna, więc iskry szybko gasły.

– Nunnaminster – odezwał się nieoczekiwanie ojciec Fraomar.

– Nunnaminster? – spytałem po chwili.

Podobnie jak ja kapłan patrzył na szybujące iskry gasnące na dachu.

– Klasztor w Wintanceasterze, gdzie zmarła pani Aelswith – wyjaśnił, choć niewiele mi to dało.

– Żona króla Alfreda?

– Niech Bóg ma w opiece jej duszę – powiedział kapłan i się

przeżegnał. – Wybudowała ten klasztor po śmierci króla.

– Którą jego część? – pytałem zafrapowany.

– Część klasztoru spłonęła po jej śmierci – mówił Fraomar. – Pożar wywołały iskry, które padły na słomianą strzechę.

– Ta strzecha jest zbyt wilgotna – stwierdziłem, wskazując głową dom.

– Oczywiście. – Kapłan patrzył na iskry padające na dach. – Niektórzy twierdzą, że pożar był zemstą diabła. – Przeżegnał się. – Ponieważ pani Aelswith była taka pobożna i mu się wymknęła.

– Mój ojciec zawsze powtarzał, że była mściwą suką – zauważyłem.

Ojciec Fraomar zasepił się, a potem uśmiechnął się kwaśno.

– Niech spoczywa w pokoju. Podobno nie była łatwą kobietą.

– A są takie? – włączył się Sihtric.

– Pani Aethelflaed tego nie zechce – stwierdził cicho Fraomar.

Zawahałem się, ponieważ rozmowa zбочyła na niebezpieczne tematy.

– Czego nie zechce? – spytałem w końcu.

– Pójść do klasztoru.

– A to właśnie się stanie?

– Cóż by innego? – spytał posepnie Fraomar. – Jej mąż umrze, ona zostanie wdową, w dodatku majątną i posiadającą władzę. Ludzie nie zechcą, by ponownie wychodziła za mąż. Nowy małżonek mógłby się stać zbyt potężny. Poza tym... – Kapłan urwał.

– Poza tym co? – spytał cicho Sihtric.

– Pan Aethelred sporządził testament, niechaj Bóg ma go w swojej opiece.

– A ten głosi, że żona ma pójść do klasztoru? – zapytałem powoli.

– Cóż innego może począć? – odparł Fraomar. – Taki jest zwyczaj.

– Nie wyobrażam jej sobie jako zakonnicy – powiedziałem.

– O, to świętobliwa kobieta, dobra kobieta – zapewnił żarliwie Fraomar, lecz potem przypomniał sobie, że przecież cudzołożyła. – Oczywiście nie jest doskonała, ale przecież wszystkim nam na czymś zbywa, czyż nie? Wszyscy grzeszymy.

– A jej córka? – zapytałem. – Aelfwynn?

– Głupia trzpiotka – odparł bez wahania Fraomar.

– Ale gdyby ktoś ją poślubił... – podsunąłem, lecz kapłan natychmiast mi przerwał.

– To kobieta! Nie może dziedziczyć władzy po ojcu! – Fraomar zaśmiał się na sam pomysł. – Dla Aelfwynn najlepiej byłoby wyjść za mąż za granicą. Gdzieś daleko! Może powinna poślubić jakiegoś frankijskiego pana? Albo razem z matką wstąpić do klasztoru.

Toczyliśmy niebezpieczną rozmowę, nikt bowiem nie wiedział, co się wydarzy po śmierci Aethelreda, a ta musiała nadejść niebawem. Mercja nie miała króla, ale jej pan posiadał niemal królewską władzę. Z całego serca pragnął zostać królem, ale do obrony granic Mercji potrzebował Sasów zachodnich, ci zaś nie życzyli sobie króla na tronie Mercji, czy raczej chcieli, by rządził na nim ich monarcha. Chociaż Mercja i Wessex były w sojuszu, nie darzyły się nawzajem wielką miłością. Mercjanie mieli dumną przeszłość, teraz sprowadzono ich do pozycji petenta, a gdyby Edward z Wessexu ogłosił się tam królem, wybuchnęłyby zamieszki. Nikt nie wiedział, co się wydarzy. Nikt nie wiedział, kogo popierać. Powinni okazać posłuszeństwo Wessexowi? Czy może jednemu z panów Mercji?

– Szkoda, że pan Aethelred nie ma potomka – stwierdził ojciec Fraomar.

– Ślubnego potomka – powiedziałem, a kapłan, ku mojemu zaskoczeniu, się zaśmiał.

– Ślubnego potomka – przyznał, po czym się przeżegnał. – Ale Bóg dopomoże – dodał pobożnie.

Nazajutrz niebo zaciągnęło się grubą warstwą chmur znad walijskich wzgórz. Przed południem spadł deszcz i nie przestał padać, gdy powoli ruszyliśmy na południe. Tutejsze drogi wytyczyli Rzymianie i każdą noc spędzaliśmy w ruinach rzymskich fortów. Nie napotkaliśmy żadnych walijskich grabieżców, a dzięki bitwie pod Teotanheale mogliśmy mieć pewność, że Duńczycy nie zapuszczą się tak daleko na południe.

Deszcz i jeńcy spowalniali podróż, w końcu jednak dotarliśmy do Gleawecestre, stolicy Mercji. Przybyliśmy dwie doby przed Dniem Świętego Kutberta, ale dopiero w mieście pojąłem, dlaczego ta data miała tak duże znaczenie dla Aethelflaed. Ojciec Fraomar pogalopował przodem, by oznajmić nasz przyjazd, powitały nas dzwony kościelne, w bramie czekała grupka ludzi. Rozwinąłem proporce: swój z wilczym łbem, chorągiew Świętego Oswalda, białego konia Aethelreda oraz gęs Aethelflaed. Mój giermek Godric włókł proporzec Hakiego po mokrej ziemi. Na czele naszego małego pochodu jechał wóz z łupami, dalej szły dzieci wzięte w niewolę, potem Haki, przywiązany do ogona konia Godrica. Pochód zamykał drugi wóz, podczas gdy moi wojownicy jechali po obu stronach kolumny. Żałosny to był pokaz. Po Teotanheale ciągnęliśmy przez miasto z dwudziestoma wozami łupów, jeńcami, wziętymi końmi oraz tuzinem nieprzyjacielskich proporców, ale nawet moja mała procesja dała mieszkańcom Gleawecestre powód do świętowania. Wiwatowano na naszą cześć od bramy północnej aż do pałacu Aethelreda. Dwóch kapłanów obrzuciło Hakiego końskim łajnem, gapie dołączyli, a mali chłopcy biegli przy drodze i szydzili z jeńca.

Przy bramie pałacu czekał na nas Eardwulf, dowódca sił pana Aethelreda i brat Eadith, która dzieliła łóżce z panem Aethelredem. Eardwulf był inteligentny, urodziwy, ambitny i skuteczny. To on powiódł wojowników Aethelreda przeciwko Walijszykom, zadając im dotkliwie straty, mówiono też, że dzielnie walczył pod Teotanheale.

– Władza Eardwulfa ma swoje źródło między udami jego siostry, ale nigdy go nie lekceważ – powiedział mi ojciec. – To groźny człowiek.

Ów niebezpieczny Eardwulf miał na sobie zbroję wypolerowaną na wysoki połysk i granatowy płaszcz obszyty wydrowym futrem. Stał z gołą głową, natłuszczone ciemne włosy związał z tyłu brązową wstążką. Ciężki miecz tkwił w pochwie z miękkiej skóry zdobionej złotem. Po jego obu stronach stali dwaj kapłani i pół tuzina ludzi Eardwulfa, wszyscy z godłem Aethelreda, czyli białym koniem. Na nasz widok Eardwulf się uśmiechnął. Zobaczyłem, że podchodząc, zerknął na proporzec Aethelflaed.

– Wybierasz się na targ, panie Uhtredzie? – zapytał.

– Niewolnicy, zbroje, miecze, włócznie, topory – odparłem. – Chcesz kupić?

– A ten? – Skinął kciukiem na Hakięgo.

Przekręciłem się w siodle i odparłem:

– To Haki, norweski watażka, który ubzdurał sobie, że wzbogaci się na Mercji.

– Jego też sprzedajesz?

– Powieszę go, powoli. Moja pani chce, abym powiesił go tutaj.

– Twoja pani?

– Twoja także – odparłem, żeby go rozdrażnić. – Pani Aethelflaed.

Jeśli moje słowa zirytowały Eardwulfa, to tego nie okazał.

– Ona nie próżnuje – stwierdził z uśmiechem. – Czy wybiera się tutaj?

– Ma pracę na północy – odparłem, kręcąc głową.

– Sądziłem, że przyjedzie na radę witanu za dwa dni – powiedział sarkastycznie.

– Witanu?

– To nie twoja sprawa – rzucił bezczelnie. – Nie jesteś zaproszony.

Mimo to zwróciłem uwagę, że witan miał się zebrać w Dniu Świętego Kutberta. Z pewnością dlatego Aethelflaed zależało, abyśmy dotarli, zanim możni Mercji zbiorą się na naradę. Przypominała im, że walczyła z ich wrogami.

Eardwulf podszedł do Hakiego, obejrzał go od stóp do głów, po czym odwrócił się do mnie.

– Widzę, że nosisz proporzec pana Aethelreda – stwierdził.

– Naturalnie.

– Czy podczas walki, kiedy pojmałeś tego tu – skinął głową na Hakiego – też powiewałeś tym proporcem?

– Ilekroć moja pani walczy za Mercję, rozwija proporzec męża.

– Wobec tego jeńcy i łupy należą do pana Aethelreda – uznał Eardwulf.

– Kazano mi ich sprzedać – powiedziałem.

– Doprawdy? – Zaśmiał się. – Cóż, teraz masz inne rozkazy. Łupy i jeńcy są własnością pana Aethelreda, więc masz mi wszystko oddać. – Spojrzał na mnie wyzywająco, jakby czekając na sprzeciw.

Musiałem mieć wojowniczy wyraz twarzy, ponieważ ludzie Eardwulfa nieco opuścili włócznie.

Ojciec Fraomar szybko podbiegł do mego konia.

– Żadnych bójek – wysyczał.

– Ależ panu Uhtredowi nie przysłoby do głowy, by podnosić miecz na straż pana Aethelreda – powiedział Eardwulf, po czym skinął na swoich ludzi. – Zabierzcie to wszystko do środka. – Wskazał wozy, łupy, Hakiego i jeńców, a potem znów spojrzał na mnie. – Podziękuj pani Aethelflaed za jej mały wkład do mężowskiego skarbca.

Patrzyłem, jak strażnicy zabierają łupy i jeńców. Gdy wszystko zniknęło w pałacowej bramie, Eardwulf uśmiechnął się do mnie szyderczo.

– Czy pani Aethelflaed nie życzy sobie uczestniczyć w witaniu? – spytał.
– Została zaproszona? – zdziwiłem się.
– Oczywiście, że nie, przecież jest kobietą. Ale może jest ciekawa decyzji witanu.

Eardwulf próbował wybadać, czy Aethelflaed przybędzie do Gleawecestre. Przyszło mi na myśl, by odpowiedzieć, że nie mam pojęcia o jej planach, potem jednak postanowiłem powiedzieć prawdę.

– Nie przyjedzie tu, bo jest zajęta. Buduje burh nad Maerse.

– Ach, tak, burh nad Maerse! – powtórzył ze śmiechem.

Brama pałacu zamknęła się za Eardwulfem.

– Bękart – rzuciłem.

– Miał prawo – wyjaśnił ojciec Fraomar. – Pan Aethelred jest mężem pani Aethelflaed, dlatego cały jej dobytek należy do niego.

– Aethelred jest niepodpartym świńskim bękartem – powiedziałem, patrząc na zamkniętą bramę.

– Jest panem Mercji – powiedział ojciec Fraomar, wyraźnie skrepowany. Co prawda, popierał Aethelflaed, ale czuł, że śmierć jej męża pozbawi jego panią całej władzy i wpływów.

– Kimkolwiek jest ten bękart, na pewno nie da nam piwa – zauważył Sihtric.

– Piwo to dobry pomysł – warknąłem.

– Czyli ruda Pod Snopem Pszenicy? – zapytał z uśmiechem. – Chyba że zamierzasz się uczyć uprawy ziemi?

Odwzajemniłem uśmiech. Ojciec dał mi gospodarstwo na północ od Cirrenceastre i poradził, żebym zgłębił sztukę rolniczą.

„Mężczyzna powinien wiedzieć o zbiorach, wypasie i bydłe tyle, ile wie jego zarządca – upomniał mnie surowo. – W przeciwnym razie sukinsyn

będzie cię okradał”. Ojciec radował się, że tak wiele dni spędzałem w posiadłości, choć muszę przyznać, że nie nauczyłem się niczego o zbiorach, wypasie ani bydło, za to niemało dowiedziałem się o młodej wdowie, której oddałem główny dom w gospodarstwie.

– Na razie ruszajmy do tawerny – powiedziałem.

Spiąłem Heardinga i pogalopowałem ulicą. Jutro pojedę do swojej wdowy – pomyślałem.

Przejechałem pod drewnianym szyldem tawerny przedstawiającym snop pszenicy i na rozmiękłym od deszczu podwórzu oddałem konia służącemu. Dobrze wiedziałem, że ojciec Fraomar się nie mylił. Pan Aethelred miał prawo zabierać żonie wszystko, ponieważ cały jej dobytek należał do niego, ale mimo to postępowanie Eardwulfa mnie zdziwiło. Aethelred i Aethelflaed od lat darzyli się wrogością, jednak nie walczyli ze sobą. On dzierżył władzę w Mercji, ona zaś cieszyła się miłością mieszkańców. Aethelred mógłby bez trudu kazać uwięzić żonę, ale jej brat był królem Wessexu, a Mercja trwała tylko dzięki temu, że Sasi zachodni przybywali na odsiecz, ilekroć nieprzyjaciel napierał zbyt mocno. Mąż i żona, mimo obopólnej nienawiści, tolerowali się więc i udawali, że żaden zatarg nie istniał. Dlatego Aethelflaed tak dbała o rozwijanie mężowskiego proporca.

Schylając głowę w niskich drzwiach, wszedłem do tawerny i wyobraziłem sobie, że mszczę się na Eardwulfie. Marzyłem o tym, że wypruwam mu flaki, ścinam mu głowę albo przystawiam mu Kruczy Dziób do gardła i słucham błagania o litość. Co za suczy syn – myślałem. – Zasmarkany, nadęty, przylizany, arogancki suczy syn.

– Pierdoło – powiedział do mnie ostro ktoś, kto ogrzewał się przy ogniu płonącym w Snopie Pszenicy. – Co za śmierdzący demon przywiął cię tu, żebyś zepsuł mi dzień? – Otworzyłem szeroko oczy i nie mogłem wyjść ze zdumienia. Oto miałem przed sobą ostatniego człowieka, jakiego

spodziewałem się ujrzeć w Gleawecestre, twierdzy Aethelreda. – No, pierdoło, co tu robisz?

Przede mną stał mój ojciec.

CZEŚĆ PIERWSZA
UMIERAJĄCY PAN

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mój syn wyglądał na zmęczonego i rozgniewanego. Przemoczony, utyłany błotem, z włosami jak mokry stóg siana po dobrym chędożeniu, jeden but miał przecięty. W miejscu, gdzie ostrze przecięło łydkę, skóra buta pociemniała, ale Uhtred nie utykał, nie musiałem więc się o niego martwić, pomijając to, że gapił się na mnie jak wiejski matoł.

– Przestań się gapić, idioto, i postaw mi ale – powiedziałem. – Każ dziewczce nalać z czarnej beczki. Dobrze cię widzieć, Sihtricu.

– I ciebie, panie – odparł Sihtric.

– Ojczy! – wykrztusił mój syn, nie przestając wytrzeszczać oczu.

– A kogo się spodziewałeś? – spytałem. – Ducha Świętego? – Zrobiłem im miejsce na ławie. – Siadaj obok mnie, Sihtricu, i mów, co nowego. Przestań wytrzeszczać gały – powtórzyłem Uhtredowi. – Niech jedna z dziewczek poda nam piwo. Z czarnej beczki!

– Dlaczego z czarnej beczki, panie? – zapytał Sihtric, siadając na ławie.

– Warzą je z naszego jęczmienia – wyjaśniłem. – On trzyma takie ale dla ludzi, których lubi. – Oparłem się o ścianę. Bolało, kiedy pochylałem się w przód, bolało, kiedy siedziałem prosto, nawet oddychanie sprawiało ból. Wszystko mnie bolało, a jednak samo to, że żyłem, zakrawało na cud.

Kanut Długi Miecz o mały włos mnie nie zabił, gdy jego ostrze Lodowa Furia złamało mi żebro i przeszło płuco. Niewielką pociechę stanowił fakt, że w tej samej chwili mój Oddech Węża rozplatał mu gardło. „Jezu Chryste – powiedział mi potem Finan. – Trawa była śliska od krwi. To wyglądało jak

świniobicie na święto Samhain*”.

Tak, ale ślisko było od krwi Kanuta, który poległ, a jego wojsko zostało rozbite. Duńczyków wypędzono ze znacznej części północnej Mercji, za co Sasi dziękowali swemu ukrzyżowanemu bogu. Niewątpliwie niektórzy z nich modlili się też, by bóg uwolnił ich ode mnie, ale przeżyłem. Sasi to chrześcijanie, ja nie jestem chrześcijaninem, choć rozeszły się pogłoski, że życie zawdzięczam kapłanowi od ukrzyżowanego. Aethelflaed kazała zawieźć mnie na wozie do swej siedziby w Cirrenceastre, gdzie zajął się mną kapłan, słynący jako uzdrowiacz i nastawiacz kości. Aethelflaed mówiła mi, że kapłan wsunął mi między żebra trzcinę, przez którą wyleciało cuchnące powietrze. „Śmierdziało jak kloaka” – powiedziała.

Ponoć kapłan wyjaśnił, że w ten sposób uleciało ze mnie zło. Potem zalepił ranę krowim łajnem, które zaschło w skorupę, dzięki czemu zło nie mogło wrócić. Czy to prawda? Nie wiem. Wiem tylko, że wiele tygodni leżałem w boleściach i spodziewałem się śmierci, ale po Nowym Roku stanąłem na nogach. Teraz, niemal dwa miesiące później, mogłem jeździć konno i przejść z milę, choć jeszcze nie odzyskałem dawnej krzepy, a Oddech Węża ciążył mi w dłoni. Ból nigdy nie ustępował, czasem był rozdzierający, czasem znośny, ale z rany nieustannie sączyła się wstrętna, cuchnąca ropa. Chrześcijański czarownik pewnie zasklepił ranę, zanim całe zło uleciało – czasem myślałem, że zrobił to celowo, ponieważ chrześcijanie naprawdę mnie nienawidzą, przynajmniej większość nich. Uśmiechają się, nucą psalmy, głoszą, że ich wiara polega na miłości, ale powiedz tylko, że wierzysz w innego boga, a zaczynają pluć i tobą gardzić. Najczęściej więc czułem się stary i bezużyteczny, bywały nawet dni, gdy nie byłem pewien, czy chcę dalej żyć.

– Jak się tu dostałeś, panie? – spytał Sihtric.

– Na koniu, rzecz jasna, a co myślałeś?

Nie było to do końca prawdą. Cirrenceastre nie leżało daleko od Gleawecestre i część drogi przemierzyłem konno, ale kilka mil przed miastem wlałem na wóz i ległem na sianie. Boże, jak bolało wspinanie się na ten wóz. Dałem się zawieźć do miasta, a gdy Eardwulf mnie zobaczył, zacząłem jęczeć i udałem, że go nie poznaję. Ulizany suczy syn jechał obok wozu i raczył mnie gładkimi kłamstwami.

– Smutno widzieć cię w takim stanie, panie Uhtredzie – powiedziała, mając na myśli to, że cieszy się, iż leżę bez sił i może umieram. – Jesteś przykładem dla nas wszystkich! – powiedział bardzo wolno i głośno, jakby zwracał się do imbecyla. Jęczałem i nie odpowiedziałem ani słowem. – Nigdy nie spodziewaliśmy się, że przybędziesz, ale oto jesteś.

Co za ścierwo.

Witan miał się zebrać w Dniu Świętego Kutberta. Zgodnie z wezwaniem opatrzonym pieczęcią Aethelreda przedstawiającą konia w Gleawecestre mieli się stawić możnowładcy z Mercji, biskupi, opaci, ealdormani i tanowie. Mieli „doradzać” panu Mercji, choć mówiono, że był już tylko śliniącym się kaleką, któremu szczyny ciekły po nogach, więc witan zwołano raczej po to, by zatwierdził łotrostwa wysmażone przez Eardwulfa. Nie spodziewałem się zaproszenia, a jednak, ku memu zdumieniu, posłaniec dostarczył mi pergamin z ciężką pieczęcią Aethelreda. Dlaczego mnie wezwał? Przecież należałem do głównych popleczników jego żony, a jednak mnie zaprosił. Oprócz mnie nie wezwano żadnego innego możnowładcy popierającego Aethelflaed. Dlaczego?

– On chce cię zabić – stwierdził Finan.

– Już i tak ledwie zipię. Czemu miałby zawracać sobie tym głowę?

– Chce cię na radzie – powiedział wolno Finan – ponieważ zamierzają wieszać psy na Aethelflaed, a jeśli się pojawisz, nie będą mogli mówić, że nikt się za nią nie wstawił.

Powód wydał mi się marny, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

– Może.

– Poza tym wiedzą, że jeszcze nie wróciłeś do zdrowia. Nie możesz im bruździć.

– Może – powtórzyłem.

Witan zwołano najwyraźniej w celu podjęcia decyzji co do przyszłości Mercji. Równie oczywiste było, że Aethelred uczyni wszystko, by dla jego żony, która go opuściła, nie znalazło się miejsce w tej przyszłości. Po cóż więc mnie zaproszono? Dobrze wiedzieli, że wstawię się za Aethelflaed, wiedzieli też, że jestem słaby. Czy moja obecność na radzie miała stanowić gwarancję, że wszystkie opinie zostały wyrażone? Wydawało mi się to osobliwe, ale jeśli liczyli na to, że z powodu mojej słabości zdołają łatwo zignorować mój głos, chciałem utwierdzać ich w tym przekonaniu. Właśnie dlatego zgrywałem całkowitą bezsilność przed Eardwulfem. Niech suczy syn myśli, że już po mnie.

Zresztą prawie tak było. Tyle że nadal żyłem.

Syn przyniósł mi piwo, przyciągnął stołek, by usiąść obok mnie. Niepokoił się o mnie, ale zbyłem pytania i zadałem własne. Opowiedział mi o walce z Hakim, potem poskarżył się, że Eardwulf odebrał jeńców i łupy.

– Jak mogłem go powstrzymać? – spytał.

– Nie miałeś go powstrzymać – odparłem, a na widok jego zafrapowanej miny wyjaśniłem: – Aethelflaed wiedziała, co się wydarzy. W przeciwnym razie po cóż miałyby cię posyłać do Gleawecestre?

– Przecież ona potrzebuje pieniędzy!

– Bardziej potrzebuje poparcia Mercji – odpowiedziałem, ale syn nadal nie pojmował. – Przysyłając cię tutaj, Aethelflaed pokazuje, że walczy. Gdyby naprawdę potrzebowała pieniędzy, posłałaby jeńców do Londynu.

– Czyli sądzi, że kilku niewolników i dwa wozy zardzewiałych zbroi

wpłyną na witan?

- Czy w Ceasterze widziałeś ludzi Aethelreda?
- Oczywiście, że nie.
- A co jest nadrzędnym obowiązkiem władcy?

Po chwili zastanowienia syn odparł:

- Obrona kraju?
- Czy w takim razie Mercja rozgląda się za nowym władcą?
- Zechcą kogoś, kto umie walczyć? – powiedział powoli syn.
- Umie walczyć, dowodzić, inspirować – uzupełniłem.
- Masz na myśli siebie?

Chciałem go zdzielić za głupotę, ale nie był już dzieckiem.

- Nie miałem na myśli siebie.

Mój syn zmarszczył czoło w zamyśleniu. Doskonale znał odpowiedź, ale upór nie pozwalał mu jej udzielić.

– Eardwulf? – powiedział, a gdy milczałem, pomyślał jeszcze trochę i dodał: – Walczył z Walijszymi. Ludzie mówią, że jest dobry.

– Walczył z gołodupcami, złodziejami bydła – prychnąłem pogardliwie. – Kiedy ostatnio walijskie wojsko napadło na Mercję? Zresztą Eardwulf nie jest szlachetnie urodzony.

- Jeśli więc nie może władać Mercją, to kto? – spytał powoli mój syn.

– Wiesz kto – powiedziałem, a gdy nadal nie wymówił jej imienia, zrobiłem to za niego: – Aethelflaed.

- Aethelflaed – powtórzył i tylko pokręcił głową.

Wiedziałem, że czuje do niej respekt, może nawet lęk. Wiedziałem, że ona z kolei gardzi moim synem, podobnie jak gardziła własną córką. Pod tym względem była nieodrodną córką swego ojca: nie lubiła płytkich, płochych ludzi, ceniła poważnych, dla których życie było posępnym obowiązkiem.

Mnie tolerowała – może dlatego, że wiedziała, iż w walce jestem równie poważny i posępny jak jej okropni kapłani.

– Czemu więc nie Aethelflaed? – spytałem.

– Bo jest kobietą – odparł.

– Co z tego?

– Jest kobietą!

– Wiem o tym! Oglądałem jej cycki.

– Witan nigdy nie powierzy władzy kobiecie – powiedział zdecydowanym tonem mój syn.

– To prawda – zgodzi się Sihtric.

– Kogo innego mogą wybrać? – spytałem.

– Jej brata? – podsunął mój syn i pewnie miał rację.

Król Wessexu Edward pożył tronu Mercji, ale nie chciał go po prostu wziąć. Pragnął, by go zaproszono. Może to właśnie miał zatwierdzić witan? Nie mogłem sobie wyobrazić innego powodu wzywania możnowładców i przedstawicieli kleru. Wybranie następcy Aethelreda przed jego śmiercią miało sens, bo zapobiegłoby rozruchom, a nawet otwartej wojnie, jaka czasem wybucha po śmierci władcy. Aethelreda z pewnością usatysfakcjonowałyby wiadomość, że jego żona nie przejmie po nim władzy. Wolałby, żeby wściekłe psy kasały go po jajach. Kto więc miał dziedziczyć? Na pewno nie Eardwulf. Owszem, był kompetentny, wystarczająco odważny i niegłupi, ale witan chciałby kogoś wysoko urodzonego, Eardwulf zaś, choć nie pochodził z gminu, nie był ealdormanem. W całej Mercji nie było ealdormana, który wyraźnie przewyższałby pozostałych, może z wyjątkiem Aethelfritha władającego znaczną częścią kraju na północ od Londynu. Aethelfrith był najzamożniejszym z wielkich panów Mercji po Aethelredzie, ale dla niego Gleawecestre to były zbyt niskie progi, nie chciał się włączać w tutejsze waśnie, trzymał z Sasami zachodnimi i z tego, co wiedziałem, nie

raczył nawet uczestniczyć w witaniu. Zresztą bez względu na decyzje witanu to pewnie Sasi zachodni postanowią, co jest najlepsze dla Mercji.

Tak przynajmniej myślałem.

Powinienem być bardziej wyteńczyć umysł.

Witan rozpoczął się, jakżeby inaczej, nudnym nabożeństwem w kościele Świętego Oswalda, wchodzącym w skład opactwa wzniesionego przez Aethelreda. Do kościoła przyszedłem o kulach, których tak naprawdę nie potrzebowałem, lecz chciałem sprawiać wrażenie bardziej słabowitego, niż byłem w rzeczywistości. Opat Ricseg powitał mnie wylewnie, próbował nawet klęknąć, co nie było łatwe, ma bowiem bandzioch jak ciężarna maciora.

– Jak przykro widzieć cię tak obolałym, panie Uhtredzie – powiedział, mając na myśli, że gdyby tylko nie był tak cholernie tłusty, podskoczyłby z radości. – Niechaj Bóg cię błogosławi – dodał, nakreślił pulchną dłonią znak krzyża, ale skrycie modlił się, żeby jego bóg raził mnie piorunem.

Podziękowałem opatowi równie nieszczerze, jak on mnie pobłogosławił, zająłem miejsce na kamiennej ławie na tyłach kościoła i oparłem się o ścianę. Po moich obu stronach usiedli Finan i Osferth. Ricseg dreptał tam i sam, witając gości, słyszałem szcęk broni składanej przed kościołem. Zostawiłem tam syna i Sihtrica, żeby jakiś sukinkot nie zwędził Oddechu Węża. Z głową opartą o ścianę próbowałem odgadnąć wartość srebrnych świeczników na ołtarzu. Olbrzymie, ciężkie jak topory wojenne, ociekały woskiem pszczelim, a blask tuzina świec odbijał się od srebrnych relikwiarzy i złotych naczyń na ołtarzu.

Kościół chrześcijański to sprytna sprawa. Kiedy tylko pan się wzbogaca, buduje kościół lub klasztor. Zanim Aethelflaed zaczęła wznosić mury i pogłębiać fosę w Ceasterze, uparła się, aby wnieść kościół. Mówiłem jej,

że to wyrzucanie pieniędzy, bo zyska jedynie miejsce, gdzie ludzie pokroju Ricsega będą paść brzuchy, ale nalegała. Setki mężczyzn i kobiet żyją z kościołów, opactw i klasztorów wznoszonych przez panów, a większość tych darmozjadów tylko je, pije i od czasu do czasu zmawia modlitwę. Mnisi oczywiście pracują. Uprawiają ziemię, plewią chwasty, rąbią drwa na opał, czerpią wodę ze studni i przepisują rękopisy tylko po to, by ich przełożeni mogli żyć jak wielmoże. Chytrze urządzone: inni pracują na twoje luksusy. Warknąłem.

– Nabożeństwo wkrótce się skończy – uspokoił mnie Finan, sądząc, że zawarzałem z bólu.

– Poprosić o wino z miodem, panie? – spytał z troską Osferth.

Ten bękart króla Alfreda był najzacniejszym człkiem, jaki kiedykolwiek stąpił po ziemi. Często zastanawiałem się, jakim królem zostałyby Osferth, gdyby urodził się z prawego łoża, a nie jako syn przestraszonej służki, która zadarła kieckę przed królewską kuśką. Osferth byłby wspaniałym królem, rozumnym i uczciwym, jednak już zawsze musiał dźwigać brzemię bękart. Jego ojciec próbował go wyświęcić, ale Osferth okazał nieposłuszeństwo, wybrał drogę wojownika, ja zaś miałem szczęście, że znalazł się w mojej straży przybocznej.

Zamknąłem oczy. Mnisi intonowali pieśń, a jeden z czarowników machał metalową misą na łańcuchu, rozsiewając dym po kościele. Kichnąłem, co sprawiło mi ból, przy drzwiach zrobiło się zamieszanie, pomyślałem więc, że przybył Aethelred, kiedy jednak otworzyłem oko, ujrzałem biskupa Wulfhearda z grupą nadskakujących mu księży.

– Jeśli dojdzie do jakichś kłótni, ten ssący cycki drań będzie za nimi stał – stwierdziłem.

– Nie tak głośno, panie – upomniał mnie Osferth.

– Ssący cycki? – zainteresował się Finan.

– Tak mówią Pod Snopem Pszenicy – potwierdziłem.

– Och, nie! Nic podobnego! – Osferth był w szoku. – To niemożliwe. On ma żonę!

Roześmiałem się i znów zamknąłem oczy.

– Nie powinienes mówić takich rzeczy – zwróciłem się do Osfertha.

– Dlaczego, panie? To tylko niecna plotka! Biskup ma żonę.

– Nie powinienes tego mówić, bo boli mnie, kiedy się śmieję.

Wulfheard był biskupem Herefordu, ale najczęściej przebywał w Gleawecestre, tu bowiem znajdował się przepastny skarbiec Aethelreda. Biskup darzył mnie nienawiścią, puścił z dymem moje stodoły w Fagranfordzie, próbując w ten sposób przepędzić mnie z Mercji. Nie był jednym z grubych kapłanów. Chudy jak szczapa, z zaciętą twarzą, na którą przywołał wymuszony uśmiech na mój widok.

– Panie Uhtredzie – przywitał mnie.

– Wulfheardzie – odparłem grubiańsko.

– Cieszę się, widząc cię w kościele – powiedział biskup.

– Ale nie cieszy nas widok tego. – Jeden z biskupich akolitów splunął, otworzyłem oczy i zobaczyłem, że pokazuje młot, który nosiłem na szyi, symbol Thora.

– Ostrożnie, klecho – zwróciłem się do niego, choć brakowało mi sił, by cokolwiek zrobić z jego bezczelnością.

– Ojczy Pendo – włączył się Wulfheard. – Módlmy się, aby Bóg nakłonił pana Uhtreda do odrzucenia pogańskich błyskotek. Bóg słucha naszych modlitw – zwrócił się do mnie.

– Naprawdę?

– Modliłem się o twój powrót do zdrowia – skłamał biskup.

– Ja też – odparłem, dotykając młota Thora.

Wulfheard uśmiechnął się tajemniczo i odszedł. Akolici podążyli za nim jak drepczące kaczątka, z wyjątkiem młodego ojca Pendency, który stał tuż przede mną, wyraźnie w wojowniczym nastroju.

– Hańbisz Dom Boży – odezwał się głośno.

– Odejdź, ojciec – powiedział Finan.

– To hańba! – krzyknął niemal kapłan, pokazując młot. Ludzie zaczęli patrzeć w naszą stronę. – Obraza boska. – To mówiąc, Penda pochylił się i próbował zerwać mi miecz z szyi.

Chwyciłem go za czarną szatę, przyciągnąłem do siebie, ale z powodu wysiłku poczułem silne ukłucie bólu w lewym boku. Wilgotna sutanna dotykała mojej twarzy, cuchnęła gnojem, ale grube wełniane sukno ukryło grymas bólu na mojej twarzy. Brakowało mi tchu, aż Finan zdołał odepchnąć ode mnie kapłana.

– Obraza! – wołał Penda, kiedy go odciągano.

Osferth zaczął wstawać, by pomóc Finanowi, ale powstrzymałem go, łapiąc za rękaw. Penda znowu rzucił się na mnie, lecz dwaj kapłani chwycili go za ramiona i odciągnęli.

– Głupiec – stwierdził surowo Osferth. – Ale ma rację, nie powinieneś nosić w kościele tego młota, panie.

Przywarłem plecami do ściany, usiłując uspokoić oddech. Ból napływał falami, raz ostry, raz tępy. Czy to nigdy się nie skończy? Byłem znużony, może ból mącił mi myśli.

Myślałem o tym, że Aethelred, władca Mercji, umiera. To nie ulegało wątpliwości. Cud, że żył tak długo, ale witan najwyraźniej zwołano w celu rozważenia, co powinno się stać po jego śmierci. Właśnie się dowiedziałem, że w Gleawecestre przebywał ealdorman Aethelhelm, teść króla Edwarda. Nie przybył do kościoła, w każdym razie go nie zauważyłem, a raczej trudno było przeoczyć tego rosłego, jowialnego i głośnego człowieka. Lubiłem

Aethelhelma i za grosz mu nie ufałem. Przybył tu na witan. Skąd o tym wiedziałem? Ponieważ Penda, plujący kapłan, był na moich usługach. Kiedy przyciągnąłem go do siebie, szepnął mi na ucho:

– Aethelhelm tu jest. Przyjechał rano. – Próbował wysyczeć coś jeszcze, ale zdążyli go odciągnąć.

Wysłuchiwałem się w śpiew mnichów i szepty kapłanów zgromadzonych wokół ołtarza, gdzie blask wonnych świec tańczył na wielkim złotym krucyfiksie. Wewnątrz pustego ołtarza leżała srebrna trumna wysadzana kryształami. Ona sama musiała być warta tyle co cały kościół, a jeśli człowiek się nachylił i zajrzał przez drobne kryształy, mógł dostrzec szkielet spoczywający na kosztownym niebieskim jedwabiu. W specjalne dni trumnę otwierano, pokazywano szkielet i słyszałem o cudach, jakie przydarzały się wiernym, którzy płacili za możliwość dotknięcia żółtych szat. W czarodziejski sposób znikwały wrzody i brodawki, chromi zaczęli chodzić, a wszystko za sprawą kości Świętego Oswalda, co samo w sobie byłoby cudem, ponieważ to ja znalazłem te gnaty. Należały może do jakiegoś mnicha, choć równie dobrze mogły to być szczątki świniopasa. Kiedy jednak wspomniałem o tym ojcu Kutbertowi, odparł, że wielu świniopasów zostało świętymi. Z chrześcijanami nie wygrasz.

Oprócz trzydziestu, może czterdziestu kapłanów co najmniej stu dwudziestu ludzi zebrało się w kościele pod wysokimi stropami, gdzie furkotały wróble. Nabożeństwo miało uprosić ukrzyżowanego boga o błogosławieństwo dla obrad witanu, toteż nikogo nie zaskoczyło potężne kazanie biskupa Wulfhearda o mądrości płynącej z rad ludzi trzeźwych, dobrych, starszych i władców.

– Oddawajmy starszym podwójną cześć, tak bowiem głosi Słowo Boże! – grzmiał Wulfheard.

Może i tak, chociaż ze słów biskupa wynikało, że nikogo nie wezwano po

to, by udzielał rad, ale po to, by zaakceptował wszystko, co już wcześniej postanowili między sobą biskup, Aethelred oraz, jak właśnie się dowiedziałem, Aethelhelm z Wessexu.

Aethelhelm był najbogatszym człowiekiem w Wessexie po królu, zarazem jego zięciem. Posiadał wielkie włości, jego straż przyboczna stanowiła blisko jedną trzecią całego wojska zachodniosaskiego. Był głównym doradcą Edwarda, a jego nagłe pojawienie się w Gleawecestre z pewnością znaczyło, że Edward z Wessexu podjął decyzję co do Mercji. Przesłał tu Aethelhelma, aby ten oznajmił jego wolę, jednak zarówno Edward, jak i Aethelhelm wiedzieli, że Mercja jest dumna i łatwo się najeża. Mercjanie nie oddadzą tak po prostu korony Edwardowi, musiał on więc zaoferować coś w zamian, ale co? Owszem, po śmierci Aethelreda Edward mógł zwyczajnie ogłosić się królem, ale doprowadziłoby to do rozruchów czy wręcz napotkałby otwarty opór. Z pewnością pragnął, by Mercja błagała, przysłał więc Aethelhelma, towarzyskiego Aethelhelma, wesołego Aethelhelma, szczodrego Aethelhelma. Lubiłem Aethelhelma, ale jego obecność w Gleawecestre nie wróżyła nic dobrego.

Udało mi się przespać większość kazania Wulfhearda, potem zaś, gdy chór odśpiewał niekończący się psalm, Osferth i Finan pomogli mi wyjść z kościoła, mój syn niósł kule i Oddech Węża. Przesadnie wspierałem się na ramionach Finana i powłóczyłem nogami. Owszem, po części grałem przedstawienie, ale nie całkowicie. Mocno nużył mnie ból, cuchnąca ropa sącząca się z rany. Kilka osób podeszło, by wyrazić żal z powodu mojej słabości, i część tego współczucia była autentyczna, jednak wielu ludzi radował mój upadek. Zanim zostałem ranny, bali się mnie, teraz mogli otwarcie mną gardzić.

Nowiny przekazane przez ojca Pendę raczej nie były konieczne, ponieważ Aethelhelm czekał w wielkiej komnacie, przypuszczałem jednak,

że młody kapłan chciał mnie przestrzec i pokazać, że zapracował na złoto, które ode mnie dostawał. Zachodniosaski ealdorman stał w otoczeniu ostatnich ludzi, którzy pojmowali, że to on dzierży prawdziwą władzę, przemawiał bowiem w imieniu Edwarda z Wessexu, a bez zachodniosaskiego wojska nie byłoby Mercji. Przyglądałem się Aethelhelmowi i usiłowałem zrozumieć, czemu przybył. Ten rosły mężczyzna o szerokiej twarzy i rzednących włosach chętnie się uśmiechał, a na mój widok w jego sympatycznych oczach błysnęło zdziwienie. Bez skrupułów porzucił ludzi, z którymi rozmawiał, i szybko do mnie podszedł.

– Mój drogi panie Uhtredzie – powiedziała.

– Panie Aethelhelmie – odparłem powoli ochryłym głosem.

– Mój drogi panie Uhtredzie – powtórzył i ujął moją dłoń w swoje. – Mój drogi panie Uhtredzie – Wprost nie mogę wyrazić, co czuję. Powiedz, proszę, co mogę dla ciebie zrobić. Mój drogi panie Uhtredzie. – Uścisnął moją dłoń. – Powiedz!

– Może dasz mi umrzeć w spokoju – odpowiedziałem.

– Na pewno masz jeszcze przed sobą wiele lat – zapewnił. – W przeciwieństwie do mojej drogiej żony.

To była nowina. Wiedziałem, że Aethelhelm poślubił blade, chude stworzenie, które wniosło w posagu połowę Defnasciru. Jakimś cudem urodziła szereg tłustych, zdrowych dzieci. Zdumiewające, że przeżyła tyle lat.

– Przykro mi – powiedziałem słabym głosem.

– Biedactwo niedomaga. Niknie w oczach i kres musi być bliski. – Aethelhelm nie sprawiał wrażenia szczególnie przybitego, ale podejrzewałem, że poślubił to chuchro z rozsądku, bo dzięki temu zdobył rozległe włości. – Ożenię się ponownie – powiedział. – Mam nadzieję, że przyjdiesz na ślub.

– Jeśli dożyję – odparłem.

– Naturalnie, że dożyjesz! Będę się za ciebie modlił!

Musiał też modlić się za Aethelreda. Pan Mercji nie pojawił się na nabożeństwie, ale czekał na podwyższonym tronie w zachodniej części sali. Polegiwał tam, odziany w bobrowe futro, patrząc pustym wzrokiem. Jego rude włosy posiwiały, ale w większości zasłaniała je wełniana czapka, która, jak podejrzewałem, skrywała ranę. Nie miłowałem Aethelreda, ale było mi go żal. Najwyraźniej zdał sobie sprawę z mego spojrzenia, bo poruszył się, uniósł głowę i popatrzył w głąb sali, gdzie usiadłem na ławie. Chwilę mi się przyglądał, potem skłonił głowę na wysokim oparciu i rozdziawił usta.

Na podwyższenie wszedł biskup Wulfheard. Obawiałem się, że uraczy nas kolejnym kazaniem, on jednak postukał pastorałem w drewnianą podłogę, a gdy wszyscy umilkli, zadowolił się krótkim błogosławieństwem. Zauważyłem, że Aethelhelm skromnie zajął miejsce z boku, podczas gdy Eardwulf stanął pod przeciwległą ścianą, możnowładcy z Mercji zaś siedzieli między nimi na niewygodnych ławach. Pod ścianami stali strażnicy przybocznicy Aethelreda, jako jedyni mający prawo nosić broń w wielkiej komnacie. Mój syn wślizgnął się do środka i kucnął przy mnie.

– Miecze są bezpieczne – mruknął.

– Sihtric przy nich czuwa?

– Tak.

Biskup Wulfheard mówił tak cicho, że musiałem pochylać się do przodu, by słyszeć, a pochylanie sprawiało mi ból. Pan Aethelred raduje się, mówił biskup, że królestwo Mercji od lat nie było tak bezpieczne i rozległe jak obecnie.

– Dzięki sile naszych mieczy zdobyliśmy nowe ziemie, a z łaski Bożej przepędziliśmy pogan z pól, które uprawiali nasi przodkowie. Bogu niech będą dzięki! – prawił Wulfheard.

– Amen! – dorzucił głośno Aethelhelm.

– Dzisiejsze błogosławieństwo zawdzięczamy zwycięstwu, jakie w zeszłym roku odniósł pan Aethelred przy pomocy walecznych zachodniosaskich sojuszników – powiedział Wulfheard, wskazał Aethelhelma, a ludzie w komnacie zaczęli tupać na znak aprobaty.

Co za sukinsyn – pomyślałem. – Aethelreda raniono w plecy, a bitwę wygrali nie jego ludzie, lecz moi.

Biskup odczekał, aż zapadnie cisza.

– Zdobyliśmy ziemię, dobrą ziemię uprawną, a panu Aethelredowi podoba się nadać ją każdemu, kto walczył za niego w minionym roku. – Biskup wskazał stół z boku, gdzie dwaj kapłani siedzieli za stertą dokumentów. Łapówka była oczywista. – Poprzyjcie propozycję Aethelreda, a każdy może liczyć na dobra ziemskie.

– Ja nic nie dostanę – warknąłem.

– Da ci tyle, żeby starczyło na grób – zachichotał Finan.

– Jednakże – ciągnął nieco głośniej biskup, dzięki czemu mogłem się oprzeć o ścianę – poganie nadal okupują miasta, które należały do naszego starodawnego królestwa. Ich obecność kala naszą ziemię, a jeśli mamy przekazać dzieciom pola, gdzie orali nasi przodkowie, musimy przypasać miecze i wygnać psubratów tak, jak Jozue wygnał grzeszników z Jerycha! – Zrobił przerwę, może licząc na kolejny tupot aprobaty, ale w komnacie panowała cisza. Sugerował, że powinniśmy walczyć, co też czyniliśmy, ale nie było rzeczą biskupa Wulfhearda nakłaniać innych do brania udziału w krwawej łaźni i stawania przed tarczami warczących Duńczyków. – Nie będziemy osamotnieni w walce – mówił biskup. – Pan Aethelhelm przybył z Wessexu, aby nas zapewnić, wręcz nam obiecał, że siły Wessexu nas wesprą!

Te słowa wywołały aplauz. Oto ktoś inny podejmie walkę. Ludzie tupali,

gdy Aethelhelm wszedł po drewnianych schodach na podwyższenie. Potężnie zbudowany mąż, pewien swej władzy, z uśmiechem powiódł wzrokiem po komnacie. Na kolczudze złocił się łańcuch.

– Nie mam prawa przemawiać na tym świętym zgromadzeniu – zaczął skromnie, a jego donośny głos wypełnił salę. – Ale jeśli pan Aethelred pozwoli? – Odwrócił się, a Aethelred zdołał skinąć głową.

– Mój monarcha codziennie modli się za królestwo Mercji – mówił Aethelhelm. – Modli się o wypędzenie pogan. Dziękuje Bogu za wasze zeszłoroczne zwycięstwo, ale, moi panowie, nie zapominajmy, że to pan Uhtred stanął na czele zwycięskich wojsk! W tej bitwie został ranny! To on zwabił pogan w zasadzkę i wydał ich na pastwę naszych mieczy!

To było zaskoczenie. Wszyscy zgromadzeni wiedzieli, że jestem wrogiem Aethelreda, a jednak chwalono mnie w jego komnacie? Ludzie zerkali w moją stronę, jeden czy dwóch zaczęło tupać i po chwili w komnacie zagrzmiało. Nawet Aethelred dwukrotnie uderzył ręką w oparcie krzesła.

– Mój pan życzy sobie – Aethelhelm odczekał, aż wrzawa ucichnie – by w Londynie stacjonowała liczna armia, gotowa stawić czoło Duńczykom nękającym wschodnie rubieże naszego kraju. – Jego słowa przyjęto milczeniem, choć nikogo szczególnie nie zaskoczyły. Londyn, największe miasto w Brytanii, wchodził w skład Mercji, ale od lat znajdował się pod panowaniem Sasów zachodnich. Aethelhelm miał na myśli, choć nie wyrażał tego wprost, że miasto stanie się teraz częścią Wessexu, a zebrani to zrozumieli. Może niezbyt przypadło im to do gustu, ale jeśli taka była cena pomocy Sasów zachodnich w walce z Duńczykami, została już zapłacona, zatem była do przyjęcia. – Utrzymamy na wschodzie to potężne wojsko, którego celem będzie przywrócenie Anglii Wschodniej pod saskie władanie. Wy, moi panowie, utrzymacie wojsko tu, na zachodzie, i wspólnie oczyścimy nasz kraj z pogan! Będziemy walczyć razem! – Zamilkł,

powiódł wzrokiem po komnacie i powtórzył ostatnie słowo: – Razem!

Aethelhelm raptownie skończył przemowę. Uśmiechnął się do biskupa, uśmiechnął się do milczących ludzi na ławach w dole, wreszcie zszedł z podwyższenia. „Razem” – powiedział, niewątpliwie mając na myśli przymusowy mariaż Wessexu i Mercji. Wkrótce wąż zostanie wypuszczony – pomyślałem.

Podczas przemowy Aethelhelma biskup Wulfheard siedział, teraz jednak wstał.

– Panowie, musimy utrzymywać wojsko Mercji pod bronią, aby uwolnić północne rubieże kraju od ostatnich pogan i zanieść władzę Chrystusa do każdego zakątka naszego starodawnego kraju. – Ktoś w komnacie zaczął mówić, nie dosłyszałem słów, ale biskup przerwał mu ostro: – Nowo nadane ziemie opłacą potrzebnych żołnierzy. – Te słowa ukręciły łeb ewentualnym sprzeciwom.

Ludzie niewątpliwie protestowali w kwestii kosztów utrzymania stałego wojska. Armie trzeba karmić, płacić jej żołd, zbroić ją, zaopatrywać w konie, oręż, rynsztunek oraz tarcze, szkolić. Witan zwęszył nowe podatki, jednak biskup najwyraźniej sugerował, że wojsko utrzyma się z ziemi odebranej Duńczykom. Czemu nie – myślałem – to wcale nie jest zły pomysł. Pokonaliśmy Duńczyków, wypędziliśmy ich ze znacznej części Mercji i sensownie jest pędzić ich dalej. To właśnie robiła teraz Aethelflaed pod Ceasterem, bez wsparcia pieniędzy i ludzi męża.

– Wojsko potrzebuje dowódcy – mówił biskup Wulfheard.

Wąż wystawiał język.

W komnacie zapadła cisza.

– Długo nad tym myśleliśmy – ciągnął świątobliwie Wulfheard. – Modliliśmy się! Zwróciliśmy się z tym pytaniem do Boga Wszechmocnego, On zaś, w swej nieskończonej wiedzy, udzielił odpowiedzi. – Wąż wypełził

na światło, oczy mu błyszczały. – W tej komnacie znajduje się tuzin ludzi, którzy mogliby poprowadzić wojsko przeciwko poganom, ale wyniesienie jednego nad innych wzbudza zazdrość – mówił biskup. – Gdyby pan Uhtred cieszył się pełnym zdrowiem, sprawa byłaby prosta!

Ty kłamliwy suczy synu – pomyślałem.

– Modlimy się o wyzdrowienie pana Uhtreda, ale zanim ten szczęsny dzień nadejdzie, potrzebujemy człowieka sprawdzonego, nieustraszonego i bogobojnego.

Eardwulf. Wszystkie oczy zwróciły się na niego i wyczułem wśród ealdormanów narastający sprzeciw. Eardwulf nie był jednym z nich. Ten uzurpator zawdzięczał dowództwo nad strażą przyboczną Aethelreda swojej siostrze Eadith, która dzieliła z Aethelredem łóżce. Spodziewałem się zobaczyć ją na obradach witanu, może udającą opiekunkę Aethelreda, ale miała dość zdrowego rozsądku albo ktoś jej doradził, by trzymała się w cieniu.

Wówczas biskup wyjawiał swoją niespodziankę – wąż rozwarł paszczę, odsłaniając długie, zakrzywione kły.

– Pan Aethelred życzy sobie, by jego droga córka poślubiła Eardwulfa.

Ludzie krzyknęli, zaczęli szeptać, potem znowu zapadła cisza. Widziałem, jak zebrani marszczą czoła, bardziej z zaskoczenia niż dezaprobaty. Żeniąc się z Aelfwynn, Eardwulf wchodził do rodziny Aethelreda. Może nie był szlachetnie urodzony, lecz nikt nie mógł zaprzeczyć królewskiemu pochodzeniu jego żony. Aelfwynn była wnuczką króla Alfreda, siostrzenicą króla Edwarda. Rozłożone uda siostry Eardwulfa pozwoliły mu stanąć na czele straży przybocznej Aethelreda, teraz jednak Aelfwynn miała rozłożyć nogi i wznieść go jeszcze wyżej. Chytre – pomyślałem. W wielkiej komnacie dało się słyszeć ciche utyskiwania, ale wtedy nastąpiła kolejna niespodzianka. Głos zabrał sam Aethelred.

– Życzę sobie – zaczął i z trudem zaczerpnął tchu. Miał tak słaby głos, że ludzie uciszali się nawzajem, by go usłyszeć. – Życzę sobie, aby moja córka Aelfwynn poślubiła pana Eardwulfa – wypowiedział wreszcie zniekształcone słowa.

Pana? – zdziwiłem się. Pana Eardwulfa? Zdumiony patrzyłem na Aethelreda, który najwyraźniej się uśmiechał. Potem spojrzałem na Aethelhelma. Co Wessex zyskiwał na tym małżeństwie? Może chodziło po prostu o to, by żaden z ealdormanów z Mercji nie poślubił Aelfwynn, tym samym dziedzicząc władzę Aethelreda, dzięki czemu tron pozostawał wolny dla Edwarda, ale co mogło powstrzymać Eardwulfa przed sięgnięciem po tenże tron? Mimo to Aethelhelm uśmiechnął się, pokiwał głową z aprobatą, potem przeszedł przez salę i uściskał Eardwulfa. Komunikat był jasny. Król Wessexu Edward pragnął, by jego siostrzenica poślubiła Eardwulfa. Ale dlaczego?

Obok nas przemknął ojciec Penda, zmierzając do drzwi. Gdy na mnie spojrzał, Osferth zeszytniał, spodziewając się kolejnego wybuchu młodego kapłana, ale Penda poszedł dalej.

- Idź za nim – poleciłem synowi.
- Ojczy?
- Poszedł się wysikać. Wysikaj się obok niego. Idź!
- Nie chce mi się...
- Idź i sikaj!

Uhtred wyszedł, a ja patrzyłem, jak Aethelhelm wprowadza Eardwulfa na podwyższenie. Młodszy mężczyzna był przystojny, emanował siłą i pewnością siebie. Klęknął przed Aethelredem, który wyciągnął rękę. Eardwulf ucałował jego dłoń, Aethelred powiedział coś, ale zbyt cicho, by dało się usłyszeć. Biskup Wulfheard nachylił się, by posłuchać, po czym wyprostował się i oznajmił zgromadzonym:

– Nasz drogi pan Aethelred życzy sobie, aby jego córka wyszła za mąż w Dniu Świętego Etelwolda.

Kapłani zaczęli tupać, pozostali poszli w ich ślady.

– Kiedy jest Dzień Świętego Etelwolda? – spytałem Osfertha.

– Jest dwóch Etelwoldów – odparł pedantycznie. – Powinieneś o tym wiedzieć, panie, ponieważ obaj pochodzą z okolic Bebbanburga.

– Kiedy? – warknąłem.

– Najbliższe święto wypada za trzy dni, ale dzień biskupa Etelwolda był w zeszłym miesiącu.

Trzy dni? Zbyt wcześnie, by Aethelflaed zdążyła się wmieszać. Jej córka Aelfwynn zostanie wydana za nieprzyjaciela, nim matka się dowie. Ów nieprzyjaciel nadal klęczał przed Aethelredem, a witan wiwatował na jego cześć. Jeszcze przed chwilą gardzili Eardwulfem z powodu jego niskiego urodzenia, ale doskonale widzieli, skąd wieje wiatr, a dął mocno z południa, z Wessexu. Eardwulf przynajmniej pochodził z Mercji, więc krajowi zostanie oszczędzona hańba zwracania się do Sasa z zachodu z prośbą, by objął władzę.

Mój syn wrócił do kościoła, klęknął i zaczął mi szeptać na ucho.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego Aethelhelm zaaprobował małżeństwo i dlaczego zaproszono mnie na witan.

Powinienem był to wiedzieć albo się tego domyślić. To posiedzenie witanu dotyczyło nie tylko przyszłości Mercji, ale także przyszłości królów.

Powiedziałem Uhtredowi, co musi zrobić, potem wstałem. Zrobiłem to powoli, z wysiłkiem, pozwalając, by cierpienie odmalowało się na mojej twarzy.

– Panowie! – zawołałem, czując przeszywający ból. – Moi panowie!

Wszyscy odwrócili się w moją stronę. Zgromadzeni wiedzieli, co się wydarzy. Aethelhelm i biskup obawiali się tego, próbowali więc uciszyć

mnie pochlebstwami. Teraz pojęli, że pochlebstwo na nic się nie zdało, bo zamierzałem protestować. Zamierzałem zwrócić uwagę, że Aethelflaed ma prawo wypowiedzieć się w sprawie losu własnej córki. Zamierzałem rzucić wyzwanie Aethelredowi i Aethelhelmowi, którzy czekali na to wyzwanie w milczeniu. Aethelred i Aethelhelm nie odrywali ode mnie wzroku. Biskup rozdziawił usta.

Ulżyło im, kiedy nic nie powiedziałem.

Jak długi runąłem na podłogę.

Wybuchnął rwetes. Drżałem i jęczałem. Ludzie przypadli do mnie, Finan wołał, żeby zrobili mi miejsce. Wzywał mojego syna, ale Uhtred oddalił się, zgodnie z moim poleceniem. Ojciec Penda przecisnął się przez tłum, a gdy ujrzał, że leżę bez sił, głośno oznajmił, że spotkała mnie sprawiedliwa kara boża. Nawet biskup Wulfheard zmarszczył czoło na te słowa.

– Ucisz się, człowieku!

– Poganin został powalony – stwierdził ojciec Penda, zbyt mocno starając się zarobić na swoje złoto.

– Panie? Panie! – Finan rozcierał moją prawą dłoń.

– Miecz – wyszeptałem, potem powtórzyłem głośniejszym głosem: – Miecz!

– Nie w kościele – odezwał się jakiś dureń.

– Żadnych mieczy w kościele – powiedział surowo Eardwulf.

Finan przy pomocy czterech ludzi wyniósł mnie z kościoła i złożył na trawie. Siąpił lekki deszcz. Sihtric przyniósł mi Oddech Węża i zamknąłem dłoń na rękojeści.

– Pogaństwo! – wysyczał ojciec Penda.

– Czy on przeżyje? – spytał biskup, pochylając się nade mną.

– Nie zostało mu wiele – odparł Finan.

– Zanieście go pod dach – polecił biskup.

– Do domu – wymamrotałem. – Zabierz mnie do domu, Finanie!

– Wezmę cię do domu, panie – obiecał Finan.

Przybył Aethelhelm, roztrącając ludzi, jak byk roztrąca owce.

– Panie Uhtredzie! – wykrzyknął, klękając przy mnie. – Co się stało?

Osfertth się przeżegnał.

– On cię nie słyszy, panie.

– Słyszę – zaprotestowałem. – Zabierzcie mnie do domu.

– Do domu? – W głosie Aethelhelma dało się słyszeć niepokój.

– Do domu na wzgórzach – wyjaśniłem. – Chcę umrzeć na wzgórzach.

– Niedaleko stąd jest klasztor. Tam się tobą zajmą, panie Uhtredzie – powiedział Aethelhelm, trzymając mnie za prawą dłoń, zaciśniętą mocno na Oddechu Węża.

– Wzgórza – powtórzyłem słabym głosem. – Zabierzcie mnie na wzgórze.

– To jakieś pogańskie brednie – rzucił pogardliwie ojciec Penda.

– Jeśli pan Uhtred chce się udać na wzgórze, musi tam pójść! – powiedział z mocą Aethelhelm.

Ludzie zerkali na mnie, mrużąc między sobą. Moja śmierć zabierała najsilniejszego poplecznika Aethel flaed i niewątpliwie zastanawiali się, co się stanie z ziemią jej i moją, gdy Eardwulf zostanie panem Mercji. Deszcz się wzmógł, jęczałem, i nie było to tylko przedstawienie.

– Przeziębisz się, eminencjo – zwrócił się do biskupa ojciec Penda.

– Wciąż mamy sporo do omówienia – powiedział Wulfheard, prostując się. – Przekaż nam nowiny – zwrócił się do Finana.

– To wola Boża – twierdził z uporem ojciec Penda, po czym się oddalił.

– Owszem! – przyznał ciężko Wulfheard. – Niech to będzie nauka dla

wszystkich pogan. – Przeżegnał się i ruszył za Pendą do kościoła.

– Powiadomisz nas, co się wydarzyło? – spytał Aethelhelm Finana.

– Naturalnie, panie. Proszę się za niego modlić.

– Z całych sił.

Upewniłem się, że wszyscy członkowie witanu schronili się przed deszczem, po czym spojrzałem na Finana.

– Uhtred sprowadza wóz – rzekłem. – Zapakujcie mnie na niego.

Wszyscy ruszamy na wschód. Sihtricu?

– Panie?

– Odszukaj naszych. Sprawdź w tawernach. Niech będą gotowi do drogi.

Ruszaj!

– Panie? – Finan zdziwił się moim nagłym przypływem energii.

– Umieram – wyjaśniłem i mrugnąłem do niego.

– Naprawdę?

– Mam nadzieję, że nie, ale tak powiedz ludziom.

Trochę to trwało, lecz w końcu syn sprowadził wóz zaprzęgnięty do dwóch koni i ułożyli mnie na wilgotnym sianie. Do Gleawecestre przybyłem z większością swoich ludzi, którzy teraz jechali na przedzie, z tyłu i po bokach wozu. Ludzie na ulicy zdejmowali nakrycia głowy. Wieści o mojej rychłej śmierci rozeszły się po mieście, mieszkańcy wylegali ze sklepów i z domów, by patrzeć na mój przejazd. Kapłani żegnali wóz znakiem krzyża.

Obawiałem się, że jest już za późno. Mój syn, sikając obok Pendy pod kościelnym murem, usłyszał prawdziwe nowiny. Aethelhelm posłał ludzi do Cirrenceastre.

Powinienem był się domyślić.

Na witan zaproszono mnie nie dlatego, że Aethelred i Aethelhelm chcieli przekonać Mercję, że ktoś zabrał głos w imieniu Aethelflaed, ale po to, by

wyciągnąć mnie z Cirrenceastre, czy raczej po to, by wyciągnąć z miasta moją straż przyboczną. W Cirrenceastre był bowiem ktoś, na kim bardzo zależało Aethelhelmowi.

Chciał dostać Aethelstana.

Z tego, co pamiętałem, Aethelstan miał zaledwie dziesięć lat. Jego matka, ładna dziewczyna z Kentu, zmarła, wydając go na świat. Żył natomiast jego ojciec, Edward, syn króla Alfreda, obecny król Wessexu. Edward poślubił córkę Aethelhelma i spłodził drugiego syna, przez co Aethelstan stał się niewygodny. Czy był najstarszym synem? Czy też, jak utrzymywał Aethelhelm, bękartem? Jeśli bękartem, to nie miał żadnych praw, jednak utrzymywały się uporczywe pogłoski, że Edward poślubił był ową dziewczynę z Kentu. Wiedziałem, że pogłoski są prawdziwe, ponieważ ślubu udzielił ojciec Kutbert. Mieszkańcy Wessexu udawali, że wierzą, iż Aethelstan jest bękartem, ale Aethelhelm obawiał się krążących pogłosek. Bał się, że Aethelstan może stać się rywalem jego wnuka w walce o tron Wessexu, i teraz najwyraźniej postanowił coś z tym począć. Według Pendency wysłał co najmniej dwudziestu ludzi do Cirrenceastre, gdzie Aethelstan mieszkał w domu Aethelflaed, ale z uwagi na moją nieobecność chłopca strzegło najwyżej sześciu ludzi ze straży przybocznej. Czy Aethelhelm odważyłby się go zabić? Wątpiłem w to, ale bezsprzecznie ośmieliłby się go porwać i ukryć gdzieś daleko, by nie zagrażał ambicjom ealdormana. Jeśli Penda miał rację, ludzie wysłani w celu pojmania Aethelstana mieli nad nami dzień przewagi. Aethelstan wyraźnie obawiał się, że jadę do Cirrenceastre albo do Faganfordy, co oznaczało, że jego ludzie nadal mogli tam stacjonować. Dlatego mamrotałem brednie o umieraniu na wzgórzach. Kiedy będę umierał, chcę wyzionąć ducha w ciepłym łóżu jakiejś dziewczynie, nie na smaganym deszczem wzgórzu w Mercji.

Nie śmiałem się spieszyć. Ludzie obserwowali mnie z murów

Gleawecestre, jechałem więc z mozołem, jak gdyby moi ludzie nie mieli ochoty ciągnąć wozu z umierającym. Musieliśmy udawać aż do bukowego lasu na stromym zboczu wzgórz, gdzie przez całe lato owce skubały wyschniętą trawę. Dopiero tam, bezpiecznie osłonięty drzewami przed wzrokiem ciekawskich, zszedłem z wozu i dosiadłem konia. Wóz zostawiłem Godricowi Grindansonowi, synowi mojego giermka, i wraz z pozostałymi pogalopowałem przed siebie.

– Osfercie! – zawołałem.

– Panie?

– Nie zatrzymuj się w Cirrenceastre – poleciłem. – Weź dwóch ludzi i pojedź sprawdzić, czy ojciec Kutbert jest bezpieczny. Wyciągnij ślepego drania z wyra i sprowadź oboje do Cirrenceastre.

– Oboje? Z wyra? – Czasami Osferth miał ciężki pomyślunek.

– A gdzie indziej miałbyś ich znaleźć? – spytałem, na co Finan się roześmiał.

Ojciec Kutbert był moim kapłanem. Nie chciałem żadnego, ale przysłał mi go król Edward i polubiłem tego człowieka... Oślepił go Kanut. Stale zapewniano mnie, że jest dobrym kapłanem, czyli dobrze wykonuje swoją pracę.

– Jaka to praca? – zapytałem raz Osfertha.

W odpowiedzi usłyszałem, że Kutbert odwiedza chorych, zmagia modlitwy, wygłasza kazania, ale ilekroć przyjeżdżałem do jego niewielkiego domku przy kościele w Faganfordzie, musiałem czekać, zanim kapłan się ubierze. W końcu Kutbert wychodził uśmiechnięty, rozczochrany i zarumieniony, a w ślad za nim wyłaniała się Mehrasa, śniada niewolnica, którą poślubił. Mehrasa była piękna.

Kutbertowi groziło niebezpieczeństwo. Nie miałem pewności, czy Aethelhelm wiedział, iż to właśnie ojciec Kutbert udzielił ślubu Edwardowi

i jego miłości z Kentu. Gdyby wiedział, Kutberta należałoby uciszyć, choć możliwe, że Edward nigdy nie wyjawiał tożsamości kapłana. Edward lubił swego syna, lubił też Kutberta, ale jak silna była ta sympatia? Edward nie był słabym królem, ale leniwym. Chętnie zostawiał sprawy królestwa Aethelhelmowi i pracowitym kapłanom, którzy, trzeba przyznać, władali Wessexem zdecydowanie i sprawiedliwie. Dzięki temu Edward mógł się oddawać polowaniom i kobietom.

Podczas gdy król polował na jelenie, dziki i kobiety, Aethelhelm rozszerzał władzę. Dobrze ją wykorzystywał. W Wessexie panowała praworządność, grody sukcesywnie odnawiano, pospolite ruszenie, czyli fyrd, miało dobre uzbrojenie, Duńczycy w końcu pojęli, że napadanie na Wessex nieuchronnie prowadzi do klęski, w dodatku sam Aethelhelm był przyzwoitym człowiekiem. Tyle tylko, że dostrzegł szansę zostania dziadkiem króla, w dodatku króla potężnego. Zamierzał kierować wnukiem tak, jak kierował Edwardem. Nie wątpił przy tym, że Aethelhelmowi przyświeca ten sam cel, do którego dążył Alfred. Zjednoczyć Sasów i scalić cztery królestwa w jedno. To było piękne marzenie, ale Aethelhelm chciał dopilnować, by spełnił je jego ród.

Postanowiłem go powstrzymać.

Jeśli tylko zdołam.

Zamierzałem go powstrzymać, wiedziałem bowiem, że prawowitym następcą jest Aethelstan. To on był aethelingiem, pierworodnym synem królewskim, a poza tym miłowałem tego chłopca. Aethelhelm nie cofnąłby się przed niczym, aby go zniszczyć, ja zaś uczyniłbym wszystko, żeby go chronić.

Nie mieliśmy przed sobą długiej drogi. Już ze szczytów ujrzeliśmy dymy palenisk Cirrenceastre. Galopowaliśmy zdrowo, bolały mnie żebra. Po obu stronach rzymskiej drogi rozciągały się włości Aethelflaed, dobra ziemia.

Na pastwiskach pasły się już pierwsze jagnięta, strzeżone przez ludzi i psy. Całe to bogactwo Aethelflaed dostała od ojca, ale jej brat mógł je odebrać. Nieoczekiwana obecność Aethelhelma w Gleawecestre sugerowała, że Edward skłaniał się ku Aethelredowi, czy też że Aethelhelm podejmował decyzje w kwestii przyszłości Mercji.

– Co on zrobi z chłopcem? – zapytał Finan, najwyraźniej rozmyślając o tym samym co ja. – Poderżnie mu gardło?

– Nie. Wie, że Edward lubi bliźnięta. – Aethelstan miał siostrę bliźniaczkę Eadgyth.

– Umieści Aethelstana w klasztorze – zasugerował mój syn. – Małą Eadgyth odda siostrom zakonnym.

– Bardzo możliwe.

– Gdzieś daleko, gdzie jakiś drański opat tłucze cię co dwa dni.

– Spróbują wyświęcić go na kapłana – podsunął Finan.

– Albo będą mieli nadzieję, że zachoruje i umrze. – Skrzywiłem się, bo mój koń potknął się na kamieniach. Drogi schodziły na psy. Wszystko schodziło na psy.

– Nie powinienes jeździć konno – upomniał mnie syn.

– Boli mnie cały czas – odparłem. – Gdybym się poddał, nie ruszyłbym palcem.

Mimo to podróż sprawiała mi potężny ból, a dojeżdżając do zachodniej bramy Cirrenceastre niemal płakałem. Starłem się ukrywać cierpienie. Niekiedy zastanawiałem się, czy zmarli widzą żywych. Czy siedzą w wielkiej komnacie w Walhalli i obserwują tych, których zostawili? Wyobrażałem sobie, że Kanut siedzi tam i myśli, że wkrótce do niego dołączę i razem wzniesiemy rogi z piwem. W Walhalli nie ma bólu, smutku, łez, złamanych przysięg. Widziałem, jak Kanut uśmiecha się do mnie – nie dlatego że cieszy go mój ból, ale dlatego że lubiliśmy się za życia. „Chodź do mnie – mówił. –

Chodź do mnie i żyj!” Pokusa była silna.

– Ojczy? – spytał zaniepokojony syn.

Zamrugalem, cienie mącące mi wzrok pierzchły, zobaczyłem, że dotarliśmy do bramy, a jeden ze strażników przyglądał mi się, marszcząc czoło.

– Panie? – odezwał się.

– Mówiłeś coś?

– W domu mojej pani są ludzie króla – powiedział.

– Ludzie króla! – wykrzyknąłem, a strażnik tylko na mnie patrzył. Odwróciłem się do Osfertha: – Jedź dalej! Znajdź Kutberta. – Droga do Faganfordy wiodła dalej przez miasto. – Ludzie króla? – zwróciłem się znów do strażnika.

– Ludzie króla Edwarda, panie.

– Nadal tam są?

– O ile mi wiadomo, tak, panie.

Spiąłem konia. Dom Aethelflaed należał niegdyś do rzymskiego dowódcy, tak przynajmniej przypuszczałem, była to bowiem okazała budowla położona w rogu starego rzymskiego fortu. Mury fortu rozebrano, pozostawiono jedynie północną część, która weszła w skład miejskich wałów, ale obrona domostwa nie przysparzała trudności. Wzniesiono je nad sporym dziedzińcem, mury zewnętrzne, z kamienia w kolorze miodu, nie miały okien. Wejście z filarami znajdowało się od południa, Aethelflaed kazała też wykuć drugą bramę w północnym murze, prowadzącą na padok przy stajni. Posłałem Sihtrica z sześcioma ludźmi, by pilnowali tego północnego wejścia, sam wziąłem trzydziestu wojów i ruszyłem na niewielki plac przed południowymi drzwiami. Na placu zebrali się gapie, ciekawi, dlaczego król Edward przysłał zbrojnych do Cirrenceastre. Kopyta naszych koni głośno stukały na ulicy, ludzie się rozstąpili, aż wyjechaliśmy na otwartą

przestrzeń i zobaczyłem dwóch włóczników przed drzwiami Aethelflaed. Jeden siedział na kamiennej urnie, w której rosła młoda grusza. Gdy podjechaliśmy, wstał i chwycił tarczę, a jego towarzysz załomotał w zamknięte drzwi końcem włóczni. Obaj mieli na sobie kolczugi i hełmy, na tarczach widniał świeżo wymalowany smok Wessexu. Zasuwka w drzwiach ustąpiła i ktoś wyjrzał na nas ze środka. Dwaj chłopcy pilnowali koni po wschodniej stronie placu, obok wysokiego drewnianego kościoła Aethelflaed.

– Policz konie – poleciłem synowi.

– Dwadzieścia trzy – odpowiedział niemal natychmiast.

Czyli przewyższaliśmy ich liczebnością.

– Nie spodziewam się walki – powiedziałem.

Wtedy w domu rozległ się krzyk.

Krzyk przebijający uszy z siłą solidnej włóczni przebijającej wierzbowe deski tarczy.

– Słodki Boże – wyszeptał Finan.

Krzyk ucichł.

* Samhain – najważniejsze celtyckie święto. Jego nazwa oznacza „koniec lata”. Zgodnie z wierzeniami celtyckimi w noc wigilii Samhain duchy osób, które zmarły w trakcie minionego roku, oraz tych, które się jeszcze nie narodziły, zstępowały na ziemię w poszukiwaniu żywych, by w nich zamieszkać. Gaszono wówczas wszelkie ogniska, kaganki i pochodnie, żeby domy wyglądały na zimne i nieprzyjazne.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drzwi domu Aethelflaed się otworzyły.

Ukazał się Brice.

Znałem go. Może nie dobrze, ale nasze drogi w nieunikniony sposób krzyżowały się w ciągu długich lat walk, które toczyliśmy, aby przepędzić Duńczyków dalej na północ. Widywałem go w obozowiskach, zamieniłem z nim nawet parę słów przed bitwą. Brice był zaprawionym w bojach weteranem, raz po raz stającym w murze tarcz, zawsze pod proporcem Aethelhelma przedstawiającym skaczącego jelenia. Sprawnie władał bronią, był silny jak tur, ale wolno myślał i właśnie dlatego nigdy nie dowodził żadną z dużych kampanii Aethelhelma. Dziś jednak wyglądało na to, że stanął na czele oddziału mającego odnaleźć Aethelstana. Zbliżał się do mnie, wojownik w pełnej wojennej chwale, ale sam często ubierałem się w ten sposób, więc nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Miał na sobie dobrą, obcisłą kolczugę, pewnie frankijską, ale rozciętą w kilku miejscach, gdzie na tle matowego metalu połyskiwały nowe ogniwa. Na nogach miał wysokie buty z ciemnej skóry, a jego pas miecza przypasanego ciasno do jasnej kolczugi zdobiły srebrne romby. Długi, ciężki miecz tkwił w czerwonej pochwie oplecionej krzyżowo srebrnymi paseczkami. Na szyi zwisał mu srebrny łańcuch. Ciemnoczerwony płaszcz spinała na szyi brosza wysadzana granatami. Brice nie nosił hełmu. Rude włosy, dłuższe niż u większości Sasów, okalały mu twarz, która oglądała wielu wrogów. Na prawym policzku wyciął sobie krzyż, potem wtarł sadzę

czy ziemię, by pozostawić ciemne znamię wojownika Chrystusa. Twardy człowiek, ale czyż mogło być inaczej? Brice walczył w murze tarcz, patrzył na atakujących Duńczyków i przeżył. Nie był już młodziekiem. Broda posiwiiała, twarz pokryły głębokie bruzdy.

– Panie Uhtredzie – powiedział bez szacunku. Powitał mnie raczej kwaśno, jakby mój przyjazd stanowił przykrą niespodziankę.

– Brice. – Siedząc w siodle, skinąłem mu głową.

– Król mnie przysłał – powiedział.

– Służysz teraz królowi Edwardowi? – zapytałem. – Co się stało? Pan Aethelhelm miał dość twojego smrodu?

Brice puścił zniewagę mimo uszu.

– Przysłał mnie po małego bękarta.

Popatrzyłem na drewnianą dzwonnice wieńczącą kościół Aethelflaed. Wiszący tam dzwon kosztował ją ciężką skrzynię srebra. Taka była dumna z tego dzwonu, odlanego przez fryzyjskich ludwisarzy i sprowadzonego z morza. Wokół jego obrzeża biegł napis: „Z łaski Bożej i błogosławieństwa Świętej Werburgi Aethelflaed kazała odlać ten dzwon”. Z łaski Bożej pękł on przy pierwszym uderzeniu. Wtedy wybuchnąłem śmiechem. Od tamtej pory dzwon nie przyzywał dźwięcznie wiernych do kościoła, ale kaleczył niebo chropawym hałasem.

– Słyszałeś? – powiedział Brice.

Niespiesznie oderwałem wzrok od pękniętego dzwonu i zmierzyłem Brice’a wzrokiem od stóp do głów.

– Jakiego małego bękarta? – spytałem w końcu.

– Wiesz, o kogo chodzi – odparł.

– Powinienem kupić pani Aethelflaed nowy dzwon – zwróciłem się do Finana.

- To by się jej spodobało – stwierdził.
- Może każe na nim napisać „dar od Thora”.
- To wcale by się jej nie spodobało.
- Panie Uhtredzie? – Brice przerwał nasze bzdury.
- A ty ciągle tutaj? – udałem zaskoczenie.
- Gdzie on jest?
- Kto taki?
- Bękart Aethelstan – powiedział.
- Nie znam żadnego bękartu Aethelstana. – Pokręciłem głową i spytałem

Finana: – A ty?

- W życiu o nim nie słyszałem, panie.
- Mówię o małym Aethelstanie. – Brice z trudem zachowywał cierpliwość. – Synu króla Edwarda.
- A nie ma go w domu? – Znowu udałem zdziwienie. – Powinien być w domu albo w szkole.
- Tutaj go nie ma – uciał Brice. – Szukaliśmy w szkole. Znajdź go.

Wzięłem głęboki wdech i zsiadłem z konia. Z trudem skrywałem ból, na chwilę musiałem przytrzymać się konia, czekając, aż kłucie w boku ustąpi. Zastanawiałem się, czy dam radę iść o własnych siłach, ale udało mi się puścić siodło.

- To zabrzmiało jak rozkaz – powiedziałem do Brice’a, idąc w jego stronę.
- Królewski – wyjaśnił.
- Rozkaz króla Wessexu? – spytałem. – Jesteśmy w Mercji.
- Król chce, by jego syn wrócił do Wessexu – oświadczył beznamiętnie Brice.
- Dobry z ciebie wojownik – powiedziałem. – Chętnie zaprosiłbym cię

do każdego muru tarcz, ale nie powierzyłbym ci swojego nocnika do wylania. Nie masz dość oleju w głowie. To dlatego nie dowodzisz strażą przyboczną Aethelhelma. Nie, nie służysz królowi, ponieważ on by sobie tego nie życzył. Kto zatem cię przysłał? Pan Aethelhelm?

Udało mi się rozdrażnić Brice'a, ale panował nad gniewem.

– Król życzy sobie powrotu syna – powiedział powoli. – Ty, panie Uhtredzie, znajdziesz chłopca i go tu sprowadzisz.

– Może wyda ci się to dziwne, ale nie słucham twoich rozkazów – rzekłem.

– O, będziesz ich słuchał, zapewniam cię. – Brice'owi wydawało się, że wojowniczą postawą ukryje zdenerwowanie, ale widziałem, że jest zdezorientowany. Kazano mu sprowadzić Aethelstana, chłopiec zniknął, moi ludzie przewyższali ludzi Brice'a liczebnością, ale nie miał dość rozsądku, by poniechać misji. Podejdzie do niej tak samo jak do każdego problemu: z brutalną bezpośredniością. Odwrócił głowę w stronę domu i zawołał: – Przyprowadzić ją!

Drzwi się otworzyły i człowiek Brice'a wyprowadził na słońce Stiorrę. Ludzie zamruczeli, ponieważ moja córka miała zakrwawioną twarz i przyciskała do piersi rozdarte ubranie. Finan pochylił się w siodle i powstrzymał mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu, ale ten gest był zbędny. Owszem, ogarnął mnie gniew, ale nie byłem głupcem. Brakowało mi sił, by zaatakować Brice'a, poza tym mój gniew był lodowaty. Wygram to starcie, ale nie za pomocą brutalnej siły. Jeszcze nie teraz. Brice był przekonany, że nie miałem innego wyjścia, jak okazać mu posłuszeństwo.

– Przyprowadź mi chłopca, to uwolnię twoją córkę – oświadczył z szyderyczym uśmiechem.

– A jeśli tego nie zrobię?

Brice wzruszył ramionami i powiedział:

– Dowiesz się, prawda?

Odwróciłem się i skinąłem głową na syna.

– Chodź tu. – Oczekałem, aż Uhtred zsiądzie z konia i podejdzie. – Gdzie on jest? – spytałem cicho. Jeśli ktokolwiek wiedział, gdzie znajduje się Aethelstan, to był nim mój syn.

Uhtred zerknął na Brice'a, potem stanął do niego bokiem.

– Spędza czas w kuźni – powiedział.

– W kuźni?

– Kuźni Godwulfa. Ma tam przyjaciół. – Mój syn mówił zbyt cicho, by Brice mógł usłyszeć. – Syna i córkę Godwulfa. Tak naprawdę to chodzi do niej.

– Ma dopiero dziesięć lat!

– Chyba dziewięć. A ona dwanaście.

– Czyli podobają mu się starsze kobiety? – spytałem. – Pójdź tam, odzyskaj małego drania i sprowadź go tu, ale się nie spiesz.

Uhtred przytaknął i zaczął się przeciskać przez posępny tłum.

– Dokąd on się wybiera? – zapytał Brice.

– Oczywiście po chłopca – wyjaśniłem.

Brice łypał podejrzliwie, ale był wystarczająco bystry, by wybiegać myślami dalej niż kolejny krok, choć z pewnością uważał, że ten krok to dobry pomysł.

– Każ swoim ludziom odjechać – rozkazał.

– Odjechać? – Udawałem, że jestem równie głupi jak Brice.

– Niech odjadą! – warknął. – Mają stąd zniknąć!

Brice sądził, że uwalnia się od niebezpieczeństwa, ale w istocie wydał dokładnie taki rozkaz, na jakim mi zależało.

– Zabierz ludzi na mury – powiedziałem do Finana. – Na mój znak

wkroczycie przez dach stodoły.

– Co mu tam gadasz? – zainteresował się Brice.

– Mówię, żeby poczekali w gospodzie Pod Jęczmieniem – wyjaśniłem. – Mają tam zacne ale, znacznie lepsze niż szczynty, które podają Pod Zabłoconą Gęsią. – Skinąłem głową do Finana, który poprowadził moich ludzi jedną z wąskich uliczek odchodzących od placu przed kościołem. Odczekałem, aż tętent kopyt ucichnie, po czym powoli podszedłem do córki.

– Jak ci na imię? – spytałem człowieka, który ją trzymał.

– Hrothard – odparł.

– Zamknij się – warknął do niego Brice.

– Jeśli ją skrzywdzisz, Hrothardzie, będziesz umierał bardzo powoli – ostrzegłem.

W dwóch szybkich krokach Brice znalazł się przede mną.

– Hrothard robi to, co mu każę – powiedział, zionąc na mnie cuchnącym oddechem, chociaż pewnie sam czuł smród ropy sączącej się z mojej rany.

– A ty każesz mu ją puścić, kiedy przyprowadzę Aethelstana – zauważyłem. – Chyba tego właśnie chcesz?

Brice przytaknął. Podejrzliwość go nie opuszczała, ale głupota nie pozwalała mu zwęszyć zasadzki. Oby bogowie zawsze zsyłali mi durnych wrogów.

– Wiesz, gdzie jest chłopiec? – zapytał.

– Tak nam się wydaje – odparłem. – Jeśli król życzy sobie swego syna, kim jestem, by stawać na przeszkodzie?

Brice rozważył moje słowa, w końcu uznał, że całkowicie uległem.

– Król poprosił pana Aethelhelma, żeby sprowadził chłopca – powiedział Brice, usiłując nadać kłamstwu pozory prawdy.

– Od razu trzeba było tak mówić, bo zawsze lubiłem pana Aethelhelma –

stwierdziłem. Brice uśmiechnął się, uspokojony moimi słowami. – Nie lubię jednak ludzi, którzy biją moją córkę – dodałem.

– To był wypadek, panie – zapewnił pospiesznie. – Ten człowiek zostanie ukarany.

– Dobrze – powiedziałem. – A teraz czekamy.

Czekaliśmy, aż ludzie Finana zsiadli z koni i wdrapali się na mury schodami za kościołem, ukrytymi przed wzrokiem Brice'a. Stary fort, w znacznie mierze rozebrany, stał we fłance miejskich murów, tak więc wały tworzyły północną i zachodnią ścianę domu Aethelflaed. Pomieszczenia dla służby i stajnie znajdowały się od północy, a przez lata dachy przegniły i zostały zastąpione strzechą, położoną na belkach stropowych i plecionce z gałązek. Wystarczyło zerwać strzechę, przebić plecionkę i można było wskoczyć do stajni. Na murze widziałem ludzi Finana, których Brice również by zobaczył, gdyby się odwrócił, ale zagadywałem go rozmową o Teotanheale, słuchałem, jak opowiada o swoim udziale w bitwie. Udawałem, że jestem pod wrażeniem, zachęcałem, by mówił dalej, a tymczasem ludzie Finana dawali nura. Tylko jeden został na górze, leniwie oparty o wały.

– A co z siostrą bliźniaczką chłopca? – spytałem Brice'a.

– Król chce, żeby i ona przyjechała.

– Gdzie jest teraz?

– W domu. Ze służkami kuchennymi.

– Lepiej żeby była cała i zdrowa – zauważyłem.

– Jest – zapewnił Brice.

– Wybacz – powiedziałem, odwracając się. – Moja rana wciąż sprawia mi ból. Muszę usiąść.

– Modłę się o twój powrót do zdrowia – zapewnił, choć sporo go to kosztowało.

– Wola boska – stwierdziłem.

Podszedłem do konia, którego trzymał Edric, chłopak w wieku ośmiu–dziewięciu lat, mój nowy służący. Zebrałem się w sobie i wdrapałem się na siodło. Brice również się odwrócił, podszedł do drzwi i stanął obok Stiorry.

Moja córka patrzyła na mnie. Zły był ze mnie ojciec, chociaż zawsze kochałem swoje potomstwo. Małe dzieci mnie nudziły, a gdy dorastały, stale gdzieś walczyłem. Syna wyszkoliłem na wojownika i byłem z niego dumny, ale Stiorra, moja najmłodsza latorośl, stanowiła zagadkę. Jej widok sprawiał mi ból, tak bardzo przypominała zmarłą matkę – wysoka, gibka, miała pociągłą twarz Giseli, takie same czarne włosy, ciemne oczy, taką samą poważną minę, którą nagle mógł pięknie rozświecić uśmiech. Nie znałem jej dobrze, bo kiedy dorastała, walczyłem daleko, wychowała ją Aethelflaed. W dzieciństwie Stiorrę wysłano do zakonnicy w Cracgelad, gdzie uczono ją religii i umiejętności kobiecych. Stiorra miała słodki charakter, lecz pod tym miodem kryła się stal. Była bardzo uczuciowa, ale nigdy nie wiedziałem, co myśli. Wiedziałem, że czas wydać ją za mąż, nie znalazłem jednak mężczyzny, któremu chciałbym oddać córkę, ona zaś nigdy nie wspominała o zamążpójściu. Właściwie prawie wcale się nie odzywała, skrywając swoją prawdę pod powłoką milczenia i spokoju.

Pęknięta dolna warga Stiorry opuchła i nabiegła krwią. Ktoś mocno ją uderzył. Znajdę tego człowieka i go zabiję. Stiorra była moją córką i nikt nie miał prawa jej bić bez mojej zgody, a teraz i tak była już za duża, żeby to jej robić. Dzieci należy chłostać, aby były posłuszne, ale gdy dorastają, bicie się kończy. Mężowie oczywiście biją żony, ale ja nigdy nie uderzyłem Giseli ani swoich kochanek. Nie byłem w tym odosobniony. Moi ludzie nie biją swoich żon, chociaż prawo na to zezwala, a Kościół do tego zachęca. Mężczyzna nie zyskuje reputacji, bijąc słabszych. Aethelred bił Aethelflaed, ale był mięczakiem. Tylko człowiek słaby udowadnia swoją siłę, podnosząc rękę na

kobietę.

Oddając się tym myślom, patrzyłem na córkę, stojącą prosto i nieruchomo. Podmuch wiatru przyniósł deszcz. Zdziwiony podniosłem wzrok, ponieważ dzień był dotąd głównie słoneczny. Mżawka szybko jednak ustała.

– Panie! – zawołał ostro Brice. Znowu ogarnęła go podejrzliwość, ale nim zdążył wyrazić obawy, pojawił się mój syn z Aethelstanem. – Przyrowadź tu chłopca! – krzyknął do mojego syna.

– Przyrowadź go do mnie – rozkazałem.

Uhtred posłusznie doprowadził Aethelstana do mojego strzemięcia. Uśmiechnąłem się do chłopca, jakby był moim drugim synem. Psotny jak na chłopca przystało, ale bystry i twardy. Już zaczął się uczyć władania bronią, posługiwania się mieczem i tarczą, zmęźniał. Podejrzewałem, że w swoim czasie wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Aethelstan miał ciemne włosy, wąską twarz i zielone oczy, pewnie po matce.

– Dostaniesz chłopca, kiedy dostanę córkę! – zawołałem do Brice’a.

To mu dało do myślenia. Ależ był durny. Zamiast mózgu miał chyba kleik jęczmienny. Owszem, dzielnie walczył, ale ludzi takich jak Brice należało trzymać krótko, jak psy. Podejrzewałem, że Aethelhelm przysłał go do Cirrenceastre, ponieważ Brice wypełniał rozkazy bez względu na wszystko, był niepowstrzymany jak pies myśliwski, ale kiedy dzik zatapia kły w psim brzuchu i rozrywa wnętrzności, pies powinien wiedzieć, że jest po nim. Brice myślał, co sprawiało mu duży wysiłek, w końcu jednak dostrzegł podstęp.

– Wymienimy się za miastem – zaproponował.

– Za miastem? – Udałem, że nie rozumiem.

– Myślisz, że jestem głupi, panie? – spytał.

– Nic podobnego – odparłem łagodnie.

– Twoi ludzie pozostaną w obrębie murów, a ty wywieziesz chłopca z miasta – zarządził.

Zmarszczyłem czoło, jak gdybym rozważał propozycję, która dla Brice’a oczywiście miała sens. Domyślił się, że moi ludzie mogą zwabić go w zasadzkę w wąskich uliczkach Cirrenceastre, ale na polach za miastem nic mu nie groziło.

– No więc? – ponaglił.

Popatrzyłem na człowieka na murze, bardzo wolno uniosłem głowę, znieruchomiałem i szybko kiwnąłem. Człowiek na murze zniknął, ale Brice oczywiście sądził, że to jemu przytaknąłem.

– Zrobimy, jak proponujesz, ale chcę, żebyś dał mi słowo honoru – powiedziałem do Brice’a.

– Moje słowo, panie?

– Że człowiek, który uderzył moją córkę, zostanie ukarany.

– Przecież to powiedziałem, prawda?

Spiąłem konia i podjechałem bliżej. Kopyta zastukały głośno na rzymskim bruku.

– Chcę, żebyś mi go wydał – oświadczyłem.

– Zostanie ukarany – powiedział z uporem Brice.

Wtedy rozległy się krzyki, zabrzęczały miecze i zrozumiałem, że Finan z ludźmi dostali się do domu. Nie zawracali sobie głowy odgarnianiem strzechy i przebijaniem plecionki, ale po prostu skoczyli na dach, który natychmiast ustąpił. Gerbruht, Fryz, który chyba nigdy nie przestawał jeść i ważył tyle co koń, skoczył pierwszy, a reszta podążyła przez wybity przez niego otwór. Nie zareagowałem na tumult, lecz nadal wpatrywałem się w Brice’a.

– Wydasz mi tego człowieka – powiedziałem, ale mogłem to sobie darować, ponieważ Brice usłyszał zgiełk i pojął, że wystrychnięto go na

dudka.

Już zamierzałem natrzeć na niego koniem, lecz Brice dobył miecza i ruszył na mnie.

– Ty draniu! – wrzasnął.

Był szybki. Żaden wolny wojownik nie ma szans na przeżycie, ale on, jak na tak rosłego mężczyznę, okazał się zaskakująco szybki. Przemierzył dzielącą nas odległość kilku kroków, zamierzył się mieczem na łeb mojego konia, ściągnąłem cugle i niemal straciłem przytomność, gdy ból przeszył mi dolne żebra. Wtedy pojąłem, że przegrałem, że Brice jest zbyt szybki – za chwilę zwlecze mnie z siodła i albo mnie zabije, albo, jeśli miał choć krztynę rozumu, również weźmie mnie jako zakładnika.

Jeżeli jednak Brice był szybki, to mój syn poruszał się niczym błyskawica.

Miecz Brice’a nie doszedł ani do mnie, ani do mego konia. Ledwie pojmowałem, co się działo, ale dotarło do mnie, że Uhtred wyciągnął saks, Attora, i go rzucił. Krótkie ostrze trafiło Brice’a w nogi i ten z łoskotem runął na ziemię. Nadal starałem się uspokoić oddech, Brice wstał momentalnie, ale Uhtred dobył długi miecz, cenny Kruczy Dziób. Aethelstana odepchnął do tyłu, z dala od walki.

– Dalej, pierdoło – sztych z Brice’a.

Gapie, dotychczas tak milczący, zaczęli wiwatować.

– Drań – rzucił Brice.

Kopnął Attora i ruszył na mojego syna. Pamiętajcie, że Brice znakomicie władał mieczem – przez całe życie miał do czynienia z ostrzami, a swej sprawności miecznika zawdzięczał bogactwo. Nie znał lęku, natomiast mój syn Uhtred miał szczerą, wiecznie roześmianą twarz, sprawiającą pozory niewinności. Brice sądził, że upora się z nim dwoma–trzema cięciami. Na początek machnął niczym kosą i o mały włos nie rozplątał mojemu synowi

brzucha, jak nóż przecina worek węgorzy.

Uhtred uskoczył ze śmiechem. Opuściwszy Kruczy Dziób, znowu się zaśmiał, Brice połknął przynętę i natarł ponownie, tym razem dźgając. Gdy Kruczy Dziób sparował cios, Brice okręcił miecz wokół klingi mego syna i zamierzał chlasnąć go w szyję. Ruch był szybki i zręczny, ale Uhtred się odchylił, ostrze Brice'a chybiło o grubość palca, Brice nieco stracił równowagę, a mój syn pchnął go końcem Kruczego Dzioba.

– Wolny jesteś – powiedział z naganą, gdy Sas się zatoczył.

– Drań – mruknął Brice, bo chyba nie znał innej obelgi. Zdołał odzyskać równowagę, spojrzał na mego syna, na jego wyzywający uśmiech na niewinnej twarzy i gniew wezbrał w nim z nową siłą. – Drań! – krzyknął i znów zaatakował.

Uhtred jednak bez trudu sparował cios, miecz Brice'a pędził dalej, celując w głowę mojego syna, lecz Kruczy Dziób czekał na posterunku, usłyszałem zgrzyt zwierających się ostrzy.

Klingi dźwięczą razem. Nie jak dzwony, ale brzęk mieczy rozbrzmiewa echem. Ostatnie cięcie Brice'a zakończyło się pęknięciem, jak odgłos dzwonu Aethelflaed. Klinga nie pękła, ale dźwięk zabrzmiał złowrogo, o czym Brice wiedział. Cofnął się.

Z domu nadbiegali ludzie. Ludzie Brice'a ścigani przez moich – żaden nie zareagował, gdy mój syn zaatakował po raz pierwszy. Dotychczas zadowalał się obroną i droczeniem się z Brice'em, teraz jednak zadał cios, który nie miał dojść celu, ale wymusić sparowanie. Następnie ciął w talię, Brice sparował znowu i choć cięcie nie wydawało się szczególnie szybkie ani kąśliwe, kiedy miecz Brice'a zetknął się z Kruczym Dziobem, pękł. Po prostu pękł na dwie części, Uhtred przekręcił przegub i przytknął koniec klingi do szyi Brice'a.

– Co mam z nim zrobić, ojczy?

– Rzuć to, co zostało z twojego miecza – rozkazałem Brice’owi. Kiedy ten się zawahał, wyjąłem swój saks, Żądło Osy, i podałem rękojeść Aethelstanowi, który schronił się obok mojego konia. – Jeśli nie rzuci miecza, chłopcze, przetnij mu tym kark. Najwyższy czas, żebyś nauczył się zabijać człowieka. – Aethelstan zawahał się, nie mając pewności, czy mówię poważnie. Rzuciłem mu saks. – Weź to. – Chłopiec ujął krótki miecz i spojrzał na mnie. – Jesteś królewskim synem – powiedziałem. – Pewnego dnia może sam zostaniesz królem. Życie i śmierć będą twoimi darami, więc naucz się je dawać, chłopcze.

Aethelstan podszedł do Brice’a, a ten zaczął się odwracać, ale znieruchomiał, gdy mój syn dźgnął go w szyję Kruczym Dziobem. W końcu do głowy Brice’a zaczął kapać olej i rzucił resztkę miecza.

– Daruj mu życie – zwróciłem się do Aethelstana, który chyba przyjął to z ulgą.

Z domu wybiegło szesnastu ludzi. Wyraźnie mieli dość i ludzie Finana odbierali im broń. Uwolniona Stiorra podbiegła do mnie, a ja z uśmiechem wzięłem ją za rękę.

– Kto cię uderzył? – spytałem.

– Kapłan.

– Kapłan? – zdziwiłem się i ujrzałem go pośród saskich jeńców, gniewnie zmarszczonego człowieka w czarnej sutannie, ze srebrnym krzyżem na szyi. Starszy od reszty, miał pewnie ponad czterdzieści lat, gęste siwe brwi i wąskie wargi. – To przez niego krzyczałaś?

– Usłyszałam tętent i miałam nadzieję, że to ty – odparła Stiorra. – Dlatego krzyknęłam.

– I wtedy cię uderzył?

– Uderzył mnie już wcześniej – odparła z goryczą. – I rozdarł to. – Pokazała rozdarty stanik sukni.

Finan przeszedł przez mały dziedziniec i powiedział, wyraźnie zawiedziony:

– Sukinsynom zupełnie odeszła ochota do walki.

Brice i jego niedobitki stali przy drzwiach, pilnowani przez moich mieczników.

– Zabrać ich do środka – rozkazałem i wziąłem głęboki, bolesny wdech. – Już po wszystkim! – zawołałem do gapiów. – Nie ma tu nic do oglądania! Wracajcie do pracy!

Ojciec Creoda, kapłan opiekujący się kościołem Aethelflaed i uczący w miejskiej szkółce, podbiegł do Aethelstana. Ujawszy twarz chłopca w dłonie, zamknął oczy i chyba zmawiał modlitwę dziękczynną za jego ocalenie.

– Ojczy Creodo! – zawołałem. – Czyli mały drań nie był w szkole?!

– Nie, panie.

– A powinien tam być?

– Tak, panie.

– Wobec tego zlej go – powiedziałem.

– To na nic, panie – odparł żałośnie kapłan.

Ojciec Creoda był zacnym, uczciwym człowiekiem. Do Mercji przybył z Wessexu i podobnie jak król Alfred wierzył w wykształconą wspólnotę pobożnych i pracowitych ludzi. Nie wątpiłem, że Aethelstan, chytry jak lis, już dawno uznał, że bez trudu można się przeciwstawić władzy ojca Creody.

– To prawda, bicie nic nie da, ale może poprawi ci humor – skwitowałem, potem schyliłem się, by odebrać saks Aethelstanowi. – Jeśli ty go nie stłuczysz, zrobię to sam. Zetrzyj uśmiech z tej szkaradnej gęby – zwróciłem się do chłopca.

Ale sam się uśmiechałem. Jednocześnie zastanawiałem się, jakich to

nowych wrogów właśnie zyskałem.

Dobrze wiedziałem, że wkrótce przysporzę ich sobie więcej.

Dom Aethelflaed zbudowano wokół dziedzińca. Nieco przypominał ten w Londynie, w którym mieszkałem z Giselą, był jednak większy. Na dziedzińcu znajdowała się kwadratowa sadzawka, w której żaby zostawiały grube płyty skrzeku. Często próbowałem wyobrazić sobie Rzymian w tych domach. Zostawili swoje wizerunki, namalowane na ścianach lub ułożone z kafelków na posadzce, ale malowidła wyblakły i pokryły się zaciekami, płyty popękały. Mimo to dało się zobaczyć, że Rzymianie owijali się jakby białymi prześcieradłami albo nosili spódniczki z naszytymi metalowymi płytkami i napierśniki. Często chodzili nago, zwłaszcza kobiety. W największej komnacie domu Aethelflaed na posadzce znajdował się obraz nagich kobiet biegnących wśród drzew, ściganych przez mężczyznę z kozimi rogami i owłosionymi nogami capa. Kiedy ojciec Creoda przybył do Cirrenceastre, polecił zniszczyć ten obraz, bo według niego przedstawiał pogańskiego boga, ale Aethelflaed się sprzeciwiła.

– Ojciec Creoda stale na niego patrzył – powiedziała mi rozbawiona. – Wyjaśniłam mu, że zostawiłam go jako przestrożę przed pogaństwem.

Teraz ojciec Creoda także patrzył na obraz, czy raczej łytał na zwinną dziewczynę oglądającą się przez ramię na goniącego ją boga kozła.

– Ładna, ojcie – stwierdziłem, na co Creoda natychmiast odwrócił wzrok, chrząknął, ale żadne słowa nie przysły mu do głowy. Nie zapraszałem go do domu, ale i tak przyszedł. Jak troskliwa kwoka, trzymał się blisko Aethelstana. – Czyli nie byłeś w szkole? – zwróciłem się do chłopca.

– Zapomniałem pójść, panie.

– Byłeś w kuźni? – pytałem, ignorując jego uśmiech.

– Tak, panie.

– Dlatego, że jest tam twoja dziewczyna?

– Dziewczyna, panie? – spytał niewinnie i pokręcił głową. – Nie, panie, byłem w kuźni, bo Godwulf wykuwa dla mnie miecz. Uczy mnie obróbki metali.

Ująłem oburącz dłonie chłopca i zobaczyłem na przegubach cętki oparzeń po iskrach.

– Czy Godwulf nie wie, że powinienesz być w szkole? – zapytałem.

– Wie, panie, ale uważa też, że powinienem nauczyć się czegoś pożytecznego.

– Pożytecznego – burknąłem, próbując zachować surowy wygląd, ale chłopiec musiał wyczuć moje zadowolenie, bo się uśmiechnął. – Czego go uczysz, ojcze? – zwróciłem się do Creody.

– Łaciny, panie, żywotów ojców Kościoła i oczywiście pisania i czytania.

– Czy łacina jest użyteczna?

– Naturalnie, panie! To język Pisma Świętego.

Stęknąłem. Siedziałem, co przynosiło ulgę. Finan umieścił więźniów w pomieszczeniu po drugiej stronie dziedzińca, a ja zaprowadziłem rodzinę, ojca Creodę i Aethelstana do przestronnej komnaty z tańczącymi dziewczętami na podłodze, ulubionego pomieszczenia Aethelflaed.

– Czyli słyszałeś, że przybyli zbrojni? – zwróciłem się do Aethelstana.

– Tak, panie.

– Ale miałaś dość rozumu, żeby zostać w kuźni?

– Godwulf kazał mi zostać, panie.

Brawa dla kowala – pomyślałem i spojrzałem na Stiorrę.

– A ty?

– Ja, ojcze?

– Co zrobiłaś, gdy przyjechali ludzie Brice'a?

– Powitałam ich – odpowiedziała cicho moja córka. – Myślałam, że przyjeżdżają od króla Edwarda.

– Dlaczego więc ten kapłan cię uderzył?

– Chciał się dowiedzieć, gdzie jest Aethelstan, a ja nie chciałam mu powiedzieć.

– Wiedziałaś?

Stiorra spojrzała z uśmiechem na Aethelstana.

– Wiedziałam.

– Mimo to powiedziałaś, że nie wiesz. Dlaczego?

– Bo oni mi się nie spodobali.

– I nie uwierzyli ci?

Stiorra przytaknęła i dodała:

– Ojciec Aldwyn się rozgniewał.

– Przeszukali klasę w szkole i kościół – dorzucił ojciec Creoda.

– A kiedy go nie znaleźli – ciągnęła moja córka – ojciec Aldwyn nazwał mnie kłamliwą suką i powiedział, że odkryje prawdę.

– Kłamliwą suką? – spytałem, a Stiorra potwierdziła. Służąca zdążyła naprawić jej suknię za pomocą jednej z brosz Aethelflaed, otarła krew z twarzy Stiorry, ale warga wciąż była opuchnięta i oszpecona przez strup. – Wybił ci ząb?

– Nie, ojcze.

Finan pchnął drzwi i stanął w progu, leniwy i pewny siebie.

– Nauczyłeś mojego syna władać mieczem – powiedziałem do niego.

– Owszem.

– Jest szybszy od ciebie – stwierdziłem.

– Na stare lata coraz wolniej się ruszam, panie. – Finan się uśmiechnął.

– Dobrze go wyszkoliłeś – pochwaliłem. – Tańczył wokół Brice’a jak

jastrząb wokół żurawia. Ilu zabitych?

– Tylko dwóch. I czterech rannych. Reszta jest pod strażą.

Zwróciłem się do ojca Creody:

– Zaprowadź Aethelstana do innej komnaty i wbij mu do głowy trochę łąciny. Finanie? Przyprawdź klechę.

Przesłuchiwanie Brice'a miało się z celem. Był psem Aethelhelma, podejrzewałem jednak, że prawdziwą władzę nad zbrojnymi miał kapłan. Aethelhelm ufał, że Brice sforsuje każdą przeszkodę, ale nigdy nie spodziewałby się po nim subtelności czy sprytu. Ojca Aldwyna z pewnością przysłano po to, by służył radą i zajął się Aethelstanem. Chciałem wiedzieć, jaki los miał spotkać chłopca.

Finan mocno pchnął kapłana, który potknął się, przekraczając próg. Finan wszedł za nim i zamknął drzwi.

– On protestuje – stwierdził z rozbawieniem Finan.

– Jestem kapłanem pana Aethelhelma – oświadczył ojciec Aldwyn. – Jego spowiednikiem i ojcem w Bogu.

– Jesteś moim więźniem – odparłem. – Powiesz mi, co rozkazał ci ealdorman Aethelhelm.

– Nic ci nie powiem – prychnął pogardliwie kapłan.

– Uderz go – poleciłem synowi, ale Uhtred się zawahał. Chrześcijańscy czarownicy mają moc i mój syn obawiał się konsekwencji.

– Widzisz? – triumfował ojciec Aldwyn. – Mój Bóg mnie ochrania. – Wycelował palec w mego syna. – Tylko mnie dotknij, młodziku, a zgnijesz w wiecznym potępieniu.

– Skąd mamy wiedzieć, że jesteś kapłanem? – zapytałem.

– Jestem kapłanem pana Aethelhelma!

– Aldwyn, tak? – Zmarszczyłem czoło. – Tak masz na imię? Mgliście

przypominam sobie, że poznałem ojca Aldwyna. Starca z długimi siwymi włosami i drżącymi dłońmi. Był sparaliżowany, prawda, Finanie?

– Zgadza się. – Finan zrozumiał, do czego zmierzam, i nieco podkoloryzował moje kłamstwo. – Drobną jegomość, kulał na jedną nogę. Trochę się ślinił.

– Czyli to nie jest ojciec Aldwyn?

– Wykluczone, przecież się nie ślini.

– Jesteś uzurpatorem – zwróciłem się do kapłana.

– Nie jestem... – zaczął, ale mu przerwałem.

– Zdejmij z niego sutannę – poleciłem Finanowi. – Taki z niego duchowny jak ze mnie.

– Nie waż się... – krzyknął ojciec Aldwyn, ale głos uwiązł mu w gardle, bo Finan grzmotnął go pięścią w brzuch. Irlandczyk przycisnął Aldwyna do ściany i wyjął nóż.

– Widzisz? – zwróciłem się do syna. – To zwykły oszust. Tylko udaje kapłana, jak ten grubas, który przybył do Cirrenceastre zeszłej zimy. Tamten człowiek twierdził, że zbiera datki dla biednych i głodnych, ale wszystko zgarniał sam, aż ojciec Creoda go przesłuchał. Grubas nie potrafił nawet zmówić pacierza, więc rozebraliśmy go do koszuli, wychłostaliśmy i przepędziliśmy z miasta.

Gdy Finan rozciął czarną sutannę, Aldwyn zarzęził jak człowiek, który się dusi. Irlandczyk schował nóż, rozdarł sutannę na pół i ściągnął z ramion kapłana. Aldwyn został w brudnej koszuli sięgającej do kolan.

– Widzisz? – powtórzyłem. – Żaden z niego kapłan.

– Wyzywasz Boga! – syknął do mnie Aldwyn. – Bóg i jego święci będą twymi nieprzyjaciółmi!

– Mam gdzieś twojego boga – odparłem. – Zresztą nie jesteś kapłanem, ale zwykłym oszustem.

– Ja... – Urwał, ponieważ Finan znowu uderzył go w brzuch.

– Powiedz, uzurpatorze, co pan Aethelhelm planował uczynić z królewiczem Aethelstanem.

– On nie jest królewiczem – wykrztusił Aldwyn.

– Uhtredzie. – Spojrzałem na syna. – Uderz go. – Mój syn wahał się tylko chwilę, potem przemierzył komnatę i trzasnął kapłana w głowę. – Dobrze – pochwaliłem.

– Ten chłopiec to bękart – powiedział Aldwyn.

– Jeszcze raz – poleciłem synowi, który wymierzył duchownemu mocny cios wierzchem dłoni.

– Król Edward i matka Aethelstana wzięli ślub w kościele, a kapłan, który go udzielił, nadal żyje. – Miałem nadzieję, że ojciec Kutbert żyje, ale sądząc po wyrazie zdziwienia na twarzy Aldwyna, tak właśnie było. Aldwyn wpatrywał się we mnie, usiłując ocenić prawdziwość moich słów, a podejrzewałem, że gdyby wcześniej powiadomiono go o istnieniu ojca Kutberta, nie patrzyłby z taką uwagą. – Ten kapłan żyje, a ja jestem gotów przysiąc, że udzielił ślubu Edwardowi i pani Ecgwynn – ciągnąłem. – Oznacza to, że Aethelstan jest najstarszym synem Edwarda, aethelingiem, następnym w kolejności do tronu.

– Kłamiesz – stwierdził Aldwyn, choć bez przekonania.

– Odpowiedz na moje pytanie – powiedziałem cierpliwie. – Co zamierzałeś zrobić z aethelingiem?

Wymagało to czasu i gróźb, ale w końcu nam powiedział. Aethelstana mieli wysłać na południe, za morze, do skalistej Neustrii, najdalej na zachód wysuniętej prowincji państwa Franków.

– Jest tam klasztor – wyjaśnił Aldwyn. – Chcieliśmy powierzyć chłopca mnichom, którzy mieli mu dać wykształcenie.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzaliście go uwięzić – stwierdziłem.

– Miał otrzymać wykształcenie – powtórzył z uporem Aldwyn.

– W miejscu, gdzie nieustannie toczony są wojny – dodałem. Prowincję Neustrii najeżdżały hordy ludzi Północy, liczących na to, że w kraju Franków obłowią się łatwiej niż w Brytanii. Każdy klasztor na tych pustkowiach nad oceanem mógł paść łupem mściwych Norwegów, a wtedy wszystkich jego mieszkańców wycięto by w pień. – Życzysz sobie śmierci aethelinga, ale nie chcesz mieć jego krwi na rękach – oskarżyłem kapłana.

– W Neustrii są pobożni ludzie – zaprotestował słabo.

– Pobożni strażnicy więzienni – sprostowałem. – Czy król Edward o tym wie?

– Król zgadza się, by jego bękart otrzymał klasztorne wykształcenie – powiedział Aldwyn.

– Ale ma na myśli jakiś zachodniosaski klasztor, nie dziurę w Neustrii, gdzie Norwegowie rozplatają chłopca mieczem – domyśliłem się.

– Albo zostanie sprzedany w niewolę – dodał cicho Finan.

To miało sens. Do tego siostra Aethelstana? Dwoje młodych ludzi? Na frankijskich targach niewolników zapłacono by za nich sownie.

– Ty draniu – zwróciłem się do Aldwyna. – A co z jego siostrą bliźniaczką? Miałeś nadzieję, że i ona trafi do niewoli? – Kapłan nie odpowiedział, zadarł tylko głowę i patrzył na mnie buńczucznie. – Pojechałeś do Neustrii? – zapytałem pod wpływem impulsu.

Po chwili wahania Aldwyn pokręcił przecząco głową.

– Nie, po co miałbym tam jeździć?

Wstałem, krzywiąc się z bólu. Dobyłem Żądło Osy i podszedłem do kapłana tak blisko, że czułem jego cuchnący oddech.

– Dam ci jeszcze jedną szansę – powiedziałem. – Byłeś w Neustrii?

Znów się zawahał, lecz tym razem z powodu krótkiego ostrza.

– Tak – przyznał.

– Z kim się tam spotkałeś? – pytałem.

Gdy poruszyłem Żądłem Osy, Aldwyn się skrzywił.

– Z opatem klasztoru Świętego Stefana w Cadum – powiedział pospiesznie.

– Ty kłamliwe ścierwo – rzuciłem. Gdyby tylko chciał umieścić chłopca w klasztorze, wystarczyłby list. Klingą saksa uniosłem postrzępioną koszulę klechy. – Z kim się spotkałeś?

Aldwyn zadrżał, bo koniec krótkiego ostrza dotknął jego pachwiny.

– Z Hrolfem – wyszeptał.

– Głośniej!

– Z Hrolfem!

Hrolf był norweskim wodzem, który na czele swoich ludzi najechał państwo Franków i splądrował wielkie połacie ziemi. Do Brytanii dotarły pogłoski, że Norweg zajął znaczną część Neustrii i chciał tam zostać.

– Zamierzałeś sprzedać bliźnięta Hrolfowi? – spytałem Aldwyna.

– Hrolf jest chrześcijaninem. Wychowałyby je jak należy!

– Jest takim chrześcijaninem jak ja – warknąłem. – Tylko tak mówi, ponieważ domagali się tego Frankowie. To cena, jaką zapłacił, żeby tam zostać. Powiedziałbym to samo, gdybym dzięki temu dostał nowe królestwo. Sprzedałbyś Aethelstana i Eadgyth temu sukinsynowi, a co on by z nimi zrobił? Zabiłby ich?

– Nie – zaprzeczył kapłan, ale bez przekonania.

– W ten sposób wnuk pana Aethelhelma zostałby jedynym kandydatem do tronu Wessexu. – Uniosłem Żądło Osy i dotknąłem nim brzucha kapłana. – Jesteś zdrajcą, Aldwynie. Zamierzałeś zabić najstarsze dzieci króla.

– Nie – wyszeptał.

– Powiedz, dlaczego miałbym darować ci życie.

– Jestem kapłanem – wyjęczał.

– Nie jesteś ubrany jak kapłan – zauważyłem. – Uderzyłeś moją córkę.

Tak nie postępują kapłani, prawda?

Aldwyn milczał. Dobrze znał moją sławę zabójcy księży. Większość ludzi oczywiście boi się zabić mnicha czy kapłana, bo wierzy, że naraziłaby się na wieczne potępienie ukrzyżowanego boga, ja jednak nic sobie nie robiłem z chrześcijańskiej zemsty.

– Jesteś zdrajcą, Aldwynie – powtórzyłem. – Czemu miałbym cię nie zabić? Zaslugujesz na to.

– Pozwól mi – powiedziała moja córka i odwróciłem się zdumiony. Stiorra postąpiła dwa kroki do przodu i patrzyła na mnie beznamietnie. Prawą rękę wyciągnęła do saksa. – Pozwól.

– Zabijanie nie jest kobiecym zajęciem. – Pokręciłem głową.

– Dlaczego nie? – spytała Stiorra. – Dajemy życie. Czy nie możemy też go odbierać?

– Nie – wykrztusił Aldwyn. – Nie!

Nie zwracałem na niego uwagi.

– Zabicie człowieka jest trudniejsze, niż myślisz – powiedziałem do Stiorry. – Chociaż ten drań zasłużył na śmierć, powinno się go szybko wykończyć.

– Dlaczego? – spytała. – On chciał się ze mną zabawić, ojciec. Czy to byłoby szybkie?

– Pomyśl o swojej duszy – włączył się mój syn.

– Mojej duszy? – spytała Stiorra.

– Bóg zobaczy, co robisz, a zabicie kapłana jest niewybaczalnym

grzechem.

– Nie dla moich bogów – odparła moja córka, a ja tylko na nią patrzyłem, prawie nie wierząc własnym uszom. Chciałem coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy, więc tylko patrzyłem, a Stiorra odwróciła się do mnie z uśmiechem. – Moja matka była poganką – powiedziała. – Ty też jesteś poganinem. Czemu ze mną miałyby być inaczej?

Mój syn był przerażony. Finan szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Oddajesz cześć moim bogom? – zapytałem.

– Tak, ojcze.

– Przecież wychowano cię po chrześcijańsku! – wykrzyknął mój syn.

– Tak jak mojego ojca i tak jak ciebie, bracie, ale nie mów, że nie modlisz się też do naszych bogów. Wiem, że to robisz. – Stiorra przeniosła wzrok na Aldwyna i jej twarz stężała. W tym momencie tak bardzo przypominała matkę, że jej widok sprawiał ból. – Pozwól, ojcze – powtórzyła, znowu wyciągając rękę.

Podąłem jej Żądło Osy.

– Nie! – zawołał Aldwyn.

Stiorra lewą dłonią wyszarpnęła lnianą suknię z broszy, odsłaniając pierś.

– Czy nie to właśnie chciałeś zobaczyć, księżu? – zapytała. – W takim razie patrz!

– Nie! – skamlał Aldwyn, skulony, nie śmiejąc podnieść wzroku.

– Stiorro! – wyszeptał mój syn.

Moja córka nie okazała litości. Gdy zabijała kapłana, obserwowałem jej twarz, zaciętą, bezlitosną, zdeterminowaną. Najpierw krótkim mieczem rozcięła mu skórę na głowie i szyi, potem, gdy usiłował się bronić, raniła go w rękę. Krew kapłana tryskała na jej pierś i suknię, gdy zadała dwa kolejne ciosy w głowę, i dopiero wtedy ujęła oburącz krótką rękojeść Żądła Osy

i mocnym ruchem rozplatała mu gardło. Ostrze ugrzęzło, Stiorra stęknęła, wyszarpnęła saks i rozcięła Aldwynowi szyję. Moja córka patrzyła, jak kapłan pada, a krew tworzy kałużę na jednej z nagich kobiet uciekających przed kozim bogiem. Stiorra patrzyła, jak Aldwyn umiera, ja zaś patrzyłem na nią. Nigdy nie było łatwo odczytać jej twarzy, ale nie dostrzegłem śladu odrazy z powodu rzezi, jakiej się dopuściła, jedynie swoistą ciekawość. Nawet uśmiechnęła się nieznacznie, gdy kapłan zaczął rzeźić i drgać. Jego palce rozwarły się na kafelkach posadzki, wyprężył się i znieruchomiał.

Stiorra oddała mi skierowany rękojeścią saks.

– Dziękuję, ojciec – powiedziała spokojnie. – Teraz muszę się umyć.

Przytrzymując zniszczoną, zakrwawioną suknię, wyszła z komnaty.

– Jezu Chryste – wyszeptał mój syn.

– To z całą pewnością twoja córka – stwierdził Finan, podszedł do martwego kapłana i trącił go stopą. – Poza tym wykapaną matką.

– Potrzebujemy sześciu wozów – powiedziałem. – Co najmniej sześciu.

Finan i mój syn nadal patrzyli na zabitego kapłana, który całkiem nieoczekiwanie pierdnął.

– Sześć wozów, zaprzężonych w konie, nie w woły – powtórzyłem. – Dobrze byłoby załadować je sianem lub słomą. W każdym razie czymś ciężkim. Może kłodami.

– Sześć wozów? – spytał Finan.

– Co najmniej. Potrzebujemy ich na jutro.

– Dlaczego, panie?

– Ponieważ, rzecz jasna, jedziemy na ślub.

Tak też było.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pod kościołem ojca Creody znajdowała się pusta przestrzeń, tak duża, że sięgała poza obręb kościelnych murów, podpartych masywnymi kamiennymi filarami i łukami. Ściany piwnicy wykonano z topornie ciosanych kamiennych bloków, podłogę stanowiło klepisko. Na kamiennej półce pod kamienną ścianą leżały stare kości, poza tym piwnica świeciła pustkami, panował tu mrok i smród. Musieli ją zbudować Rzymianie, choć wątpiłem, by w ich czasach pozwalano, żeby pobliska kloaka przeciekała przez kamienie.

– Czuć ją w kościele – powiedział ze smutkiem ojciec Creoda. – Chyba że wiatr wieje od wschodu.

– Gówno przecieka przez mury? – spytałem. Nie zamierzałem tego sprawdzać, spuszczając się w ciemność przez właz z masywną klapą.

– Nieustannie – skarżył się kapłan. – Zaprawa murarska kruszeje.

– Uszczelnij ściany smołą, jak drewno okrętowe – poradziłem. – Powpychaj w szpary końską sierść i posmaruj smołą.

– Smołą?

– Możesz ją kupić w Gleawecestre. – Zajrzałem w piwniczny mrok. – Czyje to kości?

– Nie wiemy. Leżały tu, zanim pani Aethelflaed kazała wybudować kościół, i nie chcieliśmy zakłócać ich spokoju. – Ojciec Creoda się przeżegnał. – Duchy, panie – wyjaśnił.

– Sprzedaj je jako relikwie – poradziłem. – Za uzyskane pieniądze kup

nowy dzwon.

– Ależ to mogli być poganie! – wykrzyknął zszokowany.

– Co z tego? – spytałem i wyprostowałem się, krzywiąc się z nieuniknionego bólu.

Na razie cuchnąca piwnica musiała posłużyć za więzienie dla Brice'a i jego ludzi. I tak zasługiwali na coś gorszego. Splądrowali dom Aethelflaed, grabiąc najcenniejszy dobytek: stroje, gobeliny, klejnoty, garnki i lampy.

– To wszystko należy do jej męża – powiedział mi ponuro Brice. – W klasztorze zbytki nie będą jej potrzebne.

Zatem to była część umowy między Aethelhelmem i Aethelredem: wpływowy Sas miał skłonić Aethelflaed do udania się do klasztoru. Czy jej brat wyraziłby zgodę? Zdawałem sobie sprawę, że Edward był pewnie zazdrosny o sławę siostry. Nieustannie porównywano go z ojcem, na niekorzyść Edwarda, a teraz, na domiar złego, uchodził za gorszego wojownika niż siostra. Królowie, nawet przyzwoici jak Edward, mają swoją dumę. Mógł się pogodzić z tym, że nigdy nie dorówna ojcu, ale wychwalanie siostry musiało mu grać na nerwach. Z radością odprawiłby ją do klasztoru.

Do kościoła przyniesiono ciało ojca Aldwyna. Finan odział zwłoki w podartą czarną sutannę, ale nie sposób było ukryć śladów gwałtownej śmierci kapłana.

– Co się stało? – wyszeptał przerażony ojciec Creoda.

– Zabił się z powodu wyrzutów sumienia – wyjaśniłem.

– Zabił...

– Się – warknąłem.

– Tak, panie.

– Jako samobójca nie może spocząć w poświęconej ziemi. Nie wiem nawet, czemu Finan przywłókł go do kościoła!

– Nie myślałem – odparł z uśmiechem Finan.

– Najlepiej, jeśli wykopiecie draniowi głęboki grób, gdzieś za miastem – poradziłem.

– Na rozstajach dróg – dorzucił Finan.

– Rozstajach dróg? – spytał ojciec Creoda.

– Żeby jego dusza się pogubiła – wyjaśnił Finan. – Nie będzie wiedział, dokąd pójść. Jeśli nie chcecie, żeby tu wrócił, Boże broń, zakopcie go na rozstajach, żeby go zmylić.

– Zmylić – powtórzył ojciec Creoda, ze grozą wpatrując się w grymas na okaleczonej twarzy zabitego kapłana.

Brice'a i jego ludzi wtrącono do ciemnej, cuchnącej piwnicy. Wcześniej zdarto z nich kolczugi, buty, ozdoby i pasy od mieczy.

– Za dwa dni możesz ich wypuścić – powiedziałem miejskiemu zarządcy. – Dajcie draniom trochę chleba, kilka wiader wody i zostawcie na dwa pełne dni. Będą was przekonywać, żebyście uwolnili ich wcześniej, spróbują przekupić, ale nie wypuszczaj ich.

– Nie zrobię tego, panie.

– W przeciwnym razie narazisz się na wrogość moją i pani Aethelflaed – dodałem, myśląc, że swego czasu to była prawdziwa groźba.

– I moją – dorzucił Finan.

Słyszając cichy głos Irlandczyka, zarządca zadrżał.

– Obiecuję, że spędzą tu dwa dni, panie. Przysięgam na ciało naszego Pana. – Zarządca odwrócił się i pokłonił przed ołtarzem, gdzie w srebrnym relikwiarzu spoczywały pióra gęsi przepędzonych z pola przez Świętą Werburge.

– Wypuść ich wcześniej, a będą cię straszyć duchy tych kości – zagroził Finan.

– Przysięgam, panie! – obiecywał zdesperowany zarządca.

– Przypuszczam, że pochowają mnie na rozstajach dróg – rzekłem do Finana, gdy wracaliśmy do domu Aethelflaed.

– Wyprawimy ci pogrzeb jak się patrzy – odparł z uśmiechem. – Rozpalimy takie ognisko, że przyćmi słońce. Wierz mi, bogowie będą wiedzieli, że nadchodzisz.

Uśmiechnąłem się, ale moje myśli pobiegły ku rozstajom, ku wszystkim drogom wytyczonym przez Rzymian, które rozpadały się jak Brytania długa i szeroka. Po części zmywały je powodzie, czasem kamienie wykradano, ponieważ duże płaskie płyty świetnie nadawały się do wyznaczania pól i na fundamenty. Podczas podróży po Brytanii często szliśmy lub jechaliśmy poboczem drogi, której nawierzchnia była tak zniszczona i pełna wybojów, że zmieniała się w zachwaszczony trakt. Takie drogi przecinały całą Brytanię – niszczały i zastanawiałem się, co je czeka.

– Myślisz, że po śmierci możemy wiedzieć, co się wydarza? – spytałem Finana.

– Kapłani twierdzą, że możemy – odparł, przyglądając mi się osobliwie.

– Naprawdę? – zdziwiłem się.

– Twierdzą, że możesz zajrzeć do piekła, więc czemu też nie do tego życia? – powiedział, marszcząc brwi.

– Chciałbym wiedzieć, co się wydarzy – stwierdziłem.

Podejrzewałem, że drogi znikną, pola po obu stronach zarosną młodą leszczyną, potem cierniste krzewy przykryją dawne ścieżki. Czy to właśnie zobaczę z Walhalli? Czy nawet teraz jakiś Rzymianin patrzył na Cirrenceastre i zastanawiał się, jakim cudem kamienie o miodowej barwie i białe marmury przeobraziły się w zawilgłe strzechy i spróchniałe drewno. Byłem świadom, że od moich słów Finanowi robi się nieswojo, ale wiedziałem też, że Norny, ponure boginie kontrolujące nasze życie, macały

nić mojego żywota i zastanawiały się, kiedy przeciąć ją ostrymi nożycami. Bardzo długo bałem się tego przecięcia, lecz teraz prawie go pragnąłem. Marzyłem o kresie bólu, problemów, ale chciałem też wiedzieć, jak to wszystko się skończy. Czy jednak w ogóle kiedyś się skończy? Owszem, przepędziliśmy Duńczyków, ale na horyzoncie widniała nowa walka, walka o Mercję.

– Oto i ojciec Kutbert – oznajmił Finan, wrywając mnie z zamyślenia.

Odetchnąłem z ulgą, widząc, że Osferth bezpiecznie sprowadził kapłana z Faganfordy. Z Kutbertem była jego żona Mehrasa.

– Teraz ruszysz na północ – poleciłem Osferthowi.

– Panie! – zawołał Kutbert. Oślepiiony przez Kanuta, zwracał twarz to tu, to tam, próbując wyczuć, gdzie jestem.

– Na północ? – spytał Osferth.

– Wszyscy tam jedziemy – wyjaśniłem. – Z rodzinami. Zmierzamy do Ceasteru.

– Panie? – powtórzył Kutbert.

– Jesteś bezpieczny – zapewniłem. – Ty i Mehrasa jesteście bezpieczni.

– A co nam grozi, panie?

– Jesteś jedynym świadkiem pierwszego ślubu Edwarda – wyjaśniłem. – W Wessexie są ludzie pragnący dowieść, że takiego ślubu nigdy nie było.

– Przecież był! – powiedział jękliwie.

– Dlatego pojedziesz do Ceasteru, pojedziecie oboje – powiedziałem, potem zwróciłem się do Osfertha: – Zabierzesz wszystkie rodziny na północ. Macie wyruszyć nazajutrz. Z Faganfordy możesz wziąć dwa wozy na jedzenie i dobytek. Chcę, żebyście pojechali przez Alencestre. – Do Ceasteru wiodły dwie dobre drogi. Jedna biegła wzdłuż granicy walijskiej i zachęcałem swoich ludzi do podróżowania tamtędy, by pokazać Walijszykom, że się ich nie obawiamy. Droga przez Alencestre była

bezpieczniejsza, biegła bowiem dalej od pogranicza. – Możesz wziąć dziesięciu ludzi ze straży i poczekacie na nas w Alencestre. Macie zabrać wszystkie wartościowe rzeczy. Pieniądze, metal, odzież, uprzęże, wszystko.

– Opuszczamy Fagranfordę na dobre? – spytał Osferth.

Zawahałem się. Odpowiedź była oczywiście twierdząca, ale nie miałem pewności, jak zareagują moi ludzie. Zdążyli się zadomowić w Fagranfordzie, wychowywali tam dzieci, a teraz kazałem im przenieść się na północne rubieże Mercji. Mógłbym im wyjaśnić, że musimy bronić Ceasteru przed Norwegami i Duńczykami, i byłaby to prawda, jednak przede wszystkim zależało mi na ochronie solidnych murów Ceasteru, jeśli miałem się bronić przed złością Eardwulfa i ambicjami Aethelhelma.

– Na pewien czas jedziemy na północ – powiedziałem wymijająco. – Jeśli nie dotrzemy do Alencestre w ciągu dwóch dni, zakładajcie, że nie przyjedziemy. W takim wypadku musicie zabrać Aethelstana i jego siostrę do Ceasteru.

– Co miałyby was zatrzymać? – zapytał Osferth, marszcząc brwi.

– Los – odparłem nieco zbyt gładko.

– Zaczynasz wojnę – stwierdził oskarżycielskim tonem.

– Nie zaczynam.

– Aethelhelm chce dostać chłopca – wyjaśnił Osferthowi Finan. – Nie cofnie się przed walką, by to osiągnąć.

– Co oznacza, że to on zaczyna wojnę, nie ja – dodałem.

Osferth z powagą patrzył to na mnie, to na Finana. W końcu zmarszczył czoło, zdumiewająco upodabiając się do swego ojca, króla Alfreda.

– Ale go prowokujesz – stwierdził z dezaprobatą.

– Wolałbyś, żeby Aethelstan zginął?

– Oczywiście, że nie.

– To co twoim zdaniem miałbym zrobić? – pytałem.
Zamiast odpowiedzieć, Osferth tylko się skrzywił.
– Sasi będą walczyć przeciw Sasom – powiedział zgnębiony. –
Chrześcijanie przeciwko chrześcijanom.
– Owszem – potwierdziłem szorstko.
– Ale...
– Zadbajmy więc, żeby zwyciężyli ci chrześcijanie co trzeba – uciałem. –
Szykujmy się do drogi.
– Do Ceasteru? – spytał Finan.
– Osferth jedzie do Alencestre – odparłem. – Ty i ja ruszamy do
Gleawecestre. Musimy powstrzymać ślub.
I sprowokować wojnę.

Moja córka nie chciała jechać z Osferthem i rodzinami.
– Jadę do Gleawecestre – powiedziała z uporem.
– Pojedziesz z Osferthem – rozkazałem.
Stiorra myszkowała w strojach Aethelflaed, które Brice i jego ludzie
rzucili na dziedzińcu na bezładny stos. Wyjęła kosztowną suknię
z kremowego jedwabiu, haftowaną w dębowe liście.
– Ładna – stwierdziła, ignorując moje polecenie.
– Należy do Aethelflaed – zauważyłem.
Stiorra przyłożyła suknię do ramion i spojrzała w dół na materiał
spływający do stóp.
– Podoba ci się? – spytała.
– Kosztuje pewnie więcej niż statek – powiedziałem.
Jedwab był jednym z luksusów, które dało się kupić w Londynie.
Tamtejsi kupcy twierdzili, że materiał ten pochodzi z kraju daleko na

wschodzie, gdzie tkają go dziwacznymi ludźmi. Jedni mają trzy nogi, inni psie łby, jeszcze inni w ogóle nie mają głów.

– Jest piękna – powiedziała ze smutkiem Stiorra.

– Pojedź na północ, z Osferthem i z tobą – odparłem.

Stiorra przerzuciła suknię przez ramię, po czym wyjęła ze sterty biały lniany płaszcz.

– To będzie pasować do sukni – oznajmiła.

– Osferth zabiera rodziny na północ – wyjaśniłem. – Bierze dwa wozy, więc możesz podróżować na jednym z nich.

– Ojczy, umiem jeździć konno – odparła cierpliwie. – Potrafię strzelać z łuku. Ten bardziej się nada, bo ma kaptur. – Wyjęła inny biały płaszcz. – Och! Srebrna brosza, widzisz?

– Czy ty mnie słuchasz? – warknąłem.

– Oczywiście, ojczy. Możemy też zebrać trochę gwiazdnicy, prawda?

– Gwiazdnicy? – spytałem.

– Żeby mogła sobie wpleść we włosy.

– Odebrało ci rozum? Jedziesz na północ z Osferthem. Czemu chcesz nosić kwiaty gwiazdnicy we włosach?

– Oczywiście dlatego, że jest za wcześnie na kwiaty jabłoni. – Stiorra spojrzała na mnie i przez chwilę tak bardzo przypominała matkę, że oddech uwiązł mi w gardle. – Jak zamierzasz dotrzeć do Aelfwynn, ojczy? – zapytała cierpliwie.

– Dotrzeć?

– Ona będzie w pałacu pana Aethelreda. Aby wziąć ślub, wystarczy, że przejdzie przez bramę do sąsiedniego kościoła Świętego Oswalda. Przypuszczam, że drogi i kościoła będą pilnować strażę. Nie możesz tak po prostu wjechać i ją zabrać. Jak zamierzasz do niej dotrzeć?

Wpatrywałem się w córkę. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, jak odnajdę Aelfwynn. Czasem nie sposób planować. Po prostu docierasz na pole bitwy i korzystasz z okazji. Dokładnie tak postąpił Brice – pomyślałem posepnie – a teraz zamierzałem zrobić to samo.

– Ona jest moją przyjaciółką! – powiedziała Stiorra, gdy stało się jasne, że nie mam odpowiedzi.

– Widywałem was razem – potwierdziłem niechętnie.

– Lubię Aelfwynn. Nie wszyscy ją lubią, ale ja tak. Panna młoda idzie do ślubu z druhnami.

– Tak?

– Daj mi swoich dwóch młodych ludzi, to pojedziemy do pałacu pana Aethelreda z podarunkiem ślubnym.

– A oni cię aresztują – stwierdziłem.

– Może i tak, jeśli dowiedzą się, kim jestem. Ale w Gleawecestre spędziłam tylko kilka dni i nie mam zamiaru udawać się do wielkiej komnaty, tylko na zewnętrzny dziedziniec, gdzie są pokoje Aelfwynn.

– Dobrze, przypuśćmy, że dostaniesz się na dziedziniec. Co dalej?

– Powiem, że przywiozłam dar od pana Aethelfritha.

To był chytry plan. Aethelfrith był zamożnym ealdormanem z Mercji, którego włości leżały niedaleko Londynu. Nie lubił Aethelreda i nie chciał jechać do Gleawecestre. Mógłby zostać sojusznikiem Aethelflaed, ale tak naprawdę pozostawał lojalny wobec Sasów zachodnich.

– Jaki dar? – spytałem.

– Konia – odparła Stiorra. – Młodą klacz. Założymy jej piękną uprząż i wpleciemy wstążki w grzywę. Jestem pewna, że pozwolą Aelfwynn zobaczyć podarunek.

– Oni?

– Będą jej pilnować – tłumaczyła cierpliwie moja córka.
– A ona tak po prostu dosiądzie klaczy i odjedzie razem z tobą?
– Tak.
– Strażnicy przy bramie was nie zatrzymają? – szydziłem.
– To zadanie dla twoich ludzi.
– A jeśli Aelfwynn nie zechce uciec?
– Zechce – zapewniła Stiorra. – Nie ma ochoty na ślub z Eardwulfem. To świnia!

– Świnia?
– Żadna dziewczyna w Gleawecestre się przed nim nie uchowa – mówiła moja córka. – Pani Aethelflaed uprzedzała mnie, że nie można ufać żadnemu mężczyźnie, choć niektórzy zasługują na większe zaufanie niż inni, ale Eardwulf? – Wzdrygnęła się. – Poza tym on lubi bić kobiety.

– Skąd wiesz?
– Dajże spokój, ojcze. – Uśmiechnęła się do mnie z politowaniem. – Tak więc widzisz, jadę z tobą do Gleawecestre.

Istotnie pojechała, ponieważ nie zdołałem wymyślić lepszego planu. Sam wcześniej myślałem o tym, żeby zasadzić się na Aelfwynn, gdy będzie szła do kościoła, ale Stiorra miała rację: tej krótkiej drogi z pewnością będą dobrze strzegli ludzie Aethelreda. Mógłbym też sam wejść do świątyni, ale to byłby desperacki krok, ponieważ roiłoby się tam od sojuszników Aethelreda. Nie uśmiechało mi się narażanie córki na niebezpieczeństwo, ale do przybycia do Gleawecestre nie przyszedł mi do głowy lepszy pomysł.

Zamierzałem dotrzeć do Gleawecestre jeszcze tego dnia, ale znalezienie wozów zabrało sporo czasu, udzielanie instrukcji ludziom trwało jeszcze dłużej, toteż dojechaliśmy dopiero po świcie w Dniu Świętego Etelwolda. Poza tym liczyłem na sześć wozów, ale w Cirrenceastre zdołaliśmy znaleźć jedynie trzy i tyle musiało wystarczyć. Poprzedniej nocy posłałem je na

zachód. Jadący wozami ludzie musieli spędzić noc w niewygodach, czekając na otwarcie bram miejskich, ale w chwili gdy opuszczaliśmy Cirrenceastre, dwa z tych trzech pojazdów powinny już znaleźć się w mieście. Wozy wyładowaliśmy sianem i poleciłem ludziom, żeby wyjaśnili strażnikom, iż jest to pasza dla stajni pana Aethelreda.

To był typowy marcowy dzień. Niebo szare jak żelazo, zimny wiatr wiejący od wzgórz za naszymi plecami. Osferth zabrał dziesięciu swoich ludzi z powrotem do Faganfordy, gdzie mieli załadować dwa wozy dobytkiem, po czym, w towarzystwie ojca Kutberta, ruszyć na północ z rodzinami naszych ludzi. Aethelstan jechał razem z nimi. Wozy musiały spowalniać podróż, może nadmiernie, a dziesięciu ludzi raczej nie wystarczyłoby w razie kłopotów, ale jeśli wszystko poszłoby dobrze, dogoniłbym ich przed zapadnięciem zmierzchu.

Pod warunkiem że przeżyjemy kilka następnych godzin.

Stiorra jechała obok mnie, okutana brązowym płaszczem. Pod spodem nosiła kremowy jedwab i biały len, srebrne łańcuchy i bursztynowe brosze. Wybraliśmy młodą klacz, wyszczotkowaliśmy ją, wpleliśmy jej w grzywę niebieskie wstążki, uczesaliśmy, nawoskowaliśmy kopyta, ale deszcz wściekle smagał ozdoby, a kopyta zbierały brud z drogi.

– Zatem jesteś poganką? – zagadnąłem, gdy zjeżdżaliśmy ze wzgórz.

– Tak, ojcze.

– Dlaczego?

Stiorra uśmiechnęła się pod grubym kapturem płaszcza, skrywającym wianek z gwiazdnicy na czarnych włosach.

– Czemu nie?

– Bo zostałam wychowana po chrześcijańsku.

– Może właśnie dlatego. – Warknąłem na jej słowa, a moja córka się zaśmiała. – Czy wiesz, jak okrutne są zakonnice? Biły mnie, a nawet parzyły,

ponieważ byłam twoją córką.

– Parzyły cię!

– Różnym kuchennym rozżarzonym w piecu. – Stiorra podciągnęła rękaw, by pokazać mi blizny.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytałem.

– Powiedziałam pani Aethelflaed, więc to się już nie powtórzyło – odparła córka, ignorując mój gniew. – Potem przysłałaś mi Helle.

– Helle?

– Moją służącą.

– Ja ci ją posłałem?

– Tak, ojcze, po Beamfleot.

– Naprawdę? – Pod Beamfleot wzięto do niewoli tylu jeńców, że o większości zapomniałem. – Kim jest Hella?

– Jedzie za tobą, ojcze. – Stiorra obróciła się w siodle i wskazała głową służkę jadącą za nami na spokojnym wałachu. Krzywiąc się z bólu, odwróciłem się i ujrzałem dziewczynę o krągłej twarzy i perkatym nosie, wyraźnie zdenerwowaną moim wzrokiem. – To Dunka, nieco młodsza ode mnie, poganka – ciągnęła Stiorra. – Opowiadała mi o Frei, Idunnie, Nannie, Hyrrokkinie. Czasami rozmawiamy przez całą noc.

– Szczęściara z tej Helli – powiedziałem.

Przez pewien czas jechałem w milczeniu. Nie znałem własnej córki. Kochałem ją, ale jej nie znałem, a teraz miałem ze sobą trzydziestu trzech ludzi, zamierzałem z ich pomocą powstrzymać ślub i umknąć z miasta pełnego mściwych wojowników. Rodzoną córkę posyłałem do gniazda szerszeni. A jeśli ją złapią?

– Chrześcijanie nie lubią pogan – powiedziałem. – Jeżeli ludzie Aethelreda cię schwytają, zrobią ci krzywdę, będą cię prześladować, gnębić.

Zostałaś wychowana na chrześcijankę, żeby nie groziło ci niebezpieczeństwo.

– Może i oddaję cześć twoim bogom, ale tego nie rozgłaszam – powiedziała Stiorra, odsłoniła płaszcz i pokazała srebrny krzyż wiszący na ładnej jedwabnej sukni. – Widzisz? Mnie nie wyrządza krzywdy, a im zamyka usta.

– Czy Aethelflaed wie?

Stiorra pokręciła głową.

– Już mówiłam, ojcze, nie robię hałasu.

– A ja robię?

– Ogromny – odparła oschle Stiorra.

Godzinę później stanęliśmy u wrót Gleawecestre, ozdobionych liściastymi gałęziami z okazji ślubu. Ośmiu ludzi strzegło wschodniej bramy, przez którą tłum usiłował się dostać do miasta, ale wstrzymywali ich strażnicy przeszukujący wozy. Jeden z moich powozów też tam stał, ale jadący nim ludzie nie próbowali wjechać do miasta. Duży wóz wyładowany sianem zostawili na poboczu. Nie zwracali na nas uwagi, gdy przeciskaliśmy się przez tłum, który – ponieważ jechaliśmy konno, uzbrojeni – ustępował nam z drogi.

– Czego szukacie? – spytałem dowódcę straży, rosłego mężczyznę z bliznami na twarzy i czarną brodą.

– Tylko podatków, panie – odparł. Niekiedy kupcy chowali cenne dobra pod stertami tanich tkanin lub niewyprawionych skór, w ten sposób pozbawiając miasto należnej opłaty. – W mieście panuje zamieszanie – poskarżył się.

– Ślub?

– I król przyjechał.

– Król?

– Król Edward! – powiedział tonem sugerującym, że powinienem o tym wiedzieć. – Towarzyszy mu chyba z tysiąc ludzi.

– Kiedy przybył?

– Wczoraj, panie. Przejście dla pana Uhtreda! – Długą włócznią odepchnął ludzi. – Cieszę się, że żyjesz, panie – stwierdził, gdy tłum odsunął się od bramy.

– Ja też – przyznałem.

– Walczyłem u twego boku pod Teotanheale, i wcześniej. – Dowódca straży dotknął blizny na lewym policzku. – To pamiątka po walkach w Anglii Wschodniej.

Wyszperałem monetę z mieszka i wręczyłem ją strażnikowi.

– Kiedy jest ślub?

– Nie mówią nam, panie. Pewnie wtedy, gdy król podniesie z łoża królewski tyłek. – Pocałował szylinga ode mnie. – Biedna dziewczyna – dodał ciszej.

– Biedna?

Dowódca wzruszył ramionami, jakby komentarz nie wymagał wyjaśnienia.

– Niech Bóg cię błogosławi, panie – powiedział, dotykając brzegu hełmu.

– Nie ma mnie tutaj – odparłem, wręczając mu drugą monetę.

– Nie ma... – zaczął strażnik, potem spojrzał na ciągnących za mną zbrojnych. – Nie, panie, nie ma cię tutaj. Moje oczy cię nie widziały. Niech Bóg cię błogosławi, panie.

Ruszyłem dalej, pochylając głowę pod wielką skórą zawieszoną nad sklepem ze skórami. Edward przyjechał do miasta? Ta wiadomość mnie rozgniewała. Dotychczas Edward zawsze darzył sympatią Aethelstana i jego siostrę. Powierzył ich Aethelflaed, podobnie jak ojca Kutberta umieścił pod

moją opieką, i sądziłem, że uczynił tak, by chronić rodzeństwo przed ludźmi z Wessexu, którym ich istnienie było nie w smak. Jednak przybycie Edwarda na ślub mogło oznaczać jedynie, że całkowicie uległ Aethelhelmowi.

– On cię rozpoznał – stwierdził Finan, wskazując głową strażnika przy bramie. – Myślisz, że próbuje cię ostrzec?

– Nie. – Pokręciłem głową z nadzieją, że się nie mylę. – Nie jest lojalny wobec Eardwulfa.

– Ale jeśli Eardwulf wie, że tu jesteś? – spytał Finan, wciąż niespokojny.

– Wtedy wzmocni straże – powiedziałem i naciągnąłem kaptur płaszcza, by ukryć twarz.

Deszcz się nasilił, tworząc kałuże na zabłoconej ulicy, która straciła większość starych brukowców. Główna brama pałacowa znajdowała się niedaleko, tuż przed nami, pod łukami włócznicy chronili się przed deszczem. Po lewej, zasłonięty krytymi strzechą domami i sklepami, stał kościół. Rozpryskując wodę, przejechaliśmy przez poprzeczną ulicę i po prawej ujrzałem jeden z moich dużych wozów, prawie tarasujący drogę. Trzeci powinien czekać nieopodal pałacu.

Tłum w mieście nie powinien nikogo dziwić. Wszyscy, którzy przybyli na witan, wciąż tu byli, wraz ze strażą przyboczną, żonami i służbą. Mieszkańcy tuzina okolicznych wiosek przybyli do Gleawecestre skuszeni ucztą wystawioną przez ojca panny młodej. Wszędzie widziało się żonglerów, kuglarzy i harfistów, jakiś człowiek prowadził na łańcuchu potężnego niedźwiedzia brunatnego. Z targu usunięto stragany, ułożono drwa, by upiec wołu. Deszcz padał coraz mocniej. Kapłan o zatłuszczonych włosach wołał do przechodniów, że powinni się ukorzyć przed powrotem Chrystusa w pełnej chwale, ale słuchał go chyba tylko parchaty kundel, który zaczynał ujadać, ilekroć duchowny robił przerwę dla zaczerpnięcia tchu.

– To mi się nie podoba – stwierdziłem.

– Co takiego? – zapytała Stiorra.

– To, że udajesz się do pałacu. To zbyt niebezpieczne.

Córka spojrzała na mnie cierpliwie spod kaptura.

– Czyli pojedziesz sam, ojcze? Po prostu wjedziesz i wzniesiesz bójkę?

– Mówisz jak twoja matka – powiedziałem, i nie miał to być komplement. Oczywiście Stiorra miała rację. Gdybym wjechał, z pewnością by mnie rozpoznali i rzuciliby mi wyzwanie. Co wtedy? Wdarłbym się do pałacu Aethelreda i odszukałbym jego córkę? Oprócz wojowników Aethelreda w pałacu znajdowali się też ludzie króla Edwarda i pewnie właśnie z powodu obecności króla Sasów zachodnich strażnicy przy bramie przejawiali taką czujność. Na nasz widok dwaj strażnicy zagrodzili bramę masywnymi włócznieami, ale cofnęli się, gdy skręciliśmy w uliczkę biegnącą wzdłuż muru pałacowego, niedaleko miejsca, gdzie stał mój trzeci wóz. – Co zatem zamierzasz? – spytałem Stiorrę.

– Odnajdę Aelfwynn, powiem, że może jechać z nami, a jeśli się zgodzi, przyjadę z nią tu – odparła, jakby opisywała najprostszą rzecz na świecie.

– A jeśli odmówi?

– Nie odmówi. Ona nienawidzi Eardwulfa.

– Wobec tego zrób to.

Powiedziałem córce, by wzięła ze sobą służkę Hellę, ponieważ żadna szlachetnie urodzona dama nie podróżuje bez kobiecego towarzystwa. Do eskorty przydzieliłem im dwóch wojowników – Eadrica i Cenwulfa, którzy od dawna służyli pod moimi rozkazami. Co prawda, istniało niewielkie ryzyko, że zostaną rozpoznani jako moi ludzie, ale wolałem posłać doświadczonych wojów niż młodzików, którzy w razie kłopotów wpadliby w panikę. Oczywiście mógłbym po prostu oświadczyć, że klacz jest prezentem ode mnie, ale taka hojność wzbudziłaby podejrzenia – lepiej wyjaśnić, że to dar od Aethelfritha z dalekiego Londynu. Wątpiłem, czy

strażnicy sobie uzmysłowiają, że wieści o ślubie nie mogły tak szybko dotrzeć do Aethelfritha. Tych zziębniętych i przemokniętych strażników pewnie nie obchodziło, czy klacz przysłał w darze Aethelfrith czy Duch Święty. – Ruszajcie – powiedziałem do czworga. – Po prostu jedźcie.

Gdy zsiadłem z konia, przeszył mnie taki ból, że na chwilę musiałem się oprzeć o siodło. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Stiorra zdjęła ciemny płaszcz i ukazała się w pełnej krasie, cała na biało i kremowo, ze srebrnymi ozdobami i kwiatami we włosach. Jasny płaszcz zarzuciła koniowi na zad, trzymała się w siodle prosto jak struna. Hella prowadziła darowaną klacz za uzdę, a Cenwulf i Eadric jechali po obu stronach mojej córki.

– Wygląda jak królowa – powiedział cicho Finan.

– Przemoknięta królowa – sprostowałem.

Deszcz padał coraz mocniej.

Strażnicy nadal zagradzali bramę, ale sam wygląd Stiorry kazał im cofnąć włócznie. Z szacunkiem skłonili głowy, rozpoznając wysoko urodzoną damę. Widziałem, że córka z nimi rozmawia, nie słyszałem jednak słów. Po chwili pięć koni i czworo jeźdźców zniknęło w wysoko sklepionej kamiennej bramie.

Wróciłem ulicą, aż roztoczył się przede mną widok terenów pałacowych. Za arkadą znajdował się szeroki dziedziniec porośnięty trawą. Stajenni prowadzili osiodłane konie tam i z powrotem, a przy budynkach w głębi dostrzegłem co najmniej tuzin strażników. Ich liczba wydała mi się znaczna, ale poza tym panował tu taki spokój, że przyszło mi na myśl, iż zaślubiny już się odbyły.

– Kiedy ślub? – zwróciłem się do jednego z włóczników przy bramie.

– Kiedy pan Aethelred sobie zażyczy – brzmiała zgryźliwa odpowiedź. Włócznik nie mógł dostrzec mojej twarzy, schowanej pod kapturem płaszcza.

– Może poczeka, aż deszcz ustanie? – Młodszy strażnik chciał być

bardziej pomocny.

– Niebo będzie szczało do wieczora – zauważył starszy.

– W takim razie pan Eardwulf będzie musiał poczekać, co? – zagadnął złośliwie młodszy.

– Na co miałyby czekać? Bierze, co zechce. Dziś rano biedna dziewczyna pewnie ledwie chodzi.

To było moje kolejne zmartwienie. Czy Eardwulf wcześniej sięgnął po należność małżeńską? Czy Aelfwynn przebywała w jego komnatach? Jeśli tak, Stiorra nigdy do niej nie dotrze. Kroczyłem po kałużach. Deszcz kapał mi z kaptura. Płaszcz upiąłem broszami, by ukryć kolczugę i Oddech Węża u boku. Stiorra i Hella zsiadły z koni i weszły do pałacu, ale nie do wielkiej komnaty z rzymskiego kamienia, lecz przez małe drzwi do długiego, niskiego drewnianego budynku. Strażnicy przepytali je, ale pozwolili przejść. Cenwulf i Eadric, z przypasanymi mieczami, czekali przy drzwiach. Do pałacu nie wolno było wnosić broni, ale jeśli ci dwaj nie spróbują wejść, strażnicy zostawią ich w spokoju. Sihtricowi kazałem zajrzeć do kościoła.

– Idź zobaczyć, czy kościół przygotowano na ślub – poleciłem.

Deszcz lał się strumieniami, woda pędziła centralnym rynsztokiem i chlustała z dachów.

– W taką pogodę dziewczyna nie wyjdzie nawet po to, żeby zobaczyć jednoroźca, a co dopiero konia – utyskiwał Finan.

– Ojciec Pyrlig widział jednoroźca – powiedziałem.

– Naprawdę?

– W górach. Mówił, że biegł jak zając.

– Ojciec Pyrlig lubi zaglądać do kufla z piwem.

– W Walii można zobaczyć osobliwe rzeczy – mówiłem. – Dwugłowe węże. Ojciec Pyrlig twierdził, że jednorożec miał czerwony róg.

– Czerwony?

– Jak krew. – Obserwowałem drzwi w głębi, gdzie zebrali się strażnicy. – Aelfwynn wyjdzie, jeśli Stiorra powie jej, że przyszedliśmy – dodałem, mając nadzieję, że tak się stanie.

– Pod warunkiem że nie będą jej pilnować.

Nie powinienem był pozwolić córce wchodzić do pałacu. Cały ten deszczowy ranek był jednym wielkim szaleństwem. Nie byłem lepszy niż Brice: brnąłem na oślep, nie mając pojęcia, jak zamierzam osiągnąć cel. Dałem się przekonać Stiorze do tego szaleństwa, bo przynajmniej trochę to przemyślała, teraz jednak, na widok strażników na dziedzińcu, żałowałem własnej popędliwości.

– Może będziemy musieli ją stamtąd wyciągnąć – stwierdziłem.

– My przeciwko całej straży przybocznej? – spytał Finan.

– Jest ich tylko dwudziestu – powiedziałem. – Przy bramie stało dwóch, są też ci na dziedzińcu.

– Dwudziestu widzimy. Większość drani na pewno chroni się przed deszczem. Ale skoro tego właśnie chcesz.

Pokręciłem głową. Mieliśmy na karku nie tylko ludzi Aethelreda, ale także wszystkich wojowników zachodniosaskich. Może gdybym czuł się dobrze, gdybym mógł wywijać Oddech Węża, nie zginając się z bólu, sam wtargnąłbym do pałacu. Też mi pałac! Kilka śmierzących drewnianych chałup wokół ruin rzymskiej komnaty. Wyobrażałem sobie, z jaką radością Aethelred pojmałby Stiorrę. On i ja byliśmy kuzynami, od dzieciństwa się nienawidziliśmy. Musiałbym negocjować uwolnienie córki, a cena byłaby słona.

– Jestem durniem – stwierdziłem.

– Z tym nie zamierzam się sprzeczać – odparł Finan. – Za to twoja córka jest bystra. Ma to po matce.

W oddali zagrzmiało. Popatrzyłem na deszcz, zobaczyłem jedynie ciemne chmury, ale wiedziałem, że Thor zesłał burzowego orła, może samego Hraesvelga, olbrzymiego orła sprowadzającego wichur. W tej samej chwili deszcz, który padał pionowo, nagle skręcił i zadrżał, kiedy podmuch smagnął ulicę Gleawecestre. Finan się przeżegnał. Szyldy sklepowe zakołysały się, skrzypiąc. Włóznicy pilnujący bramy pałacowej schronili się głębiej pod arkadę, strażnicy na dziedzińcu skulili się pod krytym strzechą przedsionkiem wielkiej komnaty. Cenwulf i Eadric cierpliwie czekali na koniach.

Sihtric nadszedł, chlapiąc po kałużach.

– Zapalają świece w kościele, panie. – Musiał niemal krzyczeć, by nie zagłuszył go deszcz. – Dach przecieka.

– Czyli ślub jeszcze się nie skończył?

– Skończył? Mówią, że może przełożą na jutro.

– Z pewnością poczekają, aż to się przewali, zanim wydadzą tę biedną dziewczynę za mąż – powiedział Finan.

Na niebie rozległ się jeszcze silniejszy grzmot, błyskawica przeszła chmury. Dotknąłem płaszcz, pod którym nosiłem na szyi młot, i zmówiłem modlitwę do Thora, prosząc, by mojej córce nic się nie stało. Ulewa siekła kaptur mojego płaszcz. Złowrogi, przenikliwy, nikczemny deszcz.

Wtedy pojawiła się Stiorra.

Moja córka wyszła na dziedziniec i popatrzyła na chmury tak, jakby siekący deszcz sprawiał jej radość. Rozłożyła ręce, zobaczyłem, że się śmieje, a w ślad za nią wyszło z pół tuzina dziewcząt. Wszystkie się śmiały, pisały z rozkoszy z powodu ulewy. Chłapały się w kałużach, tańczyły w szalonym zachwycie, obserwowane przez dwóch strażników, którzy wyszli za nimi z pałacu. Gdy Stiorra podbiegła do koni, zobaczyłem, że idzie za nią Aelfwynn, i nie mogłem uwierzyć, że przyjaźniła się z moją córką. Stiorra

była poważna, milcząca, opanowana i rozumna, tymczasem Aelfwynn zachowywała się jak trzpiotka. Podobnie jak Stiorra była ubrana na biało, deszcz przemoczył jej suknię, która teraz przylegała do chudego ciała. Strażnicy patrzyli, jak Aelfwynn gładzi siwą klacz po chrapach. Pozostałe dziewczęta zbiły się w gromadkę. Jasne włosy Aelfwynn przemokły na deszczu. Odwróciła się do Stiorry, podskoczyła z radości, rozpryskując wodę bosymi stopami. Nagle ona, Stiorra i Hella dosiadły koni, ale strażnicy nie zareagowali. W końcu klacz była podarunkiem ślubnym, a jeśli dziewczyna była na tyle szalona, by wychodzić w taką ulewę i burzę, z pewnością nie cofnie się przed galopowaniem po dziedzińcu.

Dziewczęta popędziły w kierunku holu, Cenwulf i Eadric ruszyli za nimi. Moi ludzie dosiadali koni. Dałem znak służącemu, ten przyprowadził mi rumaka, wziąłem głęboki wdech, przygotowując się na ból. Wskoczyłem na siodło, czując silne ukłucie w boku. Zdołałem stłumić jęk, wsunąłem stopę w strzemię, pochyliłem się, by zajrzeć przez bramę, ale ból zaatakował ponownie i musiałem się wyprostować. Finan, który jeszcze nie dosiadł konia, widział dziedziniec pałacowy.

– Jesteście gotowi?! – zawołał do ludzi na wozie z sianem. – Nadjeżdżają – rzucił do mnie i wskoczył na siodło.

Stiorra doprowadziła Aelfwynn pod hol, po czym skręciła ku bramie. Zanim je zobaczyłem, usłyszałem stukot kopyt na kamiennych płytach za bramą, a po chwili ukazały się trzy dziewczęta i dwójka moich ludzi.

– Teraz! – zawołał Finan.

Tamci zacięli konie u wozu, aby zatarasować bramę pałacową. Jeden z moich ludzi rozłupał koło siekierą, potem zamierzali ruszyć za nami na koniach pociągowych. Wcześniej przygotowałem lekkie konie dla nich i dla ludzi na wozie, który miał zatarasować przecznicę w połowie drogi do bramy miejskiej.

Z powodu deszczu ulice opustoszały. Truchtem przecięliśmy skrzyżowanie i krzyknąłem do ludzi, żeby zablokowali ulicę. Aby nas dogonić, ludzie Aethelreda będą musieli skorzystać z jednej z dwóch pozostałych bram. Wozy tylko opóźnią nieuniknioną pogoń. Ale nawet kilka minut dawało nam cenną przewagę.

Gdy przejeżdżaliśmy pod bramą miejską, spojrzałem na brodacza, który walczył pod Teotanheale.

– Przykro mi z powodu tego, co się wkrótce wydarzy – powiedziałem.

– Panie? – spytał, nie rozumiejąc.

– Twoja brama zostanie zatarasowana. Zaufaj mi: wiem, co robię.

– Zawsze wiedziałeś, panie – odparł z uśmiechem.

Trzeci wóz przewróciliśmy w bramie, wysypując siano na ziemię. Grupa pościgowa oczywiście mogła wyjechać z miasta inną bramą, ale wcześniej odkryje, że ta droga jest zablokowana, co zajmie jej trochę czasu. Deszcz ich spowolni, podobnie jak konieczność osiodłania koni – oceniałem, że nie ruszą za nami wcześniej niż za godzinę. Ludzie z wozów pojedą na północ, drogą przy granicy walijskiej prowadzącą prosto do Ceasteru. O moim wyczynie powiadomią Aethelflaed, która powinna dotrzeć do Ceasteru w ciągu dwóch–trzech dni.

– Wujku! – Aelfwynn jechała obok mnie. Zawsze mnie tak nazywała.

– Nie jest ci zimno?

– Zamarzam! – Dziewczyna uśmiechała się szeroko. Lubiała psoty, więc ta przygoda była jej w smak. – Dokąd jedziemy?

– Do twojej matki.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Aethelflaed nigdy nie popierała córki, uważała, że Aelfwynn jest nieodpowiedzialną trzpiotką. „Głowa w chmurach” – powtarzała często.

– Do matki? – spytała niespokojnie.

– Może wolisz wrócić do Gleawecestre? – spytałem.

– Nie, nie! – Znów promienny uśmiech. – Ona zawsze jest miłsza w twojej obecności.

– Będę ci towarzyszyć – zapewniłem.

– Mówili, że umierasz!

– To prawda.

– Och, mam nadzieję, że nie.

Finan podjechał i podał dziewczynie płaszcz. Moim ludziom pewnie się to nie spodobało, bo Aelfwynn miała na sobie jedynie cienką lnianą suknię, która przemokła i przylegała do skóry.

– Dobrze jeździsz konno! – pochwaliłem.

– Stiorra też!

Zwolniłem, by zrównać się z córką.

– Niepokoiłem się – powiedziałem.

– Kiedy przyszedłem, jeszcze leżała w łóżku. – Córka obdarzyła mnie przelotnym uśmiechem. – Musiałam czekać.

– Żadnych kłopotów?

Stiorra pokręciła głową.

– Strażnicy niczego nie podejrzewali. Powiedziałam im, że przywiozłam konia w prezencie, więc pozwolili jej wyjść, żeby go obejrzała. Uznali, że ma nie po kolei w głowie, wychodząc w taką ulewę, ale zdążyli przywyknąć do jej kaprysów.

Przekręciłem się w siodle, natychmiast tego żałując, ale nikt nas nie ścigał. Miasto spowijał szary dym i deszcz smagany przez wiatr.

– Ruszą za nami – powiedziałem posepnie.

Aelfwynn zwolniła, by do nas dołączyć.

– Czy matka jest w Cirrenceastre?

– W Ceasterze.

– Czy Ceaster nie leży tam? – Wskazała północ.

– Chcę, żeby twój ojciec sądził, że jedziemy do Cirrenceastre.

– Och, on nic nie będzie sądził – stwierdziła radośnie.

– Będzie zły! – przestrzegłem.

– Nie będzie.

– Pośle za nami ludzi, żeby sprowadzić cię z powrotem.

– Może Eardwulf pośle ludzi, może stryj Edward, ale nie ojciec.

– Czemu nie? – zapytałem.

– Bo wczoraj umarł – wyjaśniła Aelfwynn.

Stiorra i ja otworzyliśmy szeroko oczy.

– Umarł... – Urwałem.

– Nikt nie miał o tym wiedzieć – oznajmiła wyniośle. – To tajemnica, ale w pałacu nie da się dochować tajemnicy. Dowiedziałam się tego od służących, a oni wiedzą wszystko!

– Plotki służby? – spytałem. – To może nie być prawda.

– Och, w pałacu roiło się od księży! – zapewniła Aelfwynn. – Przez całą noc panowało zamieszanie, trzaskały drzwi, mamrotali modlitwy. Myślę, że to prawda. – Dziewczyna nie wyglądała na zmartwioną.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Przykro?

– Z powodu śmierci twego ojca – dodałem, nieco skrzępowany.

– Pewnie powinno być mi przykro, ale on mnie nie lubił, ja jego też – odparła Aelfwynn, spojrzała na Stiorrę z uśmiechem, a mnie przyszło do głowy, że właśnie to może łączyć te dziewczęta: marni ojcowie. – On miał wybuchowy charakter, nawet bardziej niż matka! – ciągnęła Aelfwynn. – Nie chciałam wychodzić za Eardwulfa. Wiem, że powinno być mi przykro, ale

nie jest.

– To dlatego utrzymują śmierć twojego ojca w tajemnicy – stwierdziłem. – Chcą cię wydać za Eardwulfa, zanim to ogłoszą.

– Cóż, teraz już nie mogą tego zrobić, prawda, wujku? – powiedziała ucieszona Aelfwynn.

Owszem, mogli wydać ją za mąż i zamierzali to zrobić, ponieważ bez niej Eardwulf był nikim, za to jako mąż Aelfwynn dziedziczył władzę teścia i stawał się namiestnikiem Aethelhelma w Mercji.

Dlatego Eardwulf musiał odnaleźć swoją pannę młodą. Odwróciłem się i ujrzałem pustą drogę, ale to nic nie znaczyło.

Z pewnością ruszy za nami w pościg.

CZEŚĆ DRUGA
PANI MERCJI

ROZDZIAŁ CZWARTY

Deszcz przeszedł w jednostajną ulewę. Grzmoty ucichły, powiewy wiatru ustały, ale padało dalej. Wprost trudno było uwierzyć, że niebo może pomieścić tyle wody. Zupełnie jakby bogowie wylewali na nas całe oceany – niekończąca, nieustępliwa ulewa moczyła nas, gdy wjeżdżaliśmy na strome wzgórza, by na szczycie skręcić na północ owczymi ścieżkami po łagodnych zboczach. Ludzie na murach Gleawecestre z pewnością widzieli, jak jedziemy w kierunku Cirrenceastre, miałem więc nadzieję, że Eardwulf uzna, iż to właśnie jest cel naszej podróży, teraz jednak porzuciliśmy rzymski trakt, by przeciąć wzgórza i dostać się do drogi na Alencestre.

Ścieżki były śliskie, ale błoto pojawiło się dopiero wówczas, gdy zjechaliśmy w szeroką dolinę Eveshomme, gdzie trudno się jechało głęboko wyżłobionymi traktami. Kiedyś słyszałem, jak kapłan chrześcijański głosił w kazaniu, że Adam i Ewa żyli właśnie w tej rozległej, żyznej dolinie, i właśnie w tym Edenie grzech zstąpił na świat. Kapłan krzyczał jak szaleniec, wymachiwał rękami, wypluwał słowa i groźnym wzrokiem toczył po kościele. „Kobieta! – warczał. – To kobieta sprowadziła grzech na ten świat! To kobieta skalala Boży raj!” W tym czasie byłem zbyt młody, by zrozumieć, jakie brednie wygadywał. Poza tym ojciec Beocca mówił mi, że prawdziwy Eden leżał daleko za wschodzącym słońcem, w krainie strzeżonej przez anioły i ukrytej wśród złotych mgieł. Beocca twierdził też, że Eveshomme zawdzięcza nazwę świniopasowi, który gawędził z Najświętszą Panią, podczas gdy jego świnię ryły w bukowym lesie.

– O czym oni rozmawiali? – spytałem.

– Na pewno o łasce Pańskiej! – odparł ojciec Beocca.

– Brzmi fascynująco.

– Bo takie też jest, Uhtredzie! – zapewniał mnie kapłan. – Mężczyźni i kobiety pielgrzymują do Eveshomme w nadziei, że spotkają Najświętszą Panią.

– I spotykają ją?

– Modłę się, by tak było – odparł niezbyt przekonująco.

– Byłeś tam? – spytałem, na co Beocca z wahaniem skinął głową. – I spotkałeś ją?

– Niestety nie.

– Może bardziej by ci się poszczęściło, gdybyś wziął ze sobą świnię.

– Świnię? – zdumiał się kapłan.

– Może ona lubi boczek.

– To nie jest zabawne – stwierdził.

Biedny ojciec Beocca... nie ma go już wśród żywych.

Na razie nie zauważyłem ani śladu pościgu, ale wiedziałem, że się pojawi. Eardwulf musiał szybko odnaleźć Aelfwynn, zawlec ją do kościoła i poślubić, bo tylko wtedy mógł występować jako dziedzic władzy jej ojca. Według mnie możnowładcy z Mercji nie przystaną na to zwierzchnictwo ochoczo. Uznają Eardwulfa za parweniusza, ale jeśli będzie miał w łożu córkę Aethelreda, a za sobą potęgę Wessexu, niechętnie uznają jego autorytet. Ale bez Aelfwynn? Bez niej byłby zwykłym uzurpatorem. To jej dziewictwo, o ile jeszcze istniało, mogło go powiązać z rodem Aethelreda i nadać Eardwulfowi wysoką pozycję. Myślałem o tym, by gdzieś w tej smaganej deszczem dolinie znaleźć księdza. Kazałbym mu udzielić ślubu Aelfwynn i mojemu synowi, potem poczekałbym, aż Uhtred zabierze

dziewczynę do jakiejś chałupy i zrobi, co należy. Naprawdę poważnie o tym myślałem, ale brak pościgu przekonał mnie, by jechać dalej.

Strumienie, które przekraczaliśmy, wezbrały od deszczu, woda występowała z brzegów, zatapiała brody. Często mijaliśmy gospodarstwa, była to bowiem żyzna, bogata kraina. Kwitnące wioski miały się znakomicie. Po naszym zwycięstwie nad Duńczykami pod Teotanheale wieśniacy poczuli się bezpiecznie – nie wznosili palisad, budowali duże domy. Nowe stodoły dorównywały wielkością kościołom, te zaś miały wysokie dachy kryte jasną strzechą. Obfite sady, soczyste łąki, dobra ziemia, wszystko to jednak nisko położone, więc powódź sięgała już pastwisk, uparty deszcz siekł rozlewające się wody. Wszyscy byliśmy przemarznięci, znużeni, brudni. Mocno nas kusiło, by zatrzymać się w jednej z wielkich komnat, osuszyć i ogrzać przy ogniu, ale nie miałem odwagi urządzać postoju w Alencestre.

Dotarliśmy tam o zmierzchu, wkrótce po tym, jak Osferth z rodzinami przyjechali do wioski, choć nazywanie Alencestre wioską było na wyrost. Zbudowano je u zbiegu dwóch rzek i dwóch dróg, w miejscu, gdzie Rzymianie wzniesli dwa forty. Starszy fort, z wałami z ziemi porośniętymi ciernistymi krzewami, stał na wzgórzu na południe od rzek. Nowszy wzniesiono u zbiegu rzek i właśnie tam czekał Osferth. Prócz zrujnowanych murów fortu stało tam kilka chałup, do tego dwór, stodoła i kilka obór. Dwór należał do Duńczyka, który poległ pod Teotanheale, a jego skonfiskowane włości Aethelred podarował kościołowi.

– Biskup Wulfheard modli się, by powstał tutaj klasztor – powiedział mi zarządca.

– Jeszcze jeden? Nie ma ich już dość?

Alencestre musiało mieć dla Rzymian duże znaczenie, ponieważ wszędzie w forcie człowiek natykał się na ruiny ich domostw. Teraz porastały je bluszcz i pokrzywy, choć zarządca uprzątnął dom pozbawiony

dachu.

- Biskup powiedział, że powinniśmy urządzić tu kościół – wyjaśnił.
- Lepiej naprawcie mury obronne – stwierdziłem.
- Myślisz, panie, że Duńczycy wrócą? – spytał niespokojnie zarządca.
- Duńczycy zawsze wracają – warknąłem.

Odpowiedziałem tak po części z powodu złego humoru, a częściowo dlatego, że zarządca był jęklwym człowieczkiem, który zakazał nam dobierania się do zapasów jedzenia i ale, twierdząc, że należały do biskupa Wulfhearda. Wcześniej byłem gotów zapłacić za wszystko srebrem, teraz jednak postanowiłem, że po prostu zabiorę wiktuały, a biskup może się wypchać.

Na pozostałościach murów fortu rozstawiłem strażę. Zmierzch okrywał przemoczoną krainę, deszcz wreszcie ustawał. W komnacie buzował wielki ogień, w stodole rozpaliliśmy drugi. Z wałów obserwowałem powódź w ostatnim świetle dnia. Pod przęsłami rzymskiego mostu zebrały się śmieci naniesione przez nurt, woda pieniała się tam, przelewała po obu stronach kamiennej drogi na moście. Uznałem, że jeśli Eardwulf nas ścigał, będzie musiał przekroczyć ten most, dlatego postawiłem tam sześciu strażników i kazałem wznieść toporną barykadę z belek stropowych wyrwanych z obór. Prześladowcy musieli być równie zmęczeni, przemoczeni i zmarznięci jak my. Zapowiadała się noc czarna jak smoła, a w takiej ciemności nie podróżowało się bezpiecznie.

- Czy Aethelred naprawdę umarł? – Osferth dołączył do mnie na wałach.
- Tak twierdzi Aelfwynn.
- Już wcześniej słyszeliśmy tę plotkę.
- Według mnie to prawda – oznajmiłem. – Ale spróbują to utrzymać w tajemnicy tak długo, jak się da.
- Czyli Eardwulf może poślubić Aelfwynn?

Przytaknąłem. Ingulfrid, kobieta Osfertha, przysłała za nim, więc przywołałem ją gestem dłoni. Życie jest skomplikowane – myślałem. Ingulfrid wyszła za mego kuzyna, kolejnego Uhtreda, syna mojego wuja, który zajął Bebbanburg. Kiedy nie udało mi się zdobyć tej twierdzy, Ingulfrid wolała zostać z nami. Jej syn był z nią, ale Osferth odesłał chłopca do jego ojca. Wolałem poderżnąć gardło małemu bękartowi, ale oddałem jego życie w ręce Osfertha, ten zaś okazał wielkoduszność.

– Eardwulf musi nas szybko znaleźć – stwierdził Osferth. – Nie może zbyt długo przechowywać ciała Aethelreda. Wkrótce zaczną cuchnąć.

– Ma tydzień – oceniłem.

Osferth patrzył na południe. Z dziennego światła już prawie nic nie zostało, za rzeką majaczył ciemny kształt wzgórza.

– Ilu ludzi przyślą?

– Wszystkich, jakich mają.

– Czyli ilu? – spytała Ingulfrid.

– Dwustu? Trzystu?

– A ilu my mamy?

– Czterdziestu trzech – odparłem niewesoło.

– To za mało, żeby utrzymać fort – zauważył Osferth.

– Możemy ich zatrzymać na moście, ale gdy tylko poziom wody opadnie, przeprawią się w górze rzeki – odrzekłem.

– Czyli jutro ruszamy dalej?

Nie odpowiedziałem, bo właśnie zdałem sobie sprawę z własnej głupoty. Wcześniej uważałem Brice'a za tępego nieprzyjaciela, teraz jednak dorównałem mu pod względem tępoty i dałem Eardwulfowi wszelką przewagę, jakiej potrzebował. On nie był durniem, podobnie jak Aethelhelm – na pewno wiedzieli, dokąd zmierzam. Mogłem udawać, że jadę

do Cirrenceastre, oni jednak z pewnością domyślili się, że zamierzam dołączyć do Aethelflaed. Nie musieli jechać za mną drogą do Alencestre. Wystarczyło, że ruszą szybszą drogą wzdłuż granicy walijskiej i zaczają się, podczas gdy ja posłusznie powędruję dłuższą i wolniejszą trasą przez środek Mercji. Sześciu strażników przy moście nie strzegło niczego, ponieważ Eardwulf nas nie ścigał – pospieszy na północ, drogą biegnącą na zachód od nas. Jego tropiciele będą nas wypatrywać i z pewnością nas zauważą, a wówczas Eardwulf poprowadzi swoich ludzi na wschód, by zagrozić nam drogę.

– Panie? – spytał niespokojnie Osferth.

– On nie nadciągnie z południa, ale stamtąd. – Wskazałem ręką.

– Z zachodu? – zdumiał się Osferth.

Nie wyjaśniłem mu własnej głupoty. Mogłem składać ją na karb bólu, ale była to marna wymówka. Osfertha, rodziny, Aethelstana i jego siostrę posłałem tą drogą, aby uchronić ich przed włóczącymi się Walijszykami, ale w ten sposób posłałem ich prosto w zasadzkę.

– Przybędą z zachodu, chyba że zatrzyma ich powódź – powiedziałem z goryczą.

– Zatrzyma nas – stwierdził niepewnie Osferth, wpatrzony w mokrą ciemność.

– Powinieneś pójść do dworu, panie – zwróciła się do mnie Ingulfrid. – Zmarłeś i przemokłeś.

Poza tym jestem też pewnie pokonany – pomyślałem. Oczywiście, że Eardwulf mnie nie ścigał. Nie miał takiej potrzeby! Znajdował się przede mną, wkrótce zajędzie mi drogę i weźmie sobie Aelfwynn za żonę. Zacząłem się zastanawiać, czy stoję po właściwej stronie w tym sporze, ponieważ Eardwulf, nawet jako mąż Aelfwynn, nigdy nie zostałby panem Mercji. Tron z pewnością przypadłby w udziale Edwardowi, Eardwulf zaś zostałby jego

narzędziem, namiestnikiem. Może Aethelflaed pochwaliłaby koronację brata na króla Mercji, ponieważ przybliżyłoby to ziszczenie marzenia ich ojca.

Alfred marzył o zjednoczeniu Sasów. Oznaczało to wypędzenie Duńczyków z północnej Mercji, Anglii Wschodniej, w końcu także z Northumbrii. Wówczas cztery królestwa stałyby się jednym, powstałby Englalund. Przetrvanie Mercji od lat zależało od Wessexu, czemuż więc król Wessexu nie miałby sięgnąć po koronę? Trzy królestwa są lepsze niż cztery, trzem łatwiej scalić się w jedno, czy zatem przejawiałem głupi upór? Może Aethelflaed nie uznawała Eardwulfa, swojego odwiecznego wroga, ale może podniesienie jego pozycji stanowiło cenę, którą warto zapłacić za przybliżenie się do marzenia Englalandu?

Następnie odrzuciłem ten pomysł. Uznałem bowiem, że nie to zamyślał Edward. Niewątpliwie pragnął on zostać królem Mercji, ale czy za cenę życia pierworodnego syna? Czy Edward życzył sobie śmierci Aethelstana? Szczerze w to wątpiłem. Wszystko to była robota pana Aethelhelma: chciał usunąć Aethelstana, aby jego wnuk mógł zostać królem Wessexu, Mercji, a jeśli spodoba się to bogom wojny, także królem Englalandu. Aethelstan był mi bliski jak rodzony syn i córka, a teraz przywiodłem go do tego unurzanego w błocie fortu w sercu Mercji, a nieprzyjaciel znajdował się dalej na północy, odcinając chłopca od ludzi Aethelreda, którzy byli jego jedyną szansą na przeżycie.

– Panie? – spytał Osferth.

– Do dworu – powiedziałem. – Idziemy się modlić.

Albowiem byłem głupcem.

Ciszę nocy przerwał grzmot. Około północy deszcz, który o zmierzchu osłabł, znowu lunął, i padał do świtu. Syczący, przenikliwy, ostry deszcz.

– Będziemy musieli zbudować arkę, panie – powiedział do mnie ojciec

Kutbert tuż przed brzaskiem.

Stałem w drzwiach komnaty i słuchałem bębniącego o strzechę deszczu.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – spytałem.

– Każdy z was pachnie inaczej. – Kapłan namacał framugę drzwi. – Poza tym mruczałeś – dodał, opierając się o filar.

– Naprawdę?

– Nazywałeś siebie przeklętym durniem – mówił kapłan z rozbawieniem. – Zazwyczaj to mnie tak nazywasz.

– Bo nim jesteś.

Ojciec Kutbert zwrócił ku mnie ociemniałą twarz.

– Co zrobiłem tym razem?

– Dałeś ślub Edwardowi i jego dziewczynie z Kentu – powiedziałem. – To była cholerna głupota.

– W ten sposób uchroniłem go od grzechu.

– Grzechu! Twierdzisz, że chędożenie dziewczyny to grzech?

– Nikt nie mówił, że życie jest sprawiedliwe.

– Twój bóg wprowadza dziwne zasady.

Ojciec Kutbert zwrócił twarz na deszcz. Na wschodzie dostrzegłem mokrą szarą linię: pierwsze, słabe światło dnia.

– Deszcz – powiedział, jakbym nie zauważył.

– Powódź – warknąłem.

– Widzisz? Potrzebna nam arka. Tchórze.

– Tchórze?

– Mogę zrozumieć owce – wyjaśnił ojciec Kutbert. – Noe bez trudu mógł znaleźć parę owiec czy parę krów. Ale jakim cudem przekonał parę tchórzy, żeby weszły do arki?

– Myślisz, że to naprawdę się wydarzyło? – spytałem z uśmiechem. – Ta

historia z potopem?

– O tak, panie. Bóg osądził niegodziwy świat.

– Wobec tego ktoś musiał postąpić bardzo niegodziwie, skoro spowodował ten deszcz – stwierdziłem lekko, wpatrując się w ulewę.

– Nie ty, panie – powiedział lojalnie ojciec Kutbert.

– Dla odmiany – dodałem.

Ojciec Kutbert miał rację. Potrzebowaliśmy arki. Powinienem był rozkazać Osferthowi zabrać rodziny z dobytkiem nad Tamizę i znaleźć łódź. Potem podążylibyśmy za nimi. Podróż do Ceasteru zajęłaby mnóstwo czasu, ale na morzu pogoń by nam nie groziła. Jeszcze lepiej byłoby mieć łódź na Saefern, na południe od Gleawecestre, ale od czasu mojej walki z Kanutem czułem się zbyt słaby, by choćby myśleć o takich sprawach.

– Czyli jedziemy dalej, panie? – spytał ojciec Kutbert tonem sugerującym, że ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, był kolejny dzień trudnej podróży w deszczu.

– Nie jestem pewien, czy damy radę – odparłem. Przeszedłem po mokrej trawie, wspiąłem się na niski wał i ujrzałem, że fort zamienił się niemal w wyspę. W szarym świetle świtu widziałem tylko wodę. Rzeki wystąpiły z brzegów, ale deszcz nie ustawał. Patrzyłem, jak robi się coraz jaśniej, potem usłyszałem miauczący odgłos, odwróciłem się i zobaczyłem, że ojciec Kutbert przyszedł za mną, a teraz stał, zagubiony, po kostki w wodzie, macając wokół siebie laską. – Co ty robisz? – spytałem. – Jesteś ślepy, więc po co tu przyszedłeś?

– Sam nie wiem – przyznał żałośnie.

Wciągnąłem go na skruszały wał.

– Nie ma tu nic do oglądania – powiedziałem. – Tylko woda.

Ojciec Kutbert wsparł się na lasce, zwracając puste oczodoły na północ.

– Słyszałeś o Świętym Longinie? – zapytał.

– Nie.

– Czasem nazywa się go Longinusem – dodał, jakby to miało pobudzić moją pamięć.

– Co takiego robił? Wygłaszał kazania dla tchórzy?

– Nic mi o tym nie wiadomo, panie, chociaż może to robił. Longinus był ślepym żołnierzem, który wbił włócznię w bok naszego Pana, gdy ten wisiał na krzyżu.

– Po co ślepemu żołnierzowi włócznia?

– Nie wiem. Ale tak się właśnie stało.

– Mów dalej – powiedziałem. Nudziły mnie opowieści o świętych, o tym, jak wieszali płaszcze na promieniach słonecznych, ożywiali zmarłych, robili cuda-niewidy. Żeby uwierzyć w takie rzeczy, musiałbym zobaczyć choć jeden z cudów, ale chciałem zrobić przyjemność ojcu Kutbertowi. Lubiłem go.

– Longinus nie był chrześcijaninem – mówił kapłan. – Kiedy jednak wbił włócznię w bok naszego Pana, krew spryskała mu twarz i odzyskał wzrok! Był uzdrowiony! Wtedy on również został chrześcijaninem.

Uśmiechnąłem się w milczeniu. Deszcz padał pionowo, ani krztyny wiatru.

– Longinus został uzdrowiony, ale został też przeklęty – ciągnął ojciec Kutbert. – Zranił naszego Zbawiciela i na mocy klątwy nie mógł nigdy umrzeć.

– To rzeczywiście klątwa – stwierdziłem ze współczuciem.

– On nadal żyje, panie. Codziennie odnosi śmiertelną ranę. Może nawet z nim walczyłeś! Może to ty zadałeś mu śmiertelną ranę tamtego dnia. Longinus co noc kładzie się, by umrzeć, ale ma obok siebie włócznię, którą ugodził naszego Pana, i ona go uzdrawia.

Pojąłem, że ojciec Kutbert opowiedział mi tę historię, bo chciał mi pomóc. Milczałem, wpatrując się w nieliczne wzgórki sterczące nad wodami. Na jednym z takich wzniesień było zbiło się w gromadę. Pod wałami dostrzegłem utopione jagnię, wrony już zaczynały szarpać runo. Ojciec Kutbert zwrócił ku mnie ociemniałą twarz. Zrozumiałem jego opowieść, ale mimo to zapytałem:

– Co sugerujesz?

– Broń, która zadała ranę, może ją uleczyć, panie.

– Ale włócznia Longinusa nie zraniła Longinusa – zauważyłem.

– Longinus ranił sam siebie, kiedy jego włócznia przeszła bok Chrystusa, panie. Zranił nas wszystkich. Zranił całą ludzkość.

– To mętna historia – stwierdziłem. – Został chrześcijaninem, ale jest przeklęty? Codziennie umiera, a mimo to żyje? Jego włócznia go uzdrawia, chociaż go nie raniła?

– Panie – błagał ojciec Kutbert. – Znajdź miecz, który zadał ci ranę. On może cię uzdrowić.

– Lodowa Furia? – spytałem.

– Musi gdzieś być!

– O, z pewnością gdzieś jest – odparłem. Przypuszczałem, że jeden z ludzi Kanuta zabrał miecz z pola bitwy. – Ale jak mam go znaleźć?

– Nie wiem – przyznał Kutbert. – Wiem tylko, że musisz go znaleźć. – Mówił żarliwie, a ja wiedziałem, że jego słowa wypływają z lojalności.

Nie on pierwszy sugerował, że miecz, który mnie ranił, może mnie uleczyć, wierzyłem w to, ale jak miałem znaleźć to konkretne ostrze w całej Brytanii? Miecz Kanuta znajdował się w rękach wroga, który za jego pomocą zadawał mi ból. Istniały zaklęcia, czary mogące tego dokonać. To była starodawna magia, starsza niż chrześcijaństwo Kutberta, sięgająca początków czasu.

– Poszukam tego miecza, przyjacielu – obiecałem. – A teraz chodź, nie musisz stać na deszczu.

Zaprowadziłem ojca Kutberta do komnaty.

Deszcz nie ustawał.

Podobnie jak nieprzyjaciel.

Powódź nas uwięziła. Wozy, które Osferth sprowadził z Fagranfordy, nie mogły jechać dalej, przynajmniej dopóki woda nie opadnie, a nie chciałem ich porzucać. Na tych wozach znajdował się cały nasz dobytek. Zresztą choćby udało się nam przedrzeć przez wodę na wyżej położone tereny, na otwartej przestrzeni dogoniliby nas jeźdźcy, którzy, o czym wiedziałem, nas tropili. Lepiej pozostać w rzymskim forcie, gdzie, na razie, nic nam nie groziło. Powódź oznaczała, że nieprzyjaciel mógł się do nas zbliżyć jedynie od północy. Nie mogli nas oskrzydlić.

Jednak pozostawanie na miejscu wiązało się z niebezpieczeństwem, że wrogowie nas znajdą, a po opadnięciu wody ruszą na nas ze wschodu, zachodu i północy, dlatego posłałem trzech młodych ludzi na wschód. Początkowo musieli galopować na północ rzymską drogą na wale, ale i tak woda będzie im sięgać powyżej strzemion, zanim dotrą do niskich wzgórz i skręcą na wschód. Trzej posłańcy mieli za zadanie znaleźć ludzi popierających Aethelflaed.

– Przekażcie im, że Aethelred nie żyje, a Eardwulf próbuje zostać panem Mercji – powiedziałem im. – Poproście ich też, żeby przysłali tu ludzi.

– Wszczynasz bunt – zauważył oskarżycielskim tonem Osferth.

– Przeciwno komu? – spytałem wyzywająco.

– Przeciwno Aethelredowi? – odparł po chwili wahania.

– On nie żyje.

– Nie wiemy tego.

– Co więc według ciebie mam zrobić? – Zadałem mu to samo pytanie co w Cirrenceastre i tym razem również nie znał odpowiedzi. Osferth nie występował przeciwko mnie, ale podobnie jak jego ojciec przestrzegał prawa. Wierzył, że bóg wesprze słuszną sprawę. Osferth cierpiał jednak straszliwe katusze sumienia, usiłując odkryć, co było słuszne, a co nie. Jego zdaniem słuszną była zazwyczaj sprawa wspierana przez Kościół. – Powiedzmy, że Aethelred nadal żyje – naciskałem. – Czy to daje mu prawo, by pomagać Aethelhelmowi i zniszczyć Aethelstana?

– Nie – przyznał Osferth.

– Czy ma prawo wydać Aelfwynn za Eardwulfa?

– Ona jest jego córką. Może rozporządzać jej losem wedle uznania.

– A jej matka nie ma nic do powiedzenia.

– Aethelred jest panem Mercji – powiedział Osferth. – Ale nawet gdyby nim nie był, mąż jest głową rodziny.

– To dlaczego obracasz żonę innego? – spytałem. Biedak zrobił strasznie nieszczęśliwą minę i pomyślałem, że musi cierpieć katusze, rozdarty między miłością do Ingulfrid a dezaprobatą ukrzyżowanego boga. – Jeśli jednak Aethelred umarł, co to oznacza dla Aethelflaed? – Zadałem mu inne pytanie, by nie musiał odpowiadać na pierwsze.

Osferth wyraźnie się zżymał. Aethelflaed była jego przyrodnią siostrą, lubił ją, ale jednocześnie prześladowały go nakazy jego śmiesznego boga.

– Zgodnie ze zwyczajem wdowa po władcy wstępuje do klasztoru – powiedział cicho.

– Chcesz tego dla niej? – spytałem gniewnie.

– Co innego może zrobić? – odparł wymijająco.

– Mogłaby zająć miejsce męża – podsunąłem.

- Miałaby władać Mercją? – Osferth otworzył szeroko oczy.
- Przychodzi ci do głowy ktoś lepszy?
- Przecież kobiety nie rządzą!
- Aethelflaed dałaby sobie radę.
- Ale... – zaczął i umilkł.
- Jest ktoś lepszy? – naciskałem.
- Jej brat?
- Edward! A jeżeli Mercja nie chce podlegać Wessexowi?
- Już mu podlega – zauważył Osferth, co było prawdą, chociaż wszyscy udawali, że jest inaczej.

– Kto byłby lepszym władcą? Twój przyrodni brat czy przyrodnia siostra? – przyciskałem go do muru.

Osferth milczał chwilę, ale on zawsze mówił prawdę.

- Aethelflaed – przyznał w końcu.
- Powinna władać Mercją – oświadczyłem zdecydowanym tonem.

By to się stało, musiałem jednak trzymać jej córkę z dala od łóża małżeńskiego Eardwulfa. Jedynie tak mogłem nie dopuścić do połknięcia Mercji przez Wessex.

Plan ten wydawał się mało realny, ponieważ przed południem, gdy deszcz wreszcie osłabł, z zachodu nadjechali jeźdźcy. Najpierw tylko jeden, na małym koniku, którego zatrzymał na wzgórzu nad zalaną przez wodę doliną. Popatrzył na nas, odjechał, ale chwilę później na horyzoncie pojawiło się sześciu konnych. Potem kolejni, dziesięciu czy dwunastu, trudno było stwierdzić, ponieważ rozciągnęli się od wzgórza, badając dolinę w poszukiwaniu dogodnego miejsca do jej przekroczenia.

- Co teraz będzie? – spytała moja córka.
- Nic nam nie mogą zrobić, póki powódź się utrzyma – odrzekłem.

Dzięki rozlewiskom do fortu dało się dotrzeć tylko jedną, wąską drogą, a ja miałem dość ludzi, by ją obsadzić.

– A kiedy powódź ustąpi?

– Wtedy zaczną się kłopoty – odparłem, krzywiąc się.

Stiorra podała mi woreczek z jagnięcej skóry. Przyjrzałem się mu, ale nie wziąłem.

– Gdzie to znalazłaś? – spytałem.

– W Fagranfordzie.

– Sądziłem, że spłonął razem z całą resztą. – Tak wiele straciłem, gdy Duńczycy puścili z dymem moje domy.

– Znalazłam go wiele lat temu, zanim Wulfheard spalił komnatę. Chcę się nauczyć ich używać.

– Nie umiem – powiedziałem.

Wziąłem woreczek i rozwiązałem go. W środku znajdowały się dwa tuziny smukłych, wypolerowanych patyczków olchowych, nie dłuższych niż przedramię. Patyczki runiczne należały do matki Stiorry. Mogły przewidywać przyszłość, a Gisela umiała je odczytywać, ja jednak nigdy nie zgłębiłem tego sekretu.

– Czy Hella to potrafi?

– Nigdy się nie nauczyła – odparła Stiorra.

Oddałem córce smukłe patyczki, przypominając sobie, jak Gisela z nich wróżyła.

– Sigunn cię nauczy – powiedziałem.

Była moją kobietą, podobnie jak służka Stiorry wziętą do niewoli pod Beamfleot. Znajdowała się w grupie kobiet i dzieci, które dotarły aż tutaj z Osferthem.

– Sigunn umie wróżyć? – spytała z powątpiewaniem Stiorra.

– Trochę. Mówi, że trzeba ćwiczyć. Ćwiczyć i śnić. – Wsunąłem patyki z powrotem do woreczka i uśmiechnąłem się markotnie. – Patyczki przepowiedziały kiedyś, że zostaniesz matką królów.

– Czy tak wywróżyła matka?

– Owszem.

– A patyczki nie kłamią?

– Nigdy nie okłamały twojej matki.

– Wobec tego tamci nie mogą nas skrzywdzić. – Stiorra skinęła głową na jeźdźców w dolinie.

A jednak mogli. Z pewnością zrobiliby to natychmiast po opadnięciu wody, a my niewiele mogliśmy poradzić. Posłałem ludzi po ale do zatopionej wioski, inni rozebrali oborę, żebyśmy mieli czym palić, ale czułem, jak nieprzyjaciel zacieśnia krąg wokół nas. Po południu deszcz przeszedł w słabą mżawkę, smaganą zimnym wschodnim wiatrem, a z wałów widziałem po wszystkich stronach jeźdźców. Kiedy nad rozlewiskiem zapadł zmierzch, na północnych wzgórzach ujrzałem szereg koni i ludzi. Jeden z nich trzymał proporzec, ale tak przemoczony, że zwisał luźno i nie sposób było go odczytać.

Tej nocy niebo na północy rozświetliły ogniska. Przestało padać, choć co pewien czas w ciemności atakował wściekły, zimny deszcz. Posłałem zwiadowców na samotną północną drogę, ale nikt nie próbował się do nas dobierać w ciemności. Z pewnością zadawalali się czekaniem, wiedząc, że gdy wody opadną, staniemy się łatwym kąskiem. Moi ludzie zerkali na mnie w blasku ognia buzującego we dworze. Czekali na cud.

Sigunn, moja kobieta, uczyła Stiorrę wróżyć z run, ale wiedziałem, że Sigunn nie w pełni je rozumie. Właśnie rzuciła patyczki, razem z moją córką przyglądały się ich układowi, lecz nie wiedziały, co oznacza. Domyślałem się, że nic dobrego, ale nie potrzebowałem run, by przewidzieć przyszłość.

Rano nieprzyjaciel zażąda dwóch rzeczy: Aethelstana i Aelfwynn. „Oddajcie ich, to damy wam spokój”. Ale jeśli odmówię?

Finan również to wiedział.

– A więc? – zapytał, kucając obok mnie.

– Chciałbym to wiedzieć.

– Nie zechcą z nami walczyć.

– Zrobią to, jeśli będą musieli.

– Będzie ich cała chmara – przytaknął Finan.

– Wydam Aelfwynn za Uhtreda – powiedziałem. – Ojciec Kutbert może udzielić im ślubu.

– Owszem, możesz to zrobić – odparł Finan. – W ten sposób zachęcisz Eardwulfa do zabicia twojego syna. Aelfwynn owdowieje. Eardwulf nie będzie miał nic przeciwko poślubieniu wdowy, jeśli w ten sposób zdobędzie Mercję.

Finan miał rację.

– W takim razie weźmiesz sześciu ludzi i zabierzesz stąd Aethelstana – oświadczyłem.

– Oni nas otaczają – zauważył Finan.

– Jutro, pod osłoną nocy – poleciłem.

Finan ponownie skinął głową, ale wiedział równie dobrze jak ja, że nasze wysiłki są daremne. Spróbowałem i poniosłem klęskę. Swoich ludzi, z kobietami, rodzinami i całym dobytkiem przywiodłem do tego zalanego wodą fortu w środku Mercji, a nieprzyjaciel oblegał nas ze wszystkich stron. Gdybym cieszył się zdrowiem, gdybym był tym Uhtredem, który poprowadził ludzi przeciwko Kanutowi, nieprzyjaciel odczuwałby niepokój, ale doskonale wiedział, że jestem słaby. Kiedyś wzbudzałem w innych lęk, teraz sam się bałem.

– Jeśli przeżyjemy, chcę odnaleźć Lodową Furię – powiedziałem do Finana.

– Bo może cię uzdrowić?

– Tak.

– Uczyni to – zapewnił.

– Ale jak? – spytałem ponuro. – Miecz ma jakiś zatracony Duńczyk. Skąd mam wiedzieć gdzie?

Finan popatrzył na mnie i pokręcił głową.

– Duńczyk?

– A kto inny?

– To nie może być Duńczyk. – Zasepił się. – Zjechałeś ze wzgórza na spotkanie Kanuta, który podjeżdżał pod górę.

– Tyle pamiętam.

– Walczyliście na otwartej przestrzeni. Obok was nie było żadnych Duńczyków. Kiedy go zabiłeś, Duńczycy dali dyla. Dotarłem do ciebie jako pierwszy.

Tego akurat nie pamiętałem, ale w zasadzie z tamtej walki przypominałem sobie jedynie ostrze Kanuta wbijające się znienacka w mój bok oraz swój krzyk, gdy podrzynałem mu gardło.

– Duńczycy nie mogli zabrać jego miecza, ponieważ nawet nie zbliżyli się do ciała Kanuta – mówił Finan.

– Kto więc go zabrał?

– My. – Finan marszczył czoło. – Kanut leżał na ziemi, ty na nim, jego ostrze w twoim ciele. Odciągnąłem cię, wyszarpnąłem miecz, ale go nie zachowałem. Bardziej martwiłem się o ciebie. Potem szukałem miecza, ale zniknął. Jeszcze później całkiem o nim zapomniałem.

– Czyli on tutaj jest? – spytałem cicho, mając na myśli, że broń jest

gdzieś w saskiej Brytanii. – Kto jeszcze był z tobą?

– Chryste! Z tego wzgórza schodzili wszyscy. Nasi, Walijszycy, ojciec Pyrlig, ojciec...

– Ojciec Judasz – dokończyłem za niego.

– Oczywiście! – zapewnił Finan. – Martwił się o ciebie. – Ojciec Judasz. Człowiek, który niegdyś był moim synem. – On by cię nie skrzywdził, panie – powiedział żarliwie.

– Już to uczynił – odparłem gniewnie.

– To nie on.

Ktokolwiek jednak to zrobił, zwyciężył. Znalazłem się w pułapce. O brzasku zobaczyliśmy, że powódź ustępuje. Woda pieniała się pod rzymskim mostem, gdzie ugrzęzły drzewa i gałęzie, droga po obu stronach nadal była zalana, a potok powstrzymywał przybyłych na południowych i zachodnich zboczach przed wtargnięciem do fortu. Najwięcej ludzi zgromadziło się jednak na północ od nas. Ci wojownicy mogli ruszyć rzymską drogą, a na niskim wzniesieniu nad zalanymi łąkami naliczyłem ich co najmniej stu pięćdziesięciu. Kilku spięło konie i pogalopowało przed siebie, ale zrezygnowali z próby dotarcia do nas, gdy woda sięgnęła im powyżej strzemion. Teraz zadowalali się czekaniem, chodzili tam i z powrotem na horyzoncie lub po prostu siedzieli na najbliższym zboczu i patrzyli w naszą stronę. Dostrzegłem czarne sutanny księżowskie, ale w przeważającej mierze byli to wojownicy, których zbroje i hełmy połyskiwały szaro na tle zachmurzonego nieba.

Przed południem woda ustąpiła z prawie całej drogi, wzniesionej na wysokości kilku piędzi nad polami. Tuzin jeźdźców zjechało ze wzgórza: dwóch kapłanów, dwóch chorążych, resztę stanowili zbrojni. Na większym proporcu widniał biały koń Aethelreda, mniejszy przedstawiał świętego z krzyżem.

- Mercja i Kościół – stwierdził Finan.
- Żadnych Sasów zachodnich – zauważyłem.
- Posłali Eardwulfa, żeby wykonał za nich brudną robotę?
- To on ma najwięcej do zyskania i najwięcej do stracenia.

Zaczerpnąłem tchu, przygotowując się na ból, po czym wlałem na siodło. Osferth, Finan i mój syn już siedzieli na koniach. Nasza czwórka przysposobiła się do walki, ale w odróżnieniu od ludzi nadciągających z północy nie mieliśmy tarcz.

- Zabieramy proporzec? – zapytał mój syn.
- Nie schlebiaj im – warknąłem i spiąłem konia.

Brama do fortu znajdowała się nad wodą, ale już po kilku jardach konie brodziły po pęciny. Oddaliłem się osiemdziesiąt–dziewięćdziesiąt kroków od fortu, potem ściągnąłem lejce i czekałem.

Na czele ludzi z Mercji jechał Eardwulf. Jego śniadą, posępną twarz okalał hełm zdobiony srebrnymi wężami. Na polerowanej kolczudze nosił biały płaszcz obsyty gronostajowym futrem, skórzaną pochwę jego miecza zdobiły srebrne pasy. Na szyi miał ciężki złoty łańcuch ze złotym krzyżem wysadzonym ametystami. Po obu stronach Eardwulfa dostrzegłem dwóch kapłanów na mniejszych koniach. Przemoczone czarne sutanny zwisały luźno na strzemionach. To byli Ceolnoth i Ceolberht, bliźniacy, którzy jakieś trzydzieści lat wcześniej dostali się razem ze mną do duńskiej niewoli. Podczas gdy ja pogodziłem się z tym losem, bliźniacy znienawidzili wszystkich pogan. Mnie również darzyli nienawiścią, zwłaszcza Ceolberht, bo wybiłem mu zęby kopniakiem, dzięki temu teraz przynajmniej mogłem ich odróżnić. Większość jeźdźców zatrzymała się w odległości pięćdziesięciu kroków, ale Eardwulf z bliźniakami podjechali i stanęli tuż przed nami na zalanej drodze.

- Przywożę wiadomość od króla Edwarda – odezwał się bez powitania

Ceolnoth. – Mówi, że musisz...

– Przywiozłeś swoje pieski, żeby czekały za ciebie? – zwróciłem się do Eardwulfa.

– Mówi, że musisz wrócić do Gleawecestre. – Ceolnoth podniósł głos. – Razem z młodym Aethelstanem i królewską siostrzenicą Aelfwynn.

Przez chwilę przyglądałem się całej trójce. Ostry podmuch wiatru przyniósł nieco kropli, ale deszcz ustał niemal natychmiast. Spojrzałem w niebo z nadzieją, że znów się rozpada, ponieważ im dłużej utrzymywała się powódź, tym więcej miałem czasu, lecz chmury się przerzedzały. Finan, Osferth i mój syn patrzyli na mnie, czekając na moją odpowiedź dla Ceolnotha, ja jednak zawróciłem konia.

– Wracamy – powiedziałem.

– Panie Uhtredzie! – zawołał Eardwulf.

Spiałem konia i pogalopowałem. Gdyby nie ból, roześmiałbym się głośno. Eardwulf zawołał ponownie, ale już go nie słyszeliśmy, wjeżdżając do fortu.

– Niech sobie łamią nad tym głowę – powiedziałem.

Eardwulf będzie zdezorientowany. Miał nadzieję, że sprawdzi moje zdecydowanie, może nawet liczył, że usłucham rozkazów saskiego króla, ale to, że nie chciałem nawet rozmawiać, sugerowało, że szykowałą się walka, co, jak wiedziałem, nie było po jego myśli. Liczebnością przewyższał mnie nawet trzykrotnie, ale nie mógł uniknąć poważnych strat, a nikt nie chciał stawać do walki przeciwko takiemu wojownikowi jak Finan. Eardwulf nie mógł być nawet pewien, czy jego ludzie staną do walki – wielu z nich służyło pod moimi rozkazami i niechętnie ruszyliby na moje tarcze. Przypomniałem sobie brodacza przy bramie w Gleawecestre. Pochodził z Mercji, stał po stronie Aethelreda i Eardwulfa, a mimo to uśmiechnął się, wyraźnie ucieszony moim widokiem. Takich ludzi niełatwo było przekonać do walki

przeciwko mnie. Sam Eardwulf, choć cieszący się sławą wojownik, nie wzbudzał w swoich ludziach lojalności. Nikt nie opowiadał o jego podbojach, o przeciwnikach, których powalił w walce oko w oko. Zręcznie dowodził, ale pozwalał, by inni brali na siebie ponury obowiązek rzezi, dlatego też jego wojowie nie byli mu oddani. Inaczej niż w przypadku Aethelflaed oraz, śmiem twierdzić, mnie samego.

Kiedy zsiadałem z konia, Eardwulf wciąż na nas patrzył. Po pewnym czasie zawrócił wierzchowca i wyjechał z powrotem na suchą ziemię. W miarę opadania wody ukazywało się coraz więcej terenu, a po południu nadeszły dalsze złe wieści. Do Eardwulfa dołączyło więcej ludzi. Przybyli z północy i domyślałem się, że były to szukające nas patrole, które odwołano. O zmierzchu na niskim wzniesieniu stało już ponad dwustu ludzi, jako że woda niemal całkowicie ustąpiła.

– Zaatakują o świcie – powiedział Finan.

– Niewykluczone – przyznałem.

Część ludzi Eardwulfa może nie będzie skora do walki, ale im więcej ich się zbierało, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo ataku. Niechętni wojownicy staną w drugim szeregu, mając nadzieję, że ci z przodu wezmą na siebie największy ciężar. Kapłani spróbują wzniecić w nich święte oburzenie, ale Eardwulf obieca grabież. Musiał zaatakować. Stało się dla mnie jasne, że Edward i Aethelhelm nie chcieli uczestniczyć w tej walce. Po Mercję mogli sięgnąć, kiedy tylko chcieli, za to Eardwulf mógł utracić dziedzictwo po Aethelredzie. Jeśli poniesie klęskę, Sasi zachodni odstawią go na bok, dlatego musiał zwyciężyć. Uderzy o świcie.

– A jeśli zaatakuje w nocy? – spytał mój syn.

– Nie robi tego – zapewniłem. – Będzie zupełnie ciemno, musieliby brnąć w wodzie, zabłądziliby. Może wyśle forpocztę, żeby nas nękała, ale rozstawię zwiadowców na drodze.

Po rozebraniu dwóch ostatnich obór, zdobywszy w ten sposób opał, rozpaliliśmy ogień na wałach. W ich świetle Eardwulf mógł widzieć, jak moi zwiadowcy się krzątają, ale chyba nie wiedział, że rozstawiłem ludzi blisko niego: żadnemu nic się nie stało. Nie musiał podejmować ryzyka nocnego ataku, skoro miał dość ludzi, by ruszyć na mnie o świcie.

Tuż przed brzaskiem na niebie rozbłysła gwiazda. Zimny wschodni wiatr w końcu rozpędził chmury. Rozważałem posłanie Osfertha z czterema dziesiątkami jeźdźców za most, ponieważ na południowym brzegu stało mniej nieprzyjaciół. Zamierzałem wysłać z nimi Aethelstana, jego siostrę i Aelfwynn z poleceniem, by galopowali na wschód, do Londynu, sam zaś chciałem stawić czoło Eardwulfowi, on jednak uprzedził mój ruch. Wraz z pierwszym światłem dnia zobaczyłem czekających na nas czterdziestu jeźdźców. Tam woda prawie całkiem ustąpiła. Słońce oświetlało mokry świat. Pola były w połowie połaciami zieleni, w połowie płytkimi rozlewiskami. Znad odległego morza przyleciały mewy i stadnie przycupnęły na mokradłach.

– Szkoda – powiedziałem do Finana, wskazując ludzi blokujących most.

Finan i ja siedzieliśmy na koniach przy bramie starego fortu.

– Szkoda – przyznał.

To los – pomyślałem – tylko los. Sądzimy, że panujemy nad własnym życiem, ale bogowie igrają z nami jak dzieci słomianymi lalkami. Myślałem o tym, ile razy zastawiałem zasadzki na wrogów, o radości, z jaką narzucałem swoją wolę nieprzyjaciołom. Wróg sądzi, że ma wybór, potem stwierdza, że nie ma żadnego, a teraz sam znalazłem się w pułapce. Eardwulf otoczył mnie, przewyższał mnie liczebnie, przewidział mój jedyny rozpaczliwy ruch: ucieczkę przez most.

– Wciąż jeszcze jest czas, by wydać Aelfwynn za twojego syna – stwierdził Finan.

– Sam powiedziałaś, że w ten sposób zachęciłbym Eardwulfa do zabicia go i poślubienia wdowy.

Słońce rzucało długie cienie na mokre pola. Na północnym grzbiecie widziałem ludzi Eardwulfa dosiadających koni. Teraz trzymali tarcze i broń.

– Chodzi mi o Aethelstana – powiedziałem i odwróciłem się, by spojrzeć na chłopca, który patrzył na mnie odważnie.

Jest stracony – pomyślałem. Eardwulf w mgnieniu oka poderżnie mu gardło. Przywołałem młodzieńca do siebie.

– Panie? – Podniósł na mnie wzrok.

– Zawiodłem cię – powiedziałem.

– Nie, panie, nic podobnego.

– Milcz, chłopcze i posłuchaj. Jesteś synem króla, najstarszym synem. W naszych prawach nie ma mowy o tym, że pierworodny syn musi zostać następnym królem, ale aetheling ma najbardziej uzasadnione roszczenia do tronu. Powinieneś zostać królem Wessexu po swoim ojcu, ale Aethelhelm chce, by na tronie zasiadł twój przyrodni brat. Rozumiesz?

– Oczywiście, panie.

– Przysięgałem, że będę cię ochraniał, ale zawiodłem – mówiłem. – Za to, królewiczu, cię przepraszam.

Gdy nazwałem go królewiczem, Aethelstan zamrugał. Nigdy wcześniej nie zwracałem się do niego jak do monarchy. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale słowa go zawiodły.

– Mam teraz wybór – ciągnąłem. – Mogę walczyć, ale nieprzyjaciół jest więcej i tej bitwy nie sposób wygrać. Do południa polegnie tu setka ludzi, a ty dostaniesz się do niewoli. Zamierzają wysłać cię za morze do klasztoru, a po dwóch–trzech latach, gdy zostaniesz zapomniany, zabiją cię.

– Tak, panie – wyszeptał.

– Drugie wyjście to kapitulacja. – Wymawiając to słowo, poczułem w ustach gorycz żółci. – Jeśli się poddam, zachowam życie i pewnego dnia będę mógł stanąć do walki. Popłynę do Neustrii, odnajdę cię i uratuję.

Ta obietnica była równie trwała jak tchnienie w zimowy poranek, ale co innego mogłem powiedzieć? Eardwulf przypuszczalnie poderżnie chłopcu gardło i zrzuci winę na mnie – myślałem ze smutkiem. To będzie jego dar dla Aethelhelma.

Aethelstan popatrzył na jeźdźców na odległym wzgórzu.

– Czy oni darują ci życie, panie? – zapytał.

– A zrobiłbyś to na miejscu Eardwulfa? – odparłem.

– Nie – powiedział poważnie, kręcąc głową.

– Będziesz dobrym królem – stwierdziłem. – Oni zechcą mnie zabić, ale jednocześnie nie uśmiecha się im walka ze mną. Eardwulf nie ma zamiaru tracić połowy ludzi, więc pewnie puści mnie żywego. Upokorzy mnie, ale przeżyję.

Mimo to nie zamierzałem łatwo kapitulować. Przynajmniej mógłbym go przekonać, że walcząc ze mną, straci ludzi – w ten sposób mogłem liczyć na lepsze warunki kapitulacji. Wszystkie kobiety i dzieci posłałem tam i kazałem im czekać na mokradłach w zakolu rzeki, na południe od fortu. Wojownicy osłonili ich murem tarcz, ciągnącym się od jednego brzegu rzeki do drugiego. Dzięki temu Eardwulf mógł zaatakować jedynie od frontu, co trochę zrównywało szanse, choć miał taką przewagę liczebną, że nie mogłem nawet marzyć o zwycięstwie. Wystarczyło, że go zatrzymam. Przecież posłałem trzech młodych ludzi po pomoc – może nadejdzie? Albo Thor zstąpi z Asgardu i rzuci się z młotem na moich wrogów?

Finan i ja czekaliśmy na koniach przed murem tarcz. Ludzie za nami, podobnie jak ich rodziny, stali po kostki w wodzie. Nasze konie i dobytek nadal pozostawały w forcie. Nad rzekę przywiozłem jedynie łupy: skórzane

torby ze srebrem i złotem. Wszystko, co miałem, i prawie wszyscy, których kochałem, znajdowali się w pułapce w zakolu rzeki.

Norny, te trzy wiedźmy pod drzewem decydujące o naszym życiu, śmiały się ze mnie. Dotknąłem młota na szyi. W miarę jak słońce wędrowało coraz wyżej, mgiełka podniosła się znad zalanych pól. Za rzeką zabeczało jagnię.

Eardwulf ruszył w dół zbocza na czele zbrojnych.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Eardwulf nadjechał w pełnej zbroi, w rynsztunku, w wypolerowanym hełmie z wężami. Pod jego siodłem leżała szkarłatna derka ze złotymi frędzlami, które sunęły po wodzie. Na tarczy widniał tańczący koń Aethelreda, a ja zastanawiałem się, jak długo jeszcze ów symbol będzie zdobił wierzbowe deszczułki. Kiedy Eardwulf poślubi Aelfwynn i zostanie dziedzicem ziem oraz majątku Aethelreda, z pewnością znajdzie sobie własne godło. Co nim będzie? Na jego miejscu wziąłbym proporzec z wilczym łbem, zanurzył go we krwi, na górze zaś umieściłbym krzyż na znak, że mnie pokonał. Zostałby Eardwulfem Zdobywcą – i nagle ujrzałem oczyma wyobraźni, jak zostaje panem nie tylko Mercji, ale może całej Brytanii. Czy Edward i Aethelhelm wiedzieli, jaką żmiję wykarmili na swojej piersi?

Wyrd bið ful āræd. Los jest nieuchronny. Otrzymujemy władzę, po czym ją tracimy. Byłem ranny, starzałem się, opadałem z sił i widziałem nowego człowieka, nowego pana, który budził lęk, gdy na czele swych ludzi szedł przez zalane pola, płosząc mewy. Ponad dwustu jeźdźców rozciągnął w tyralierę na podmokłych łąkach. Wszyscy w rynsztunku wojennym, w hełmach, z tarczami. Ostrza włóczni połyskiwały we mgle rozpraszonej przez wschodzące słońce. Za Eardwulfem ciągnęli kapłani, trzymający się blisko dwóch chorążych niosących proporzec Aethelreda z koniem oraz proporzec Świętego Oswalda z jednorękim szkieletem dzierżącym czerwony krzyż.

– Jest z nimi kobieta – zauważył Finan.

– To musi być jego siostra – powiedziałem.

Eadith była kochanką Aethelreda. Ponoć ambicją i przebiegłością dorównywała bratu, a teraz przybyła niewątpliwie po to, by rozkoszować się smakiem zwycięstwa, tym słodszy, że to ja miałem zostać pokonany. Nienawidzono mnie, dobrze o tym wiedziałem. Po części sam ponosiłem winę: jestem arogancki. Tak jak Eardwulf miał wkrótce napawać się zwycięstwem, sam napawałem się nim nieraz w ciągu życia. Na tym świecie wygrywają najsilniejsi – i muszą też się liczyć z niechęcią. Poza tym jestem poganinem, a chociaż chrześcijanie uczą, że należy miłować nieprzyjaciół, niewielu tak czyni.

– Gdybyś mógł ponownie przeżyć życie, co byś zrobił inaczej? – spytałem Finana.

– To osobliwe pytanie. – Rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Odpowiedz.

– Zabiłbym młodszego brata – warknął, wzruszając ramionami.

– W Irlandii?

– A gdzie indziej?

Finan nigdy nie opowiadał o tym, co wyгнаło go z Irlandii, ale w jego głosie brzmiała gorzycz.

– Dlaczego? – spytałem, lecz nie odpowiedział. – Może powinniśmy tam pojechać?

Finan uśmiechnął się do mnie niewesoło.

– Pragniesz śmierci? – zapytał, po czym spojrzał na nadciągających jeźdźców. – Wygląda na to, że twoje pragnienie się ziści. Zamierzasz z nimi walczyć?

– Tylko tym mogę im zagrozić.

– Owszem, ale czy zamierzasz?

– Wiesz dobrze, że nie rzuca się gróźb na wiatr.

– To prawda – przytaknął Finan. Obserwował ludzi Eardwulfa, prawą dłonią gładząc rękojeść miecza. – A co ty zrobiłbyś inaczej? – spytał po chwili.

– Lepiej opiekowałbym się dziećmi.

– Masz dobre dzieci – stwierdził z uśmiechem. – Lepiej pozostań przy życiu, żeby o nie zadbać, a to oznacza, że nie będziesz walczył w pierwszym szeregu.

– Nie zamierzam... – zacząłem.

– Nie masz dość sił! – powiedział z naciskiem. – Stań w drugim szeregu, a ja zarżnę tego skurwysyna, zanim mnie zabiją.

– Chyba że zabiję go pierwszy – dorzucił mój syn. Nie zdawałem sobie sprawy, że do nas dołączył, i poczułem zażenowanie tym, co przed chwilą wyznałem. – Ale wiem jedną rzecz o Eardwulfie: nigdy nie walczy w pierwszym szeregu – ciągnął Uhtred. Poluzował Kruczy Dziób w pochwie i przytknął do ust krzyż wiszący na szyi. – Będziemy musieli wyrąbać sobie drogę do niego.

– Ty i ja – dodał Finan.

– Zrobimy to – warknął Uhtred, wyraźnie uszczęśliwiony.

Nieprzyjaciel przewyższał nas liczebnością, mojemu synowi groziła śmierć i hańba, a nie posiadał się ze szczęścia.

Patrzyliśmy, jak Eardwulf z siostrą i kapłanami zbaczą z drogi i przejeżdżają przez podmokłe pola do zakola rzeki, gdzie czekaliśmy. Eardwulf uniósł rękę, jeźdźcy zatrzymali się o sto kroków od nas, ale on sam z najbliższymi towarzyszami przemierzył płyciznę i stanął dziesięć kroków przed nami.

– Panie Uhtredzie – pozdrowił mnie. Głos miał stłumiony przez srebrny hełm, niemal całkowicie zasłaniał mu usta.

– Masz oddać... – zaczął ojciec Ceolnoth.

– Milczeć! – warknął władczo Eardwulf.

Kapłan spojrział na niego zdumiony, ale zamilkł.

Eardwulf odsunął hełm z twarzy.

– Przyjechaliśmy zabrać młodego Aethelstana i panią Aelfwynn z powrotem do Gleawecestre – mówił cicho, rozważnie.

– Królewicza Aethelstana powierzono opiece pani Aethelflaed. Zabieram go do niej, podobnie jak jego siostrę.

– Mąż pani Aethelflaed postanowił inaczej – oświadczył Eardwulf.

– Pani Aethelflaed nie ma męża.

Moje słowa zbiły go z pantałyku, ale szybko odzyskał rezon.

– Słuchasz plotek, panie Uhtredzie.

– Pan Aethelred nie żyje – powiedziałem.

– Żyje – odparł szorstko Eardwulf, ja jednak przyglądałem się jego siostrze i wiedziałem, że to prawda.

Była śliczna. Chciałem jej nienawidzić, ale jak można nienawidzić tak pięknej kobiety? Nic dziwnego, że zdobyła majątek i władzę. Wiedziałem, że jest córką tana z południowej Mercji, człowieka bez wielkiego majątku czy pozycji, ale została kochanką Aethelreda, dzięki czemu zarówno ona, jak i jej brat zdobyli wielkie wpływy. Wobec pogłosek o jej przebiegłości i ambicji spodziewałem się kogoś szorstkiego, jednak blada twarz Eadith skrzyła się inteligencją, w zielonych oczach połyskiwały łzy. Intensywnie rude włosy niemal w całości zakrywała gronostajowa czapa, pasująca do białej opończy narzuconej na suknię z jasnozielonego lnu.

– Czy nie powinnaś być w żałobie, pani? – zwróciłem się do niej.

Nie odpowiedziała, spojrziała tylko na wschód, gdzie słońce oświetlało pozostałości po powodzi. Odbite światło tańczyło na jej twarzy.

– Zdrowie pana Aethelreda nie jest twoją sprawą – powiedział Eardwulf. – Życzy sobie, aby jego córka i chłopak do niego wrócili.

– Ja zaś życzę sobie zabrać ich do pani Aethelflaed – odparłem.

Eardwulf się uśmiechnął. Przystojny drań, bardzo pewny siebie. Przeniósł wzrok na stojących za moimi plecami ludzi w murze tarcz.

– W tej chwili, panie Uhtredzie, moje życzenie ma większą moc niż twoje.

Oczywiście miał rację.

– Chcesz się przekonać? – spytałem.

– Nie – odparł z zaskakującą szczerością. – Nie chcę stracić dwudziestu czy trzydziestu ludzi, przy czym rannych byłoby znacznie więcej. Nie chcę też widzieć, jak wszyscy twoi giną. Chcę tylko chłopca i jego siostrę oraz panią Aelfwynn.

– A jeśli ich wydam? – spytałem.

– Będą bezpieczni – skłamał.

– I tak po prostu odjedziesz?

– Niezupełnie – odpowiedział i znów się uśmiechnął.

Bliźniacy Ceolnoth i Ceolberht wpatrywali się we mnie groźnie. Bardzo chcieli się włączyć, ale Eardwulf spokojnie kontrolował całą sytuację. Jego siostra wciąż patrzyła na wschód, lecz nagle odwróciła głowę i spojrzała na mnie ze smutkiem. Lubiła mojego kuzyna? Czy może opłakiwała upadek swojej władzy? Jako faworyta Aethelreda zdobyła majątek i wpływy, ale teraz jej przyszłość zależała od ambicji brata.

– Niezupełnie – powtórzył Eardwulf, zmuszając mnie, abym znów na niego spojrzał.

– Niezupełnie? – spytałem.

Koń Eardwulfa gwałtownie rzucił łbem, więc uspokoił go, gładząc

umięśnioną szyję dłonią w rękawicy.

– Nikt cię nie lekceważy, panie Uhtredzie – mówił. – Jesteś największym wojownikiem naszych czasów. Oddaję ci cześć. – Przerwał, jakby oczekiwał odpowiedzi, ja jednak tylko na niego patrzyłem. – Gdybym po prostu cię puścił, pewnie próbowałbyś uratować młodego Aethelstana. Może także panią Aelfwynn? – dodał pytająco, ale ja wciąż milczałem. – Dlatego oddasz mi całą broń i wszystkie konie, przekażesz mi też syna i córkę jako zakładników. Zagwarantuję twoje dobre zachowanie.

– Zostaniesz wygnany! – Ojciec Ceolnoth nie mógł się dłużej powstrzymać. – Zbyt długo kalasz chrześcijańską ziemię!

Eardwulf pohamował gniew kapłana gestem dłoni.

– Jak mówi ojciec Ceolnoth, musisz opuścić Wessex i Mercję – powiedział wyważonym tonem.

– Coś jeszcze? – warknąłem. Serce mi zamarło.

– To wszystko, panie – odparł Eardwulf.

– Spodziewasz się, że oddam ci swój miecz? – spytałem gniewnie.

– Zostanie ci zwrócony w swoim czasie.

– Chcesz królewicza Aethelstana, królowną Eadgyth, panią Aelfwynn, mojego syna i córkę?

– Przysięgam na krzyż, że twoim dzieciom włos z głowy nie spadnie, dopóki będziesz się trzymał z dala od Mercji i Wessexu.

– Chcesz też zabrać naszą broń i konie – ciągnąłem.

– Potem otrzymasz je z powrotem.

– W swoim czasie. – Splunąłem.

– Jezu – szepnął Finan.

– A jeśli nie spełnię twoich żądań? – spytałem.

– Wówczas historia twego życia będzie mieć tutaj swój kres, panie

Uhtredzie.

Udałem, że rozważam jego warunki. Długo to trwało. Ojciec Ceolnoth zniecierpliwił się i dwukrotnie próbował zabrać głos, ale Eardwulf go uciszył. Czekał przekonany, że zna moją odpowiedź, pewien też, że jest mi ona nie w smak. W końcu skinąłem głową.

– Wobec tego masz, czego chcesz.

– Mądra decyzja, panie Uhtredzie – stwierdził Eardwulf.

Jego siostra spojrzała na mnie, marszcząc brwi, jakbym właśnie zrobił coś nieoczekiwanego.

– Jeśli jednak chcesz dostać to, czego pragniesz, musisz ich zabrać – dodałem.

To mówiąc, zawróciłem rumaka i pogalopowałem w stronę muru tarcz. Eardwulf wołał coś za mną, ale nie dosłyszałem słów. Tarcze rozstały się, przepuszczając Finana, mego syna i mnie. Kiedy zsiadałem z konia, poczułem ukłucie bólu, ropa pociekła z krwawej rany. Bolało. Głowę w hełmie oparłem o konia, czekając, aż udręka ustąpi. Musiało to wyglądać tak, jakbym się modlił, i faktycznie to robiłem. Odyńie, Thorze, pomóżcie nam! Dotknąłem, nawet srebrnego krzyża na głowicy Oddechu Węża, pamiątki po dawnej kochance, i zmówiłem modlitwę do chrześcijańskiego boga. Wszyscy bogowie mają moc, ja zaś potrzebowałem ich wsparcia. Prostując się, ujrzałem, że Finan i mój syn zajmują miejsce w środku pierwszego szeregu. Gdyby zdołali zabić Eardwulfa, moglibyśmy obrócić tę katastrofę na swoją korzyść.

Eardwulf nadal na nas patrzył, powiedział coś do siostry, potem odwrócił się do swoich ludzi. Widziałem, jak zsiadają z koni i unoszą tarcze. Giermkowie zabrali konie, a wojownicy stanęli w szyku, szczelnie łącząc tarcze.

Stojąc w drugim szeregu, wiedziałem, że muszę się poddać. I tak

przegramy, po co więc powiększać liczbę wdów i sierot? Pewnie miałem nadzieję, że Eardwulf nie zechce walczyć albo że jego ludzie nie będą chcieli na mnie ruszyć, ale się myliłem. Co gorsza, Eardwulf dokładnie wiedział, co robić. Nie zamierzał przeciwstawić muru tarcz moim tarczom, ale zmienił formację w tak zwany kiel dzika, klin wymierzony w moją prawą flankę. Przypuścił atak na jeden koniec naszej ściany, a kiedy się przebiję, otoczy tych, którzy przeżyją, i urządzi rzeź w zakolu rzeki.

– Ruszymy na niego, gdy zaatakuje – powiedział Finan, niepostrzeżenie obejmując dowództwo. – Kiedy tylko zaczną, uderzymy w bok klina.

– Musimy dopaść Eardwulfa – dodał mój syn.

Eardwulf siedział na koniu za klinem, więc gdyby jakimś cudem udało się nam rozbić jego ludzi, mógłby uciec.

– W przeszłości już rozwaląłem kły dzika – mówił Finan, próbując wlać otuchę w serca moich ludzi. – Uderz w bok, a rozsypią się w drobny mak!

– Nie – powiedziałem cicho.

– Panie? – spytał.

– Nie mogę posyłać swoich ludzi na śmierć – wyjaśniłem Finanowi. – Czy stanę do walki czy nie, on i tak dopnie swego.

– Czyli kapitulujesz?

– A jaki mam wybór? – spytałem z goryczą.

Kusiło mnie, by pozwolić Finanowi przypuścić atak na prawy bok klina Eardwulfa. Owszem, zabilibyśmy sporo ludzi z Mercji, ale koniec końców, liczby musiały przeważyć. Nie miałem wyjścia. Kapitulacja była gorzka, haniebna, ale nie mogłem szastać życiem swoich ludzi, dobrych i lojalnych.

– Może jednak masz wybór – stwierdził Finan, a ja zauważyłem, że patrzy w kierunku północnego wzgórza. – Widzisz?

Na wzgórzu pojawili się jeźdźcy.

Zagrał róg. Melancholijny odgłos ucichł, zanim instrument zagrał po raz drugi. Eardwulf odwrócił się w siodle.

Na dalekim wzgórzu pojawiło się dwudziestu jeźdźców. Właśnie jeden z nich dał w róg. Jeźdźcy skupili się wokół proporca, ale ten z powodu braku wiatru zwisał luźno. Patrzyliśmy, jak pojawiają się trzy kolejne. Cztery chorągwie na długim grzbiecie wzgórza. Każdemu z trzech nowych chorążych towarzyszyła grupa zbrojnych jeźdźców, ale jeśli za nimi znajdowali się inni, my ich nie widzieliśmy. Widzieliśmy za to szare zbroje i słońce połyskujące na grotach włóczni i hełmach.

Eardwulf spojrzał w moją stronę, potem znowu na wzgórze. Umiał liczyć. Nie było reguły, ale jedna chorągiew oznaczała zazwyczaj stu ludzi, on zaś miał za plecami cztery chorągwie. Jeźdźcy, którzy pojawili się jako pierwsi, zawrócili i podobnie jak pozostali skryli się za zboczem, ale chorążowie zostali. Róg zagrał po raz trzeci, pośrodku grzbietu pojawili się czterej jeźdźcy, którzy, w towarzystwie tylko jednego chorążego, pogalopowali w dół zbocza w naszą stronę.

– Kim oni są? – spytał Finan.

– Kto wie? – odparłem.

Eardwulf, równie zaskoczony, spojrzał na mnie jeszcze raz, potem zawrócił konia i odjechał w kierunku drogi.

– Ludzie Aethelhelma? – podsunąłem.

Jednak gdyby Aethelhelm przysłał swoich, czemu nie zostali przy Eardwulfie? Podejrzywałem, że Aethelhelm i Edward postanowili, że pozwolą Eardwulfowi naprawić bałagan, który zrobiłem. Nie chcieli, by Sasi zachodni walczyli z Mercjanami. Lepiej pozwolić mieszkańcom Mercji walczyć między sobą.

A nadjeżdżający jeźdźcy byli właśnie ludźmi z Mercji. Chorąży wymachiwał proporcem, a we mnie serce zamarło, ujrzałem bowiem

tańczącego konia Aethelreda.

– Szkoda – powiedziałem posępnie.

Ale Finan się śmiał. Spojrzałem na niego, marszcząc czoło, potem znów przeniosłem wzrok na pięciu jeźdźców, którzy minęli Eardwulfa. Końskie kopyta rozpryskiwały wodę, tworząc pianę równie białą jak płaszcz jeźdźca na czele, aż zrozumiałem, czemu Finan się śmieje.

Jeźdźcem w bieli była Aethelflaed.

Eardwulfa minęła, jakby był nikim. W zbroi, lecz bez hełmu nie zwolniła, gdy dotarła na tyły ludzi Eardwulfa. Jechała na siwej klaczy zwanej Gast, której zabłocone nogi, brzuch i pierś świadczyły o tym, że ostro galopowała od dwóch czy trzech dni. Minąwszy mur tarcz, Aethelflaed zawróciła klacz, rozpryskując wodę. Chorążowie i trzej jeźdźcy zatrzymali konie obok swojej pani. Nie spojrzała na mnie, ja zaś do niej nie dołączyłem.

– Wracajcie do domu – zwróciła się do ludzi Eardwulfa. Wskazała ręką na południe, za fort, gdzie jego ludzie strzegli mostu. – Pojedziecie tamtędy, natychmiast.

Nikt nie drgnął. Zbrojni wpatrywali się w Aethelflaed, czekając na Eardwulfa, który podjechał do przodu.

– Twój mąż postanowił... – zaczął szorstko.

– Jej mąż nie żyje! – przekrzyczałem go.

– Twój mąż... – zaczął znowu Eardwulf.

– Nie żyje! – zawołałem jeszcze głośniejszym głosem i skrzywiłem się, bo ból przeszył mi dolne żebra.

Aethelflaed odwróciła się i spojrzała na mnie. Po wyrazie jej twarzy poznałem, że nie wiedziała o śmierci Aethelreda. Ja sam nie byłem całkiem pewien. Miałem jedynie słowo Aelfwynn, ale czułem, że dziewczyna mówiła prawdę. Aethelflaed zmarszczyła czoło i czekała na mój znak. Skinąłem głową i powiedziałem:

– On umarł, pani.

Aethelflaed uczyniła znak krzyża, po czym odwróciła się do tarcz Eardwulfa.

– Wasz pan nie żyje – zwróciła się do zbrojnych. – Pan Aethelred nie żyje. Opłakujemy go. Damy na mszę za jego duszę, którą Bóg zachowa. Teraz macie wracać do domu. Ruszajcie!

– Pani... – zaczął znowu Eardwulf.

– Kto tu rządzi? – przerwała mu gwałtownie. – Ty czy ja?

To dobre pytanie zabiło Eardwulfowi ćwieka. Gdyby odpowiedział, że rządzi Aethelflaed, musiałby ugiąć się przed jej autorytetem. Gdyby twierdził, że sam rządzi, przyznałby się do uzurpacji władzy nad Mercją. Jego słabe roszczenia do władzy zależały od małżeństwa z Aelfwynn oraz poparcia Sasów zachodnich, ale jedno i drugie wymykało mu się z rąk. Aethelflaed była siostrą króla Wessexu. Zarówno napaść na nią, jak i sprzeciw wiązały się z ryzykiem utracenia poparcia Edwarda. Eardwulf przegrał i dobrze o tym wiedział.

– Mój mąż cenił sobie wasze posłuszeństwo – mówiła Aethelflaed do ludzi za tarczami. – Życzę sobie, abyście go nie cofali. Zamierzam kontynuować dzieło męża, dopóki witan nie zdecyduje, kto ma przejąć jego obowiązki. Do tego czasu oczekuję waszego posłuszeństwa i poparcia. – Zauważyłem, że niektórzy ludzie patrzyli na nią, inni odwrócili wzrok. Ci drudzy przypuszczalnie stali za Eardwulfem, nie Aethelredem. Może jedna trzecia zbrojnych sprawiała wrażenie skrępowanych, ale większość, ze mną włącznie, odczuła ulgę. – Ty – zwróciła się do Eardwulfa – nadal będziesz dowodził moją strażą przyboczną i powiedziesz ich do Gleawecestre. Pojadę za tobą. Ruszaj!

Eardwulf się zawahał. Bez trudu czytałem w jego myślach. Ośmielał się rozważyć dobyte miecza i zaatakowanie Aethelflaed. Stał tak blisko niej! Jej

ludzie nadal przebywali na odległym wzgórzu, za daleko, by natychmiast pospieszyć na pomoc. Wszyscy ludzie Eardwulfa stali naprzeciwko mojej garstki, natomiast Aethelflaed rujnowała jego nadzieje. Eardwulf rozważał własną przyszłość. Czy poparcie Aethelhelma wystarczyłoby do obrony przed gniewem Edwarda, gdyby Eardwulf zabił Aethelflaed? Pośpiesznie wykrzywił usta, zmrużył oczy. Wpatrywał się w nią, ona patrzyła na niego. Prawa dłoń Eardwulfa powędrowała ku rękojeści miecza. Oprócz mnie dostrzegł to także Ceolnoth, który chwycił Eardwulfa za rękę.

– Nie, panie – rzekł ojciec Ceolnoth. – Nie!

– Spotkamy się w Gleawecestre – powiedziała spokojnie Aethelflaed.

Wówczas Eardwulf się odwrócił. W tej chwili cała jego przyszłość zdrząła, i przegrał. Odjechał wraz ze swymi ludźmi. Pamiętam, że patrzyłem z niedowierzaniem, czując przemożną ulgę, gdy zbrojni Eardwulfa dosiedli koni, bez słowa przejechali przez most i zniknęli na południu.

– Słodki Jezu – wyszeptał Finan.

– Pomóż mi wsiąść – powiedziałem do syna, który podsadził mnie na siodło.

Wstrzymałem oddech, aż ból ustąpił.

Aethelflaed dała znak moim ludziom, żeby ją przepuścili, i podjechała do nas.

– Czy to prawda? – spytała, nie zwracając sobie głowy powitaniem.

– Tak myślę – odparłem.

– Myślisz?

– Twoja córka usłyszała nowiny, chociaż Eardwulf im zaprzeczył.

– Jego siostra nie zaprzeczyła – wtrącił Finan. – Płakała. Była w żałobie.

– Umarł w wigilię Świętego Etelwolda, w noc przed ślubem – powiedziałem.

– To prawda, matko. – Aelfwynn dołączyła do nas, wyraźnie zdenerwowana.

Aethelflaed przeniosła wzrok z córki na Finana, potem na mnie. Skinąłem głową.

– Umarł. Chcą to utrzymać w tajemnicy, ale umarł.

– Niech Bóg da mu odpoczywanie – powiedziała Aethelflaed i się przeżegnała. – I niech Bóg mi wybaczy. – W oczach miała łzy, choć nie potrafiłem stwierdzić, czy opłakiwała Aethelreda czy własne grzechy, zresztą nie zamierzałem też o to pytać. Pokręciła głową i popatrzyła na mnie. Ponieważ miała surowy, niemal urażony wyraz twarzy, jej kolejne słowa mnie zaskoczyły. – Jak się masz? – spytała cicho.

– Oczywiście jestem obolały. I cieszę się, że przyjechałaś. Dziękuję.

– Oczywiście, że przyjechałam – rzuciła gniewnie. – Wydawać Aelfwynn za Eardwulfa! Własną córkę! – To dlatego jechała na południe. Podobnie jak ja miała na dworze Aethelreda swoich ludzi i jeden z nich pchnął wiadomość do Ceasteru, gdy tylko oznajmiono o ślubie. – Wiedziałam, że nie zdołam dotrzeć do Gleawecestre na czas, ale musiałam spróbować. Potem spotkaliśmy twoich ludzi zmierzających na północ. – Mówiła o tych, którzy w Gleawecestre blokowali ulice wozami. Wozy przypuszczalnie okazały się niepotrzebne, ponieważ Eardwulf zwlekał z pościgiem, ale ludzie powiadomili Aethelflaed, że wykradłem jej córkę z pałacu Aethelreda i jechałem na północ drogami wiodącymi przez Alencestre. – Potem wystarczyło tylko cię odszukać – dodała.

– Ilu ludzi przywiodłaś?

– Trzydziestu dwóch. Resztę musiałam zostawić do obrony Ceasteru.

– Trzydziestu dwóch? – Nie kryłem zdumienia. Spojrzałem na północ, gdzie ze wzgórza zjeżdżał niewielki oddział. Spodziewałem się setek, a była ich zaledwie garstka. – A cztery chorągwie?

– Trzy z nich były płaszczami zawieszonymi na gałęziach jesionu – wyjaśniła.

Gdyby nie sprawiało to takiego bólu, roześmiałbym się głośno.

– Dokąd teraz? – spytałem. – Z powrotem do Ceasteru?

– Ceaster! – Niemal wypluła to słowo. – Mercją nie rządzi się z Ceasteru. Jedziemy do Gleawecestre.

– Eardwulf jest przed nami – zauważyłem.

– Co z tego?

– Pozwolisz, żeby nadal dowodził twoją strażą przyboczną?

– Oczywiście, że nie.

Spojrzałem na południe, gdzie zniknął Eardwulf.

– Może powinniśmy go uwięzić.

– Jakim prawem? Z tego, co wiem, nadal dowodzi oddziałami mojego męża. Ludzie Eardwulfa mogliby stanąć w jego obronie.

– Mogliby – powiedziałem. – Wciąż jednak ma szansę. Wie, że jeśli poślubi Aelfwynn i cię zabije, zostanie władcą Mercji. W ciągu godziny zorientuje się, że ma ponad dwukrotnie więcej ludzi niż my.

– Będzie nas obserwował?

– Z całą pewnością.

Eardwulf niewątpliwie posłał zwiadowców, by obserwowali nasze ruchy.

Aethelflaed spojrzała na południe, jakby wypatrywała ludzi Eardwulfa.

– To dlaczego po prostu mnie nie zabił? – spytała.

– Ponieważ nie wszyscy jego ludzie okazaliby mu posłuszeństwo, poza tym sądził, że masz na wzgórzu dwustu–trzystu ludzi. Gdybyś miała dwie setki, sam by zginął. Ale teraz? Wie, że nie ma nic do stracenia.

– Naprawdę sądzisz, że nas zaatakuje? – spytała z niedowierzaniem, marszcząc czoło.

– Nie ma wyboru – odparłem. – Tylko dzień dzieli go od urzeczywistnienia planów. Jeden dzień i jedna noc.

– Wobec tego musisz go powstrzymać – powiedziała bez ogródek.

Ruszyliśmy na południe.

Nie wszyscy jednak pojechaliśmy w tym kierunku. Dobytek i rodziny zostawiliśmy w forcie pod opieką dwudziestu pięciu zbrojnych, którymi znowu dowodził Osferth.

– Kiedy drogi staną się przejezdne, pojedziecie dalej, do Ceasteru – powiedziałem Osferthowi.

– Do Ceasteru? – spytał zdziwiony.

– A niby dokąd?

– Chyba bezpiecznie jest wrócić do Fagranfordy?

– Jedziemy na północ – powiedziałem, kręcąc głową.

Opuszczałem południe. Pochodzę z Northumbrii, północnej krainy, gdzie harfiści grają głośno w komnatach, by ich pieśni nie zagłuszyło wycie wichrów znad zimnego morza, północnej krainy długich zimowych nocy, nagich wzgórz, stromych urwisk, krainy twardych ludzi i płytkiej ziemi. Duńczycy rozlali się na południe po całej Brytanii, wypędzając saskich władców z Northumbrii, Mercji i Anglii Wschodniej, ale teraz wracaliśmy. Mercja została prawie wyzwolona, a gdybym przeżył, zobaczyłbym, jak nasze oddziały maszerują dalej na północ, wciąż na północ, aż wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci mówiące po sasku znaleźliby się pod władzą swoich. To marzenie Alfreda stało się również moim, chociaż kochałem Duńczyków, oddawałem cześć ich bogom i mówiłem ich językiem. Dlaczego więc z nimi walczyłem? Z powodu przysięg złożonych Aethelflaed.

Nasze życie opiera się na przysięgach. Tego wieczoru, gdy jechaliśmy na

południe, zastanawiałem się, ilu ludzi ma za sobą Eardwulf. Ilu złożyło przed nim przysięgę? Ilu pozostawało bardziej lojalnych wobec Aethelreda niż wobec Eardwulfa? Ilu podniosłoby miecz na Aethelflaed? Czy Eardwulf ośmieliłby się ją zabić? Owszem, wspiał się wysoko, ale władza w każdej chwili mogła mu się wymknąć z rąk. Wcześniej zależała od przychylności Aethelreda, teraz od ślubu z jego córką. Gdyby Eardwulf tego dokonał i odziedziczył majątek po Aethelredzie, wówczas, z poparciem Sasów zachodnich, stałby się dawcą złota w Mercji, panem wszystkich ziem. Bez Aelfwynn był nikim, a gdy człowiek musi wybierać między niczym a wszystkim, wybór jest doprawdy niewielki.

– Może cię nie zabije – powiedziałem do Aethelflaed, gdy jechaliśmy na południe.

– Niby dlaczego?

– Zbyt wielu ludzi w Mercji cię kocha. Utraciłby ich sympatię.

– Co zatem zrobi? – Uśmiechnęła się ponuro. – Poślubi mnie zamiast mojej córki?

– Niewykluczone – przyznałem, choć wcześniej nie przyszło mi to do głowy. – Sądzę jednak, że każą ci pójść do klasztoru. Edward i Aethelhelm by to zaaprobowali.

Aethelflaed przez pewien czas jechała w milczeniu.

– Może mają rację – powiedziała posępnie. – Może powinnam udać się do klasztoru.

– Dlaczego?

– Jestem grzesznicą.

– A twoi wrogowie nie grzeszą? – warknąłem.

Nie odpowiedziała. Jechaliśmy przez bukowy las. Ziemia się podniosła, nie było tu rozlewisk. Daleko z przodu miałem swoich ludzi na zwiadzie i choć wiedziałem, że zwiadowcy Eardwulfa będą nas wypatrywać, miałem

pewność, że moi są lepsi. Podczas długich walk z Duńczykami wprawiliśmy się w tym rzemiośle. Powiedziałem swoim ludziom, żeby pokazali się jeźdźcom Eardwulfa, ale tamci nie powinni się domyślić, że są obserwowani, ponieważ szykowałem zasadzkę. Dotychczas Eardwulfowi udawało się mnie przechytryć, ale tej nocy miał paść moim łupem. Odwróciłem się w siodle, krzywiąc się z bólu.

– Zbliź się, chłopcze! – zawołałem do Aethelstana.

Kazałem Aethelstanowi jechać z nami. Moja córka i Aelfwynn również nam towarzyszyły. Najpierw zamyślałem odesłać dziewczęta z Osferthem, ale postanowiłem mieć je na oku. Z takimi wojownikami jak Finan znajdowały się pod dobrą ochroną, a ponadto Aelfwynn była mi potrzebna jako przynęta. Zabieranie ze sobą Aethelstana wiązało się z ryzykiem, ponieważ nieprzyjaciel prędzej zaatakuje nas niż ludzi Osfertha, ale cała ta walka dotyczyła także chłopca i chciałem, by to wiedział, widział, poczuł zapach, i przeżył. Szkoliłem go nie tylko na wojownika, ale także na króla.

– Jestem, panie – powiedział Aethelstan, dostosowując tempo konia do nas.

– Czuję twoją woń, więc nie musisz mnie informować, że tu jesteś.

– Tak, panie. – Chłopiec jechał po drugiej stronie klaczy Aethelflaed.

– Jak się nazywa ten kraj, chłopcze? – zapytałem.

Zawahał się, podejrzewając, że w pytaniu kryje się haczyk.

– Mercja, panie.

– A Mercja jest częścią czego?

– Brytanii, panie.

– Wobec tego opowiedz mi o Brytanii.

Aethelstan zerknął na ciotkę, ale Aethelflaed mu nie pomogła.

– Brytania, panie, jest krajem czterech ludów.

Odczekałem chwilę i spytałem:

– To wszystko? Więcej nie wiesz? Kraj czterech ludów? –
Przedrzeźniałem go. – Wysił się bardziej, nieopierzony młodziku.

– Na północy żyją Szkoci, którzy nas nienawidzą – mówił pospiesznie
Aethelstan. – Na zachodzie są Walijscy, którzy nas nienawidzą. Reszta
kraju jest podzielona między nas i Duńczyków, którzy też nas nienawidzą.

– Czy my nienawidzimy Walijszczyków, Szkotów i Duńczyków?

– Wszyscy oni są naszymi wrogami, ale Kościół mówi, że mamy ich
miłować.

Aethelflaed wybuchnęła śmiechem.

– Czy w takim razie ich miłujesz? – spytałem, marszcząc czoło.

– Nienawidzę ich, panie.

– Wszystkich?

– Może nie Walijszczyków, ponieważ są chrześcijanami i dopóki siedzą
w swoich górach, dopóty możemy nie zwracać na nich uwagi. Nie wiem, jak
jest ze Szkotami, panie, ale nienawidzę ich, bo mówisz, że są gołodupcami,
kłamcami i złodziejami, a wierzę w każde twoje słowo, panie. Owszem,
nienawidzę Duńczyków.

– Dlaczego?

– Ponieważ chcą nam zabrać ziemię.

– Czy my nie zabraliśmy ziemi Walijszczykom?

– Tak, panie, ale sami na to pozwolili. Powinni byli żarliwiej się modlić
i mocniej walczyć.

– Czyli jeśli Duńczycy odbiorą nam ziemię, to będzie nasza wina?

– Tak, panie.

– Jak ich powstrzymać? Modlitwą?

– Modlitwą i walką, panie.

– Jak mamy z nimi walczyć? – zapytałem. Jeden z naszych zwiadowców wrócił i zrównał się z nami. – Pomyśl nad odpowiedzią, ja tymczasem porozmawiam z Beadwulfem – powiedziałem do Aethelstana.

Beadwulf, drobny żylasty jegomość, był jednym z naszych najlepszych zwiadowców. Co prawda, był Sasem, ale na modłę duńską malował tuszem linie na twarzy. Wielu moich ludzi przejęło ten zwyczaj: zanurzali grzebień z zaostrozonymi zębami w tuszu galasowym i kreślili linie na policzkach i czołach. Uważali, że przez to budzą grozę, choć moim zdaniem budzili ją i bez owych linii.

– Znalazłeś miejsce? – zwróciłem się do Beadwulfa.

– Jest jedno, które może ci pasować, panie – przytaknął.

– Opowiadaj.

– To gospodarstwo. Nieduża izba i spora stodoła. Mieszka tam tuzin ludzi, ale nie mają palisady.

– Co jest dookoła?

– Głównie pastwiska, panie, i trochę ziemi uprawnej.

– Ludzie Eardwulfa nas obserwują?

– Trzech, panie, niezdarnych jak wołki. – Zwiadowca uśmiechnął się szeroko. – Mój pięcioletni syn lepiej by sobie poradził.

– Jak daleko jest od lasu do gospodarstwa?

– Długi strzał z łuku? Może dwa?

Nie zamierzałem zatrzymywać się na postój tak wcześnie, ale z opisu Beadwulfa wynikało, że miejsce idealnie pasuje do mojego planu.

– Jak daleko stąd?

– Godzina drogi, panie.

– Zaprowadź nas tam – rozkazałem.

– Tak, panie. – Zwiadowca pogalopował do przodu, by dołączyć do

Finana na czele.

– A więc, chłopcze, powiedz, jak mamy walczyć z Duńczykami – zwróciłem się do Aethelstana.

– Budując burhy, panie.

– Dzięki burhom ich mieszkańcy i okoliczne ziemie są bezpieczne, ale kto zdobywa ziemię? – pytałem.

– Wojownicy, panie.

– Kto dowodzi wojownikami?

– Panowie – odparł bez wahania.

– Jacy panowie poprowadzili wojowników przeciwko Duńczykom, chłopcze?

– Mój ojciec, panie? – W ustach Aethelstana zabrzmiało to jak pytanie, ponieważ wiedział, że nie jest to odpowiedź poprawna, ale rozumna.

– Gdzie z nimi walczył? – zapytałem.

– W Anglii Wschodniej, panie.

Do pewnego stopnia była to prawda. Siły Sasów zachodnich koncentrowały się w Londynie, na granicy z duńską Anglią Wschodnią, a na północ i wschód od miasta nieustannie dochodziło do starć.

– Czyli twój ojciec walczy z Duńczykami na wschodzie. Kto walczy z nimi na północy?

– Ty, panie – odparł pewnie.

– Jestem starym kaleką, ty cuchnący ptasi mózdzku. Kto walczy z Duńczykami na północy Mercji?

– Pani Aethelflaed – odpowiedział.

– Dobrze. To jest poprawna odpowiedź. Teraz wyobraź sobie, że Mercję i Wessex spotkała wielka tragedia, ponieważ właśnie zostałeś królem tych krain. Król Aethelstan, z mlekiem pod nosem, który wciąż robi w gacie,

zasiadł na tronie. Musisz prowadzić dwie wojny. Jedną przeciwko Anglii Wschodniej, drugą na północy Mercji, a nawet król nie może się znajdować w dwóch miejscach jednocześnie. Komu więc powierzyłbyś walkę na północy?

– Pani Aethelflaed – odparł bez wahania chłopiec.

– Świetnie! Zatem jako król Wessexu, może także Mercji, czy postanowiłbyś, że pani Aethelflaed powinna pójść do klasztoru jako wdowa? – Aethelstan zmarszczył czoło, zażenowany pytaniem. – Odpowiedz! – warknąłem. – Jesteś królem! Musisz podejmować takie decyzje!

– Nie, panie.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ ona walczy, panie. Tylko ty i ona walczycie z Duńczykami.

– Na tym kończy się twój katechizm – oświadczyłem. – Teraz się odpieprz.

– Tak, panie. – Aethelstan uśmiechnął się szeroko i pogalopował przed siebie.

– Nie idziesz do klasztoru – zwróciłem się z uśmiechem do Aethelflaed. – Następny król Wessexu właśnie podjął decyzję.

– O ile przeżyje – powiedziała ze śmiechem.

– O ile ktokolwiek z nas przeżyje.

Teren wznosił się łagodnie, przed nami malowały się gęste lasy przetykane gospodarstwami. Późnym popołudniem dotarliśmy do zagrody ze stodołą, którą opisywał Beadwulf, oddalonej o jakieś sto kroków od rzymskiej drogi. Nada się doskonale.

W tym miejscu postanowiłem urządzić zasadzkę.

Staremu na imię było Lidulf. Nazywam go starym, chociaż pewnie był młodszy ode mnie, ale lata kopania rowów, wycinania lasu, plewienia, orania, rąbania drewna i doglądania zwierząt uczyniły z niego siwego, pochylonego, na wpół ślepego starca. W dodatku prawie nie słyszał.

– Czego chcesz, panie?! – krzyknął.

– Twojego domu! – odkrzyknąłem.

– Trzydzieści lat – powiedział.

– Trzydzieści lat?

– Mieszkam tu od trzydziestu lat, panie!

– I przeżyjesz kolejne trzydzieści. – Pokazałem mu złoto. – To wszystko dla ciebie.

Lidulf w końcu zrozumiał. Nie był uradowany, zresztą nie oczekiwałem tego. Prawdopodobnie miał stracić pomieszczenie mieszkalne, stodołę i jeszcze sporo dobytku, ale w zamian oferowałem mu dość złota, by odbudował się z nawiązką. Lidulf, jego pyskata żona, dorosły, chromy syn oraz ośmiu niewolników mieszkali w jednej izbie wraz z trzema mlecznymi krowami, dwiema kozami, czterema świniami, a także parchatym chartem, który warczał, ilekroć któryś z nas zbliżył się do ognia. Stodoła podupadła, drewno spróchniało, strzechę porosły chwasty, ale mogliśmy tam wprowadzić konie i ukryć je przed wzrokiem zwiadowców Eardwulfa, którzy widzieli, jak wprowadzamy zwierzęta przez szerokie wrota, i pewnie zakładali, że zdejmujemy z nich siodła. Przechadzaliśmy się między dwoma budynkami. Poleciałem ludziom, by mówili głośno, śmiali się, zdjęli kolczugi i hełmy. Kilku młodych zaczęło się siłować, wzbudzając gromkie brawa i gwizdy. Pokonanych wrzucano do stawu dla kaczek.

– Mamy z tego jajka! – zawołał do mnie Lidulf.

– Jajka?

– Kacze jaja! – Stary był niezmiernie dumny ze swoich kaczych jaj. –

Lubię kacze jaja. Widzisz, panie, nie mam już zębów. Nie mogę jeść mięsa, więc jem kacze jaja i polewkę.

Dopilnowałem, by Stiorra, Aelfwynn i Aethelstan obserwowali zapasy. Beadwulf, który umiał poruszać się w lesie niczym duch, doniósł mi, że dwaj zwiadowcy Eardwulfa podglądają naszych z lasu.

– Mógłbym im wyciągnąć miecze z pochew, a nic by nie zauważyli, panie.

Trzech kolejnych zwiadowców doniosło mi, że sam Eardwulf znajdował się około dwóch mil na północ. Kiedy jego zwiadowcy powiadomili go, że znaleźliśmy miejsce na nocleg, Eardwulf się zatrzymał.

– Miałeś rację, panie. – Eadric, jeden z moich Duńczyków, potrafiący przemykać się niepostrzeżenie nie gorzej niż Beadwulf, wrócił do izby o zmierzchu. – Rozdzielili się na dwie grupy, większą i mniejszą.

– Ilu?

– Z Eardwulfem jest trzydziestu czterech, panie.

– Pozostali są niechętni?

– Wyglądają żałośnie, panie.

– Trzydziestu czterech wystarczy – stwierdziłem.

– Wystarczy na co? – zaciekała się moja córka.

Znajdowaliśmy się w izbie. Ludzie, którzy zaliczyli kąpiel w kaczym stawie, suszyli ubrania przy buzującym ogniu, do którego dołożyliśmy świeżych drew.

– Wystarczy, żeby spalić izbę.

Od dawna nie widziałem już płonącej izby, ale w ten sposób garstka ludzi może wysłać na tamten świat znacznie większą liczbę, o ile dobrze się do tego zabiorą. Nie wątpię, że to właśnie zamierza Eardwulf. Poczeka na sam środek nocy, na najciemniejszą porę, i przyniesie węgle w glinianym

garnku. Większość jego ludzi zaczął się pod drzwiami izby, kilku podejdzie od południa i rozdmucha węgle. Od silnego ognia zajmie się nawet wilgotna słoma – płomienie rozprzestrzenia się szybko, wypełniając izbę dymem i paniką. Ludzie wybiegną na dwór, prosto na czekające miecze i włócznie. Ci, którzy zostaną w środku, spłoną żywcem, przywaleni załamującym się stropem. Eardwulf ryzykował, że Aelfwynn zginie w płomieniach, ale pewnie liczył na to, że wygonimy dziewczęta jako pierwsze, dzięki czemu wpadną w jego ręce. Musiał podjąć to ryzyko, ponieważ ta ciemna noc stanowiła jego jedyną szansę. Niczym szuler przegrywający w kości chciał postawić wszystko na jeden rzut.

– Módl się – powiedziałem do Aethelflaed.

– Ja zawsze się modlę – odparła wyzywająco.

– Módl się o ciemność, o gęsty mrok – powiedziałem żarliwie. – Módl się, żeby chmury zasłoniły księżyc.

Kazałem ludziom śpiewać, śmiać się i krzyczeć. Oprócz trzech zwiadowców na skraju lasu wszyscy siedzieli w izbie, wszyscy w kolczugach, hełmach, z tarczami. Ogień połyskiwał na metalowych grotach włócznie i żłobieniach tarcz. Noc zapadła, oni śpiewali, parchaty chart wtórował, a gdy chmury, o które się modliłem, nadciągnęły, noc stała się ciemna jak ambicje Eardwulfa, aż kazałem ludziom wychodzić w małych grupach. Udali się do stajni, każdy wziął pierwszego lepszego konia i powiedli zwierzęta na południe. Kazałem im zachować ciszę, ale miałem wrażenie, że hałasują jak pijacy na ulicy o północy. Ten harmider i tak nie był pewnie zrozumiały dla ludzi Eardwulfa, którzy, jak donieśli mi zwiadowcy, zebrali się wśród drzew od północnej strony. Opuściłem izbę z Aethelflaed i dziewczętami ochranianymi przez Finana i czterech ludzi, znaleźliśmy osiodłane konie, poprowadziliśmy je za uzdy, aż mogliśmy ich dosiąść, pogalopować na południe i schronić się w ciemnym bukowym lesie.

Sihtric i pół tuzina ludzi wyprowadzili Lidulfa, jego żonę i służbę. Stara skarżyła się wniebogłosy, ale jej skrzek zagłuszał śpiew ludzi, którzy zostali w izbie.

W końcu w środku śpiewał zaledwie tuzin ludzi pod przewodem mojego syna. Wyszli jako ostatni, zawarli potężne wrota i udali się do stodoły po pozostałe konie. Nie przestawali śpiewać. Śpiew ucichł dopiero w środku nocy. Miałem nadzieję, że nasłuchujący ludzie Eardwulfa nabiorą przekonania, iż w izbie odbywa się huczna biesiada, pełna wrzasków, śpiewów, ale i śmiechu. Noc zabijania.

A my czekaliśmy wśród drzew.

Czekaliśmy. Zahuczała sowa. Zaszczekała lisica.

Czekaliśmy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W nocy czas płynie wolniej. Wiele lat temu, gdy byłem chłopcem, mój ojciec zapytał naszego kapłana, czemu tak jest. W następną niedzielę ojciec Beocca, drogi ojciec Beocca, wygłosił kazanie na ten temat. Słońce, mówił, jest szybkim światłem chrześcijańskiego boga, podczas gdy księżyc to lampa wędrująca przez mroki grzechu. Nocą wszyscy stąpamy wolniej, ponieważ nie widzimy, dlatego też noc płynie wolniej niż dzień, albowiem słońce porusza się skąpane w chrześcijańskim blasku, księżyc zaś potyka się w diabelskich mrokach. Kazanie miało dla mnie mało sensu, poprosiłem więc ojca Beocę o wyjaśnienie, on jednak walnął mnie w ucho i kazał czytać o tym, jak Święty Kutbert ochrzcił maskonury. Tak czy inaczej, nocą czas naprawdę płynie wolniej, a maskonury idą do nieba, w każdym razie te, które miały szczęście spotkać Świętego Kutberta.

- Czy w niebie są śledzie? – Pamiętam, że spytałem o to ojca Beocę.
- Nie wydaje mi się.
- To co jedzą maskonury, jeśli nie ma tam ryb?
- W niebie nikt z nas nie je. Śpiewamy pieśni na chwałę Boga.
- Nie jemy! Tylko śpiewamy?
- Na wieki wieków, amen.

Wtedy brzmiało to nudno, tak samo jak dziś, niemal równie nudno jak czekanie w ciemnościach na nieuchronny atak, który wciąż się nie zaczynał. Panowała cisza, jeśli pominąć szum wiatru w wierzchołkach drzew, odgłos sikających ludzi lub wierzgających koni. Przez pewien czas pohukiwała

sowa, potem ucichła.

W ciszy doszły do głosu wątpliwości. A jeśli Eardwulf przewidział zasadzkę? Czy w tej chwili prowadził konie przez ciemny las, aby zaatakować nas pośród drzew? Przekonywałem siebie, że to wykluczone. Chmury zgęstniały i nikt nie potrafiłby wędrować w tym lesie, nie potykając się. Tłumaczyłem sobie, że najpewniej Eardwulf zrezygnował ze swych ambicji, pogodził się z porażką, ja zaś bez powodu narażałem swoich ludzi na niewygodę i lęk.

Przeszedł nas dreszcz. Nie tylko z powodu chłodu, ale także dlatego, że nocą duchy, duszki, elfy i krasnoludy przybywają do Midgardu. Bezgłośnie wędrują w ciemności. Możesz ich nie dostrzec, nie usłyszysz ich, o ile tego nie zechcą, ale są tam, złowrogie istoty mroku. Moi ludzie milczeli trwożnie, nie z obawy przed Eardwulfem i jego wojownikami, lecz z powodu niewidzialnych rzeczy. Wraz z lękiem powróciły wspomnienia o śmierci Ragnara w straszliwym pożarze. Jako mały chłopiec drżałem z Bridą na wzgórzu, patrząc, jak wielka komnata zajmuje się ogniem, słuchałem krzyków umierających mężczyzn, kobiet i dzieci. Kjartan ze swymi ludźmi otoczyli komnatę i wycięli w pień uciekających przed ogniem, oprócz młodych dziewcząt, które mogli pojmać i wykorzystać, jak uczynili ze śliczną córką Ragnara Thyrą, zgwałconą i pohańbioną. W końcu odnalazła szczęście, poślubiając Beocę. Nadal żyła, jako zakonnica, a ja nigdy nie rozmawiałem z nią o tamtym nocnym pożarze, w którym zginęli jej rodzice. Kochałem Ragnara. Był moim prawdziwym ojcem, Duńczykiem, który nauczył mnie być mężczyzną. Zginął w tych płomieniach, ale zawsze żywiłem nadzieję, że zanim poległ, zdążył chwycić miecz, dzięki czemu trafił do Walhalli i widział, jak go pomściłem, zabijając Kjartana na północnym wzgórzu. W tym samym pożarze znalazł śmierć Ealdwulf, o imieniu tak podobnym do imienia mego obecnego wroga. Ealdwulf był kowalem

z Bebbanburga, fortu zajętego przez mego stryja, uciekł jednak stamtąd i do mnie dołączył. Właśnie Ealdwulf powołał do życia Oddech Węża na swoim potężnym kowadle.

Tylu poległych, tyle żywotów wypaczonych przez los. Oto znów zaczynaliśmy taniec. Śmierć Aethelreda rozbudziła ambicje, chciwość Aethelhelma zagrażała pokojowi, a może tylko przez zwykły upór próbowałem pokrzyżować plany Sasom zachodnim.

– O czym myślisz? – zapytała cicho Aethelflaed, niemal szeptem.

– O tym, że muszę znaleźć człowieka, który zabrał Lodową Furię spod Teotanheale.

Aethelflaed westchnęła, choć może to tylko wiatr zaszumiał wśród drzew.

– Powinieneś powierzyć się Bogu – rzuciła w końcu.

– Nie mówisz poważnie. – Uśmiechnąłem się. – Powiedziałaś tak tylko dlatego, że tak należy. Zresztą to nie jest pogańska magia. Ojciec Kutbert doradził mi, żebym odszukał miecz.

– Czasem się zastanawiam, czy jest dobrym chrześcijaninem – wyznała.

– Jest dobrym człowiekiem.

– Owszem.

– Czy dobry człowiek może być złym chrześcijaninem?

– Chyba tak.

– Czy w takim razie zły człowiek może być dobrym chrześcijaninem? – Aethelflaed nie odpowiedziała. – Tak jest w przypadku połowy biskupów, na przykład Wulfharda – dodałem.

– To bardzo sprawny człowiek.

– Ale chciwy.

– Owszem – przyznała.

– Żądny władzy, pieniędzy i kobiet – stwierdziłem.

Po chwili milczenia Aethelflaed rzekła:

– Żyjemy w świecie pokus. Niewielu jest ludzi, których diabeł nie pokalał swym dotykiem. Najusilniej diabeł pracuje nad ludźmi bożymi. Wulfheard jest grzesznikiem, ale kto z nas nim nie jest? Myślisz, że sam nie wie o swoich wadach? Że nie modli się o odkupienie? Wulfheard dobrze służył Mercji. Wprowadzał prawo, dbał o skarbiec, udzielał mądrych rad.

– Oraz puścił z dymem mój dom – dodałem mściwie. – Z tego, co nam wiadomo, spiskował z Eardwulfem, by cię zabić.

Aethelflaed puściła mimo uszu moje oskarżenie.

– Jest wielu dobrych kapłanów – powiedziała. – Karmią głodnych, opiekują się chorymi, pocieszają strapionych. Jest też wiele dobrych zakonnic!

– Wiem – odparłem i przyszli mi na myśl Beocca, Pyrlig, Willibald, Kutbert, ksieni Hild, jednak tacy mężczyźni i kobiety rzadko osiągają wysoką pozycję w hierarchii kościelnej. Prym wiodą ludzie chytry i ambitni w rodzaju Wulfhearda. – Biskup Wulfheard chce się ciebie pozbyć. Chce, by twój brat został królem Mercji.

– Czy to takie złe? – zapytała.

– Owszem, jeżeli zamkną cię w klasztorze.

– Mercja czeka na króla od trzydziestu lat – powiedziała po chwili. – Przez większość czasu władzę sprawował Aethelred, i tylko dlatego, że pozwolił mu na to mój ojciec. Teraz mówisz, że mój mąż nie żyje. Kto więc ma go zastąpić? Nie mieliśmy syna. Kto jest lepszy niż mój brat?

– Ty.

Aethelflaed długo milczała.

– Czy wyobrazasz sobie, żeby jakikolwiek ealdorman opowiedział się za prawem kobiety do rządzenia? – spytała w końcu. – Jakikolwiek biskup? Opat? Wessex ma króla, Mercja istnieje od trzydziestu lat dzięki Wessexowi,

czemu więc nie połączyć obu krajów?

– Ponieważ mieszkańcy Mercji tego nie chcą.

– Niektórzy nie chcą. Większość tego nie chce. Chcieliby niezależnej władzy, ale czy zechcą kobietę na tronie?

– Jeśli będziesz nią ty, tak. Kochają cię.

– Niektórzy. Wielu mnie nie kocha. Wszyscy uważaliby władzę kobiety za rzecz przeciwną naturze.

– Jest przeciwna naturze, śmieszna! – przyznałem. – Masz prząść wełnę, rodzić dzieci, a nie rządzić krajem! Mimo to nie ma lepszego wyboru od ciebie.

– Lub mojego brata Edwarda.

– Nie jest wojownikiem jak ty – zauważyłem.

– Jest królem – stwierdziła po prostu.

– Czyli oddasz królestwo Edwardowi? „Proszę, bracie, oto Mercja”.

– Nie – odparła cicho.

– Nie?

– Jak myślisz, po co udajemy się do Gleawecestre? Odbędzie się posiedzenie witanu, pozwolimy im wybrać.

– Sądzisz, że wybiorą ciebie?

Aethelflaed milczała dłuższą chwilę, aż wyczułem, że się uśmiecha.

– Tak – powiedziała w końcu.

– Dlaczego? – Roześmiałem się. – Dopiero co stwierdziłaś, że mężczyzna nie poprzez prawa kobiety do rządzenia, czemu więc mieliby cię wybrać?

– Jesteś może stary, schorowany, uparty i doprowadzasz ludzi do szału, ale nadal się ciebie boją – wyjaśniła. – Przekonasz ich.

– Ja?

– Tak, ty.

Uśmiechnąłem się w ciemności.

– Wobec tego dopilnujmy, żebyś przeżyła tę noc – powiedziałem i właśnie wtedy rozległ się stukot kopyta o kamień, gdzieś na polach uprawnych na północy.

Czekanie dobiegło końca.

Eardwulf zachowywał ostrożność. Drzwi izby wychodziły na północ, co oznaczało, że od jej południowej strony stała wielka drewniana ściana, dlatego przywiódł swoich ludzi na pola od południa, gdzie nie mogli ich dostrzec zwiadowcy rozstawieni przeze mnie przy drzwiach. Po pierwszym stukocie kopyta usłyszeliśmy kolejne, potem ciche pobrzękiwanie uzd, wstrzymaliśmy oddech. Nic nie widzieliśmy, słychać było jedynie konie i ludzi znajdujących się między nami a ścianą. Nagle rozbłysło światło.

Płomienie rozbłysły znacznie bliżej, niż się spodziewałem, i zdałem sobie sprawę, że Eardwulf zapalał gałęzie daleko od izby. Jego ludzie stali blisko wśród drzew, a gdy zapłonęło światło, pomyślałem, że muszą nas widzieć, jednak żaden z nich nie patrzył w pogrążony w cieniu las. Pierwsza pochodnia strzeliła wysokim ogniem, potem zapalili jeszcze sześć, jedna wiązka słomy zajmowała się od drugiej. Gdy buzowało siedem płomieni, długie uchwyty pochodni wręczono siedmiu jeźdźcom.

– Ruszajcie. – Wyraźnie usłyszałem rozkaz.

Ujrzałem, jak siedmiu ludzi z pochodniami galopuje przez pastwisko. Z trzymanyh wysoko żagwi sypały się iskry. Ludzie Eardwulfa podążyli za nimi.

Spiąłem konia, podjechałem na skraj lasu i tam stanąłem. Moi ludzie czekali ze mną, aż jasne pochodnie rzucono na dach, ludzie Eardwulfa zsiadli z koni i dobyli mieczy.

– Jeden z moich przodków przepłynął morze i zdobył skałę, na której wybudowano Bebbanburg – powiedziałem.

– Bebbanburg? – spytała Aethelflaed.

Nie odpowiedziałem, patrzyłem tylko na siedem płomieni, które wyraźnie przygasty. Przez chwilę wydawało się, że dach izby się nie zapali, ale gdy płomienie natrafiły pod wilgotną warstwę strzechy na suchszą słomę, ogień zaczął się rozprzestrzeniać błyskawicznie. Większość ludzi Eardwulfa, ukrytych przed naszym wzrokiem, utworzyło kordon wokół zamkniętych drzwi. Niektórzy zostali na koniach, a pół tuzina czuwało od południowej strony, na wypadek gdyby ktoś usiłował sforsować ścianę i uciekać.

– Co ma z tym wspólnego Bebbanburg? – zapytała Aethelflaed.

– Mój przodek nazywał się Ida Niosący Płomienie – odparłem wpatrzony w złowrogi ogień. Wzięłem głęboki wdech, wyciągnąłem Oddech Węża i krzyknąłem: – Teraz! – Mimo przeszywającego bólu powtórzyłem: – Teraz!

Eadric się nie mylił. Przy Eardwulfie stało najwyżej trzydziestu ludzi, pozostali najwyraźniej nie chcieli przykładać ręki do zabójstwa Aethelflaed. Trzydziestka wystarczyłaby, gdybyśmy zostali w izbie. Świt ukazałby żarzące się węgle i gęsty dym, Eardwulf zostałby dziedzicem Aethelreda, ale zamiast tego stał się moją ofiarą. Spiąłem konia, moi ludzie runęli z lasu i pogalopowali przez rozświetlaną płomieniami noc.

Nadzieja Eardwulfa umarła. Rzeź zaczęła się bez ostrzeżenia. Zamiast ze spanikowanymi, na wpół rozbudzonymi ludźmi uciekającymi z izby nieprzyjaciel zetknął się z kawalkadą włóczników, którzy wyłonili się z mroku. Moi ludzie zaatakowali z obu stron pomieszczenia, łącząc się przy drzwiach, i tamci nie mieli dokąd uciec. Rąbaliśmy mieczami, dźgaliśmy włóczniami. Widziałem, jak mój syn rozplątał hełm Kruczym Dziobem, krew tryskała w blasku ognia, Finan zaś wbił włócznię we wroga i zostawił ją, by dobyć miecza i poszukać kolejnej ofiary. Gerbruht zmiażdżył toporem hełm wraz z czaszką nieprzyjaciela, ani na chwilę nie przestając krzyczeć po fryzyjsku.

Rozglądałem się za Eardwulfem. Aethelflaed galopowała przede mną, więc krzyknąłem, żeby nie mieszała się do walki. Całe moje ciało przenikał ból. Zawróciłem konia, żeby ją odepchnąć, i właśnie wtedy ujrzałem Eardwulfa. Wciąż siedział na koniu. On również zobaczył Aethelflaed, pogalopował w jej stronę, za nim zaś podążyła grupa jego jeźdźców. Zajechałem mu drogę. Aethelflaed zniknęła po lewej, Eardwulfa miałem po prawej. Ciąłem go w żebra Oddechem Węża, ale nie rozerwałem kolczugi. Dołączyło do mnie więcej moich ludzi, Eardwulf ściągnął lejce i spiął konia.

– Za nim! – zawołałem.

Wszędzie panował chaos. Jeźdźcy zawracali, ludzie krzyczeli, niektórzy próbowali się poddać, a wszystko w wirze iskier i dymu. W filującym świetle trudno było odróżnić swoich od wrogów. W końcu ujrzałem, jak Eardwulf galopuje z ludźmi na otwartej przestrzeni, i pognałem za nim. Ogień rozświetlał pastwisko, kępy trawy rzucały długie czarne cienie. Moi wojowie jechali za mną, pohukując jak na polowaniu. Koń jednego z uciekinierów się potknął. Jeździec miał na głowie hełm, spod którego wysuwały się długie ciemne włosy. Obejrzał się, zobaczył, że go dopędzam, rozpaczliwie spiął konia, dobyłem Oddech Węża i wycelowałem w dół jego pleców, ale gdy wierzchowiec uskoczył, ostrze ugrzęzło w wysokim łuku siodła. Zwierzę potknęło się ponownie i tamten runął. Krzyknął. Mój koń uskoczył przed padającym rumakiem i o mały włos nie wypuściłem Oddechu Węża. Moi ludzie przemknęli tuż obok, kopyta wyrzucały w górę grudy wilgotnej ziemi, ale Eardwulf z towarzyszami znikali w lesie na północy. Zakląłem i ściągnąłem lejce.

– Dosyć! Wystarczy! – zawołała Aethelflaed, a ja odwróciłem się ku płonącemu pomieszczeniu. Sądziłem, że ma kłopoty, ale ona chciała powstrzymać rzeź. – Dość wyrzynania ludzi z Mercji! – wołała. – Przestańcie!

Tych, którzy przeżyli, spędzono razem i odebrano im broń.

Siedziałem bez ruchu, z bólem w piersiach i nisko opuszczonym mieczem. Cała izba stała w ogniu, dym, iskry i krwistoczerwony blask wypełniały noc. Finan podszedł do mnie i spytał niespokojnie:

– Panie?

– Nie jestem ranny. To tylko stary uraz.

Finan zaprowadził mojego konia w miejsce, gdzie Aethelflaed zebrała jeńców.

– Eardwulf uciekł – powiedziałem do niej.

– Nie ma dokąd – odparła. – Jest banitą.

Belka stropowa runęła, buchając płomieniami i sypiąc w niebo nowy snop iskier. Aethelflaed podjechała do czternastu jeńców stłoczonych pod stodołą. Między stodołą a izbą leżało sześć trupów.

– Zabierzcie ich i pochowajcie – poleciła, po czym spojrzała na czternastu. – Ilu z was ślubowało wierność Eardwulfowi?

Wszyscy prócz jednego podnieśli rękę.

– Po prostu ich zabij – warknąłem.

Ignorując mnie, mówiła dalej:

– Wasz pan jest teraz banitą. Jeśli przeżyje, ucieknie z kraju do pogan. Ilu z was chce mu towarzyszyć?

Nikt nie podniósł ręki. Przestraszeni jeńcy stali w milczeniu. Niektórzy byli ranni, krew płynęła z obrażeń na głowach i ramionach, gdzie spadły miecze jeźdźców, którzy zwabili ich w zasadzkę.

– Nie możesz im ufać, więc ich zabij – radziłem.

– Wszyscy pochodzicie z Mercji? – zapytała Aethelflaed.

Przytaknęli wszyscy prócz tego, który nie przyznał się do lojalności wobec Eardwulfa. Ludzie z Mercji spojrzeli na niego, on zaś się skrzywił.

– Kim jesteś? – spytała Aethelflaed, a gdy tamten się zawahał, ponagliła: – Odpowiadaj!

– Grindwyn, pani. Pochodzę z Wintanceasteru.

– Sas zachodni?

– Tak, pani.

Podjechałem do Grindwyna. Starszy, miał może trzydzieści lub czterdzieści lat, ze schludnie przystrzyżoną brodą, w drogiej kolczudze, z misternie żłobionym krzyżem na szyi. Kolczuga i krzyż wskazywały na to, że nie był awanturnikiem, którego bieda zmusiła do szukania szczęścia w szeregach Eardwulfa.

– Komu służysz? – zapytałem, a on znów się zawahał.

– Odpowiedz! – zawołała Aethelflaed.

Wciąż się wahał. Widziałem, że chętnie by skłamał, ale ludzie z Mercji znali prawdę, więc niechętnie ją wyznał:

– Panu Aethelhelmowi, pani.

– Przesłał cię, żebyś dopilnował, by Eardwulf wypełnił jego wolę? – Zaśmiałem się gorzko.

Grindwyn przytaknął, ja zaś ruchem głowy kazałem Finanowi zabrać go na bok.

– Ma być bezpieczny – poleciłem.

Aethelflaed spojrzała na pozostałych jeńców.

– Mój mąż przyznał Eardwulfowi wielkie przywileje, jednak Eardwulf nie miał prawa odbierać od was przysięgi lojalności. Służył mojemu mężowi i przysięgał mu lojalność. Mój mąż umarł, niech Bóg ma w opiece jego duszę, a lojalność, którą powinniście byli mu ślubować, teraz należy się mnie. Czy któryś z was nie chce okazać mi takiej lojalności?

Jeńcy pokręcili głowami.

– Oczywiście, że okażą ci lojalność – warknąłem. – Dranie chcą żyć. Po prostu ich zabij.

Aethelflaed ponownie nie zwróciła uwagi na moje słowa, ale spojrzała na Sihtrica strzegącego odebranej broni.

– Oddaj im miecze – rozkazała.

Sihtric zerknął na mnie, ale ja tylko wzruszyłem ramionami, więc spełniłem polecenie. Zaniósł naręczę mieczy i pozwolił, by każdy z jeńców wybrał własny. Tamci stanęli niepewnie, może sądzili, że zostaną zaatakowani, jednak Aethelflaed zsiadła z konia. Lejce oddała Sihtriciowi i podeszła do czternastu uzbrojonych mężczyzn.

– Czy Eardwulf kazał wam mnie zabić?

Tamci się zawahali. W końcu jeden ze starszych odparł:

– Tak, pani.

– No to teraz macie okazję. – Aethelflaed ze śmiechem rozłożyła ręce.

– Pani... – zacząłem.

– Zamilcz! – rzuciła, nie odwracając głowy. Do jeńców powiedziała: – Albo mnie zabijcie, albo klękniecie i ślubujcie wierność.

– Pilnuj jej! – poleciłem synowi.

– Nie zbliżaj się! – rozkazała Uhtredowi, który dobył Kruczy Dziób i ruszył w jej stronę. – Dalej! To są ludzie z Mercji, więc nikt nie musi mnie przed nimi chronić. – Z uśmiechem zwróciła się do jeńców: – Który z was dowodzi? – Gdy nie odpowiedzieli, zadała pytanie: – Wobec tego kto jest najlepszym przywódcą? – Mężczyźni szurali nogami, aż w końcu dwóch czy trzech wypchnęło przed siebie najstarszego z grupy. To on przyznał, że Eardwulf zamierzał zabić Aethelflaed. Miał twarz pokrytą bliznami, krótką brodę i bielmo na oku. W walce właśnie stracił ucho; na włosach i szyi zaschła czarna krew. – Jak ci na imię? – spytała Aethelflaed.

– Hoggar, pani.

– Chwilowo dowodzisz tymi ludźmi – oświadczyła, pokazując grupę jeńców. – Przysylaj ich do mnie kolejno, żeby złożyli przysięgę.

Stała samotnie w blasku ognia, a nieprzyjaciele jeden po drugim podchodzili, każdy z mieczem w dłoni, klękali i ślubowali jej wierność. Oczywiście żaden nie podniósł miecza, by ją zabić. Ich twarze świadczyły o tym, że całkowicie ich uwiodła, a ich śluby płynęły prosto z serca. Aethelflaed posiadała taką moc nad mężczyznami. Jako ostatni złożył przysięgę Hoggar. W oczach zalśniły mu łzy, kiedy Aethelflaed położyła swoje dłonie na jego, zaciśniętych na rękojeści miecza, i wymówił słowa wiążące jego życie z jej życiem. Aethelflaed uśmiechnęła się do Hoggara i dotknęła jego siwych włosów, jakby go błogosławiła.

– Dziękuję – powiedziała mu, a potem zwróciła się do moich ludzi: – Ci wojownicy nie są już jeńcami! Od tej chwili są moimi ludźmi, waszymi towarzyszami, którzy będą z wami na dobre i na złe.

– Ale nie on! – zawołałem, wskazując człowieka Aethelhelma, Grindwyna.

– Nie on – zgodziła się Aethelflaed, po czym znowu dotknęła głowy Hoggara. – Opatrz rany, Hoggarze – powiedziała łagodnie.

Wtedy w blasku ognia stanął piętnasty jeńiec, długowłosey jeździec, którego koń potknął się tuż przede mną. Jeździec miał na sobie długą kolczugę i misternie kutą hełm, który Eadric ściągnął mu z głowy.

Przed nami stała Eadith, siostra Eardwulfa.

O świcie pojechaliśmy do obozowiska Eardwulfa. Nie spodziewałem się tam go znaleźć, i faktycznie go nie zastałem. Reszta jego ludzi, którzy nie dołączyli do niego w nocy, siedziała wokół ognisk lub siodłała konie. Na nasz widok wpadli w panikę, niektórzy zaczęli się gramolić na siodła, ale Finan z szóstką wojów odcięli im drogę. Sam widok mieczy wystarczył, by

niedoszli uciekinierzy dołączyli do towarzyszy. Tylko nieliczni mieli na sobie kolczugi, nikt nie wyglądał na gotowego do walki, podczas gdy nasi siedzieli na koniach w pełnym rynsztunku. Zauważyłem, że kilku ludzi Eardwulfa się przeżegnało, jakby spodziewali się rzezi.

– Hoggarze! – zawołała ostro Aethelflaed.

– Pani?

– Ty i twoi ludzie będziecie mnie eskortować. Reszta – odwróciła się i spojrzała na mnie znacząco – poczeka tutaj. – Aethelflaed dawała nam znać, że nie potrzebuje ochrony przed ludźmi z Mercji, i tak jak w nocy uwiodła Hoggara i jego wojowników, tak też oczaruje resztę oddziałów Eardwulfa.

Chociaż poleciła mi zostać, podjechałem, żeby usłyszeć, co mówi. Bliźniaczy kapłani Ceolberht i Ceolnoth powitali ją, z szacunkiem pochylając głowy. Twierdzili, że powstrzymali pozostałych ludzi Eardwulfa przed przyłączeniem się do nocnej napaści.

– Powiedzieliśmy im, że jego plan jest grzeszny i spotka się z Bożą karą, pani – mówił ojciec Ceolnoth, a jego bezzębny brat bliźniak gorliwie potakiwał.

– Czy powiedzieliście im również, że grzechem było też to, że nas nie ostrzeżliście? – zapytałem głośno.

– Chcieliśmy was ostrzec, pani, ale on rozstawił strażę.

– Was dwustu na ich czterdziestu? – Zaśmiałem się.

Kapłani zignorowali moje pytanie.

– Dziękujemy Bogu za ocalenie ci życia, pani – wyseplenił Ceolberht.

– Podobnie jak podziękowalibyście swemu bogu za powodzenie Eardwulfa, gdyby zabił panią Aethelflaed – stwierdziłem.

– Dosyć! – Aethelflaed nakazała mi milczenie i znów spojrzała na bliźniaków. – Opowiedzcie o moim mężu – zażądała.

Kapłani spojrzeli po sobie z wahaniem, w końcu Ceolnoth się przeżegnał.

– Twój mąż umarł, pani.

– Tak też słyszałam – odparła, ale wyczułem ulgę na wieść potwierdzenia pogłosek. – Będę się modlić za jego duszę.

– Jak my wszyscy – zapewnił Ceolberht.

– Umarł spokojnie – dodał drugi z bliźniaków. – Z godnością i powagą przyjął ostatnie namaszczenie.

– Wobec tego mój pan Aethelred otrzyma nagrodę w niebie – powiedziała Aethelflaed, na co parsknąłem śmiechem.

Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, po czym ruszyła wraz z wojownikami z Mercji, eskortowana przez ludzi, którzy jeszcze kilka godzin temu chcieli ją zgładzić. To była straż przyboczna jej męża, najlepsi w całej Mercji, od lat jej zaprzysiężeni wrogowie i chociaż nie słyszałem, co im powiedziała, widziałem, jak przed nią klękali. Finan dołączył do mnie, wsparty na łąku siodła.

– Oni ją kochają.

– O tak.

– Co teraz?

– Teraz osadzimy ją na tronie Mercji – odparłem.

– Jak?

– A jak myślisz? Zabijając każdego drania, który się przeciwstawi.

– Ach tak. – Finan się uśmiechnął. – Czyli perswazją!

– Właśnie – zgodziłem się.

Najpierw jednak musieliśmy się udać do Gleawecestre, dokąd ruszyliśmy w sile trzystu ludzi, na czele grupy wojowników, którzy jeszcze kilka godzin wcześniej walczyli między sobą. Aethelflaed kazała rozwinąć swój proporzec obok chorągwi męża. W ten sposób informowała mijane miejscowości, że jej

rodzina w dalszym ciągu sprawuje władzę w Mercji, choć nadal nie wiedzieliśmy, czy ludzie oczekujący w Gleawecestre zgodzą się z tym roszczeniem. Ponadto zastanawiałem się, jak Edward z Wessexu zareaguje na ambicję siostry. On akurat mógł pokrzyżować jej szyki, a Aethelflaed musiała okazać mu posłuszeństwo jako królowi.

Na odpowiedzi na te pytania należało poczekać, ale po drodze rozejrzałem się za bliźniaczymi kapłanami, ponieważ sam chciałem ich o coś spytać. Gdy wjechałem między ich dwa wałachy, bliźniacy się nastroszyli, Ceolberht, któremu okaleczyłem usta, próbował pogalopować do przodu, ale chwyciłem uzdę.

– Wy dwaj byliście pod Teotanheale – powiedziałem.

– Owszem – potwierdził z rezerwą Ceolnoth.

– Wielkie zwycięstwo – dodał brat. – Dzięki Bogu.

– Zesłane panu Aethelredowi przez Wszechmogącego – dokończył Ceolnoth, próbując wytrącić mnie z równowagi.

– Czy bóg nie zesłał tego zwycięstwa królowi Edwardowi? – spytałem.

– Tak, jemu też – zapewnił pospiesznie Ceolnoth. – Bogu niech będą dzięki.

Obok Ceolnotha jechała Eadith, pilnowana przez moich dwóch ludzi. Nadal w długiej kolczudze z błyszczącym srebrnym krzyżem. Siostra Eardwulfa musiała sądzić, że dwaj kapłani są jej sojusznikami, ponieważ mocno wspierali Aethelreda. Kobieta zerkała na mnie posępnie, z pewnością zastanawiając się, co zamierzam z nią zrobić, choć prawdę mówiąc, nie miałem żadnych planów.

– Jak myślisz, dokąd pojechał twój brat? – zwróciłem się do niej.

– Skąd mam wiedzieć, panie? – odparła zimno.

– Wiesz, że jest banitą?

– Domyśliłam się – odparła wyniośle.

– Chcesz do niego dołączyć? – pytałem. – Chciałabyś zgnić w jakiejś walijskiej dolinie? Albo w nędznej szkockiej chałupie?

Eadith skrzywiła się, lecz nie odpowiedziała.

– Pani Eadith może znaleźć schronienie w świętym klasztorze – zapewnił Ceolnoth.

Uśmiechnąłem się na widok grymasu na jej twarzy.

– Może dołączy do pani Aethelflaed? – zwróciłem się do Ceolnotha.

– Zgodnie z panującym zwyczajem wdowa szuka schronienia u Boga – powiedział Ceolberht.

– Ale pani Eadith nie jest wdową – zauważyłem, pogardliwie akcentując słowo „pani”. – Jest cudzołożnicą, podobnie jak pani Aethelflaed. – Ceolnoth spojrział na mnie zaskoczony. To, co powiedziałem, nie było wielką tajemnicą, ale nie spodziewał się usłyszeć tych słów z moich ust. – Podobnie zresztą jak ja – dodałem.

– Bóg otacza opieką grzeszników – stwierdził obłudnie Ceolnoth.

– Zwłaszcza grzeszników – podkreślił Ceolberht.

– Będę o tym pamiętał, kiedy przestanę grzeszyć – zapewniłem. – Tymczasem powiedz mi, co wydarzyło się pod koniec bitwy pod Teotanheale – zwróciłem się do Ceolnotha.

Zaskoczony pytaniem, starał się udzielić jak najlepszej odpowiedzi.

– Wojsko króla Edwarda rzuciło się w pościg za Duńczykami, ale nas bardziej zajmowała rana, jaką odniósł pan Aethelred. Pomogliśmy znieść go z pola bitwy i nie widzieliśmy pościgu.

– Ale wcześniej widziałeś, jak walczę z Kanutem?

– Oczywiście.

– Oczywiście, panie – przypomniałem mu o uchybieniu.

Kapłan skrzywił się i rzekł niechętnie:

– Oczywiście, panie.

– Mnie też zniesiono z pola?

– Owszem, i dziękujemy Bogu, że przeżyłeś.

Kłamliwe ścierwo.

– Co się stało ze zwłokami Kanuta?

– Zdjęto z nich ubranie – seplenił ojciec Ceolberht. – Zwłoki spalono z ciałami innych Duńczyków. – Po krótkiej przerwie wydusił z siebie: – Panie.

– A jego miecz?

Chwila wahania, ledwie zauważalna, ale nie umknęła mojej uwadze. Zauważyłem też, że żaden z kapłanów nie patrzył na mnie, gdy Ceolnoth odpowiadał:

– Nie widziałem jego miecza, panie.

– Żaden wojownik nie wzbudzał takiego lęku w Brytanii jak Kanut – powiedziałem. – Jego miecz pozbawił życia setki Sasów. To była sławna broń. Kto ją zabrał?

– Skąd mamy wiedzieć, panie? – odciął się Ceolnoth.

– Pewnie jakiś Sas zachodni – powiedział wymijająco Ceolberht.

Dranie kłamały, ale chyba tylko pięścią mógłbym wybić z nich prawdę. Jednak jadąca niespełna dwadzieścia kroków ode mnie Aethelflaed nie pochwałała bicia kapłanów.

– Jeśli się dowiem, że mnie okłamujecie, wytnę wam cholerne jęzory.

– Nie wiemy – powtórzył dobitnie Ceolnoth.

– W takim razie powiedzcie, co wiecie – rozkazałem.

– Już mówiliśmy, panie: nic!

– Co wiecie o następnym władcy Mercji – dokończyłem pytanie. – Kto powinien nim zostać?

– Nie ty! – Ceolberht splunął.

– Posłuchaj, kawałku węzowego gówna – wycodziłem. – Nie chcę rządzić w Mercji, Wessexie ani nigdzie indziej, ponieważ moim domem jest Bebbanburg. Ale wy dwaj wspieraliście jej brata. – Skinąłem głową na Eadith, pilnie przysłuchującą się rozmowie. – Dlaczego?

Po chwili wahania Ceolnoth wzruszył ramionami.

– Pan Aethelred nie pozostawił potomka. Żaden ealdorman nie był naturalnym następcą. Omawialiśmy tę kwestię z panem Aethelhelmem, który przekonał nas, że Mercja potrzebuje silnego człowieka do obrony północnych granic. Eardwulf jest dobrym wojownikiem.

– Zeszłej nocy nie okazał się dość dobry – zauważyłem.

Bliźniacy puścili moje słowa mimo uszu.

– Postanowiono, że mógłby rządzić jako namiestnik króla Edwarda – powiedział Ceolnoth.

– Czyli w Mercji rządziłby Edward?

– Któż by inny, panie? – spytał Ceolberht.

– Panowie z Mercji zachowaliby ziemie i przywileje, ale Eardwulf dowodziłby królewską strażą przyboczną jak wojskiem w każdym starciu z Duńczykami – wyjaśnił Ceolnoth.

– A teraz, gdy Eardwulfa zabrakło? – spytałem.

Bliźniacy zastanawiali się chwilę.

– Król Edward musi rządzić bezpośrednio i wyznaczyć kogoś innego na dowódcę wojska Mercji – rzekł Ceolnoth.

– Czemu nie własną siostrę?

– Kobieta miałaby dowodzić wojownikami?! – Ceolnoth zaśmiał się gorzko. – To niedorzeczne. Kobieta ma okazywać posłuszeństwo mężowi.

– Święty Paweł zostawił nam wyraźne wskazówki! – wtórował gorliwie

Ceolberht. – W Liście do Tymoteusza pisał, że żadna kobieta nie powinna sprawować władzy nad mężczyzną. Pismo mówi to całkiem jasno.

– Czy Święty Paweł miał brązowe oczy? – zapytałem.

Zaskoczony pytaniem, Ceolnoth zmarszczył czoło.

– Nie wiem, panie. Dlaczego pytasz?

– Bo to, co mówił, to jedna wielka kupa gówna – odparłem mściwie.

Eadith zaśmiała się i niemal natychmiast stłumiła śmiech, podczas gdy świątobliwi bliźniacy gracko się przeżegnali.

– Pani Aethelflaed musi się udać do klasztoru i rozmyślać o swoich grzechach – powiedział gniewnie Ceolberht.

– Co za przyszłość otwiera się przed tobą! – zwróciłem się do Eadith.

Siostra Eardwulfa znowu się wzdrygnęła. Spiąłem konia. Ktoś wiedział, gdzie ukryto Lodową Furię. Odnajdę ten miecz.

Kiedy dotarliśmy do Gleawecestre, znowu się rozpadało. Woda zbierała się na polach, płynęła zatkanymi rynsztokami, nadawała ciemną barwę kamiennym rzymskim murom. W kolczugach, hełmach, z tarczami i wysoko uniesionymi włóczniami podjechaliśmy do wschodniej bramy. Strażnicy przepuścili nas bez problemów i w milczeniu patrzyli, jak przejeżdżamy pod łukowym sklepieniem, na chwilę opuszczając włócznie. W mieście panowała posępna atmosfera, ale może był to skutek niskich ciemnych chmur i deszczu, który ściekał ze strzech i zmywał nieczystości w kierunku Saefern. Ponownie opuściliśmy włócznie i chorągwie, aby przejechać przez bramę pałacową strzeżoną przez trzech ludzi z tarczami ozdobionymi tańczącym koniem Aethelreda. Zatrzymałem rumaka i zwróciłem się do najstarszego strażnika:

– Czy król jeszcze tu jest?

– Nie, panie, wyjechał wczoraj. – Skinąłem głową i ruszyłem dalej. – Ale królowa została, panie – dodał.

– Królowa? – spytałem, odwracając się w siodle.

– Królowa Aelflaed, panie – wyjaśnił zdeorientowany strażnik.

– Sasi zachodni nie mają królowych – pouczyłem go. Edward był królem, ale jego żonie Aelflaed odmówiono tytułu królowej. Tak było w Wessexie od zawsze. – Masz na myśli panią Aelflaed?

– Jest tutaj, panie.

Strażnik wskazał głową największą komnatę w rzymskim domu, a ja ruszyłem dalej. Córka Aethelhelma tu była? To by oznaczało, że sam Aethelhelm został w Gleawecestre. I rzeczywiście, gdy wjechałem na rozległy trawiasty dziedziniec, ujrzałem ludzi z tarczami z jego godłem skaczącego jelenia. Na innych tarczach widniał zachodniosaski smok.

– Aelflaed jest tutaj – powiadomiłem Aethelflaed. – Pewnie zajęła twoje komnaty.

– Komnaty mojego męża – sprostowała.

Popatrzyłem na saskich strażników, którzy przyglądali się nam w milczeniu.

– Dają nam do zrozumienia, że się wprowadzili i nie zamierzają się wynieść – stwierdziłem.

– Ale Edward wyjechał?

– Na to wygląda.

– Nie chce się mieszać do sporu.

– Który musimy rozstrzygnąć na naszą korzyść – powiedziałem. – To oznacza, że musisz się wprowadzić do komnat królewskich.

– Bez ciebie – dodała sucho.

– Wiem! Będę spał w stajni, ale ty nie możesz. – Odwróciwszy się

w siodle, wezwałem Raedwalda, nerwowego wojownika, który od lat służył Aethelflaed. – Pani Aethelflaed zamieszka w komnatach męża, a twoi ludzie mają jej strzec.

– Tak, panie.

– Gdyby ktokolwiek próbował jej przeszkodzić w zajęciu tych pokoi, pozwalam ci go zabić.

Na twarzy Raedwalda odmalował się niepokój, ale piękna złotowłosa wybawiła go z opresji.

– Podzielę się komnatami z panią Aelflaed – powiedziała ostro. – Nie będzie żadnego zabijania!

Odwróciłem się do bramy i przywołałem strażnika, który powiadomił mnie o wyjeździe Edwarda.

– Czy Eardwulf tutaj wrócił? – spytałem.

– Wczoraj rano, panie.

– Co robił?

– Spieszył się, panie. Po godzinie wyjechał.

– Miał ze sobą ludzi?

– Ośmiu czy dziewięciu, panie. Wyjechali razem z nim.

Odprawiłem strażnika i podjechałem do Eadith.

– Twój brat przybył tu wczoraj – rzekłem. – Wkrótce potem wyjechał.

– Modlę się o jego życie – powiedziała, kreśląc znak krzyża.

Wieści o nieudanym zamachu Eardwulfa na życie Aethelflaed nie mogły dotrzeć do Gleawecestre przed jego przybyciem, nikt więc nie podejrzewał zdrady, choć z pewnością zastanawiali się, czemu wyjechał tak pospiesznie.

– Po co tu przyjechał? – zwróciłem się do Eadith.

– A jak myślisz?

– Gdzie trzymano pieniądze?

- W prywatnej kaplicy pana Aethelreda.
- Pójdź tam i powiedz mi, czy zniknęły.
- Oczywiście, że zniknęły!
- Wiem, i ty to wiesz, ale chcę się upewnić.
- A potem? – zapytała.
- Potem?
- Co ze mną będzie?

Popatrzyłem na Eadith i poczułem zazdrość o Aethelreda.

– Nie jesteś wrogiem – stwierdziłem. – Jeśli chcesz dołączyć do brata, możesz to zrobić.

– W Walii?

– Czy tam właśnie się udał?

– Nie wiem, dokąd pojechał, ale Walia jest najbliżej – odparła, wzruszając ramionami.

– Powiedz mi tylko, czy pieniądze zniknęły, a potem możesz jechać.

Oczy Eadith błyszczały, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy to łzy czy deszcz. Krzywiąc się z bólu w zębrach, ześlizgnąłem się z siodła i poszedłem wybadać, kto rządzi w pałacu w Gleawecestre.

Nie musiałem spać w stajni, ponieważ znalazłem pokoje w jednym z mniejszych rzymskich budynków. Dom zbudowano wokół dziedzińca, a nad jedynym wejściem wisiał drewniany krzyż. Zdenerwowany rządcą wyjaśnił mi, że pokoje zajmowali kapelani Aethelreda.

- Ilu on miał kapelanów? – spytałem.
- Pięciu, panie.
- Pięciu w tym domu! Mógłby pomieścić dwudziestu!
- Wraz ze służbą, panie.

– Gdzie są teraz kapelani?
– Czuwają w kościele, panie. Jutro odbędzie się pogrzeb pana Aethelreda.
– On już nie potrzebuje kapelanów, więc dranie mogą się wynieść – oświadczyłem. – Mogą spać w stajni.

– W stajni, panie? – powtórzył nerwowo rządcą.

– Czy wasz ukrzyżowany bóg nie urodził się w stajni? – zapytałem, a on tylko spojrzał na mnie tępo. – Skoro stajnia była wystarczająco dobra dla Jezusa, jest dostatecznie dobra dla jego cholernych kapłanów. Ale nie dla mnie.

Rzeczy duchownych wynieśliśmy na dziedziniec, po czym moi ludzie wprowadzili się do pustych pomieszczeń. Stiorra i Aelfwynn dostały wspólny pokój, w którym zamieszkały ze służącymi, Aethelstan zaś miał spać pod jednym dachem z Finanem i sześcioma ludźmi. Wezwałem chłopca do pokoju, który zająłem. Z powodu pulsującego bólu w dolnych żebrach leżałem na niskim łożu. Czułem, jak z rany cieknie ropa.

– Panie? – zapytał niespokojnie Aethelstan.

– Jest tu pan Aethelhelm – oznajmiłem.

– Wiem, panie.

– Powiedz: czego on od ciebie chce?

– Mojej śmierci?

– Niewykluczone, chociaż twemu ojcu to by się nie spodobało – stwierdziłem. – Czego jeszcze może chcieć?

– Chce mnie tobie odebrać, panie.

– Dlaczego?

– Żeby jego wnuk został królem.

Skinąłem głową. Aethelstan oczywiście znał odpowiedzi na moje pytania, ale chciałem, by wcielił je w życie.

– Zuch chłopak – pochwaliłem. – Co zrobi z tobą?

– Pośle mnie do Neustrii, panie.

– I co się wydarzy w Neustrii?

– Albo mnie zabiją, albo sprzedadzą w niewolę, panie.

Zamknąłem oczy, a ból się nasilił. Ropa cieknąca z rany cuchnęła jak kloaka.

– Co zatem musisz robić? – spytałem, otwierając oczy.

– Trzymać się blisko Finana, panie.

– Nie wolno ci uciekać – powiedziałem gwałtownie. – Nie wolno ci szukać przygód w mieście. Nie wolno ci rozglądać się za dziewczyną. Masz się trzymać blisko Finana, rozumiesz?

– Naturalnie, panie.

– Może zostaniesz następnym królem Wessexu, ale nie zostaniesz nikim, jeśli zginiesz albo uprowadzą cię do klasztoru, gdzie będą cię gnoić mnisi. Dlatego masz zostać tutaj!

– Tak, panie.

– Jeśli pan Aethelhelm cię wezwie, nie usłuchasz go, ale powiadomisz mnie o tym. Teraz odejdz.

Zamknąłem oczy. Przekłęty ból, przekłęty ból, przekłęty ból. Potrzebowałem Lodowej Furii.

Przyszła do mnie po zmroku. Już spałem, a Finan albo mój służący wniósł do pokoju wysoką świecę. Kopciła, słabo oświetlając popękany, łuszczący się tynk na ścianach i rzucając dziwne cienie na sufit.

Obudziły mnie głosy za drzwiami, jeden proszący, drugi naburmuszony.

– Wpuść ją! – zawołałem i drzwi się otworzyły, przez co płomień świecy zadygotał, cienie skoczyły. – Zamknij drzwi – poleciłem.

– Panie... – zaczął człowiek pełniący straż przy drzwiach.

– Zamknij drzwi, ona mnie nie zabije. – Ból był nieznośny, więc w sumie ucieszyłybym się, gdyby to zrobiła.

Eadith się zawahała. Zdążyła się przebrać w długą suknię z zielonej wełny, przewiązaną złotym sznurem i obrębianą haftem żółtych i niebieskich kwiatów.

– Nie powinnaś być w żałobie? – zapytałem okrutnie.

– Jestem w żałobie.

– A zatem?

– Sądzisz, że byłabym mile widziana na pogrzebie? – spytała z goryczą.

– Sądzisz, że ja bym był? – zapytałem, zaśmiałem się i natychmiast pożałowałem.

– Pieniądze zniknęły – powiedziała Eadith, zerkając na mnie nerwowo.

– Jakżeby inaczej. – Skrzywiłem się z bólu. – Ile?

– Nie wiem. Dużo.

– Mój kuzyn był hojny – stwierdziłem kwaśno.

– To prawda, panie.

– Dokąd więc pojechał ten suczy syn?

– Wziął łódź, panie.

– Łódź? – zdumiałem się. – Nie miał dość ludzi, by skompletować załogę.

– Może i nie miał, ale Sella dała mu chleb i szynkę na drogę. Eardwulf poprosił ją, żeby znalazła mu łódź rybacką.

– Sella?

– Podkuchenna, panie.

– Ładna?

– Wystarczająco. – Eadith skinęła głową.

Czyli Eardwulf odpłynął, ale dokąd? Miał garstkę zwolenników i mnóstwo pieniędzy, i potrzebował schronienia. Łódź rybacka to sensowne wyjście. Ludzie Eardwulfa mogli wiosłować, wiatr by ich poniósł, ale dokąd? Czy Aethelhelm pozwoliłby mu schronić się w Wessexie? Wątpiłem w to. Eardwulf był przydatny Aethelhelmowi, tylko jeśli pozbyłby się Aethelstana, a to mu się nie udało, dlatego nie należało go szukać w Wessexie, a już na pewno nie w Mercji.

– Czy twój brat zna się na żeglowności? – spytałem.

– Nie, panie.

– A jego ludzie?

– Wątpię, panie.

Eardwulf raczej nie popłynąłby małą łodzią z Saefern do Neustrii, dlatego należało raczej brać pod uwagę Walię lub Irlandię. Przy odrobinie szczęścia Duńczycy czy Norwegowie wypatrzą jego łódź, i to będzie koniec Eardwulfa.

– Jeśli nie jest dobrym żeglarzem i jeśli go kochasz, to módl się o sprzyjającą pogodę – powiedziałem zgryźliwie, po czym uznałem, że to było grubiańskie. – Dziękuję, że mi powiedziałaś.

– Dziękuję, że mnie nie zabiłeś – odparła Eadith.

– Albo nie posłałem cię do kuchni, żebyś dołączyła do Selli.

– Za to także, panie – powiedziała z pokorą. Z powodu smrodu panującego w pokoju zmarszczyła nos. – Czy to twoja rana? – spytała, a ja przytaknąłem. – Taki sam zapach czułam, kiedy umarł mój ojciec – ciągnęła, ja jednak milczałem. – Kiedy ostatnim razem opatrywano ranę?

– Tydzień temu? Nie pamiętam.

Eadith odwróciła się raptownie i wyszła z pokoju. Zamknąłem oczy. Dlaczego król Edward wyjechał? Nie był blisko z Aethelredem, ale dziwiło mnie, że opuścił Gleawecestre przed pogrzebem. Zostawił tu Aethelhelma, swego teścia, głównego doradcę i szarą eminencję władcy Wessexu.

Przypuszczałem, że Edward pragnie zdystansować się od brudnej roboty, którą knuł Aethelhelm. Plan miał zagwarantować, że możnowładcy z Mercji mianują Edwarda władcą Mercji i nakłonią Aethelflaed, by udała się do klasztoru. Do diabła z nim. Jeszcze nie umarłem. Póki żyłem, zamierzałem walczyć za Aethelflaed.

Upłynęło nieco czasu. W nocy przepełnionej bólem czas płynął wolno, ale w końcu drzwi znów się otworzyły i wróciła Eadith z miską oraz szarpami.

– Nie chcę, żebyś czyściła mi ranę – warknąłem.

– Robiłam to już dla swojego ojca – odparła, uklękła przy łożu i odsłoniła ranę, krzywiąc się, bo cuchnęło niemilosiernie.

– Kiedy umarł twój ojciec? – spytałem.

– Po bitwie pod Fearnhamme, panie.

– Po?

– Został ranny w brzuch, panie, i żył jeszcze pięć tygodni.

– To było prawie dwadzieścia lat temu.

– Miałam siedem lat, panie, ale ojciec nie pozwalał, by opatrywał go ktokolwiek inny.

– Nawet twoja matka?

– Już nie żyła, panie. – Poczulem, jak palce Eadith rozpinają mój pas. Była delikatna. Podciągnęła mi tunikę, odklejając materiał od zaropiałej rany. – Powinno się ją czyścić codziennie, panie – powiedziała tonem wymówki.

– Byłem zajęty – odparłem, o mały włos nie dodając, że moją uwagę zaprzętało krzyżowanie planów jej przekłętogo brata. – Jak się nazywał twój ojciec? – spytałem zamiast tego.

– Godwin Godwinson, panie.

– Pamiętam go – powiedziałem zgodnie z prawdą. Szczupły mężczyzna z długimi wąsami.

– Zawsze powtarzał, że jesteś największym wojownikiem w Brytanii, panie.

– Taka opinia musiała się podobać panu Aethelredowi.

Eadith przytknęła materiał do rany. Wcześniej podgrzała wodę, więc dotyk opatrunku okazał się szczególnie miły. Przyciskając zwilżony materiał, rozmiękczała zaschnięte strupy.

– Pan Aethelred był o ciebie zazdrosny.

– On mnie nienawidził.

– To też.

– Zazdrosny?

– Wiedział, że jesteś wojownikiem. Nazywał cię brutalem. Mówił, że jesteś jak pies, który rzuca się na byka. Nie wiedziałeś, co to strach, bo nie miałeś rozumu.

– Może miał rację. – Uśmiechnąłem się.

– On nie był złym człowiekiem.

– Sądziłem, że był.

– Ponieważ byłeś kochankiem jego żony. Stajemy po różnych stronach, panie, i czasem nasza lojalność nie daje nam wyboru w kwestii opinii. – Eadith upuściła zużyty materiał na podłogę i przytknęła nowy do moich żeber. Ciepło rozpuszczało ból.

– Kochałaś go? – zapytałem.

– On mnie kochał – odparła.

– Wysoko wyniósł twojego brata.

Eadith przytaknęła. W blasku świecy rysowała się jej surowa twarz. Tylko usta miała łagodne.

- Wysoko wyniósł mojego brata, a Eardwulf jest sprytnym wojownikiem.
- Sprytnym?
- Wie, kiedy walczyć, a kiedy tego poniechać. Potrafi przechytryć wroga.
- Ale nie walcz w pierwszym szeregu – stwierdziłem pogardliwie.
- Nie każdy człowiek to potrafi, panie, ale czy ludzi walczących w drugim szeregu nazwałbyś tchórzami?
- Puszczając pytanie mimo uszu, dodałem:
- Twój brat chciał zabić mnie i panią Aethelflaed.
- To prawda.
- Uśmiechnąłem się z powodu takiej szczerości.
- Czy pan Aethelred zostawił ci pieniądze?
- Eadith oderwała wzrok od rany i po raz pierwszy na mnie spojrzała.
- Podobno w testamencie jest zapis, że dostanę pieniądze, tylko jeśli mój brat poślubi panią Aelfwynn.
- Czyli zostałaś bez grosza.
- Mam klejnoty, które podarował mi pan Aethelred.
- Na ile wystarczą?
- Na rok, może dwa – odparła markotnie.
- Ale na mocy testamentu nic ci się nie należy – stwierdziłem.
- Chyba że pani Aethelflaed okaże hojność.
- Czemu miałyby to robić? – spytałem. – Dlaczego miałyby dawać pieniądze kobiecie, która kładła się z jej mężem?
- Nie da – powiedziała spokojnie Eadith. – Ale ty tak.
- Ja dam ci pieniądze?
- Tak, panie.
- Nieznacznie się skrzywiłem, kiedy zaczęła wycierać ranę.

– Dlaczego miałbym to robić? – spytałem szorstko. – Bo jesteś ladacznicą?

– Mężczyźni tak mnie nazywają.

– Jesteś nią?

– Mam nadzieję, że nie. Ale sądzę, panie, że dasz mi pieniądze z innego powodu.

– Mianowicie?

– Wiem, co się stało z mieczem Kanuta, panie.

Byłem gotów ją pocałować, a kiedy oczyściła ranę, to właśnie zrobiłem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Obudziło mnie ostre bicie kościelnego dzwonu. Otworzywszy oczy, przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Świeca już dawno zgasła, a jedyne światło sączyło się przez szparę pod drzwiami. Był już dzień, co znaczyło, że spałem długo. Poczulem zapach kobiety, odwróciłem głowę i ujrzałem plątaninę rudych włosów. Eadith się poruszyła, zamiauczała przez sen, potem objęła mnie w pasie. Poruszyła się znowu, zaczęła się budzić, oparła mi głowę na ramieniu i zaczęła płakać.

Pozwoliłem jej na to, odliczając dwadzieścia dwa uderzenia dzwonu.

– Żałujesz? – spytałem w końcu.

Pokręciła głową.

– Nie – odparła z uśmiechem. – Nie, nie. To ten dzwon.

– Chodzi o pogrzeb? – spytałem, a ona przytaknęła. – Kochałaś go – stwierdziłem niemal oskarżycielskim tonem.

Chyba zastanawiała się nad odpowiedzią, bo odezwała się, dopiero gdy wybrzmiało kolejnych szesnaście uderzeń.

– Był dla mnie dobry.

Myśl o tym, że mój kuzyn Aethelred był dobry, wydała mi się osobliwa, ale wierzyłem Eadith. Pocałowałem ją w czoło i przytuliłem. Aethelflaed by mnie za to zabiła – pomyślałem – ale o dziwo, mało mnie to obeszło.

– Musisz iść na pogrzeb – powiedziałem.

– Biskup Wulfheard twierdzi, że nie mogę.

– Z powodu cudzołóstwa? – spytałem, na co skinęła głową. – Jeśli cudzołożnicy nie mogą uczestniczyć w pogrzebie, to kościół będzie pusty. Sam Wulfheard nie może iść!

– Wulfheard mnie nienawidzi – rzuciła Eadith i pociągnęła nosem. Zacząłem się śmiać. Żebra wciąż dawały mi się we znaki, chociaż ból stępsiał. – Co cię śmieszy?

– Mnie też nienawidzi.

– On kiedyś... – zaczęła, ale urwała.

– Co takiego?

– No wiesz.

– Naprawdę?

– Kazał mi się wyświadczyć, a potem powiedział, że udzieli mi rozgrzeszenia, tylko pod warunkiem że pokażę mu, co robiłam z Aethelredem.

– I posłuchałaś to?

– Oczywiście, że nie – odparła urażona.

– Przepraszam.

Eadith uniosła głowę i spojrzała na mnie zielonymi oczami. Patrzyła długo, w końcu opuściła głowę.

– Aelfwynn mówiła mi, że jesteś dobrym człowiekiem.

– I co na to powiedziałaś?

– Że jesteś brutalem.

– Przecież nigdy mnie nie widziałaś! – odparłem ze śmiechem.

– Tak mówiła.

– Mimo to miałaś rację, a ona się myliła – stwierdziłem.

Eadith zaśmiała się cichutko. To zawsze lepsze niż płacz.

Leżeliśmy wsłuchani w pianie kogutów.

Kiedy się ubierałem, dzwon nadal bił. Eadith obserwowała mnie spod skór. Włożyłem na siebie ubranie, w którym podróżowałem, brudne i śmierdzące, potem pochyliłem się, by ją pocałować, i przeszył mnie ból. Nie tak ostry, ale nie zniknął.

– Chodź na śniadanie – powiedziałem.

Wyszedłem na centralny dziedziniec. Znad rzeki napływała mgła, mieszając się z mżawką siąpiącą z niskich szarych chmur.

Finan, czekający na mnie na dziedzińcu, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobrze spałeś, panie?

– Wskocz do jeziora, irlandzki bękarcie – odciąłem się. – Gdzie chłopak?

– Już nie śpi. Eadric go pilnuje. – Finan spojrzął w niebo. – Niedobry dzień na pogrzeb.

– Każdy dzień jest dobry, żeby pochować Aethelreda.

– Pójdę powęszyć – oświadczył, wskazując głową bramę. – Rozejrzę się. Godzinę temu panował spokój.

Poszedłem z przyjacielem, ale cały pałac wydawał się pogrążony we śnie. Przed wielką komnatą stało kilku strażników, gęsi skubały mokrą trawę, samotny kapłan spieszył do prywatnej kaplicy przy głównej bramie.

– Zaglądałeś do komnaty? – spytałem Finana.

– Wszystko w porządku. Czcigodna pani śpi na piętrze, a nasi dwaj Fryzowie pilnują schodów niczym para byków. Nikt się nie przecisnie. Kazałem Gerbruhtowi i Folcbaldowi wzmocnić straż przyboczną Aethelflaed. Nikt nawet nie próbował – dodał Finan.

– Co z Aethelhelmem?

– Jest w głównej komnacie, z córką i biskupem Wulfheardem. Kazał cię pozdrowić. – Finan uśmiechnął się szeroko. – O nic nie musisz się martwić, panie.

– Powinienem był spać w komnacie – stwierdziłem.

– O tak, to byłoby bardzo mądre. Porządnie wychędożyć panią Aethelflaed w noc przed pogrzebem jej męża. Czemu na to nie wpadłem?

Z posępnym uśmiechem wszedłem do kuchni, gdzie mój syn i córka jedli śniadanie. Oboje spojrzeli na mnie z wyrzutem, przypuszczalnie z powodu pogłosek o tym, kto dzielił ze mną łóżko.

– Witajcie w jednym z najlepszych dni mojego życia – pozdrowiłem dzieci.

– Najlepszych? – spytał syn.

– Chowamy Aethelreda – wyjaśniłem, usiadłem, oderwałem kawałek chleba i odkroiłem plaster sera. – Pamiętasz ojca Pende? – zwróciłem się do syna.

– Pamiętam, jak razem z nim sikałem.

– Kiedy skończysz się napychać, masz go odnaleźć. Jest pewnie w wielkiej komnacie. Znajdź go i powiedz, że chcę się z nim widzieć. Ale zrób to dyskretnie. Dopilnuj, żeby biskup o niczym nie wiedział.

– Ojciec Penda? – zapytała Stiorra.

– To jeden z kapłanów biskupa Wulfhearda – odparłem.

– Kapłan! – zdumiała się moja córka.

– Przechodzę na chrześcijaństwo – oznajmiłem, a mój syn zakrztusił się piwem w tej samej chwili, gdy Aethelstan wszedł do kuchni i pozdrowił mnie, pochylając głowę. – Pójdiesz na pogrzeb i będziesz udawał smutek – zwróciłem się do chłopca.

– Tak zrobię, panie.

– Masz się trzymać blisko Finana.

– Oczywiście, panie.

– Mówię poważnie! – Wycelowałem w niego nóż. – Tam są dranie, którzy chcieliby widzieć cię martwego. – Pozwoliłem, by nóż wbił się

w stół. – W sumie wtedy moje życie stałoby się prostsze.

– Usiądź – powiedziała do uśmiechniętego chłopca moja córka.

Dzwon nie przestawał bić. Przypuszczałem, że będzie dzwonił aż do pogrzebu, a ten nie rozpocznie się, dopóki panowie z Mercji nie postanowią udać się do kościoła.

– Po pochowaniu drania zwołają witan – powiedziałem. – Może jeszcze dziś, najpóźniej jutro.

– Bez zapowiedzi? – spytał mój syn.

– Nie muszą nikogo wzywać. Są tu wszyscy, którzy się liczą.

– Oprócz króla Edwarda.

– On nie jest członkiem witanu Mercji, matole. To Sas zachodni.

– Chce, żeby go zaproszono – powiedziała Stiorra.

– Na witan? – spytał Uhtred.

– Chce, żeby zaproponowali mu koronę – wyjaśniła cierpliwie. – Gdyby tu był, wyglądałoby tak, jakby po prostu po nią sięgnął. Lepiej, żeby go zaprosili.

– Tak też się stanie – zapewniłem. – Właśnie dlatego są tu biskup Wulfheard i pan Aethelhelm. Mają dopilnować, żeby Edwarda zaproszono.

– Co z Aethelflaed? – zapytała Stiorra. – Co się z nią stanie...?

Raptownie umilkła, bo do kuchni weszła niespokojna Eadith i zatrzymała się w progu. Włosy upięła wysoko grzebykami z kości słoniowej, ale kilka kosmyków opadało jej na twarz. Zielona suknia była pomięta.

– Zrób miejsce pani Eadith – poleciłem Aethelstanowi siedzącemu obok Stiorry. – W porządku – dodałem, patrząc na chłopca. – Postanowiła, że jednak cię nie zabije.

– Nie jestem głodna, panie – powiedziała Eadith.

– Owszem, jesteś. Usiądź. Stiorra należy ci ale. Pytałaś – zwróciłem się do

córki – co się stanie z panią Aethelflaed. Spróbują umieścić ją w klasztorze.

– A ty ich powstrzymasz – stwierdził Uhtred.

– Nie, ty to zrobisz, wspólnie z panią Eadith.

– Ja? – spytał zdziwiony.

– Znajdując tego kapłana. Teraz! Ruszaj! Przyprawdź go tutaj.

Mój syn wyszedł. Gdy otworzył drzwi, zobaczyłem, że deszcz się nasilił.

– A co ja mam robić, panie? – spytała cicho Eadith.

– Wszystko, co ci każe – odparłem szorstko. – Pójdiesz na pogrzeb ze Stiorrą. Ale nie w tej sukni. Znajdź dla niej czarny płaszcz z kapturem – zwróciłem się do córki.

– Z kapturem?

– Obszernym – dodałem. – Żeby nikt nie zobaczył jej twarzy ani nie kazał Eadith opuścić kościoła. – Odwróciłem się, bo do kuchni wpadł Finan, zaklął, zdjął worek, który służył mu za płaszcz, i cisnął go na taboret.

– Jeśli tak dalej pójdzie, znowu będziemy mieli powódź – burknął. – Leje, jakby diabeł szczał.

– Co tam się dzieje?

– Nic. Wszystkie dranie leżą w łóżkach. Najlepsze miejsce.

Wielki dzwon nie przestawał bić. Deszcz bębnił o strzechę, przeciekał i tworzył kałużę na kamiennej podłodze. Kiedyś dach domu przykryto dachówkami, teraz na starych belkach stropowych leżała strzecha wymagająca naprawy, ale przynajmniej na palenisku buzował ogień i nie brakowało drewna na opał.

Ojciec Penda przybył po jakiejś godzinie. Żałosny i wyraźnie oburzony tym, że musiał wychodzić na ulewny deszcz, w przemoczonej, długiej, czarnej sutannie, pozdrowił mnie ostrożnym skinieniem głowy. Widok ludzi w kuchni go zdziwił, szczególnie obecność Eadith. Jego praca dla mnie miała

stanowić tajemnicę, nie pojmował więc, czemu zaprosiłem go do towarzystwa.

– Ojcie – powiedziałem z szacunkiem – chcę, żebyś mnie ochrzcił.

Penda tylko na mnie patrzył. Wszyscy patrzyli. Mój syn, który sprowadził kapłana, otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów, więc je zamknął.

– Ochrzcić cię? – zdołał wykrztusić ojciec Penda.

– Zrozumiałem, że grzeszę – stwierdziłem z pokorą. – Pragnę powrócić na łono Kościoła.

Ojciec Penda pokręcił głową, nie odmownie, ale dlatego, że miał mętlik w głowie po spacerze w deszczu.

– Mówisz szczerze, panie? – zapytał.

– Jestem grzesznikiem, ojcie, szukam przebaczenia.

– Jeśli mówisz szczerze... – zaczął.

– Mówię szczerze.

– Będziesz musiał wyznać swoje grzechy.

– Uczynię to.

– Dar dla Kościoła dowiedzie szczerości twoich intencji.

– Możesz uznać, że już go złożyłem – mówiłem z pokorą.

Stiorra wpatrywała się we mnie zaskoczona, inni również nie kryli zdumienia.

– Naprawdę tego pragniesz? – spytał podejrzliwie ojciec Penda.

W końcu byłem najsłynniejszym poganinem w całej saskiej Brytanii, człowiekiem zawzięcie sprzeciwiającym się Kościołowi, zabójcą księży, psem niewiernym. Mimo to w głosie kapłana pobrzmiwała nadzieja. Moje nawrócenie i chrzest przyniosłyby Pendzie sławę.

– Pragnę z całego serca – zapewniłem.

– Czy mogę spytać dlaczego?

– Dlaczego?

– To nagła decyzja, panie. Czy Bóg do ciebie przemówił? Czy ukazał ci się Jego Błogosławiony Syn?

– Nie, ojciec, ale przysłał anioła.

– Anioła!

– Przyszła do mnie w nocy, miała włosy jak płomienie, oczy lśniły jak szmaragdy, odjęła mój ból i zastąpiła go radością.

Stiorra stłumiła okrzyk. Ojciec Penda spojrział na nią, a ona szybko objęła głowę dłońmi.

– Płacę ze szczęścia – powiedziała zduszonym głosem moja córka. Eadith oblała się rumieńcem, lecz ojciec Penda nie zwracał na nią uwagi. – Bogu niech będą dzięki – zdołała wykrztusić Stiorra.

– Istotnie – dodał słabym głosem ojciec Penda.

– Rozumiem, że ludzi, którzy się nawrócili, chrzczisz w tutejszej rzece? – powiedziałem.

Duchowny przytaknął.

– Jednak w taki deszcz, panie...

– To jest boży deszcz – przerwałem mu. – Bóg zesłał go, aby mnie oczyścił.

– Alleluja – odrzekł.

Cóż innego mógł powiedzieć?

Zaprowadziliśmy Pendę nad rzekę, w której mnie zanurzył, i tak zostałem ochrzczony po raz trzeci. Za pierwszym razem byłem za mały, bym mógł to pamiętać, ale później, po śmierci mojego starszego brata, ojciec dał mi imię Uhtred, a macocha uparła się, żeby obmyć mnie powtórnie, na wypadek gdyby Święty Piotr miał nie rozpoznać mnie u bram raju, więc zanurzyli

mnie w beczce z wodą z Morza Północnego, jednak ten trzeci chrzest odbył się w mroźnej wodzie Saefern, chociaż ojciec Penda stwierdził, że zanim udzieli mi chrztu, muszę klęknąć i wyznać wszystkie grzechy. Zapytałem, czy ma na myśli naprawdę wszystkie, na co entuzjastycznie pokiwał głową, zacząłem więc od dzieciństwa, ale najwyraźniej opowieść o podkradaniu świeżo ubitego masła nie była dokładnie tym, co chciał usłyszeć.

– Panie Uhtredzie – powiedział ostrożnie – czy nie wspomniałeś, że wychowano cię po chrześcijańsku? Czy zatem nie spowiadałeś się w dzieciństwie?

– Owszem, ojcie – odparłem pokornie.

– Wobec tego nie musimy jeszcze raz słuchać o twoich grzechach.

– Ale nigdy nie spowiadałem się z wody święconej, ojcie – stwierdziłem smutno.

– Woda święcona? Chyba jej nie piłeś?

– Sikałem do niej, ojcie.

– Sikałeś... – Odebrało mu mowę.

– Razem z bratem urządziliśmy zawody w sikaniu – opowiadałem. – Chcieliśmy sprawdzić, kto potrafi wyżej sikać. Chyba robiłeś to w dzieciństwie, ojcie?

– Nigdy do wody święconej!

– Żałuję tego grzechu, ojcie.

– Jest ciężki, ale mów dalej.

Spowiadałem się więc z kobiet, z którymi się kładłem, przynajmniej z tych, które nie były moimi żonami, a mimo deszczu ojciec Penda domagał się szczegółów. Raz czy dwa jęknął, zwłaszcza kiedy opowiadałem o chędożeniu zakonnicy, chociaż starannie zataiłem imię Hild.

– Kim ona była? – dopytywał się.

– Nie znałem jej imienia, ojciec – skłamałem.

– Musiałeś je znać! Powiedz!

– Chciałem tylko...

– Wiem, jaki grzech popełniłeś! – rzekł surowo, po czym zapytał z niejaką nadzieją w głosie: – Czy ona nadal żyje?

– Nie mam pojęcia, ojciec – powiedziałem niewinnie. Hild żyła, miała się dobrze, karmiła biednych, leczyła chorych i odziewała nagich. – Wydaje mi się, że miała na imię Winfred, ale tak jęczała, że trudno było ją dokładnie zrozumieć.

Penda znowu stęknął, potem stłumił okrzyk, gdy mówiłem o zabitych przeze mnie kapłanach.

– Teraz wiem, że to było bardzo niewłaściwe, ojciec, ale najgorsze, że ich śmierć sprawiała mi przyjemność.

– Nie!

– Radowałem się, gdy umarł brat Jaenberht – rzekłem pokornie. Mówiłem prawdę. Ta łajza chciała mnie sprzedać w niewolę, a zabicie go dało mi przyjemność, podobnie jak wybicie zębów ojcu Ceolberhtowi. – Poza tym napadałem na kapłanów, ojciec, na przykład na Ceolberhta.

– Musisz go przeprosić.

– Och, uczynię to, ojciec. Miałem też ochotę zabić innych kapłanów, na przykład biskupa Assera.

Ojciec Penda zastanowił się chwilę.

– Istotnie bywał trudnym człowiekiem.

O mało się nie roześmiałem.

– Jeden grzech szczególnie mi ciąży, ojciec – wyznałem.

– Kolejna kobieta? – zapytał ochoczo.

– Nie, ojciec. To ja odkryłem kości Świętego Oswalda.

– To nie jest grzech! – Penda zmarszczył czoło.

Wtedy opowiedziałem, jak sfałszowałem odkrycie, zakopując kości w miejscu, gdzie, jak wiedziałem, zostaną odnalezione.

– To były tylko zwłoki z cmentarza, ojcie. Odrąbałem rękę, żeby upodobnić ciało do Świętego Oswalda.

– Żona biskupa – stwierdził Penda, z pewnością mając na myśli ponurą kobietę Wulfhearda – cierpiała z powodu plagi ślimaków w ogrodzie. Posłała Wulfheardowi kosztowny len w darze dla świętego i ślimaki zniknęły! To był cud!

– Chcesz powiedzieć... – zacząłem.

– Myślałeś, że oszukałeś Kościół – tłumaczył entuzjastycznie Penda – ale przy grobie świętego dochodziło do cudów! Ślimaki zostały przepędzone! Myślę, że Bóg zaprowadził cię do prawdziwych kości świętego!

– Przecież święty miał tylko jedną rękę – zauważyłem.

– Kolejny cud! Chwała Bogu! Byłeś jego narzędziem, panie Uhtredzie! To znak!

Penda udzielił mi rozgrzeszenia, wymógł kolejną obietnicę złota, po czym zaprowadził nad rzekę. Zimna woda przeszywała moją ranę jak lodowy sztylet, ale zniosłem modlitwy, a gdy ojciec Penda wpychał mi głowę w rżesę wodną, chwaliłem ukrzyżowanego boga. Zrobił to trzykrotnie, raz za Ojca, raz za Syna i raz za Ducha Świętego.

Penda nie posiadał się z radości. Uczynił mnie swoim sławnym nawróconym, a w dodatku miał świadków w osobach Finana i mojego syna, którzy zostali moimi ojcami chrzestnymi. Zabrałem Finanowi duży srebrny krzyż i powiesiłem sobie na szyi, w zamian dając mu swój pogański młot. Potem położyłem rękę na wąskich ramionach ojca Pendency i wciąż odziany jedynie w przemoczoną koszulę, zaprowadziłem go pod nadrzeczną wierzbę, by pomówić z nim na osobności. Początkowo wzbraniał się przed

powiedzeniem mi tego, co chciałem usłyszeć, w końcu jednak uległ sile perswazji.

– Chcesz dostać nożem między zebra, ojcze? – spytałem.

– Ale, panie... – Zaczął i urwał.

– Kto napełnia cię większym lękiem, ja czy biskup Wulfheard? – pytałem.

Zamiast odpowiedzieć, Penda tylko popatrzył na mnie żałośnie. Wiedziałem, że drży przed moją gwałtownością, ale nie mniej bał się, że Wulfheard skaże go na marny żywot księdza w zapadłej wiosce, bez szans na wzbogacenie się czy awans.

– Chcesz zostać biskupem? – zapytałem.

– Jeśli taka będzie wola Boga – odparł żałośnie, mając na myśli, że za własną diecezję poświęciłby rodzoną matkę.

– Sprawię, że nim zostaniesz, jeśli powiesz mi to, czego chcę.

Wtedy Penda powiedział. Ubrałem się, krzyż ukryłem pod płaszczem i poszedłem na pogrzeb.

Ktoś zapłacił płaczkom żałobnym, żeby zawodziły i wrzeszczały, co brzmiało jak zgrzyt mieczy o tarcze podczas bitwy. Płaczki stały po bokach kościoła, okładając się pięściami po głowach, zawodziły z udanego żalu, chór mnichów starał się je przekrzyczeć, co pewien czas kapłan coś wołał, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Kościół wypełnił się ludźmi: między wysokimi drewnianymi filarami stało około czterystu mężczyzn i kobiet. Wszyscy rozmawiali, nie zważając na żałobników, chór ani duchownych. Gwar ucichł, dopiero gdy biskup Wulfheard wszedł na ambonę i zaczął uderzać w pulpity pastorałem. Srebrny zawijas oderwał się od laski, potoczył po posadzce i wpadł pod trumnę

Aethelreda, stojącą na dwóch kozłach i przykrytą proporcem z tańczącym białym koniem. Kilka opłaconych płaczków nadal zawodziło, ale dwaj kapłani podbiegli do nich pod ścianami i kazali zamilknąć. Jedna z kobiet z trudem chwyciła powietrze, przez chwilę sądziłem, że się dusi, ale nagle padła na kolana i zwymiotowała. Parę chartów przytruchtało i wylizało nieoczekiwaną ucztę.

– Jesteśmy w domu Bożym! – ryknął biskup Wulfheard.

Kazanie musiało trwać blisko dwie godziny, choć odniosłem wrażenie, że ciągnie się przez cztery czy pięć. Wulfheard wychwalał charakter Aethelreda, jego odwagę i mądrość, co nawet brzmiało przekonująco.

– Dzisiaj składamy dobrego człowieka na wieczny odpoczynek – oznajmił biskup i miałem nadzieję, że kazanie dobiegło końca, on jednak kazał sobie podać książkę do nabożeństwa, przewrócił ciężkie karty, znalazł odpowiedni ustęp i przeczytał donośnym głosem: – Podzielone królestwo nie może przetrwać! – Zatrzasnął wolumin i wygłosił słabo zawołaną prośbę o zjednoczenie królestw Mercji i Wessexu, twierdząc, że tego właśnie życzy sobie ukrzyżowany bóg.

Większość słów biskupa puszczałem mimo uszu. Obserwowałem Stiorrę stojącą obok Eadith. Ta ostatnia pochyliła głowę i zasłoniła dłonią twarz pod kapturem. Najpewniej płakała. Aethelstan stał nieopodal mnie, z tyłu świątyni, w otoczeniu moich ludzi. Nikt nie miał prawa wnosić broni do kościoła, ale byłem pewien, że wojownicy strzegący Aethelstana ukryli saksy pod płaszczami. Nie miałem też wątpliwości, że Aethelhelm polecił swoim ludziom pojmać chłopca. Sam Aethelhelm stał z przodu, z zapalem potakując wrzaskom Wulfhearda. Obok Aethelhelma stała jego córka Aelflaed, żona króla Edwarda. Drobna, z jasnymi włosami splecionymi w warkocz upięty wokół głowy, na którą włożyła mały czarny czepek z czarnymi wstążkami zwisającymi aż do pulchnej pupy. Usteczka wygięła w wyrazie

naburmuszenia i sprawiała wrażenie mocno nieszczęśliwej, czemu trudno było się dziwić, skoro kazano jej znosić dwie godziny bredni Wulfhearda. Ojciec Aelflaed trzymał dłoń na jej ramieniu. On i ja przewyższaliśmy wzrostem większość ludzi. Podczas jednego z żarliwszych fragmentów kazania biskupa Aethelhelm pochwycił mój wzrok i wymieniliśmy kwaśne uśmiechy. Dobrze wiedział, że zbliża się walka, ale był przekonany, że wyjdzie z niej zwycięsko. Jego córka wkrótce zostanie królową Mercji, co by oznaczało, że dostąpi też zaszczytnego tytułu królowej Wessexu. Nie wątpiłem, że Aethelhelm pragnął, by jego córkę nazywano królową Aelflaed. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Wessex nie przyznawał tego zaszczytu królewskiej małżonce, ale nie mogli odmówić go Aelflaed, jeśli zostanie królową Mercji. Gdyby tylko Aethelhelm pozbył się niewygodnego Aethelstana, zostałby ojcem królowej, dziadem monarchów. Wulfheard nadal krzyczał o podzielonym królestwie, Aethelstan ponownie pochwycił mój wzrok, niemal niezauważalnie skinął głową w kierunku biskupa i przewrócił oczami. Mimowolnie się roześmiałem.

Zawsze lubiłem Aethelhelma, ale do tej pory stał po tej samej stronie co ja, kierując ambicję i energię na sprawy, o które walczyłem. Teraz wiedział, że zostaliśmy wrogami, i wykorzysta swój majątek i pozycję, aby mnie zmiażdżyć. Postanowiłem użyć fortelu i żywiłem nadzieję, że Sihtric wywiąże się z zadania, które mu powierzyłem.

W końcu biskupowi zabrakło słów. Chór podjął śpiew, sześciu wojowników Aethelreda dźwignęło trumnę i zaniósł do grobu otwartego przy ołtarzu. Sześciu ludzi nieźle się trudziło, ponieważ w drewnianej trumnie z wyrytymi postaciami świętych i wojowników znajdowała się druga, z ołowiu. Mój kuzyn miał spocząć jak najbliżej kości Świętego Oswalda, czy raczej blisko kości człowieka, którego złożono w srebrnym relikwiarzu. Biskup nauczał, że w dniu Sądu Święty Oswald w cudowny

sposób wyskoczy ze srebrnego więzienia i zostanie zabrany do nieba, a dzięki temu, że Aethelred będzie w pobliżu, święty weźmie go ze sobą. Nikt nie wątpił w autentyczność kości. Kapłani i mnisi twierdzili, że w kościele dochodziło do cudownych zdarzeń: chromi zaczęli chodzić, ślepi odzyskiwali wzrok, wszystko dzięki kościom.

Biskup patrzył, jak opuszczają trumnę do grobu. Aethelhelm z córką stali obok niego, a po drugiej stronie ziejącej dziury stała Aethelflaed w sukni z czarnego jedwabiu, który połyskiwał z każdym jej ruchem. Stojąca obok niej córka Aelfwynn zdołała przywołać na twarz wyraz smutku. Gdy ciężka trumna wreszcie spoczęła w krypcie, zauważyłem, że Aethelhelm spogląda na Aethelflaed. Długo mierzyli się wzrokiem, w końcu Aethelhelm odwrócił się i wyprowadził córkę z kościoła. Służąca podała Aethelflaed gruby płaszcz, który jej pani zarzuciła na ramiona, po czym opuściła świątynię.

I tak mój kuzyn Aethelred zniknął z mojego życia.

Nazajutrz odbyło się posiedzenie witanu. Obrady rozpoczęły się tuż po świcie, ponieważ, jak przypuszczałem, Aethelhelm chciał szybko się ze wszystkim uporać i ruszyć w drogę powrotną do domu. A może, co jeszcze bardziej prawdopodobne, chcieli wezwać Edwarda z miejsca, gdzie czekał, by oficjalnie wjechać do głównego miasta swego nowego królestwa. Wszystko należało zrobić szybko, tak przynajmniej myśleli. Zgodnie z przewidywaniem w pogrzebie Aethelreda uczestniczyli głównie możni, którzy go popierali, w Gleawecestre znajdowało się bardzo niewielu ludzi Aethelflaed. Witan miał wysłuchać żądań Aethelhelma, przyjmując je przez akklamację, a tym samym Wulfheard i Aethelhelm mieli sobie zaskarbić wdzięczność nowego króla Mercji.

Tak przynajmniej myśleli.

Zgromadzenie rozpoczęło się, rzecz jasna, od modlitwy biskupa

Wulfhearda. Sądziłem, że po wczorajszym niekończącym się kazaniu będzie się streszczał, ale nic podobnego, bez końca nękał swego boga. Błagał ukrzyżowanego, by natchnął witan mądrością, co nie było złym pomysłem, następnie pouczył boga, by ten zaaprobował wszelkie propozycje biskupa. Modlitwa ciągnęła się tak długo, że ealdormani, tanowie i wysocy dostojnicy kościelni zaczęli szurać nogami lub przesuwać ławki po posadzce. W końcu Aethelhelm głośno chrząknął i biskup pospiesznie zakończył modły.

Stojący na drewnianym postumencie tron Aethelreda udrapowano czarnym kirem, na którym położono zdobiony hełm. W dawnych czasach na głowę króla nie wkładano korony, lecz królewski hełm, i nie wątpię, że wszyscy zebrani wiedzieli, co oznacza. Po lewej stronie tronu, patrząc od nas, stał pulpit, przypuszczalnie przyniesiony z kościoła, po prawej zaś dwa krzesła i prosty stół. Siedzieli przy nim dwaj księża bliźniacy, Ceolberht i Ceolnoth, z przygotowanymi piórami. Mieli notować przebieg obrad witanu, który rozpoczął się od oświadczenia biskupa.

Mercja nie ma władcy już przez całe pokolenie, mówił Wulfheard. Bóg życzy sobie, aby królestwo miało króla – te słowa spotkały się z pomrukiem aprobaty zgromadzonych możnowładców.

– Królestwo bez króla jest jak diecezja bez biskupa, okręt bez kapitana. Nikt z obecnych – mówiąc to, biskup spojrzał na mnie – nie może zaprzeczyć, że Mercja jest jednym ze starodawnych królestw Brytanii. – W komnacie dało się słyszeć kolejne pomruki aprobaty, a biskup, zachęcony poparciem, ciągnął gromko dalej: – Nasz pan Aethelred był zbyt skromny, by przyjąć tytuł królewski! – Z trudem powstrzymałem śmiech. Aethelred oddałby oko, rękę i oba jaja za koronę Mercji, lecz wiedział aż nadto dobrze, że jego zachodniosascy mocodawcy ukaraliby go, ponieważ Wessex życzył sobie w Mercji tylko własnego saskiego króla. – Chociaż nie nosił tytułu króla, istotnie nim był! – wołał Wulfheard, czując pewnie, że jest mało

przekonujący. – Na łożu śmierci nasz pan Mercji, nasz umiłowany pan Aethelred oświadczył, iż życzy sobie, aby poprosić jego szwagra, króla Wessexu Edwarda, by zgodził się przyjąć starodawną koronę naszego ukochanego kraju! – Biskup przerwał, przypuszczalnie czekając na gromkie wiwaty, jednak w komnacie panowała cisza. Tylko Aethelhelm i jego ludzie tupali z aprobatą.

Ta cisza wydała mi się godna uwagi. Przeważająca większość możliwych zebranych w sali była gotowa spełnić wolę Wulfharda i Aethelhelma, jednak o swoim losie myśleli bez entuzjazmu. Mercja pozostawała dumnym krajem. Owszem, mogła przystać na zachodniosaskiego króla, ale byłoby to małżeństwo bez miłości, dlatego zachowywali milczenie, oprócz ealdormana Aidyna.

– Ten witan ma uprawnienia do wybrania króla – warknął.

Aidyn pochodził ze wschodniej części Mercji, od dawna współpracował z Sasami zachodnimi w wypadach przeciwko Duńczykom z Anglii Wschodniej. Można się było spodziewać, że gorliwie poprze roszczenia Edwarda do tronu, ale nawet Aidyn zachowywał sceptycyzm.

– Witan zawsze mógł wybierać króla – zgodził się niechętnie biskup Wulfheard.

Aidyn wzruszył ramionami. Zastanawiałem się, czy miał na myśli siebie.

– Mercją powinien rządzić człowiek z Mercji – stwierdził.

– Ale kto? – warknął biskup Wulfheard, i było to zasadne pytanie.

Aidyn wyczuł, że niewielu zebranych poparłoby jego kandydaturę, o ile rzeczywiście ją rozważał, toteż nie odezwał się więcej.

– Korona powinna trafić do królewskiego syna – odezwał się ktoś, ale nie widziałem kto.

– Pan Aethelred nie miał syna – uciął biskup.

– W takim razie do najbliższego krewnego – upierał się tamten.

– Najbliższym krewnym jest brat wdowy, król Edward – stwierdził Wulfheard, co mijano się z prawdą, ale zachowałem milczenie. – Niech będzie mi wolno przypomnieć witanowi, że matka króla Edwarda pochodziła z Mercji – ciągnął biskup. Tak istotnie było i kilku zebranych pokiwało głowami. Wulfheard czekał na kolejny komentarz, ale ten nie padł. – Dlatego proponuję... – zaczął, ale urwał, ponieważ właśnie wstałem.

– Mam pytanie, Wasza Świątobliwość – odezwałem się z szacunkiem.

– Panie Uhtredzie? – zapytał ostrożnie.

– Czy władca Mercji może mianować następcę, jeśli nie ma dziedziczającego potomka? – spytałem.

Wulfheard zaszepił się, wężąc zasadzkę, po czym postanowił zastawić własną.

– Czy twierdzisz, panie Uhtredzie, że pan Aethelred był władcą tego kraju? – spytał słodkim tonem.

– Oczywiście, że był. – Udzieliłem odpowiedzi, jakiej oczekiwał Wulfheard. – Ale nie jestem takim znawcą prawa Mercji jak Wasza Świątobliwość, dlatego chciałem się dowiedzieć, czy ostatnie życzenie pana Aethelreda posiada moc prawną.

– Naturalnie – odparł triumfalnie Wulfheard. – Życzenie władcy posiada wielką moc i po to, by zostało wcielone w życie, potrzebuje jedynie aprobaty tego świętego zgromadzenia.

Znowu cisza. Ludzie odwracali głowy w moją stronę. Wiedzieli, że na tronie Mercji pragnąłbym widzieć Aethelflaed, ale moje pytania oraz pokorna odpowiedź sugerowały, że byłem gotów poprzeć jej brata. Wulfheard, uśmiechnięty, bo sądził, że właśnie uzyskał nade mną przewagę, mówił dalej obłudnie:

– Dopuszcilibyśmy się wielkiego zaniedbania, gdybyśmy zlekceważyli ostatnią wolę pana Aethelreda. Życzył on sobie, aby jego szwagier, król

Wessexu Edward, zasiadł na tronie Mercji. – Biskup przerwał, ale i tym razem odpowiedziało mu milczenie. Członkowie witanu mogli rozumieć nieuchronność wyboru, ale to nie znaczyło, że im się podobał. Oto widzieli śmierć dumnego kraju, władanego niegdyś przez wielkiego króla Offę, który panował nad całą Brytanią. Wulfheard wskazał Aethelhelma i rzekł: – Pan Aethelhelm nie jest członkiem tego witanu...

– A jednak – wtrącił ktoś i nagrodzono go śmiechem.

– A jednak – zgodził się biskup – za waszym pozwoleniem opowie nam, jak król Edward będzie rządził tym krajem.

Aethelhelm wstał. Zawsze był przystojnym, sympatycznym mężczyzną, a teraz zachowywał się przyjaźnie, z pokorą i oddaniem. Zapewnił, że decyzja witanu będzie dla Edwarda olbrzymim zaszczytem, rada zaskarbi sobie jego dozgonną wdzięczność, Edward będzie pracował „dzień i noc” dla dobra Mercji, będzie bronił jej granic, przepędzi tych Duńczyków, którzy nadal byli na północy.

– Edward nie zrobi nic bez wskazówek tego witanu – mówił żarliwie Aethelhelm. – Doradcy z Mercji będą stale towarzyszyć królowi! Najstarszy syn króla, mój wnuk Aelfweard, aetheling, będzie spędzał połowę czasu w Gleawecestre, aby nauczył się kochać ten kraj równie mocno jak jego ojciec, równie mocno jak Sasi zachodni!

Aethelhelm przemawiał dobrze, ale jego słowa spotkały się z tym samym posępnym milczeniem. Ponieważ dostrzegłem, że Wulfheard znów szykuje się do zabrania głosu, uznałem, że czas dodać łyżkę dziegciu do tej beczki miodu.

– A co z siostrą króla Edwarda? – zapytałem, zanim biskup zdążył zaczerpnąć tchu. – Co z panią Aethelflaed?

Wiedziałem, że ona słucha. Nie wpuszczono jej na witan, ponieważ kobiety nie miały prawa głosu na radzie, ale czekała za drzwiami tuż za

podwyższeniem. Aethelhelm również wiedział, że słuchała.

– Pani Aethelflaed – powiedział, ważąc słowa – jest teraz wdową. Niewątpliwie zechce osiąść w swoich dobrach lub udać się do klasztoru, gdzie będzie mogła modlić się za duszę zmarłego męża.

– Czy w klasztorze będzie bezpieczna? – zapytałem.

– Bezpieczna? – Biskup Wulfheard najeżył się na moje pytanie. – Znajdzie się pod Bożą opieką, panie Uhtredzie. Oczywiście, że będzie bezpieczna!

– A jednak zaledwie dwa dni temu – mówiłem podniesionym głosem, powoli, aby mogli mnie słyszeć nawet najbardziej sędziwi i głusi członkowie witanu – ealdorman Aethelhelm zjednoczył się z ludźmi zdrajcy Eardwulfa i próbował ją zabić. Czemu mamy wierzyć, że nie spróbuje zrobić tego ponownie?

– To skandal! – wykrztusił Wulfheard.

– Śnisz na jawie – stwierdził Aethelhelm, już nie tak przyjaznym tonem.

– Zaprzeczasz? – zapytałem.

– Zaprzeczam stanowczo – odparł gniewnie.

– W takim razie wzywam świadków na witan – powiedziałem i wskazałem główne drzwi komnaty.

W progu ukazał się Hoggar, prowadzący ludzi, którzy towarzyszyli Eardwulfowi, a razem z nimi wszedł Finan i jego więzień Grindwyn, ze związanymi rękami. Finan podszedł do mnie i szepnął:

– Sihtric wrócił. Ma to, czego chcesz.

– Dobrze – powiedziałem do niego, po czym podniosłem głos. – Ten człowiek jest lojalnym sprzymierzeńcem pana Aethelhelma. – Wskazałem Grindwyna. – Przedstawię więcej świadków, którzy przysięgną przed witanem, że wypełniał on wolę pana Aethelhelma, kiedy towarzyszył zdrajcy Eardwulfowi w próbie zabicia pani Aethelflaed. – Klasnąłem, do sali weszła

blada Eadith i stanęła wyprostowana obok Grindwyna. – Tej kobiety nie trzeba przedstawiać – ciągnąłem. – Ona potwierdzi zdradę brata i aprobatę pana Aethelhelma dla tej zdrady. Żądam, aby kapłan przyjął od moich świadków ślubowanie prawdomówności.

– To nie uchodzi – warknął biskup Wulfheard.

– Nie uchodziłoby zabicie pani Aethelflaed – odciąłem się.

– Cudzołożnica nie może mówić prawdy! – ryknął Wulfheard. – Żądam, abyś usunął tę kobietę z rady, wycofał swoje obmierzłe kłamstwa i...

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czego jeszcze zamierzał się domagać, ponieważ znów klasnąłem w dłonie i Sihtric wprowadził kobiety. Jedna, podobnie jak Eadith, była wysoka, rudowłosa i szczupła, druga, pulchna, miała jasne włosy, a trzecia była drobną brunetką. Cała trójka ciężko przestraszona, chociaż w ciągu pięciu minut miały zarobić więcej srebra niż przez tydzień, leżąc na plecach. Na widok kobiet kilku ludzi w komnacie się zaśmiało, inni nie kryli gniewu, ale wszyscy wiedzieli, kim są. To były ladacznice z zajazdu Pod Snopem Pszenicy, a ojciec Penda z niejakim oporem wyjawiał ich imiona. Powiedział, że często prowadził jedną, dwie lub nawet wszystkie trzy do pokoi biskupa w pałacu Aethelreda.

– Kim są te stworzenia? – zapytał Aethelhelm.

– Pozwólcie, że przedstawię – odparłem. – Wysoka dama ma na imię...

– Panie Uhtredzie! – zawołał biskup.

Zauważyłem, że Ceolnoth i Ceolberht przestali notować.

– Biskupie? – zapytałem niewinnie.

– Czy masz jakąś propozycję? – Biskup doskonale wiedział, dlaczego przyprowadziłem ladacznice, wiedział też, że gdybym dostał szansę, sprawiłbym, że zaczęłyby gdakać jak stadko gęsi. Wulfheard, rzecz jasna, miał żonę.

– Czy Wasza Świątobliwość nadal twierdzi, że cudzołożnicy nie mogą

przemawiać na tej radzie? – spytałem.

– A ja pytałem, co proponujesz. – Biskup był czerwony jak burak.

– By stosunki między Mercją a Wessexem pozostały bez zmian oraz by pani Aethelflaed przejęła obowiązki męża – oświadczyłem.

– Kobieta? – warknął ktoś.

– Kobieta nie może rządzić! – zawołał Aidyn, a może jedna trzecia zebranych zamruczała na znak zgody.

Podszedłem do podwyższenia, starając się nie utykać z powodu bólu w zębrach. Nikt nie kwestionował mojego prawa, by zająć miejsce obok Aethelhelma i biskupa. Tylko przez chwilę Wulfheard chciał protestować, ale zerknął na dziewczki i raptownie zamknął usta.

– Zdarza się całkiem często, że najbliższy krewny władcy obejmuje po nim tron – powiedziałem. – Niech mi będzie wolno przypomnieć temu witanowi, że moja matka pochodziła z Mercji i jestem kuzynem Aethelreda w pierwszej linii.

Oszołomieni ludzie zamilkli, potem siedząca z boku grupa kapłanów zaczęła żywo protestować. Dobiegło mnie słowo „poganin”, wykrzykiwane najgłośniejszymi przez dwóch opatów, którzy zerwali się z miejsc i wymachiwali pięściami, więc tylko odsunąłem płaszcz, ukazując duży krzyż zawieszony na piersi. Widok srebra spowodował chwilową ciszę, po czym sprzeciw wybuchnął ze zdwojoną siłą.

– Czyżbyś próbował nas przekonać, że teraz jesteś chrześcijaninem?! – ryknął tłusty opat Ricseg.

– Dziś rano zostałem ochrzczony – powiedziałem.

– Szydzisz z Chrystusa! – wołał opat Ricseg, zresztą miał rację.

– Ojcie Pendo? – powiedziałem.

Ksiądz stanął w obronie mojego nawrócenia, starał się przekonać sceptyczny witan, że przyjąłem chrzest, kierując się szczerymi pobudkami.

Czy w to wierzył? Wątpię, choć równocześnie jako wychrzta przynosiłem mu sławę, toteż żarliwie bronił mojej uczciwości. Aethelhelm jednym uchem słuchał pomstujących duchownych, potem odciągnął mnie na bok.

– Co ty wyprawiasz, panie Uhtredzie? – spytał.

– Dobrze wiesz co.

Aethelhelm stęknął i zapytał:

– A te trzy kobiety?

– To ulubione ładacznicie Wulfhearda.

– Cwany z ciebie drań. – Zaśmiał się. – Skąd one są?

– Spod Snopa Pszenicy.

– Muszę je wypróbować.

– Polecam rudą – powiedziałem.

– A Eadith?

– Co z nią?

– Jeszcze tydzień temu opowiadała, jak bardzo cię nienawidzi.

– Mam złoty język.

– Sądziłem, że to jej atut. – Aethelhelm powiódł wzrokiem po ludziach na ławach, słuchających wścieklej kłótni wśród duchownych. – Czyli teraz Wulfheard nie będzie zeznawał przeciwko tobie, a mnie grozi, że przedstawiś mnie jako tyrana gotowego zabijać kobiety. Czego więc chcesz?

– Tego – odparłem i skinąłem głową na tron.

Aethelhelm zmarszczył czoło, choć nie z dezaprobatą, ale dlatego, że go zaskoczyłem.

– Chcesz zostać panem Mercji?

– Tak.

– Przypuśćmy, że byśmy na to pozwolili, co byś wówczas zrobił?

– Wessex ma już Londyn, więc możesz go zatrzymać. – Wzruszyłem

ramionami. – Walczysz w Anglii Wschodniej, więc rób to dalej, z bazą w Londynie. Chcę, żeby Mercja walczyła na granicy północnej, z ośrodkiem w Ceasterze.

Aethelhelm skinął głową i zapytał:

– Gdzie jest mały Aethelstan?

– W bezpiecznym miejscu.

– On nie jest ślubnym dzieckiem.

– Owszem, jest.

– Posiadam dowody, że kiedy jego matka zadzierała suknię przed Edwardem, była już mężatką.

– Jesteś dostatecznie bogaty, by kupić świadków, którzy to potwierdzą – stwierdziłem ze śmiechem.

– Jestem.

– Ale to nieprawda.

– Witan w Wessexie da temu wiarę, a nic innego nie ma znaczenia.

– W takim razie pewnie twój wnuk zostanie następnym królem Wessexu – zauważyłem.

– Niczego więcej nie pragnę. – Aethelhelm ponownie powiódł wzrokiem po zgromadzeniu. – Nie chcę, żebyś stał się moim wrogiem, dlatego złóż przysięgę.

– Jaką przysięgę?

– Że gdy nadejdzie czas, uczynisz wszystko, co w twojej mocy, by Aelfweard odziedziczył tron po ojcu.

– Umrę znacznie wcześniej niż Edward.

– Nikt z nas nie wie, kiedy zejdzie z tego świata. Przysięgnij.

– Ja...

– Przysięgnij też, że tron Wessexu zjednoczy się z tronem Mercji –

warknął.

Zawahałem się. Przysięga jest poważną obietnicą. Łamiąc ją, narażamy się na zemstę Norn, złowrogich bogiń, które snują nić naszego żywota i mogą ją przeciąć pod wpływem kaprysu. Zdarzało mi się już łamać przysięgi i przeżyłem, ale jak długo bogowie będą przymykać na to oko?

– No więc? – ponaglał Aethelhelm.

– Jeśli będę władcą Mercji po śmierci twojego zięcia – zacząłem, dotykając srebrnego krzyża na szyi – przysięgam...

Aethelhelm mocno trzepnął mnie w rękę, odtrącając ją od krzyża.

– Panie Uhtredzie, przysięgnij na boga, którego naprawdę czcisz.

– Jako pan i władca Mercji – mówiłem, starannie dobierając słowa – zrobię, co w mojej mocy, by pomóc Aelfweardowi objąć tron po ojcu. Uczynię wszystko, aby królestwa Wessexu i Mercji zjednoczyły się pod tronem Wessexu. Przysięgam na Thora i Wodana.

– Przysięgnij, że będziesz prawdziwym, lojalnym sojusznikiem Wessexu – domagał się Aethelhelm.

– Przysięgam – powiedziałem szczerze.

– A Aethelflaed?

– Co z nią?

– Musi się udać do klasztoru założonego przez jej matkę. Dopilnuj, by tak się stało.

Zastanawiałem się, czemu tak nalega. Czy dlatego, że Aethelflaed ochraniała Aethelstana?

– Nie mogę rozkazywać królewskiej córce. Edward musi powiedzieć siostrze, co ma robić.

– Będzie nalegał, żeby udała się do klasztoru.

– Dlaczego?

– Aethelflaed lśni jaśniej niż on – odparł, wzruszając ramionami. – Królowie tego nie lubią.

– Ona walczy z Duńczykami – zauważyłem.

– Za klasztorными murami nie będzie tego robić – stwierdził oschle. – Powiedz, że nie będziesz się sprzeciwiał woli Edwarda.

– To nie moja sprawa – powiedziałem. – Tylko twoja i Edwarda.

– I zostawisz nam ją? Nie będziesz się mieszał?

– Zostawię ją wam.

Aethelhelm przyglądał mi się zasepiony, w końcu uznał moje zapewnienia za wystarczające. Podniesionym głosem, przekrzykując wrzawę, zwrócił się do zgromadzonych:

– Pan Uhtred zgadza się ze mną, że trony Wessexu i Mercji winny się zjednoczyć! Powinien władać nami jeden monarcha, powinniśmy się stać jednym krajem! – Co najmniej połowa ludzi w sali marszczyła czoła. Oto potężniejszy Wessex deptał starożytną dumę Mercji. – Jednak pan Uhtred przekonał mnie, że czas po temu jeszcze nie nadszedł – ciągnął Aethelhelm. – Siły króla Edwarda są skoncentrowane na wschodzie, aby przepędzić cudzoziemców z Anglii Wschodniej. Uwaga Mercji skupia się na północy, chcecie bowiem przegnać pogan z waszego kraju. Dopiero po wypędzeniu pogańskich cudzoziemców będziemy mogli nazwać się jednym błogosławionym krajem. Z tego powodu popieram roszczenia pana Uhtreda do tronu Mercji.

Tak też się stało. Zostałem władcą Mercji, dziedzicem całego majątku Aethelreda, jego wojsk i włości. Biskup Wulfheard miał zde gustowaną minę, ale obecność trzech kurw wiązała mu ręce, więc udawał, że popiera mój wybór. To właśnie Wulfheard poprowadził mnie do pustego tronu.

Zgromadzeni zaczęli tupać. Nie byłem ich najlepszym kandydatem, popierała mnie pewnie najwyżej jedna dziesiąta członków witanu. Większość

tych ludzi wspierała Aethelreda, wiedzieli przecież, że darzył mnie nienawiścią, ale nie widzieli oczywistego następcy, ja zaś byłem lepszym wyjściem niż cudzoziemski król, który w pierwszym rzędzie byłby lojalny wobec Wessexu. Co więcej, moja matka pochodziła z Mercji i byłem najbliższym męskim krewnym Aethelreda. Wybierając mnie, ratowali część dumy, poza tym z pewnością liczyli na to, że długo nie pożyję. Niebawem powinna się nadarzyć okazja wyboru nowego władcy.

Podszedłem do tronu i podniosłem hełm. Kilku ludzi wiwatowało. Jeszcze głośniej zaczęto pokrzykiwać na moją cześć, gdy zdarłem z tronu czarny kir i odrzuciłem na bok.

– Usiądź, panie Uhtredzie – powiedział Aethelhelm.

– Wasza Świątobliwość! – zawołałem.

Biskup Wulfheard uśmiechnął się wymuszenie. Udało mu się nawet wykonać coś na kształt pokłonu, gdy odwracał się w moją stronę.

– Panie Uhtredzie? – powiedział.

– Wcześniej przekonywałeś nas, że życzenia władcy w stosunku do jego następcy mają wielką wagę.

– Owszem. – Wulfheard zmarszczył brwi, bo nie wiedział, do czego zmierzam.

– Twierdziłeś też, że po to, by zostały one wcielone w życie, muszą jedynie zostać zatwierdzone przez witan.

– To prawda – przyznał wyniośle.

– Chcę więc przypomnieć temu witanowi, że nowe ziemie, które zdobyliśmy, zawdzięczamy wysiłkom pani Aethelflaed – powiedziałem, podszedłem do stołu i podniosłem spisane na pergaminie akty daniny, tak upragnione przez zgromadzonych. – To ona obsadziła wojskiem Ceaster i broniła tych ziem przed ludami Północy. – Upuściłem pergaminy. – Życzę sobie przekazać tron Mercji wdowie po panu Aethelredzie, pani Aethelflaed.

W tej chwili mogli mnie pokonać. Gdyby witan zaprotestował, gdyby mnie zakrzyczeli, wówczas cały fortel spełzyłby na niczym, ale ludzie oniemieli i w tej ciszy przez boczne drzwi wkroczyła do sali Aethelflaed. Na żałobną suknię z czarnego jedwabiu narzuciła biały płaszcz haftowany w niebieskie krzyże splecione z jasnozielonymi kwiatami. Długi płaszcz ciągnął się za nią po posadzce. Aethelflaed wyglądała przepięknie. Włosy splecione w warkocze okalały jej głowę, na szyi miała szmaragdowy naszyjnik, w prawej dłoni dzierżyła miecz zmarłego męża. Gdy przechodziła po podwyższeniu, nikt nie pisnął słowem. Podałem jej hełm, czując, że witan wstrzymuje oddech. Aethelflaed podała mi miecz, aby móc oburącz nałożyć hełm na złociste włosy, bez słowa usiadła na pustym tronie, a ja oddałem jej broń.

Cała sala zagrzmiała od wiwatów. Ludzie wstali, tupali na znak aprobaty, wołali do niej, lecz surowa twarz Aethelflaed pozostała niewzruszona. Wyglądała jak królowa. Dlaczego rada nagle zaakceptowała jej wybór? Może wynikało to z ulgi, że będą mieli własnego władcę, ale chciałem myśleć, że skrycie stale pragnęli Aethelflaed, tylko nie chcieli występować przeciwko tradycji, wysuwając jej kandydaturę. Cały witan wiedział jednak, że sprawdziła się jako wojowniczką, władczyni i rodowita mieszkanka Mercji. Aethelflaed była panią Mercji.

– Ty draniu – powiedział do mnie Aethelhelm.

Złożono śluby. Prawie przez godzinę ealdormani i najwyżsi tanowie Mercji podchodzili do Aethelflaed, klękali i przysięgali wierność. Na obrzeżach komnaty stała straż przyboczna jej męża oraz jej oddziały, jedyni ludzie mający prawo nosić broń. Jeśli ktokolwiek opierał się przed złożeniem ślubów, te ostrza przywróciły mu rozum. Do południa wszyscy członkowie witanu uścisnęli dłoń nowej władczyni i ślubowali lojalną służbę.

Aethelflaed przemawiała krótko. Wychwalała Mercję i obiecała, że ziemie na północy zostaną wyzwolone.

– W tym celu wszyscy musicie wystawić wojsko – mówiła dobitnie i wyraźnie. – Prowadzimy wojnę i odniesiemy zwycięstwo. – Na tym polegała różnica między nią a jej zmarłym mężem. Aethelred robił akurat tyle, by zapobiegać wypadom Duńczyków, nigdy jednak nie chciał najeżdżać duńskich ziem. Aethelflaed przepędzi ich z królestwa. – Panie Uhtredzie? – Spojrzała na mnie.

– Pani?

– Twoje ślubowanie.

Klęknąłem więc przed nią. Koniec miecza opierał się na posadzce między jej stopami, Aethelflaed zacisnęła dłonie na rękojeści, ja położyłem swoje na jej dłoniach.

– Ślubuję być twoim lojalnym poddanym, pani, i wspierać cię ze wszystkich sił.

– Spójrz na mnie. – Ściszyła głos, tak że tylko ja ją słyszałem. Zobaczyłem, że uśmiecha się wymuszenie. – Eadith? – wyszczała, pochylając się ku mnie, wciąż ze sztucznym uśmiechem.

Ciekawe, kto jej powiedział.

– Chcesz, żeby ona też złożyła ślubowanie?

– Ty draniu – odparła i poczułem, jak jej dłonie drgnęły pod moimi. – Pozbądź się jej – syknęła, po czym dodała głośno: – Panie Uhtredzie, zaprowadź swoich ludzi na północ, do Ceasteru. Masz tam pracę do wykonania.

– Tak uczynię, pani – odpowiedziałem.

– Pojedzie z tobą pięćdziesięciu moich wojów, którym będzie towarzyszył królewicz Aethelstan.

– Tak, pani. – Uznałem, że usunięcie Aethelstana jak najdalej od

ambitnego Aethelhelma jest rozumnym posunięciem.

– Pojadę za wami tak szybko, jak będę mogła, ale wcześniej czekają mnie zadania – ciągnęła Aethelflaed, zwracając się do całego witanu. – Należy rozdzielić ziemie, wyznaczyć obowiązki. Biskupie Wulfheardzie?

– Pani? – W głosie biskupa dało się słyszeć zdenerwowanie.

– Byłeś najbardziej cenionym doradcą mego męża. Ufam, że pozostaniesz na czele mojej rady.

– Z Bożą pomocą, pani, mam nadzieję służyć ci tak jak jemu.

Draniowi wyraźnie ulżyło. Aethelflaed uwiodła ludzi Eardwulfa i zaskarbiła sobie ich lojalność, a teraz zabrała się do popleczników zmarłego męża. Publicznie mianując Wulfharda, wysyłała do nich sygnał, że nie musieli się jej obawiać. Mimo to sama miała powody, by bać się gniewu Aethelhelma. Przechodząc na bok komnaty, dostrzegłem, że jego zwykle przyjazna twarz jest napięta ze wściekłości. Z pewnością będzie czekał, aż Aethelflaed powinie się noga albo poganie zajmą jej ziemie. Wtedy Aethelhelm użyje pieniędzy i wpływów, aby ją usunąć.

Jeżeli jakieś ziemie mogły paść łupem pogan, to tylko na północy, ruszę więc do Ceasteru, miasta wciąż zagrożonego atakami nieprzyjaciół. Czekala mnie tam praca i walka z ludźmi Północy.

Najpierw jednak musiałem znaleźć miecz.

CZEŚĆ TRZECIA
BÓG WOJNY

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiosła zanurzały się, powoli przesuwały w rzece i unosiły. Długie pióra ociekały wodą, skakały w przód i ponownie się zanurzały. Po każdym długim zamachu łódź przemierzała pewną odległość, potem zwalniała, gdy wiosła przesuwały się nad szarzieloną wodą rzeki Saefern. Nie spieszyliśmy się, ponieważ odpływ i prąd rzeczny niosły nas ku morzu, wiosła jedynie utrzymywały Drines w równowadze, tak naprawdę pracował tylko ster. Finan nucił powolną, melancholijną pieśń w ojczystym irlandzkim, nadając rytm trzydziestu sześciu wiosłarzom łodzi. Na dziobie siedziało więcej ludzi, leniwie obserwujących, jak trzciny uginają się przed Drines. Drines! Po co nazywać łódź imieniem trójcy? Żaden kapłan, mnich, mniszka ani uczonec nie potrafił jeszcze wyjaśnić mi trójcy. Trzech bogów w jednym. W tym jeden duch?

Odkąd Aethelflaed okrzyknięto władczynią Mercji, minęły trzy dni. Po ślubowaniu zdjąłem z szyi krzyż, rzuciłem go Finanowi i zastąpiłem tę błyskotkę młotem. Następnie chwyciłem ojca Ceolberhta za sutannę i wypchnąłem przez boczne drzwi wielkiej komnaty. Aethelflaed upomniała mnie ostro, ale puściłem to mimo uszu, wepchnąłem skomlącego klechę do korytarza i przygwoździłem do ściany. Od szamotaniny ból przeszył mi żebra, cieknąca ropa cuchnęła potwornie, ale mój gniew przewyższał ból.

– Okłamałeś mnie, bezzębny draniu.

– Ja... – zaczął klecha, ale znowu go pchnąłem, uderzając jego łysym czerepem o kamienny rzymski mur.

– Powiedziałaś, że nie wiesz, co się stało z Lodową Furią.

– Ja... – spróbował ponownie, ale i tym razem nie dopuściłem go do głosu, walnąłem nim o ścianę, aż zajęczał.

– Zabrałeś miecz z pola bitwy i przywiozłeś go tutaj – stwierdziłem. Tak powiedziała mi Eadith. Widziała, jak kapłan zabiera klingę. Jej brat Eardwulf chciał ją nawet odkupić, ale Ceolberht odmówił, tłumacząc, że obiecał miecz komu innemu. – Gdzie on jest? – spytałem, lecz ojciec milczał, tylko patrzył na mnie ze zgrozą. Z komnaty wyłonił się Finan i uniósł brew. – Wypatroszymy tego kłamliwego klechę – zwróciłem się do Irlandczyka. – Nie będziemy się spieszyć. Podaj mi nóż.

– Panie! – wykrztusił Ceolberht.

– Gadaj, coś zrobił z mieczem Kanuta, gnoju.

Kapłan tylko znowu zajęczał, więc wziąłem od Finana nóż, ostry jak brzytwa. Dałoby się nim ogolić. Uśmiechnąłem się do Ceolberhta, wsunąłem nóż przez czarną sutannę, aż ostrze dotknęło skóry na brzuchu.

– Powoli, bardzo powoli wypruję ci flaki. – Czułem, jak ostry niczym igła czubek przebija skórę. Kapłan zamiauczał. – Gdzie on jest?

– Panie! – wykrztusił. Nie wypatroszyłbym go, ale on sądził, że bym to zrobił. Otworzył usta, po czym szybko je zamknął, resztki zębów zaszczękały, w końcu wydusił: – Zabrali go do Scireburnan, panie.

– Powtórz!

– Zabrali go do Scireburnan! – powiedział z rozpaczą.

Wstrzymałem nóż. Miasto Scireburnan leżało w Thornsæta, jednym z zamożniejszych hrabstw Wessexu, a ziemie wokół Scireburnan należały do Aethelhelma.

– Dałeś miecz Aethelhelmowi? – zapytałem.

– Nie, panie. Biskupowi – wyszeptał.

– Wulfheardowi?

– On ma na myśli biskupa Assera – stwierdził oschle Finan.

– Biskupa Assera? – spytałem Ceolberhta, który tylko przytaknął. Oddaliłem nóż od jego brzucha i zbliżyłem zakrwawiony koniec do prawego oka kapłana. – Może cię oślepię? Wybiłem ci już zęby, więc może czas na oczy? Potem zajmę się językiem.

– Panie! – wyszeptał. Nie śmiał się ruszyć.

– Biskup Asser nie żyje – powiedziałem.

– Chciał dostać ten miecz, panie.

– Czyli jest w Scireburnan?

Kapłan jęknął. Chciał chyba pokręcić głową, ale nie miał odwagi.

– Więc gdzie on jest? – Pozwoliłem, by koniec noża dotknął skóry tuż pod dolną powieką.

– Tyddewi – wyszeptał.

– Tyddewi? – Nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

– Biskup Asser udał się tam, żeby umrzeć, panie. – Ceolberht prawie nie śmiał mówić, zaledwie szeptał, zezując na złowrogi nóż. – Chciał umrzeć w domu, więc udał się do Walii.

Puściłem Ceolberhta, który z ulgą osunął się na kolana. Nóż oddałem Finanowi.

– Czyli jest w Walii – powiedziałem.

– Na to wygląda. – Finan wytarł ostrze do czysta.

Biskup Asser! To miało sens. Nienawidziłem tego człowieka, a on czuł do mnie to samo. Mściwy walijski pokurcz, wściekły kapłan, wkupił się w łaski króla Alfreda, a potem lizał królewski tyłek jak oszalały pies chłęczący krew po jesiennym uboju. Z Asserem zadarłem znacznie wcześniej, niż poznałem Alfreda, a ponieważ Walijszyk nigdy nie puszczał

urazy w niepamięć, starał się popsuć relacje między mną a królem. Kiedy nie zagrażali nam Duńczycy, Alfred, pod wpływem nienawiści Assera, traktował mnie jak banitę, ale gdy tylko nieprzyjaciel oblegał Wessex, wracałem do łask, przez co Asser nigdy nie zdołał się na mnie zemścić. Aż do tej pory.

W nagrodę za lizanie Alfredowego tyłka otrzymał klasztory oraz diecezję wraz z sowitymi przychodami. Asser został biskupem Scireburnan, a był to smakowity kąsek w zamożnym hrabstwie. Słyszałem, że tuż przed śmiercią opuścił to miasto, ale wtedy nowina mało mnie obeszła – podziękowałem tylko Thorowi i Wodanowi za zabicie małego, chytrego sukinsyna. Jak się jednak okazało, ten drań naprawdę był chytry, ponieważ rana wciąż mi doskwierała. Co oznaczało, że ktoś inny wszedł w posiadanie miecza Kanuta i używał go do chrześcijańskich czarów.

Właśnie dlatego Drines płynęła na zachód, smagana coraz silniejszym wiatrem. Blisko morza rzeka się rozszerzała. Na Saefern wciąż panował odpływ, dął wicher, a ilekroć wiatr wieje w kierunku przeciwnym od pływów, morze się wzburza, dlatego Drines kolebała się na gwałtownych stromych falach. Łódź należała do niewielkiej floty Aethelreda patrolującej południowe wybrzeże Walii, by odstraszać piratów, którzy napadali na kupców z Mercji z zatok i przesmyków. Dwa dni zajęło mi przygotowanie łodzi do drogi, dwa dni, podczas których stale oczekiwałem reprimendy Aethelflaed za brak posłuszeństwa. Zamiast galopować na północ do Ceasteru, siedziałem kilka mil na południe od Gleawecestre, gdzie ładowałem na pokład Drines suszone ryby, chleb i ale. Moja córka chciała płynąć ze mną, ale kazałem jej dołączyć do pięćdziesięciu ludzi, którzy na rozkaz Aethelflaed mieli wzmocnić załogę Ceasteru. Człowiek, który kocha córkę, nie pozwala jej się zbliżyć do Walii. Aethelflaed nalegała, aby jej bratanek Aethelstan również udał się do Ceasteru, gdzie potężne rzymskie mury będą go chronić przed knowaniami Aethelhelma. Bliźniacza siostra

chłopca Eadgyth, niezagrożająca ambicjom Aethelhelma, została z Aethelflaed w Gleawecestre.

Drines była dobrą łodzią, wyjąwszy jej nazwę. Żagiel rzadko rozpinano, nie mogliśmy też użyć go teraz, bo płynęliśmy prosto w strefę złowrogiego wichru. Pozwoliłem synowi objąć dowództwo, patrzyłem, jak marszczy czoło, gdy większa fala podrzuciła ozdobiony krzyżem dziób Drines. Ciekaw byłem, jaką decyzję podejmie, w końcu przesunął ster i ruszyliśmy na południe. Nasz cel znajdował się na północnym brzegu, ale mój syn słusznie skierował się w stronę południa. Po zmianie pływów będziemy potrzebowali pomocy wiatru, więc mój syn nabierał wysokości, by potem wciągnąć wielki żagiel i wykorzystać siłę wiatru. Gdyby wiatr się nie zmienił, chyba nie mielibyśmy dość wysokości, ale bardziej prawdopodobne było to, że wiatr również zmieni się na południowy. Poza tym podejrzewałem, że noc spędzimy na wybrzeżu Wessexu, może nieopodal miejsca, gdzie przed laty zabiłem Ubbę.

Na łodzi znajdowało się czterdziestu sześciu mężczyzn – całkiem spory oddział – oraz Eadith. Niektórzy z moich ludzi kręcili na to nosem. Powszechnie uważa się, że obecność kobiety na pokładzie przynosi nieszczęście z powodu zazdrości bogini morza Ran, która nie znosi rywalek, ale nie śmiałem zostawić Eadith w Gleawecestre, gdzie byłaby narażona na zazdrość Aethelflaed.

- Ona zabije tę biedną dziewczynę – powiedziałem Finanowi.
- Może pośle ją do klasztoru?
- Na jedno wychodzi. Poza tym Eadith zna Walię – skłamałem.
- Naprawdę?
- Doskonale – zapewniłem. – Dlatego z nami płynie.
- Naturalnie – powiedział Finan i porzucił temat.

Eadith oczywiście nie miała pojęcia o Walii, ale kto je miał? Na szczęście

Gerbruht był w Tyddewi. Ten przyjaciel mojego syna odznaczał się ogromnym apetytem, przez co utył, chociaż znaczną część jego masywnego ciała stanowiły mięśnie. Wezwałem Gerbruhta na rufę, gdzie siedzieliśmy, i kazałem Eadith słuchać.

– Jak dobrze znasz Walię? – spytałem Gerbruhta.

– Byłem tam na pielgrzymce.

– Naprawdę?

Gerbruht jakoś nie wyglądał mi na pielgrzymą.

– Mój ojciec był duchownym, panie – wyjaśnił.

– Przybył z Fryzji do Walii?

– Król Alfred sprowadził go do Wintanceasteru, panie, ponieważ mój ojciec znał grekę. – To miało sens. Alfred sprowadził do Wessexu dziesiątki cudzoziemskich kapłanów, ale tylko wykształconych. – Moi rodzice lubili zwiedzać święte miejsca – ciągnął.

– I zabrali cię do Tyddewi? – spytałem.

– Byłem wtedy małym chłopcem, panie – przytaknął Fryz.

– Tylko mi nie mów, że spoczywa tam zmarły święty – powiedziałem.

– Ależ tak, panie! – zapewnił bojaźliwie, kreśląc znak krzyża. – Święty Dawid*.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Co takiego zrobił?

– Wygłaszał kazania, panie.

– Oni wszyscy to robili!

– Cóż, ludzie stojący z tyłu go nie widzieli, panie.

– Czemu nie? – spytałem. – Był karłem?

Gerbruht zmarszczył czoło, wyraźnie pragnąc mi pomóc, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– Nie wiem, czy był karłem, panie, ale go nie widzieli, więc Dawid

pomodlił się do Boga i Bóg stworzył wzgórze pod jego stopami.

– Dawid uczynił w Walii wzgórze? – Wbiłem wzrok w Gerbruhta.

– Tak, panie.

– I nazywają to cudem?

– O tak, panie!

Gerbruht nie należał do najbystrzejszych spośród moich ludzi z muru tarcz, ale był silny i wytrzymały. Cały dzień mógł robić wiosłem albo zręcznie wymachiwać toporem wojennym.

– Opowiedz mi o Tyddewi – poleciłem mu.

Gerbruht zmarszczył brwi, wytężając pamięć.

– Leży niedaleko morza, panie.

– To świetnie.

– Są tam mnisi. To dobrzy ludzie, panie.

– Nie wątpię.

– Są też wzgórza, panie.

– Przecież był tam Dawid – zauważyłem. – Może on je stworzył?

– Tak, panie! – Pomysł wyraźnie spodobał się grubasowi. – Mają poletka, gdzie pasie się mnóstwo owiec.

– Lubię baranię.

– Ja też, panie – zapewnił z entuzjazmem.

– Widziałeś w Tyddewi wojowników?

Gerbruht przytaknął, choć nie potrafił mi powiedzieć, czy jakiś wielki pan mieszkał w pobliżu klasztoru ani czy wojownicy mieszkali blisko miejscowości. Z całą pewnością był tam kościół, gdzie pochowano świętego tworzącego wzgórze, w kamiennych celach mieszkali mnisi, ale Gerbruht niewiele mógł sobie przypomnieć o pobliskiej wiosce.

– Kościół stoi w zagłębieniu, panie.

- Zagłębieniu?
 - Na nizinie, panie.
 - Spodziewałbym się raczej kościoła na wzgórzu – stwierdziłem.
 - Na wzgórzu, panie?
 - Na tym, które stworzył Dawid.
 - Nie, panie. – Gerbruht się zafrasował. – Kościół stoi na dole. Mnisi częstowali nas rybami.
 - Rybami.
 - I miodem, panie.
 - Równocześnie?
- Fryz uznał to za zabawny pomysł i się roześmiał.
- Nie, nierównocześnie, panie. To nie byłoby smaczne. – Zerknął na Eadith, by doceniła dowcip. – Ryby i miód! – powiedział, dziewczyna zachichotała, co sprawiło grubasowi przyjemność. – Ryby i miód, też mi coś! To były śledzie.
 - Śledzie? – spytała Eadith, z trudem powstrzymując śmiech.
 - A także sercówki, pobrzechki i węgorze. I makrele!
 - Opowiedz mi o wojownikach, których widziałeś – poprosiłem.
 - Ale chleb mieli dziwny, panie – ciągnął z zapalem Gerbruht. – Smakował jak wodorosty.
 - A wojownicy?
 - Było kilku przy grobie Dawida, panie.
 - Może pielgrzymowali, jak ty?
 - Tak, panie.
 - Wodorosty? – zainteresowała się Eadith.
 - Chleb był gruzłowaty i kwaśny, pani. Ale całkiem mi smakował.
 - Jak się tam dostałeś? – pytałem.

- Zaprowadzili nas ścieżką do chaty i jedliśmy razem z mnichami, panie.
- Nie, do Tyddewi!
- Konno, panie – odparł grubas, marszcząc czoło.

Nic więcej nie potrafił mi powiedzieć. Najwyraźniej Tyddewi było celem pielgrzymek chrześcijańskich, a jeśli pamięć nie myliła Fryza, cudzoziemcy mogli względnie bezpiecznie podróżować drogami południowej Walii, co napawało otuchą. Chrześcijanie bardzo lubią pielgrzymów, tych świątobliwych ludzi gapiących się na świńskie gnaty, które udają świętych. Pielgrzymi dają mnóstwo pieniędzy i trudno znaleźć kościół czy klasztor, w którym nie znajdowałaby się powieka Świętego Jana, pępek Świętej Agaty albo piklowane nóżki gadareńskich wieprzy. Chociaż wielu pielgrzymów klepie biedę, głupcy oddają ostatni grosz, by otrzymać błogosławieństwo garstki brudu wyskrobanego spod paznokcia u nogi zmarłego świętego. Wiadomość, że takie łatwowierne matoly mile widziano w Tyddewi, była pomyslna, oznaczała bowiem, że mogliśmy się tam zjawić przebrani za pielgrzymów.

Pierwszą noc spędziliśmy na północ od Defnasciru. W zatoczce rzuciliśmy kamień kotwiczny i pozwoliliśmy nocy otulić naszą steraną łódź. Wcześniej tego dnia minęliśmy ujście rzeki, gdzie zabiłem Ubbę. Tamtej walce na piasku zawdzięczałem swoją reputację, ale wydarzyła się bardzo dawno temu i myślałem, że pewnego dnia jakiś młody człowiek usiecze mnie tak, jak to zrobiłem z Ubbą, zabierze Oddech Węża i okryje się sławą. *Wyrđ bið ful āræd.*

Nazajutrz wznowiliśmy wiosłowanie, bo wiatr nadal wiał nam w twarz, czasami przyplływ usiłował zepchnąć nas w tył, tak więc dopiero o zmierzchu dotarliśmy do wyspy Lundi, którą odwiedziłem przed laty. Niewiele się zmieniła, chociaż jacyś ludzie próbowali się tu osiedlić, co świadczyło o głupocie, ponieważ ich osady musieli zauważyć włóczący się wikingowie.

Powiosłowaliśmy do brzegu. Tam, gdzie wyciągnęliśmy Drines z wody, dwie sterty spopielonych drewn wskazywały miejsce, gdzie stały domy. Na łupku leżał szkielet. Kozy obserwowały nas ze skarpy, gdzie gniazdowały maskonury. Zarznięliśmy dwie kozy i upiekliśmy mięso na ogniu z drewna wyrzuconego przez morze. Niebo się przetało, wyszły gwiazdy, powietrze było chłodne, lecz nie zimne. Spaliśmy na cienkim torfie, pilnowani przez wartowników.

Nazajutrz powiosłowaliśmy na zachód po leniwym morzu, kołyszącym się wolno w przymglonym świetle. Maskonury przelatowały obok nas na krótkich skrzydłach, foki unosiły wąsate pyski, by odprowadzać nas wzrokiem. Przed południem wiatr się wzmógł, zmieniał się z północnego na południowy, w końcu przeszedł w stronę południowo-zachodnią, wciągnęliśmy więc żagiel i pozwoliliśmy Drines płynąć swobodnie. Na pewien czas usiadłem przy sterze – nie dlatego, że mój syn sobie nie radził, ale dla czystej radości, jaką sprawiało mi drżenie morza, które czułem w rumplu. Wysilek związany ze sterowaniem sprawił, że rozboleły mnie żebra, oddałem więc synowi rumpel, położyłem się na sterówce i patrzyłem na migotliwe morze. Zastanawiałem się, czy w Walhalli są okręty. Wyobraźcie sobie wieczność z dobrym okrętem, lśniącem morzem, wiatrem wiejącym w twarz, załogą dobrych mężczyzn i kobietą u boku.

– Skidbladnir** – powiedziałem.

– Skid? – spytała Eadith.

– To okręt bogów – wyjaśniłem. – Wojownik może go schować w mieszk, a kiedy zajdzie potrzeba, rzuca go do morza, gdzie okręt rośnie do pełnych rozmiarów.

– I ty wyśmiewasz się z chrześcijańskich cudów – powiedziała z uśmiechem Eadith.

– Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś wskrzesił zmarłego albo przywrócił

ślepcowi wzrok.

– Ale widziałeś, jak okręt rośnie w morzu?

– Nie cierpię sprytnych kobiet – warknąłem.

Eadith się zaśmiała. Nigdy wcześniej nie płynęła łodzią, jeśli nie liczyć szacownego wiosłowania po Saefern w Gleawecestre. Kiedy nasz kadłub po raz pierwszy zetknął się z otwartym morzem i fale zaczęły nas kołysać, Eadith nie kryła zdenerwowania. Na widok kadłuba uginającego się pod naporem silniejszych fal, uznała, że deski na pewno pękną. Wyjaśniłem jej, że gdyby kadłub się nie ugiął, łódź poszłaby na dno.

– Deski się uginają, ale szkielet nie pozwala im ugiąć się za bardzo – wyjaśniłem. – Tak samo jest z mieczem. Jeśli będzie zbyt kruchy, pęknie, natomiast za miękki nie utrzyma ostrza.

– A kamienie? – Głową wskazała balast.

– Dzięki nim utrzymujemy się w pionie – wyjaśniłem i zaśmiałem się, bo przypomniało mi się śmieszne kazanie ojca Beokki, który porównał kamienie balastu do wiary chrześcijańskiej.

Beocca ładował coraz więcej kamieni na swój wyobrażony pokład, aż mój ojciec warknął, że właśnie zatopił cholerną łódź. Biedny Beocca stał przed ołtarzem z rozdziawioną gębą.

– Jesteś szczęśliwy – powiedziała Eadith, a w jej głosie również dało się słyszeć szczęście.

To była prawda. Ból w boku stał się znośny, łódź sunęła chyżo, martwiłem się jedynie Walią. O Walińczykach wiedziałem niewiele ponad to, że byli chrześcijanami, posługiwali się barbarzyńskim językiem oraz, jeżeli Gerbruht miał rację, jedli wodorosty. Ich kraj dzielił się na małe królestwa, które najwyraźniej zmieniały nazwy wraz z pogodą, ale wiedziałem, że Tyddewi należy do Dyfedu, choć nie miałem pojęcia, kto tam rządzi. Pewnie jakiś brodaty, zrzędlawy królik. Mimo to Walińczycy byli świetnymi

wojownikami i wśród Sasów utrwałała się zasada, że jedynie głupcy zapuszczają się w walijskie wzgórza, gdzie ich wyrzynano, co skądinąd nie znaczyło, że nie brakowało durniów, którzy wciąż to robili. Walijczycy utrzymywali, że zagarnęliśmy ich ziemie, lubili zapuszczać się w głąb Mercji po bydło i niewolników, a te nieustanne potyczki stanowiły dobre ćwiczenie dla młodych wojowników. Właśnie przeciwko Walijczykom walczyłem w swoim pierwszym murze tarcz. Często zastanawiałem się, czemu Walijczycy nie oddają czci bogom, którzy byli wrogami Sasów, bo przecież ci na pewno pozwoliliby im odzyskać ziemie, ale upierali się przy wierze chrześcijańskiej. Tym lepiej, bo właśnie walijscy chrześcijanie przyszli z odsieczą pod Teotanheale i pomogli nam pokonać Kanuta.

Teraz miecz Kanuta znajdował się w Dyfedzie, a Drines pędziła tam pod wydętym żaglem, zostawiając szeroki kilwater. Widziałem niewiele innych łodzi, wszystkie daleko od nas. Małe ciemne żagle należały pewnie do rybaków, lecz dwa większe, jaśniejsze, były statkami towarowymi zmierzającymi w stronę ujścia Saefern. Raczej nie były to uzbrojone okręty, ponieważ, choć płynęły blisko siebie, gwałtownie oddaliły się od nas i wkrótce zniknęły w morskim przestworze.

Późnym popołudniem zbliżyliśmy się na wiosłach do wybrzeża Walii, bo wiatr znowu wiał nam w twarz. W ciągu dwóch dni, które poświęciliśmy na zapełnianie luku Drines wędzoną rybą, beczkami ale i workami z podwójnie pieczonym chlebem, rozmawiałem z kapitanem znającym to wybrzeże. Rosły brodacz miał ogorzałą od wiatru twarz. Zapewnił mnie, że bez trudu znajdzie Tyddewi.

– Płyn na zachód aż do końca lądu, panie. Miniesz spory przesmyk, dotrzesz do kamienistego półwyspu, naprzeciwko którego są wyspy, tam skręcisz na północ, przetniesz dużą zatokę, a półwysep w głębi to Tyddewi. Ślepiec znalazłby go w ciemną noc.

– Płyn z nami – zaprosiłem go.

– Chcesz, żeby udał się na te ziemie? – spytał. – W ciągu trzydziestu ośmiu lat żeglowania ani razu nie przybiłem do Walii i nie mam zamiaru tego robić.

– Będziemy pielgrzymami.

– Uzbrojonymi w miecze? – Zaśmiał się. – Nie możesz go przegapić, panie. Płyn na zachód, aż ląd się skończy, potem przetnij zatokę na północ. Potem popłyn na wschód, aż zobaczysz wyspę z wielkim kamiennym łukiem. W tamtejszym przesmyku znajdziesz dogodne miejsce, żeby rzucić kotwicę. Człowiek, który uczył mnie o tym wybrzeżu, nazywał je smoczą paszczą. Skały ostre jak zęby, ale stamtąd możesz dojść do Tyddewi.

– Kotwiczyłeś kiedyś w smoczej paszczy?

– Trzykrotnie. Jeden kamień kotwiczny z dziobu, drugi na rufie, wartownicy czuwający całą noc.

– Nie zszedłeś na ląd? Nawet po wodę?

Brodacz się skrzywił.

– Czekały na nas włochate łotry z toporami. Schroniłem się tam przed falami, panie. I modliłem się, żeby smok trzymał paszczę otwartą. Przetnij zatokę, wypatruj łuku i niech Bóg ma cię w opiece.

Może istotnie chrześcijański bóg nas zachowa. W końcu Walia była chrześcijańskim krajem, ale i tak dotknąłem młota na szyi i pomodliłem się do Odyna. Kiedyś zstąpił do tego środkowego świata, położył się z dziewczyną, która dała mu śmiertelnego syna, ten zaś spłodził innego syna, tamten innego, i tak to trwało, aż przyszedłem na świat. W moich żyłach płynie boska krew. Pogładziłem młot, błagając Odyna, żeby ochraniał mnie w krainie nieprzyjaciół.

Pod wieczór, gdy wiatr ustał i może kołysało się leniwie, przecięliśmy rozległą zatokę, dotarliśmy do łukowatej skały, za którą wysoko na

ciemniejszym niebie nad skalistym łądem unosił się słup dymu. Finan stanął obok mnie, wpatrując się w mroczną smugę. Wiedział, co oznaczała. Przez całe życie widywaliśmy takie dymy zniszczenia.

– Duńczycy? – spytał.

– Prędzej Norwegowie – odparłem. – Albo walijska zwada. Stale się sprzeczą.

Powoli powiosłowaliśmy na wschód, wypatrując smoczej paszczy, i oto ukazało się ciemne wcięcie w linii brzegowej. Gdy długie wiosła przywiodły nas w objęcia łądu, ponownie dotknąłem młota. Na wysokich wzgórzach pasły się owce, w wąskiej dolinie przycupnęło kilka chałup krytych strzechą. Ani śladu ludzi, z toporami czy bez. Jeśli w tej dolinie w przesmyku ktokolwiek mieszkał, schował się przed ludźmi, którzy zamazali niebo dymem.

– Ktoś na pewno nas obserwuje – stwierdził Finan, wodząc wzrokiem po wzgórzach. – Nie widzimy ich, ale oni nas owszem.

– Możliwe.

– Zawiadomią o naszym przybyciu.

– Mamy na dziobie krzyż – przypomniałem, mając na myśli, że udajemy chrześcijańską łódź, co w chrześcijańskim kraju mogło nas chronić.

– Boże dopomóż – powiedział Finan i się przeżegnał.

Rozstawiliśmy warty i próbowaliśmy zasnąć.

Tej nocy spało się jednak ciężko. Znajdowaliśmy się w smoczej paszczy.

Przed świtem siedmioro z nas wymknęło się na brzeg. Oczywiście zabrałem Finana, syna, Gerbruhta, ponieważ już wcześniej był w kaplicy, dwóch innych wojowników oraz Eadith, która uparła się, by nam towarzyszyć.

Na łodzi będziesz bezpieczniejsza – powiedziałem, lecz dziewczyna uparcie pokręciła głową i przekonała mnie, że obecność kobiety uwiarygodni nas jako pielgrzymów.

Wszyscy nosiliśmy płaszcze, zamieniłem młot na krzyż. Pod okryciami ukryliśmy krótkie miecze.

Po wyjściu na brzeg wdrapaliśmy się po zachodnim zboczu smoczej paszczy, a gdy dotarliśmy do skalistego grzbietu, żebra bolały mnie tak, jakby wszystkie diabły chrześcijańskiego świata dźgały mnie rozżarzonymi widłami. Sihtric wyprowadził Drines na otwarte morze. Jeśli niewidoczny obserwator zawiadomił swego pana, wojownicy, którzy przyjadą na przesmyk, nikogo tam nie zastaną. Uznają, że spędziliśmy tam noc i ruszyliśmy w dalszą drogę, czy raczej miałem nadzieję, że tak właśnie pomyślą. Sihtricowi kazałem trzymać łódź na morzu do zmroku, po czym cichcem wrócić do przesmyku.

Ruszyliśmy piechotą.

Droga nie była daleka.

Gdy wschodzące słońce ukośnie oświetliło świat, zastaliśmy Tyddewi, podobnie jak chałupy w smoczej paszczy, puste. Spodziewałem się kakofonii wyjących psów i piejących kogutów, ale powitała nas cisza i dym brudzący poranne niebo. Dawniej była tu osada, teraz zostały tylko popioły i tłące się drewno, ocalał jedynie strzelisty kamienny kościół w niecce. Wiele razy oglądałem podobny widok, sam bywałem jego sprawcą. Najeźdźcy przybyli, złupili ludzkie siedziby i puścili z dymem, ale kiedy podeszliśmy bliżej, nie zauważyłem ciał. Napastnicy zabraliby dzieci i podrostki do niewoli i dla przyjemności. Tacy najeźdźcy zazwyczaj zabijali ludzi starych i chorych, ale nie widziałem ciał szarpanych przez wrony ani śladów krwi na kamieniach, żadnych zwęglonych trupów w popiele. Pusta wioska dymiła.

– Jeśli miecz Kanuta kiedykolwiek tu był, to zniknął – stwierdził ponuro

Finan.

Nie odpowiedziałem, nie chcąc myśleć o jego słowach, choć oczywiście miał rację. Piraci albo ludzie z innego walijskiego królestwa przybyli do Tyddewi i zostawili po sobie zgliszcza. Kot wygiął grzbiet i syknął na nas, ale poza tym nie widzieliśmy nic żywego. Podeszliśmy do kościoła z ciemnego surowego kamienia. Na tyłach znajdowały się ruiny zabudowań, które dymiły mocniej niż pozostałe, więc domyśliłem się, że był tu klasztor, w którym Asser postanowił umrzeć. Za ruinami, na północnym zboczu wzgórza, ujrzałem małe kamienne domki w kształcie uli. Parę z nich rozbito, ale z tuzin innych przetrwało.

– Kamienne chałupy, w których mieszkali mnisi – wyjaśnił Gerbruht.

– W czymś takim nie trzymałbym nawet psa – stwierdziłem.

– Lubisz psy, więc oczywiście byś tego nie zrobił – zauważył Finan. – Ale mnicha byś tu wsadził. Jezu! Co to było? – Finan podskoczył, bo przez zachodnie drzwi kościoła ktoś cisnął kawałkiem zwęglonego drewna. – Chryste, ktoś tu jest.

– Śpiewajcie – powiedział mój syn.

– Co takiego? – Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Jesteśmy pielgrzymami, więc powinniśmy śpiewać.

– On ma rację – warknął Finan.

– Psalm – dodał mój syn.

– No to śpiewajcie – rozkazałem.

Zaczęli więc śpiewać, choć mało imponująco, bo jedynie Gerbruht znał więcej niż kilka słów. Podobno mój syn otrzymał wykształcenie od mnichów, ale tylko ryczał jakieś bzdury, gdy szliśmy pośród spalonych domów. Wszędzie unosił się swąd dymu.

Do niecki wiodły schody, a kiedy do nich podeszliśmy, w drzwiach kościoła ukazał się mnich. Przez chwilę patrzył na nas przestraszony, znowu

rzucił zwęglonym drewnem, po czym uciekł w mrok. Zeszliśmy po schodach, śpiew ucichł, i wreszcie przekroczyłem próg kościoła.

Przede mną stali trzej mnisi. Jeden, odważny dureń, trzymał kawał na wpół zwęglonego drewna jak pałkę. Twarz miał bladą, napiętą i zdecydowaną, nie opuścił prymitywnej broni, kiedy moi ludzie weszli do kościoła. Za nim znajdowały się poczerńiałe resztki ołtarza, nad którym wisiał malowany drewniany krucyfiks. Płomienie go polizwały, ale przetrwał. Ukrzyżowany bóg miał osmalone stopy, farba na nagim ciele poczerńiała od dymu, ale krucyfiks oparł się ogniewi. Mnich dzierżący zwęgloną pałkę odezwał się do nas w swej ojczystej mowie, której nie rozumieliśmy.

– Jesteśmy pielgrzymami – powiedziałem, czując się głupio.

Tamten odezwał się znowu, wciąż trzymając polano, ale wtedy najmłodszy z trójki, blady młodzik z rzadką brodą, przemówił do nas w naszym języku.

– Kim jesteście?

– Już mówiłem, pielgrzymami. A wy kto?

– Przyszliście nas skrzywdzić? – zapytał.

– Gdybym chciał to zrobić, już byście nie żyli. Przybywamy w pokoju. Więc kim jesteście?

Młody mnich uczynił znak krzyża, łagodnie opuścił kawał drewna trzymany przez jego towarzysza i odezwał się do niego po walijsku. Usłyszałem słowo *season*, którym określają Sasów, i ujrzałem ulgę na ich twarzach, gdy zrozumieli, że nie przyszliśmy ich zabić. Najstarszy z mnichów, ten z siwą brodą, osunął się na kolana i zapłakał.

– Kim jesteście? – zwróciłem się ponownie do młodego.

– Nazywam się brat Edwyn – odparł.

– Jesteś Sasem?

– Ze Scireburnan.

– Ze Scireburnan, panie – poprawiłem go szorstko.

– Tak, panie, ze Scireburnan.

– Przybyłeś tu z biskupem Asserem? – zapytałem. Tak zakładałem, bo co saski mnich miałby robić w cuchnącym dymem zakątku Walii?

– Tak, panie.

– Dlaczego?

Młody mnich zmarszczył brwi, najwyraźniej zdziwiony pytaniem.

– Żeby się od niego uczyć, panie. Biskup Asser był bardzo świętobliwym człowiekiem, wielkim nauczycielem. Poprosił, żebym mu towarzyszył i zapisywał jego słowa, panie.

– I co tu się wydarzyło? Kto spalił to miejsce?

Pojawili się Norwegowie. Na północ od Tyddewi znajdowało się ujście rzeki, które brat Edwyn nazywał Abergwaun, choć ta nazwa nic mi nie mówiła. Osiedlili się tam Norwegowie z irlandzkich ziem.

– Mieli pozwolenie, panie – wyjaśnił Edwyn.

– Pozwolenie?

– Od króla, panie. Obiecali płacić mu daninę.

Wybuchnąłem śmiechem. Inni królowie brytyjscy też zapraszali ludzi Północy, wierzyli ich zapewnieniom, że będą żyli w pokoju i płacili za dzierżawę, i stopniowo przypływało coraz więcej okrętów, osadnicy rośli w siłę, a król przekonywał się, że zamiast dzierżawców ma bandę dzikich wojowników, kukulek ze szponami, którzy ostrzyli sobie zęby na jego pola, kobiety, majątek i tron.

– Kto nimi dowodzi? – spytałem.

– Zwie się Rognvald, panie.

Spojrzałem na Finana, ale on wzruszył ramionami, bo to imię nic mu nie mówiło.

- Przyłynął z Irlandii? – zwróciłem się do mnicha.
- W ostatnich latach wielu ludzi Północy uciekło z irlandzkich ziem, panie – odparł.
- Ciekawe dlaczego – powiedział z rozbawieniem Finan.
- Iloma wojami dowodzi Rognvald?
- Co najmniej setką, panie, ale wiedzieliśmy, że nadciąga! Obserwowaliśmy ze wzgórz, otrzymaliśmy ostrzeżenie, więc mieliśmy czas na ucieczkę. Ale skarby... – Urwał i z rozpaczą rozejrzał się po ogołocym kościele.
- Skarby?
- Zabraliśmy małe relikwiarze i rzeczy z ołtarza, ale reszta? Wielka złota skrzynia Świętego Dawida, srebrny krucyfiks, wszystko było za ciężkie, nie mieliśmy czasu, żeby to ratować, panie. Mieliśmy tylko chwilę. Przybyli konno.
- Zabrali świętego?
- Ocaliliśmy kości, panie, ale trumny? Nie było czasu, żeby je zabrać.
- Kiedy to się działo?
- Dwa dni temu, panie. Wczoraj wróciliśmy we trzech. – Zawahał się. Mnich trzymający kawał drewna mówił coś gorączkowo, a brat Edwyn sprawiał wrażenie zdenerwowanego. W końcu zebrał się na odwagę i zwrócił się do nas: – A wy, panie? Wolno spytać, skąd jesteście?
- Przybywamy od króla Edwarda – odparłem. Sensownie było mówić, że przyjechaliśmy z Wessexu, nie z Mercji. Wessex leżał daleko i jego wojownicy rzadko walczyli z Walijszymi, podczas gdy ościenna Mercja nieustannie potykała się z najeźdźcami ze wzgórz.
- Król Edward! Bogu niech będą dzięki – powiedział Edwyn. – Dobry chrześcijanin.

– Jak my wszyscy – zapewniłem pobożnie.

– I król przysłał cię tu, panie?

– Żeby zobaczyć grób biskupa Assera – wyjaśniłem.

– Ależ tak! – wykrzyknął uradowany brat Edwyn. – Biskup był wielkim przyjacielem Wessexu. I bardzo świętobliwym człowiekiem. Prawdziwy sługa Boży! Wcielenie dobroci i hojności.

To był kawał gnoja – pomyślałem, ale uśmiechnąłem się wymuszenie.

– Ludzie w Wessexie bardzo go opłakują – powiedziałem.

– Był tu biskupem. Może nigdy nie ujrzymy człowieka, który mógłby się z nim równać – rzekł brat Edwyn. – Teraz dołączył do świętych w niebie, gdzie jego miejsce!

– Z pewnością – dorzuciłem z zapalem, myśląc, że w towarzystwie świętych musiało wiać nudą.

– Grób jest tutaj. – Brat Edwyn przeszedł na drugą stronę zwęglonego ołtarza i pokazał nam wielką kamienną płytę, którą podniesiono i odsunięto na bok. – Dobry Boże, ci Norwegowie nawet zmarłych nie zostawili w spokoju!

Podszedłem i zajrzałem w głąb kamiennego grobu, gdzie leżała rozbita drewniana trumna biskupa Assera. Drań nadal tam tkwił, owinięty w szary całun z czarnymi plamami. Ponieważ tkanina spowijała całe ciało, nie widziałem jego ściągniętej, złej twarzy, czułem za to odór rozkładu. Kusiło mnie, żeby napluć do grobu, ale zdołałem opanować wściekłość i właśnie w tej chwili doznałem olśnienia. Pomysł był tak genialny, że nie mogłem pojąć, czemu wcześniej na niego nie wpadłem.

– Król Edward – zwróciłem się do brata Edwyna swoim najbardziej żarliwym tonem – poprosił nas, abyśmy przywieźli pamiątkę po Asserze.

– Rozumiem, panie! W Wessexie tak go kochano.

– Istotnie – przyznałem. – Król podarował biskupowi miecz, duński

miecz, a teraz prosi, żebyśmy go zabrali. Ma zostać umieszczony na głównym ołtarzu nowego kościoła w Wintanceasterze.

– A, miecz! – Edwyn znów wyglądał na zdenerwowanego.

– Oczywiście zapłacimy za niego – zapewniłem.

Edwyn był bliski łez.

– Biskup bardzo lubił ten miecz, chociaż nie był wojowniczym człowiekiem.

– Na pewno niezwykle go cenił, jako królewski dar – powiedziałem.

– O, bardzo! Niestety, nie możemy go oddać królowi Edwardowi.

– Nie?

– Na łożu śmierci biskup Asser poprosił, by pochować go razem z mieczem. Leżał w tym grobie. Norwegowie musieli o tym wiedzieć, bo go zabrali.

– Skąd mieliby wiedzieć?

– To nie była tajemnica – odparł brat Edwyn. – Misjonarze mogli o tym wspomnieć.

– Misjonarze?

– Rognvaldowi pozwolono się osiedlić, panie, pod warunkiem że udzieli schronienia naszym dwóm misjonarzom i da posłuch ich nauczaniu. To właśnie ojciec Elidell ostrzegł nas przed atakiem Rognvalda.

Ci dranie misjonarze musieli się pochwalić mieczem – pomyślałem.

– Król Edward pragnie tego miecza – powiedziałem bezradnie.

– Może król Edward chciałby dostać inną pamiątkę po biskupie – podsunął skwapliwie Edwyn. – Mamy trochę jego butów, zdaje mi się. Och, wiem! Zachowaliśmy sukno, którym wycieraliśmy wymioty podczas jego ostatniej choroby. Może król chciałby je dostać?

– Sukno do wymiotów? – spytałem.

– Wymiociny już zaschły, panie! Teraz to tylko delikatna skorupka, ale jeśli biskup zostanie świętym, jak niechybnie będzie, wówczas ona będzie czynić cuda!

– Król na pewno by ją cenił, ale zależało mu na mieczu – upierałem się.

– Nic dziwnego – odparł Edwyn. – Przecież sam zabił poganina, który go nosił! Wiele razy słyszeliśmy tę historię!

– Król Edward go zabił? – zdziwiłem się.

– Ależ tak! Biskup Asser był o tym przekonany. Mówił, że nawet w grobie będzie walczył tym mieczem z diabłem. Taki święty mąż!

Taki wredny, skąpy, przebiegły kawałek kłamliwego gówna – pomyślałem.

– Dzielnie walczył ze złem – ciągnął z zapałem Edwyn. – Prosił nawet, żeby owinąć miecz w pokrzywy, by parzył demony naigrawające się z chrześcijańskich zmarłych! – Mnich nakreślił znak krzyża. – Nawet po śmierci biskup walczy za Chrystusa.

Nawet po śmierci mnie nękał. Teraz miecz znajdował się w rękach Norwega, ale nie wątpiłem, że chrześcijańskie czary, które Asser odprawił nad klingą, nadal działały. Miecz zniknął, a jeśli chciałem go odnaleźć, musiałem się spotkać z Rognvaldem.

– Czy ten Norweg wciąż jest w Abergwaun? – spytałem.

– Tak, z tego, co wiemy, panie, jest w Abergwaun.

– Jak daleko... – zacząłem pytać, ale przerwał mi mój syn.

– Ojczy! – zawołał Uhtred.

Stojąc w drzwiach kościoła, patrzył w poranne słońce, a gdy odwróciłem się w jego stronę, usłyszałem głosy. Męskie głosy i kroki. Liczne kroki. Podszedłem do drzwi i oto niespełna dwadzieścia kroków dalej zobaczyłem wojowników.

Całą zgraję. Ludzie w kolczugach i hełmach, niektórzy w skórach, kilku miało na sobie jedynie grube kamizelki, które mogły zatrzymać cięcie miecza, ale nie sztych. Większość trzymała tarcze, niemal wszyscy mieli miecze, choć kilku było uzbrojonych w masywne włócznie o szerokich grotach. Brodaci, śniadzi, wrogo nastawieni, nosili na szyjach krzyże, niektórzy mieli je również wymalowane na tarczach, co znaczyło, że nie są ludźmi Rognvalda, tylko Walijczykami. Zacząłem ich liczyć, ale było ich zbyt wielu.

– Chwała Chrystusowi! – Brat Edwyn stanął w drzwiach kościoła. – Przyjechał król.

– Król?

– Król Hywel! – powiedział tonem wymówki, jakbym powinien wiedzieć, co za dzikus włada tym zakątkiem Walii. – Ucieszy się na spotkanie z tobą, panie.

– Będę zaszczycony – odparłem.

Pomyślałem o wszystkich ludziach, którzy udali się do Walii i nigdy nie wrócili. Krążyły opowieści o przepastnych jaskiniach, w których tamtejsi czarownicy uwięzili dusze Sasów. „Nasz kraj powinniśmy nazywać grobem Sasów! – powiedział kiedyś ojciec Pyrlig ze zgoła niechrześcijańskim zapalem. – Uwielbiamy, kiedy nas odwiedzają! Nasi chłopcy mają okazję, by poćwiczyć”.

Przywódca Walijczyków, ponura bestia z czerwoną chustą owiniętą wokół hełmu, brodą do pasa i tarczą ze smokiem ziejącym ogniem, dobył długiego miecza.

Wyrđ bið ful āræd.

Posępny wojownik z czerwoną chustą na hełmie odsunął się na bok i podszedł do nas znacznie niższy mężczyzna. On również nosił kolczugę

i hełm, nie miał jednak tarczy. Odziany był w płaszcz z jasnozielonego lnu, obrębiony złotymi krzyżami. Gdyby nie przepyszny hełm i zdobna pochwa zwisająca u szamerowanego złotem pasa, wziąłbym go za kapłana. Na złotym łańcuchu nosił złoty krzyż, którego dotknął, gdy zatrzymał się, żeby się nam przyjrzeć. Trochę przypominał mi Alfreda. Na jego twarzy nie było zmarszczek spowodowanych nieustanną chorobą i zgryzotą, jak u Alfreda, ale dało się dostrzec podobną skrzącą się inteligencję. Ten człowiek nie był głupcem. Spokojnie, pewnie uczynił jeszcze krok w naszą stronę. Zawołał coś w swoim języku, brat Edwyn wystąpił do przodu i skłonił głowę.

– Król – syknął do nas.

– Ukłońcie się – rozkazałem swoim ludziom i sam to zrobiłem.

A więc to był król Hywel. Oceniałem, że miał około trzydziestu lat, był o głowę niższy ode mnie, lecz krzepkiej budowy. Słyszałem o nim, ale specjalnie się nim nie interesowałem, ponieważ w Walii królowie zmieniają się z szybkością myszy buszujących w słomie, było w nim jednak coś, co sugerowało, że jest potężniejszy od innych. Z niejakim rozbawieniem kierował do nas pytania za pośrednictwem brata Edwyna i słuchał, jak tłumaczy nasze odpowiedzi. Przybyliśmy jako pielgrzymi, wyjaśniłem. Od króla Edwarda. Zawahałem się, nie chcąc udawać oficjalnego posła, ponieważ nie przywieźliśmy darów ani listów, i w końcu odparłem, że król wie o naszej wizycie i polecił nam przekazać chrześcijańskie pozdrowienie. Hywel skwitował to uśmiechem. Wyraźnie potrafił rozpoznać kłamstwo. Powiódł wzrokiem po moich ludziach i zrozumiał, z kim ma do czynienia. Chwilę z uznaniem przyglądał się Eadith, w końcu znowu spojrzął na mnie. Powiedział coś do brata Edwyna, który zwrócił się do mnie:

– Król chce znać twoje imię, panie.

– Osbert – odpowiedziałem.

– Osbert – przekazał królowi brat Edwyn.

– Osbert – powtórzył z namysłem Hywel, odwrócił się i słuchał, co brutalnie z czerwoną chustą na hełmie szepcze mu na ucho. Uśmiechnął się ponownie, powiedział coś do brata Edwyna, który zerknął na mnie nerwowo.

– Credo – przetłumaczył mnich. – Król życzy sobie, abyś wyrecytował credo.

– Credo – powtórzyłem, ale za żadne skarby nie potrafiłem sobie przypomnieć słów, które w dzieciństwie wbijał mi do głowy ojciec Beocca.

– Wierzymy w jedyne Boga – zaczął mój syn – Ojca Wszchemogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. I w jedyne Pana Jezusa Chrystusa.

Finan i pozostali dołączyli.

– Syna Bożego Jednorodzonego. – Wymawiając trzy ostatnie słowa, przeżegnali się, a ja pospiesznie naśladowałem ich ruchy. – Który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami. Bóg z Boga, Światłość ze Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego. Zrodzony, a nie stworzony...

Król Hywel przerwał recytację gestem dłoni. Świdrując mnie przebiegłym wzrokiem, znów powiedział coś do Edwyna.

– Król chce wiedzieć, dlaczego nie wypowiadasz słów – przetłumaczył brat Edwyn.

– Współistotny Ojcu – powiedziałem, bo słowa nagle przypląnęły do mnie z mgły dzieciństwa – a przez Niego wszystko się stało. On to dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba i za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem.

Król znów podniósł rękę, więc posłusznie zamilkłem, a Hywel spojrzął na brata Edwyna. Mnich przytaknął, pewnie potwierdzając, że poprawnie wypowiedziałem słowa credo. Nie przestając się uśmiechać, Hywel powiedział coś do Edwyna, na którego twarzy odmalowało się przerażenie.

– Król mówi... – zaczął, zawahał się, w końcu zdobył się na odwagę, by

kontynuować: – Król mówi, że jest pod wrażeniem, słysząc, że niesławny pan Uhtred zna credo. – Nie odezwałem się, tylko patrzyłem na króla, który coś dodał. – Chce wiedzieć, dlaczego okłamałeś go co do własnego imienia – przetłumaczył brat Edwyn.

– Powiedz mu, że mam kiepską pamięć – rzuciłem.

Hywel zaśmiał się, a ja zauważyłem, że zrobił to, nim jeszcze brat Edwyn zdążył przetłumaczyć. Roześmiał się, gdy tylko się odezwałem.

– Kiepska pamięć – powtórzył w naszym języku.

– Wygląda na to, panie, że właśnie przypomniałeś sobie, że mówisz po angielsku – stwierdziłem.

– Kościół uczy, że powinniśmy miłować naszych nieprzyjaciół – powiedział Hywel. – Mój ojciec uważał, że powinniśmy ich też znać. – Zdałem sobie sprawę, że udawał, iż potrzebuje tłumacza, aby móc słuchać, obserwować i wyrobić sobie o nas zdanie. Chyba przypadliśmy mu do gustu. Wskazał człowieka, który wcześniej szeptał mu na ucho. – Idwał był jednym z ludzi towarzyszących ojcowi Pyrligowi w bitwie, którą stoczyłeś z Kanutem. Poznał cię. A zatem, panie Uhtredzie z kiepską pamięcią, żaden z ciebie pielgrzym, czemu więc tu jesteś?

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko powiedzieć prawdę, czy raczej możliwie jak najmniejszą jej część. Wyjaśniłem, że przybyliśmy, ponieważ skradziono mi miecz jarla Kanuta. Należał do człowieka, który go zabił, a tym człowiekiem byłem ja. Przybyłem, by odnaleźć Lodową Furię.

– Która obecnie jest w posiadaniu Rognvalda, więc dopisało ci szczęście – stwierdził Hywel.

– Szczęście, panie? – spytałem.

– Ponieważ przyjechaliśmy, żeby go zabić. Możesz dołączyć.

Zatem ruszaliśmy na wojnę.

* Święty Dawid (wal. Dewi) – mnich i biskup żyjący w V wieku w Menevii (obecnie St Davids), patron Walii. Założył wiele klasztorów i współtworzył monastyczną strukturę walijskiego Kościoła. Jego grób w Menevii stał się głównym celem pielgrzymek wiernych.

** Skidbladnir – w mitologii nordyckiej cudowny statek Frejra, boga urodzaju, płodności, bogactwa i radości. Mógł przewozić na pokładzie wszystkich bogów równocześnie, a gdy się go złożyło, mieścił się w woreczku. Skidbladnir słuchał tylko głosu swojego pana i zawsze sprzyjał mu wiatr.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Głównym doradcą króla Hywela był władający naszym językiem przebiegły kapłan imieniem Anwyn, który dokładnie mnie przepytał podczas drogi na północ. Chciał wiedzieć, kto rządzi Mercją, a moja odpowiedź zdziwiła go, wręcz wzbudziła niedowierzenie.

– Pani Aethelflaed? Naprawdę?

– Byłem tam, kiedy witan ją wybrał.

– Zdumiewasz mnie. – Anwyn pogrążył się w rozmyślaniach. Całkiem łysy, miał pociągłą, kościstą twarz i wąskie, niesympatyczne wargi, choć ciemne oczy potrafiły rozbłysnąć rozbawieniem lub zrozumieniem. Ten typ inteligentnego kapłana potrafił wspiąć się wysoko na dworze królewskim, i podejrzewałem, że Anwyn jest uczciwym, lojalnym sługą nie mniej przebiegłego Hywela. – Zakładałem, że Wessexowi zależy na tym, by pani Aethelflaed nie przejmowała brzemienia po mężu – powiedział, nie przestając marszczyć czoła. – Co więc się stało?

– Mieszkańcy Mercji są dumni ze swego kraju – odparłem. – Jeszcze nie są gotowi, by położyć się na plecach i rozłożyć nogi przed obcym królem.

Kapłan uśmiechnął się na moją mało subtelną metaforę.

– Rozumiem, panie, ale żeby mianować kobietę?! Ostatnio słyszeliśmy, że Eardwulf miał poślubić córkę Aethelflaed i zarządzać krajem w imieniu Edwarda!

– Eardwulf jest banitą – odrzekłem.

To zdziwiło Anwyna. Najwyraźniej król Hywel miał dobrych

informatorów w saskich królestwach, ale wieści o knowaniach Eardwulfa i sukcesie Aethelflaed nie dotarły jeszcze do Walii. Opowiedziałem Anwynowi o nieudanej napaści Eardwulfa na Aethelflaed, pominąłem jednak własny w tym udział, nie zdradziłem mu też, jak wpłynąłem na decyzję witanu.

– Nie mogę powiedzieć, żebym współczuł Eardwulfowi – stwierdził z widoczną ulgą ojciec Anwyn. – On zawsze był wrogiem Walijczyków.

– Pochodził z Mercji – zauważyłem oschle, na co kapłan się uśmiechnął.

– Czyli Aethelflaed będzie rządzić! – powiedział z rozbawieniem. – Kobieta! Na tronie!

– Bardzo zdolna kobieta – skwitowałem. – Waleczniejsza od brata.

Kapłan pokręcił głową, usiłując oswoić się z myślą o niewieście na tronie.

– Żyjemy w osobliwych czasach, panie.

– Owszem – przyznałem.

Jechaliśmy na kucach, podczas gdy reszta ludzi Hywela siedziała na koniach bojowych, które trzymały się kamienistego traktu biegnącego na północ przez poletka i skałki. Król zabrał ponad trzystu ludzi, a ojciec Anwyn uważał, że to wystarczy.

– Rognvald nie ma więcej niż stu trzydziestu wojowników. Trudno mu będzie obsadzić palisadę!

Obserwowałem sokoła kołującego wysoko nad wzgórzem, odprowadziłem go wzrokiem, gdy odleciał na wschód.

– Od jak dawna Rognvald mieszka w tych stronach?

– Od sześciu lat.

– Odnoszę wrażenie, że twój król – skinąłem głową na Hywela jadącego przed dwoma chorążymi – jest bardzo bystrym człowiekiem. Dlaczego

pozwolił Rognvaldowi się tu osiedlić?

– Ależ nie pozwolił! Zrobił to poprzedni król, głupiec imieniem Rhodri.

– Czyli Rognvald mieszka tu od sześciu lat i w tym czasie nie przysparzał problemów?

– Zdarzały się kradzieże bydła – odparł Anwyn, machając lekceważąco ręką. – Nic więcej.

– Mówisz, że stoi na czele zaledwie stu trzydziestu ludzi, a przecież musi wiedzieć, jakie siły możecie rzucić przeciwko niemu. Czyżby był durniem? Po co napadać na Tyddewi? Musiał się spodziewać odwetu.

– Okazja! – odparł szorstko Anwyn. – Idwał – skinął głową na rosnącego wojownika w czerwonej chuście – zazwyczaj trzyma w Tyddewi oddział, ale król potrzebował go gdzie indziej.

– Gdzie indziej?

Anwyn zbył moje pytanie. Najwyraźniej niepokoje, które dopiero co uśmierzył Hywel, nie były moją sprawą.

– Sądziliśmy, że na kilka dni można zostawić kościół bez straży – przyznał ze smutkiem Anwyn. – Myliliśmy się, ale wróciliśmy tam, gdy tylko dowiedzieliśmy się o flocie.

– Flocie? – powtórzyłem kwaśno. Ponieważ Sihtric czekał na nas na morzu, „flota” nie była słowem, które pragnąłem usłyszeć.

– Kilka dni temu dostrzeżono dwadzieścia czy więcej okrętów – wyjaśnił Anwyn. – Co najmniej jeden z nich przybił do Abergwaun, ale nie został na dłużej. Następnego dnia wszystkie statki pożegłowały na północ, a teraz dowiedzieliśmy się, że wracają na południe.

– Norwegowie?

Ojciec Anwyn przytaknął.

– Ivar Imerson przysłał flotę, którą dowodzi jego syn. Najwyraźniej

szukają ziemi.

– Ivar Imerson?

Anwyn zdziwił się, że nie słyszałem o Ivarze.

– To potężny człowiek, ale tacy są też jego irlandzcy wrogowie.

Znałem Mercję, Wessex, Northumbrię i Anglię Wschodnią, teraz jednak znalazłem się w innym świecie, gdzie watażkowie o dziwnych imionach walczyli, by zakładać małe królestwa na wybrzeżu. Zrozumiałem, że Hywel miał wrogów z trzech stron. Na wschodzie Sasów, na północy rywalizujące z nim królestwa walijskie, natomiast na zachodzie Norwegowie brali się za łby z Irlandczykami, jedni i drudzy gotowi najeżdżać jego wybrzeże, a jeśli wiadomości Anwyna były prawdziwe, byli też gotowi zabierać więcej ziemi królestwu Dyfedu.

Jeźdźcy przed nami stanęli, grupa ludzi zebrała się wokół Hywela i chorążych. Domyślałem się, że jeden z walijskich zwiadowców przyniósł nowiny i król pospiesznie zwołał naradę wojenną, do której dołączył Anwyn. Znajdowaliśmy się na rozległym płaskowyżu. Okolone kamiennymi murkami poletka były poprzecinane płytkimi dolinami, które zwiadowcy Hywela skrzętnie zbadali. Rognvald z pewnością spodziewał się kłopotów i sam rozesłał zwiadowców na płaskowyżu, ale jeśli Anwyn się nie mylił, Walijszczyki poważnie przewyższali Norwegów liczebnością. Podejrzywałem, że zachowa ostrożność i wycofa się na wyżej położone tereny, łatwe do obrony, zamiast szukać zwady z wojownikami Hywela na tym nagim płaskowyżu.

– Czyli mamy w pobliżu flotę – stwierdził Finan, który podsłuchiwał moją rozmowę z kapłanem.

– Miejmy nadzieję, że nie w pobliżu Sihtrica – odparłem.

– Sihtric jest sprytny, nie będzie im wchodził w drogę. Ale coś ich zaniepokoiło. – Irlandczyk skinął głową na jeźdźców skupionych wokół

króla. – Ty też powinienes zaniepokoić się Ivarem Imersonem.

– Znasz go?

– Oczywiście! To kawał drania. Ale Irlandczycy są równie potężni i źli. Napierają na niego, i to mocno.

– Czyli szuka tu ziemi?

– Przysłał syna, żeby ją znalazł. Ciekawe, którego syna. – Zawsze dziwiło mnie, jak dobrze Finan orientuje się w sprawach irlandzkich. Udawał, że nic go to nie obchodzi, twierdził z uporem, że na zawsze porzucił ojczyznę, ale jak na kogoś, kto demonstrował brak zainteresowania, wiedział sporo. Ktoś z Irlandii musiał go informować. – Co się tam dzieje? – zapytał, wskazując głową na naradę wojenną.

Z północy nadjechali dwaj zwiadowcy Hywela i wepchnęli się w skupisko jeźdźców wokół króla. Po chwili wszyscy Walijszczy podnieśli larum i ruszyli na północ. Wiadomość zwiadowców przekazywano sobie krzykiem wzdłuż kolumny i z każdą chwilą wywoływała większe wiwaty. Niektórzy dobywali mieczy. Ojciec Anwyn czekał razem z dwoma chorążymi.

– Poganie uciekają! – zawołał do mnie.

Spiął konia i ruszył za ludźmi Hywela pędzącymi w kierunku północnego grzbietu płaskowyżu, gdzie ukazał się dym. Początkowo wziętem go za mgłę, ale kłęby szybko gęstniały. Płonęła wioska lub dwór.

– Ktoś dotarł tam przed nami?! – zawołał do mnie Finan, zrównując się ze mną na kucu.

– Na to wygląda – odparłem. Krzywiąc się z nieuniknionego bólu, przekręciłem się w siodle i krzyknąłem do ludzi: – Trzymać się razem! – Jeśli szykowała się walka, nie chciałem, by moi ludzie się rozdzielali, bo łatwo wziąć jednego z nich za wroga. Walijszczy dobrze się znali, ale na widok obcego mogli zaatakować bez namysłu. – Trzymaj się z dala od bitwy! –

zawołałem do Eadith.

– Ty też – zwrócił się do mnie Finan. – Jesteś za słaby, żeby walczyć.

Nie odpowiedziałem, czując wzbierający gniew. Oczywiście miał rację, ale przez to prawda nie stawała się łatwiejsza do zaakceptowania. Gdy przecięliśmy wzniesienie, zwolniłem kuca. Galopujący Walińczycy znajdowali się już w połowie zbocza schodzącego w głęboką dolinę rzeki. Przypomniałem sobie, że nazywa się Abergwaun.

Na prawo ode mnie rzeka płynęła przez gęsty las porastający dno doliny, po lewej dolina rozpościerała się ku morzu. Osada Rognvalda leżała na drugim brzegu, u ujścia rzeki, i właśnie ono, osłonięte wzgórzami, było pełne okrętów.

Musiało ich tam stać co najmniej trzydzieści, znacznie więcej niż miałyby Rognvald, gdyby, jak twierdził Anwyn, stał na czele setki wojowników. Tajemnicza flota z Irlandii musiała więc wrócić do Abergwaun i teraz szykowała się do wypłynięcia. Okręty kierowały się na otwarte morze, wiosła siekły wodę, żagle wydymały się i opadały w lekkim wschodnim wietrze, który to wzmagał się, to ucichał. Na północnym brzegu rzeki płonęła osada.

Domów nie podpalił nieprzyjaciel. Ani śladu walki, żadnych trupów, a ludzie wciąż biegający od domu do domu i ciskający żagwie na strzechę nie nosili kolczug. Rognvald odjeżdżał i najwyraźniej postanowił nie zostawić nic użytecznego. Palisadę podpalamo, najbliższa brama buzowała. Ojciec Anwyn miał rację: Norwegowie uciekali, lecz nie z powodu nadejścia ludzi króla Hywela. Rognvald musiał postanowić, że dołączy do floty z Irlandii w poszukiwaniu innego miejsca na osadę.

Flota zmierzała na otwarte morze, ale przy plaży wciąż stały dwa okręty wojenne. To musiała być ariergarda – okręty należały do ludzi podpalających domy. Na każdym statku przebywało po sześciu ludzi, którzy ciągnęli cumy, aby dzioby nie grzęzły w piachu z powodu odpływu.

Walijczycy dotarli już na dno doliny i skryli się wśród drzew. My również zagłębiliśmy się w gąszcz, słysząc przed sobą nawoływania ludzi Hywela. Trakt prowadził do brodu. Płytką wodą w rzece, wspomagana przez odpływ, sunęła wartko. Chlapiąc, przeszliśmy przez rzekę, na drugim brzegu skręciliśmy na zachód ubitą drogą wzdłuż koryta, w końcu wyszliśmy z lasu i stanęliśmy przed płonąca osadą Rognvalda. Część ludzi Hywela zdążyła już przekroczyć mury, porzuciwszy konie na polach wokół palisady. Znaczną jej część przewrócono, ogień pewnie osłabił drewno. Coraz więcej Walijczyków, z bronią i tarczami, gramoliło się przez dymiące pnie. Zniknęli w zadymionych uliczkach. Słyszałem okrzyki, brzęk mieczy, zląłem z siodła i poleciłem swoim ludziom trzymać się razem. Nie mieliśmy mieczy, tarcz ani włóczni, jedynie saksy, i bez trudu mogli nas wziąć za nieprzyjaciół, ale podobnie jak Finan i pozostali bardzo chciałem zobaczyć, co się działo w środku.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedziałem do Eadith.

Z dymu szybko wyleciał rybołów, jasna, pierzasta smuga chwały pofrunęła na północ, a ja zacząłem się zastanawiać, co to był za omen. Dotknąłem rękojeści Żądła Osy, po czym rozpryskując wodę w płytkiej fosie otaczającej osadę, wdrapałem się na wał i w ślad za Finanem i synem wszedłem między dymiące domy.

W pierwszym zaułku natknęliśmy się na dwóch zabitych. Byli bez kolczug, mieli mocno wytatuowane twarze. Ci martwi Norwegowie wcześniej pewnie podkładali ogień, ale zaskoczył ich błyskawiczny atak Walijczyków. Ostrożnie przeszliśmy przez zaułek. Domy po obu stronach nadal się paliły, bił od nich silny żar, w końcu dotarliśmy na plac, gdzie tuzin wojowników pilnował dwóch chorążych Hywela. Mężczyźni odwrócili się do nas i unieśli broń, ale ojciec Anwyn ostro do nich krzyknął. Na jednej chorągwi widniał chrześcijański krzyż, na drugiej szkarłatny smok.

– Król przypuścił atak na okręty! – zawołał do mnie ojciec Anwyn.

Strażnicy pilnowali sześciu jeńców. Hywel najwyraźniej przeznaczył plac do przetrzymywania pojmanych, ale składowano tu także broń. Usypano sporą stertę mieczy, włóczni i tarcz.

– Częstujcie się – powiedziałem swoim ludziom.

– Bóg z wami! – zawołał ojciec Anwyn.

Finan wyciągnął ze sterty miecze, wybrał dwa i podał mi jeden z nich. Mój syn znalazł długie ostrze, a Gerbruht sięgnął po obosieczny topór oraz tarczę zbrojoną żelazem.

– Zostaw tę tarczę – rozkazałem.

– Tarczy nie, panie?

– Chcesz, żeby Walińczycy cię usiekli?

Grubas zmarszczył czoło i zauważył, że na wierzbowych deszczułkach tarczy widniał nieporadnie namalowany orzeł.

– Aha! – Zrozumiał i rzucił ją.

– Trzymajcie krzyże na widoku – poleciłem swoim.

Zagłębiłem się w kolejny zaułek prowadzący wśród niespalonych domów na długą plażę pełną śliskich kamieni, mułu i potłuczonych muszli. W pustych wędzarniach paliło się drewno wyrzucone przez morze. Na końcu plaży, wysoko ponad znakiem przyływu, leżała porzucona łódź rybacka – większość ludzi Hywela zeszła do wody. Domyśliłem się, że wypędzili Norwegów z osady, a tych, którzy przeżyli, zagnali na dwa okręty, które teraz wpadły w pułapkę. Walińczycy, a było ich znacznie więcej, wdrapywali się na pokład, nieprzyjaciel cofał się na rufę, gdzie miecze, topory i włócznie dokonywały krwawego dzieła zniszczenia. Kilku Norwegów skoczyło do wody, próbowali brodzić lub wręcz dopłynąć do miotającej się na otwartym morzu floty.

Zapanował chaos, ponieważ niektóre okręty próbowały zawrócić, ale

stawały im na przeszkodzie własne żagle, odpychające je od brzegu, a inne nadal kierowały się na morze. Trzem okrętom udało się wyrwać z zamętu. Żaden nie był pod żaglami, wszystkie napędzano wiosłami i teraz cała trójka ruszyła z powrotem do osady. Na trzech okrętach, pod wysoko uniesionymi rzeźbionymi dziobami, tłoczyli się wojownicy w hełmach. Wioślarze nie szczędzili sił, kierując okręty na szeroki odstęp między dwoma okrętami na plaży. Kil zazgrzytał o kamienie i pierwsi wojownicy z Północy z krzykiem zaczęli zeskakiwać z dziobu w kształcie smoka.

Hywel już wcześniej zauważył wracające okręty, jego ludzie uformowali na plaży mur tarcz, bez trudu mogący powstrzymać wściekłych, lecz chaotycznych Norwegów. Pierwsi ludzie polegli w płytkiej wodzie na brzegu rzeki, gdzie nagle zakwitła krew. Walijszczyki na okręcie umiejscowionym bliżej nas wybili resztki załogi i teraz gramolili się przez ławy wioślarzy, by skakać na plażę w chwili, gdy przybił drugi okręt, żłobiąc dziobem muł. Długi kadłub znieruchomiał, maszt pochylił się do przodu. Norwegowie skakali z dziobu, wznosząc okrzyki wojenne, dołączali do krótszego szyku i mocno dźgali walijską wierzbinę masywnymi włóczniami. Norwescy wojowie nie spodziewali się, że tego dnia będą walczyć, niewielu miało na sobie kolczugi, za to wszyscy nosili hełmy i trzymali tarcze. Okręty, które właśnie przybiły, próbowały ocalić towarzyszy, ale nawet gdy trzeci uderzył o brzeg, ludzi Północy nie wystarczyło, by odepchnąć rozwścieczonych wojowników Hywela. Oba szeregi wyrzaskiwały okrzyki wojenne, ale walijskie rozbrzmiewały donośniej – ludzie Hywela brodzili w małych falach i bezlitośnie odpychali wrogów. Bitwy w murze tarcz zazwyczaj rozkręcają się powoli, w miarę jak walczący ośmielają się zbliżyć do nieprzyjaciół próbujących ich zabić, ale ta bitwa rozgorzała w mgnieniu oka.

Mój syn ruszył w stronę lewej flanki walijskiej, ale go powstrzymałem.

– Nie masz tarczy ani kolczugi – warknąłem. – Mieliśmy być

pielgrzymami, pamiętasz?

– Nie możemy beczynnianie stać – odparł opryskliwie.

– Czekaj!

Walijczycy spokojnie mogli się obejść bez naszej pomocy. Mieli więcej ludzi, niż potrzebowali, by odeprzeć trzy wściekle atakujące okręty, a jeśli Norwegów nie było stać na nic więcej, kontratak ten kończył się krwawą jatką w płytkim ujściu rzeki. Z chęcią po prostu usiadłbym i patrzył. Teraz jednak pozostałe nieprzyjacielskie okręty również usiłowały zawrócić, a ich załogi mogły wyciąć ludzi Hywela. Walijczyków ratował przed katastrofą jedynie chaos floty. Norwegom tak się spieszyło z odsieczą, że okręty zbyt szybko wykonały zwrot i kadłuby wchodziły sobie w drogę. Długie wiosła tłukły o siebie, żagle to się wydymały, to opadały, odpływ niósł cały ten mętlik na pełne morze. Jednak Norwegowie byli dobrymi żeglarzami i wiedziałem, że za chwilę opanują chaos, a ludzie Hywela staną oko w oko z hordą wściekłych, żądnych zemsty wojowników. Jeszcze chwila, a zacznie się rzeź Walijczyków.

– Przynieś mi ogień – poleciłem synowi.

– Ogień? – Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

– Przynieś ogień, dużo ognia! Chrust! Drewno, ogień! Wy wszyscy. – Znajdujący się najbliżej nas okręt ugrzązł na brzegu z powodu odpływu, ale został też oczyszczony z załogi. – Gerbruhcie! Folcbaldzie! – zawołałem do dwóch Fryzów.

– Panie?

– Ściągnijcie ten okręt z plaży!

Obaj Fryzowie, silni jak byki, brnęli przez muł. Najbliższy okręt głęboko zarył się w piach, ale był naszą jedyną szansą, by zapobiec masakrze. Dwadzieścia kroków od nas Norwegowie bronili się w murze tarcz przed Walijczykami, którzy grozili zepchnięciem ich z powrotem do rzeki, ale ich

przeciwnicy nieco się okopali, przylegając prawym końcem szeregu do dziobu innego okrętu. Trzej ludzie wdrapali się na pokład i włóczyniami powstrzymywali Walińczyków przed dostaniem się na dziób. Mur tarcz stawiał skuteczny opór i wystarczyło, że wytrzyma tylko kilka minut, a od morza nadejdą posiłki.

Folcbald i Gerbruht napierali na dziób najbliższego okrętu, ale bez skutku. Kadłub ugrzązł głęboko w gęstym mule. Plażą nadbiegł Finan, trzymając zardzewiałą patelnię z płonącym drewnem. Służyła ona pewnie do odsalania wody morskiej. Finan wrzucił zawartość naczynia za burtę. Posypało się więcej chrustu i płonących dREW.

– Pomóż Gerbruhtowi! – zawołałem do syna.

Na plaży jedynym człowiekiem na koniu był teraz Hywel. Wykorzystując wysokość, dźgał włóczynią Norwegów, ale ujrawszy, co robimy, natychmiast zrozumiał. Widział nadciągającą flotę. Odpływ odrzucił okręty nieco w morze, ale kilka już wy dostało się z kotłowaniny, a ich wiosła siekły niskie fale. Hywel zaczął krzyczeć, tuzin Walińczyków przybiegł nam na pomoc i okręt wreszcie drgnął.

– Więcej ognia! – krzyknąłem.

Wewnątrz kadłuba kłębił się dym, ale jeszcze nie widziałem płomieni. Eadith przyniosła naręcze drewna wyrzuconego przez morze, cisnęła je na pokład, Finan dodał kolejną patelnię węgla i wdrapał się na dziób, gdy okręt zsunął się na wodę. W końcu buchnął ogień, a Finan ruszył przez pożar w kierunku rufy.

– Finanie! – wrzasnąłem w obawie o przyjaciela i z trudem powstrzymałem okrzyk bólu.

Otaczały go płomienie i dym. Kiedy okręt wreszcie zajął się ogniem, zaczął się gwałtownie palić. Suche drewno było nasycone smołą, którą nasiąkły też liny podtrzymujące maszt, płomienie pobiegły po wantach ku

zwinie temu żaglowi. Teraz zobaczyłem, czemu Finan wskoczył na pokład. Rufę okrętu przytrzymała cuma przywiązana do kamienia kotwicznego, odpływ kołysał okrętem, ale ten nie mógł odpłynąć, dopóki cuma trzymała. Finan wskoczył na sterówkę, zobaczyłem, jak raz i drugi tnie mieczem cumę, która gwałtownie pękła. Irlandczyk skoczył.

– Teraz ten okręt! – krzyknąłem, wskazując następny znajdujący się na plaży, pilnowany przez trzech norweskich włóczników statek. – Szybko!

Od tego wołania przeszył mnie taki ból, że zgiąłem się wpół, co tylko pogorszyło sytuację. Z trudem chwytając powietrze, runąłem na plecy i siadłem na skałach porośniętych zielonymi wodorostami. Pożyczony miecz ześlizgnął się w muł, ale z bólu nie byłem w stanie po niego sięgnąć.

– Co się stało? – Eadith uklękła obok mnie.

– Nie powinnaś tu być – stwierdziłem.

– Ale jestem – odparła, objęła mnie i spojrzała ku rzece.

Finan, z mieczem w dłoni, brodził do brzegu, a za nim, obracany prądem i niesiony odpływem, dryfował na morze płonący okręt. Domyślałem się, że poziom wody znajdował się w połowie między najwyższym a najniższym punktem. Wartki prąd niósł gorejący okręt i spowalniał te, które się zbliżały. Załoga dostrzegła niebezpieczeństwo, tym większe, że ujście zwężało się w lej, gdzie norweskie statki się stłoczyły. Jeden z nich, z orlim dziobem na przedzie, próbował się wycofać, ale natychmiast zderzył się z innym, tymczasem płonący okręt, którego żagiel zajął się ogniem i wściekle dymił, podpływał coraz bliżej.

Finan podciągnął się na drugi statek. Jeden z włóczników zauważył go i podbiegł, przeskakując ławki wioślarzy, ale włócznia niewiele zdziałała przeciwko człowiekowi sprawnie władającemu mieczem, a naprawdę nieliczni mogli dorównać mojemu przyjacielowi. Wszystko trwało krócej niż mgnienie oka. Finan zamarkował cios w prawo, pozwolił, by włócznia

minęła jego pas, wbił ostrze w brzuch Norwega, wtedy mój syn cisnął ogień na pokład, tuzin ludzi ruszył za nim, dwaj pozostali włócznicy ratowali się skokiem, kiedy banda rosnących Walijszyków zepchnęła okręt na rzekę. Nie płonął jeszcze jak pierwszy, ale kadłub zaczynał dymić, Finan przeciął cumę rufową i skoczył na płyciznę, Walijszycy zaś przypuścili atak na odsłoniętą flankę norweskiego muru tarcz.

Pierwszy okręt zbliżył się do floty. Dwa inne dobiły do przeciwnego brzegu rzeki, a pozostałe rozpaczliwie usiłowały uciec, gdy tymczasem drugi okręt pożoga dryfował na pełne morze. Pozostawieni na brzegu Norwegowie ginęli, rąbani, siekani i ćwiartowani przez rozwścieczonych Walijszyków, którzy oskrzydłili ich szereg i atakowali od przodu i od tyłu. Drugi okręt stanął w płomieniach, ogień skakał po wantach, ławy dymiły. Co najmniej dwadzieścia norweskich okrętów czmychało. Żeglarze boją się ognia bardziej niż skał, bardziej nawet niż gniewu Ran, tej zazdrosnej suczej bogini. Siedziałem, dysząc, ból dźgał mnie niczym ostrze, patrzyłem na uciekające okręty i słuchałem krzyków nieprzyjaciół na brzegu, którzy błagali o litość. Bitwa dobiegła końca.

Norweska flota mogła jeszcze wrócić. Mogli powiosłować rzeką, pozwolić, by dwa płonące statki podryfowały w morze, a następnie wrócić i się zemścić, woleli jednak opuścić Abergwaun. Wiedzieli, że Walijszycy wycofają się na wzgórza i zaczną się z nimi droczyć, zapraszać do natarcia na nieprzyjazne zbocze, gdzie zginęliby od walijskich mieczy, już teraz lepkich od północnej krwi.

Mój syn wrócił plażą. Ubranie miał osmalone, dłonie poparzone, ale uśmiechał się, dopóki nie ujrzał mojej twarzy. Podbiegł i zatrzymał się przede mną.

– Ojczy?

– To tylko rana – zapewniłem. – Pomóż mi wstać.

Uhtred dźwignął mnie z ziemi. Od bólu niemal się zgiąłem. Łzy nie pozwalały dokładnie widzieć Walińczyków wiwatujących z powodu cofających się nieprzyjaciół. Na plaży zostały trzy norweskie okręty, ludzie Hywela wdarli się na jeden z nich, a odkryty tam dobytek wywołał jeszcze donioślejsze wiwaty. Inni wojownicy pilnowali co najmniej pięćdziesięciu–sześćdziesięciu jeńców, którym odbierano hełmy i broń. Schwymano samego Rognvalda, który zaczął się opierać, aż zapędzono go na głębinę, gdzie niemal utonął. Teraz jeńcy stłoczyli się w żalosną kupę, a ja pokuśtykałem w ich stronę. Sądziłem, że ból ustępuje, że rana z dnia na dzień się goi, ale bolało bardziej niż kiedykolwiek. Utykałem nie z powodu ran na nogach, ale ponieważ przeszywający ból w boku sprawiał, że każdy krok był torturą. Finan podbiegł mi pomóc, ale go odpędziłem. Ponad linią przypływu leżał duży głaz. Krzywiąc się z bólu, usiadłem na płaskiej powierzchni. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy to już koniec, czy Norny w końcu przecięły nić mojego żywota.

– Daj mi swój miecz – poleciłem Finanowi. Skoro miałem umrzeć, niech przynajmniej umrę z mieczem w dłoni.

– Panie. – Przyjaciel klęknął przy mnie, a w jego głosie brzmiał niepokój.

– Ból minie – powiedziałem, myśląc, że minie po śmierci. Każdy oddech sprawiał cierpienie. Ojciec Anwyn z chorążymi przeszli obok nas w drodze do króla. – On wygląda ponuro – stwierdziłem i skinąłem głową na kapłana. Niewiele mnie to obchodziło, ale nie chciałem, żeby Finan, Eadith czy mój syn nadmiernie zajmowali się moją raną.

– Ponury jak śmierć – zgodził się Irlandczyk. Ojciec Anwyn, daleki od okazywania radości z powodu zwycięstwa Walińczyków, wyglądał jak człowiek zżerany przez gniew. Porozmawiał z Hywelem, potem król spiął konia i pogalopował z powrotem do płonącej osady.

Próbowałem głębiej oddychać, starałem się przekonywać samego siebie,

że ból mija.

– Musimy poszukać Lodowej Furii – powiedziałem, wiedząc, że to daremne. Miecz najpewniej wypływał na pełne morze, ścigany przez płonące okręty, kalające niebo dymem.

Ojciec Anwyn, nadal z surową miną, podszedł do nas.

– Król poprosił mnie, abym ci podziękował – rzekł wyniośle.

– Król jest łaskawy. – Zmusiłem się do uśmiechu.

– To prawda – odparł Anwyn, potem się zasepił. – Bóg też jest łaskawy. – Uczynił znak krzyża. – Na okręcie Rognvalda znaleźliśmy skarby Świętego Dawida. – Skinął w stronę okrętu, na którym świętowali Walijszczy. Potem spojrzał na mnie, marszcząc czoło. – Zostałeś ranny, panie?

– Stara rana daje mi się we znaki – wyjaśniłem. – Przejdzie. Odzyskaliście skarby?

– Na okręcie były złoty relikwiarz świętego i srebrny krucyfiks.

– A miecz? – spytałem.

– Rognvald dostał się do niewoli – mówił Anwyn, zbywając moje pytanie. – To jego okręt wrócił na plażę. Pozostałymi – popatrzył w morze, gdzie norweska flota zniknęła za przesmykiem – dowodzi Sigtryggr Ivarson. – Wymówił to miano, jakby miało kwaśny smak. – To ten niebezpieczniejszy z synów Ivara. Młody, ambitny i sprawny.

– I szuka ziemi – zdołałem wykrztusić, gdy znów przeszył mnie ból.

– Dzięki Bogu nie tutaj – stwierdził Anwyn. – Rognvald postanowił dołączyć do jego poszukiwań.

Zastanawiałem się, jaki wybór ma ten człowiek. Trudno było powiedzieć, żeby jego osada na walijskich rubieżach kwitła. Przez sześć lat kurczowo trzymała się skalistego wybrzeża, ale do Rognvalda nie dołączyli inni, nie udało mu się też podbić nowych ziem. Najwyraźniej Sigtryggr nakłonił Rognvalda, by przyłączył się do jego liczniejszych sił. Umowę musieli

zawrzeć mniej więcej przed tygodniem, gdy flota Sigtryggra dotarła do Walii, a Rognvald, wiedząc, że opuszcza osadę, postanowił przed odjazdem wzbogacić się kosztem Świętego Dawida.

Teraz Rognvald i jego ludzie ocalali z bitwy mieli umrzeć, choć nie dlatego, że napadli na sanktuarium świętego, ale za to, co zrobili dwóm walijskim misjonarzom i garstce przechrztów. Właśnie to okrucieństwo wzbudziło wściekłość Walijszyków.

– To dzieło szatana – pieklił się Anwyn, patrząc na mnie z pogardą. – Pogańskie okrucieństwo!

Ruszył z powrotem do osady, a my podążyliśmy za nim. Ból nie ustawał, ale kuśtykanie nie bolało bardziej niż siedzenie, więc powlokłem się za klechą wąską ścieżką. Osada przed nami nadal gorzała, choć większość zachodniej ściany jeszcze nie zajęła się ogniem, a właśnie w tamtej części wioski ludzie Północy zabili chrześcijan.

Gdy minęliśmy bramę w palisadzie, idąca obok mnie Eadith krzyknęła i odwróciła wzrok.

– Jezu – mruknął Finan i się przeżegnał.

– Widzicie, co oni robią?! – zawołał do mnie ojciec Anwyn. – Będą płonąć w wiecznym ogniu piekielnym. Będą cierpieć tortury potępionych. Zostaną przeklęci na wieki.

Wojownicy Hywela wracali, a ich radość ustępowała miejsca wściekłości, ponieważ dwóch misjonarzy i garstkę wiernych zarżnięto jak bydło, ale wcześniej poddano torturom. Wszystkie dziewięć ciał rozebrano, ale pocięto i pokłuto tak, że krew i wnętrzności skrywały nagość. Kobietom ogolono głowy na znak hańby, a także obcięto im piersi. Dwóch kapłanów wykastrowano. Całą dziewiątkę wypatroszono, oślepieno i obcięto im języki. Nieszczęśników przywiązano do słupów i drżałem na myśl o tym, jak długo musieli czekać na wyzwalającą z bólu śmierć.

– Dlaczego? – zwrócił się do mnie Anwyn. Wiedział, że jestem poganinem, ale musiał też wiedzieć, że nie mam na to odpowiedzi.

– Złość – wyręczył mnie Finan. – Zwyczajna złość.

– Pogańskie zło – odpalił gniewnie Anwyn. – Macie przed sobą dzieło szatana!

Rognvald napadł na Tyddewi, jednak osada okazała się pusta. Owszem, zgarnął nieco łupów, ale znacznie mniej, niż oczekiwał, jako że nie mógł wziąć do niewoli młodych kobiet i dzieci. Najpewniej uznał, że misjonarze go zdradzili, więc się zemścił. Teraz sam miał zginąć.

Walijczycy nie okazali litości. Wszyscy jeńcy musieli oddać życie, a Hywel kazał im obejrzyć dziewięciu zabitych chrześcijan, żeby wiedzieli, czemu giną. Norwegom dopisało szczęście. Pomimo gniewu Walijczyków zginęli szybko, zazwyczaj od cięcia miecza w szyję. Cała osada cuchnęła dymem. Rozlano tak wiele krwi. Nieliczni jeńcy błagali o litość, ale większość przyjmowała swój los z rezygnacją. Nikomu nie pozwolono trzymać miecza, co samo w sobie stanowiło karę. Rognvaldowi kazano patrzeć. Ten rosły mężczyzna o wydatnym brzuchu i gęstej brodzie miał twarz pokrytą tatuażami i bezlitosne oczy. Na jednym policzku orzeł rozpościerał skrzydła, na czole wił się wąż, na drugim licu leciał kruk. Siwiejące włosy Rognvald namaścił olejkami i uczesał. Patrząc na śmierć swoich ludzi, nie zdradzał żadnych uczuć, choć musiał wiedzieć, że sam zginie na końcu i nie będzie to szybka śmierć.

Pokuśtykałem wzdłuż rzędu ludzi, którzy powłócząc nogami, zmierzali na śmierć. Pewien chłopiec zwrócił moją uwagę. Mówię „chłopiec”, choć musiał mieć szesnaście–siedemnaście lat. Jasnowłosa, o niebieskich oczach i pociągłej twarzy, zdradzającej wewnętrzną walkę. Wiedział, że idzie na śmierć, i chciał płakać, ale jednocześnie pragnął okazać męstwo, starał się z całych sił.

– Jak ci na imię? – zapytałem.

– Berg – odparł.

– Jaki Berg?

– Berg Skallagrimmrson, panie.

– Służyłeś Rognvaldowi?

– Tak, panie.

– Podejź tu. – Skinąłem na chłopca. Jeden z walijskich strażników próbował mu przeszkodzić w opuszczeniu grupy jeńców, ale Finan warknął i tamten się cofnął. – Powiedz – zwróciłem się do Berga po duńsku, bardzo wolno, aby mnie zrozumiał. – Pomagałeś zabijać chrześcijan?

– Nie, panie!

– Jeżeli kłamiesz, dowiem się – ostrzegłem. – Wypytam twoich towarzyszy.

– Nie pomagałem, panie. Przysięgam.

Uwierzyłem mu. Dygocząc ze strachu, wpatrywał się we mnie żarliwie, jakby wyczuwał, że jestem jego wybawieniem. – Czy kiedy napadliście na klasztor, znaleźli tam miecz?

– Tak, panie.

– Opowiedz mi o nim.

– Leżał w grobie, panie.

– Widziałeś go?

– Ma białą rękojęć, panie. Widziałem go.

– Co się z nim stało?

– Zabrał go Rognvald, panie.

– Poczekaj – rzuciłem i wróciłem do osady, gdzie ciała rzucono na ciemną, cuchnącą krwią ziemię, a odświeżający wiatr rozpędzał dym z płonących domów. Podszedłem do Anwyna i powiedziałem: – Chcę prosić

o przysługę.

Kapłan patrzył, jak Norwegowie umierają. Patrzył, jak każą im ukłęknać i przyglądać się dziewięciu trupom, wciąż przywiązanych do słupów. Patrzył, jak miecze lub topory dotykają ich szyj, patrzył na drgnienie ich twarzy, gdy ostrze się cofało i wiedzieli, że śmiertelny cios jest tuż. Patrzył, jak odcinane są głowy, tryska krew, ciała dygoczą.

– Mów – powiedział chłodno Anwyn, nie odrywając wzroku od egzekucji.

– Daruj dla mnie jedno życie – poprosiłem.

Anwyn powiódł wzrokiem po rzędzie skazańców i zobaczył Berga stojącego obok Finana.

– Chcesz, żebyśmy darowali życie temu młodzikowi?

– Właśnie o taką przysługę cię proszę.

– Dlaczego?

– Przypomina mi mojego syna – odparłem zgodnie z prawdą, choć nie był to prawdziwy powód. – Poza tym nie brał udziału w rzezi. – Skinąłem głową na umęczonych chrześcijan.

– Tak twierdzi – skwitował kwaśno Anwyn.

– Tak twierdzi, a ja mu wierzę.

Anwyn przyglądał mi się przez pewien czas, potem skrzywił się, jak gdyby moja prośba wydała mu się zbyt dziwaczna. Mimo to podszedł do króla i ujrzałem, że rozmawiają. Hywel spojrzał na mnie z siodła, popatrzył na chłopaka. Zmarszczył brwi i sądziłem, że odmówi. Czemu właściwie prosiłem? Wcale nie byłem pewien. Wygląd Berga przypadł mi do gustu, miał szczerą twarz i istotnie przypominał Uhtreda, ale trudno uznać te powody za wystarczające. Przed laty darowałem życie młodemu człowiekowi imieniem Haesten, który też sprawiał wrażenie szczerego i otwartego, a jednak okazał się przebiegłym, zdradzieckim wrogiem. Nie miałem

pewności, dlaczego zależy mi na życiu Berga, choć teraz, wiele lat później, wiem, że było to zrządzenie losu.

Król Hywel przywołał mnie do siebie. Stałem przy strzemieniu i z szacunkiem pochyliłem głowę.

– Skłaniam się do przychylnego rozpatrzenia twojej prośby z uwagi na twoją pomoc na plaży, ale pod jednym warunkiem.

– Panie? – spytałem, podnosząc wzrok.

– Obiecasz, że zrobisz z chłopca chrześcijanina.

– Nie mogę go zmusić, by uwierzył w waszego boga – odparłem, wzruszając ramionami. – Obiecuję jednak, że oddam go na naukę dobremu kapłanowi i nie zrobię nic, by przeszkodzić w jego nawróceniu.

Po chwili namysłu król skinął głową.

– Jest twój.

W ten sposób Berg Skallagrimmrson znalazł się u mnie na służbie.

Los jest nieuchronny. Wtedy nie mogłem tego wiedzieć, ale właśnie urzeczywistniłem marzenie o Englańdziej.

– Chodź ze mną – powiedziałem do Berga i ruszyłem z nim na plażę. Finan, mój syn, Eadith i inni podążyli za nami.

Wyrđ bið ful āræd.

Nie widziałem, jak Rognvald umiera, ale go słyszałem. Nie trwało to krótko. Był wojownikiem, pragnął umrzeć z podniesionym czołem, ale zanim Walińczycy skończyli, krzyczał jak dziecko. Mewy również krzyczały smutno, nie mogąc zagłuszyć człowieka, który prosił o śmierć.

Flota Sigtryggra odpłynęła. Płonące okręty poszły na dno, zostawiając jedynie dwa rozwiewające się obłoki dymu, które wiatr gnał na zachód. Usłyszałem, jak Walińczycy śpiewają pieśń żałobną, i domyśliłem się, że

chowają zmarłych: dziewięciu męczenników oraz pół tuzina wojów poległych na plaży. Ciała Norwegów wciąż tam leżały, obmywane przez fale odpływu, a wyżej na plaży, gdzie faszyna z drewna i wodorostów wyznaczała granicę ostatniego przyływu, wznosiła się sterta ubrań, hełmów, mieczy, tarcz, toporów i włóczni. Na kamieniach rozłożono płaszcz, na który wysypano monety i srebrny złom odebrany jeńcom i zmarłym. Nieopodal stała wielka złota skrzynia z ciałem Świętego Dawida strzeżona przez dwóch młodych ludzi, znajdował się tam również olbrzymi srebrny krucyfiks z ołtarza.

– Znajdź swój hełm i miecz – poleciłem Bergowi.

– Mogę nosić miecz? – Chłopak spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Teraz jesteś moim człowiekiem. Złożysz mi ślub wierności, a po mojej śmierci mojemu synowi.

– Tak, panie.

Podczas gdy Berg szukał swojego miecza, poszperałem w stercie broni i oto był. Nic prostszego. Lodowej Furii z rękojeścią z kości słoniowej nie sposób było z niczym pomylić. Krzywiąc się z bólu, pochyliłem się i wyciągnąłem ją ze sterty. Chociaż dzień był ciepły, zadrzałem.

Wysunąłem klingę z pochwy. Przywykłem do ciężaru Oddechu Węża, ale ten miecz był znacznie lżejszy. Kanut zawsze twierdził, że ostrze wykuto w ogniu czarownika, zimniejszym niż lód w mroźnych otchłaniach Hel. Kanut mówił, że jest to miecz bogów, ale ja wiedziałem jedynie, że to ostrze mnie przeszyło, a biskup Asser rzucił na nie chrześcijańskie czary, żebym cierpiał katusze. Słońce odbiło się od srebrnego ostrza, na którym nie było żadnych wzorów ani ozdób, tylko jedno słowo u podstawy rękojeści: „†VLFBERH†T”.

Kiedy pokazałem miecz Finanowi, ten się przeżegnał.

– To jeden z jego mieczy – powiedział ścisłym głosem. Mój syn

podszedł, żeby mu się przyjrzeć, dobył Kruczy Dziób, na którego prostym ostrzu widniało to samo słowo. – To magiczny miecz, bez dwóch zdań – stwierdził Finan. – Chryste, masz szczęście, że przeżyłeś!

Odwróciłem ostrze Vlfberhta, widząc, jak światło tańczy na gładkiej stali. To było piękne narzędzie mordy, a jedyny zbytek stanowiły uchwyty z kości słoniowej na rękojeści. Przez chwilę rozważałem zastąpienie Oddechu Węża tym gładkim zabójcą, ale odrzuciłem tę myśl. Mój miecz dobrze mi służył i porzucenie go byłoby wystawianiem bogów na pokusę. Mimo to żądza była silna. Pogładziłem klingę, czując szczyrby bitewne, dotknąłem ostrego jak igła końca.

– Czy to ten miecz? – spytała Eadith.

– Tak.

– Daj mi go – zażądała.

– Dlaczego?

Kobieta spojrzała na mnie zimno, jakby poczuła do mnie nagłą niechęć.

– Ten miecz cię uzdrowi, panie.

– Wiesz to?

– A niby dlaczego tu przyjechałam? – zapytała. Nie odpowiedziałem. Eadith wyciągnęła rękę. – Daj mi ten miecz – powtórzyła, a gdy wciąż się wahałem, dodała: – Wiem, co należy zrobić, panie.

– Co? – spytałem. – Co takiego zrobisz?

– Uzdrowię cię.

Spojrzałem na Lodową Furię. Tak bardzo pragnąłem tego miecza, pojechałem na kres Brytanii, żeby go odnaleźć, ale nie miałem pojęcia, jak posiadanie go mogłoby mi pomóc. Wcześniej sądziłem, że ostrze należy przytknąć do rany, lecz była to tylko fantazja. Nie wiedziałem, co robić, ból przenikał całe moje ciało, byłem nim już znużony, męczyła mnie bliskość śmierci, dlatego odwróciłem klingę i podałem rękojeść Eadith.

Na jej ustach zakwitł nieznacznym uśmiech. Moi ludzie przyglądali się nam. Berg przestał szukać swego miecza i obserwował nas, zdumiony osobliwościami, jakie działy się na tej skrwawionej plaży.

– Oprzyj się o okręt – poleciała Eadith, a ja posłuchałem. Plecami oparłem się o drewniany dziób okrętu Rognvalda. – Teraz pokaż ranę, panie.

Rozpiąłem pas i uniosłem kaftan. Mój syn skrzywił się na widok mojego boku, znowu pokrytego krwią i ropą. Pomimo dymu, morza, rzezi i rześkiego wiatru czułem smród rany.

Eadith zamknęła oczy.

– Ten miecz prawie cię zabił – powiedziała powoli śpiewnym głosem. – Teraz to ostrze cię uzdrowi.

Otworzyła oczy, a na jej twarzy odmalował się nagle wyraz nienawiści i zanim Finan czy którykolwiek z moich ludzi zdążył ją powstrzymać, ugodziła mnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ból był jak błyskawica: nagły, jasny, obezwładniający i ząbkowany. Zabrakło mi tchu, zatoczyłem się na dziób okrętu, zobaczyłem, jak Finan podchodzi, aby wyrwać Eadith miecz, ona jednak zdążyła go wyciągnąć. Teraz ze zgrozą patrzyła na moją ranę.

Kiedy ostrze opuściło moje ciało, rozniósł się odrażający smród. Poczułem, jak z rany cieknie płyn.

– Wychodzi z niego zło – stwierdziła Eadith.

Finan trzymał dziewczynę, ale wpatrywał się we mnie.

– Chryste – wyszeptał.

Kiedy zadała mi cios, pochyliłem się i ujrzałem, jak ze świeżej rany obficie wypływa mieszanina ropy i krwi. Bulgotała, wzbierała, wyciekała, a w miarę wypływania nieczystości ból ustawał. Z niedowierzaniem spojrzałem na Eadith, ponieważ ból wypływał ze mnie, znikał.

– Potrzebujemy miodu i pajęczyn – powiedziała Eadith. Zasepiona spojrzała na miecz, jakby nie wiedziała, co z nim począć.

– Berg, weź ten miecz – rozkazałem.

– Jej miecz, panie?

– Potrzebna ci broń, a to ponoć dobry miecz. – Wyprostowałem się, ale ból nie nadszedł, pochyliłem się więc i nadal nie czułem bólu. – Pajęczyny i miód?

– Powinnam była je przynieść – stwierdziła Eadith.

Poza lekko obolałym bokiem nic mi nie doskwierało. Ucisnąłem źebro tuż nad raną, lecz, o dziwo, ból nie wrócił.

– Co zrobiłaś?

Eadith zmarszczyła brwi, jakby nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

– Było w tobie zło, panie – rzekła powoli. – Należało je wypuścić.

– Dlaczego nie użyłaś dowolnego miecza?

– Ponieważ oczywiście to ten miecz sprowadził zło. – Spojrzała na Lodową Furię. – Moja matka chciała znaleźć miecz, który ranił mojego ojca, ale jej się nie udało. – Wzruszyła ramionami i podała broń Bergowi.

Na okręcie Rognvalda znaleźliśmy miód. Norweg zaopatrzył statek w solone ryby, chleb, piwo, sery i beczki z koniną. Zamiast porzucać konie, wolał je zabić. Pajęczyny trudniej było znaleźć, lecz mój syn spojrzał na porzucony kuter rybacki na końcu plaży.

– Wygląda na opuszczony, więc może tam się roić od pajaków – powiedział i poszedł sprawdzić, podczas gdy Gerbruht i Folcbald ruszyli na poszukiwania po niespalonych domach.

– Przynieście jej dużo! – zawołała Eadith. – Potrzebuję całej garści pajęczyn!

– Nienawidzę pajaków – utyskiwał Gerbruht.

– Nie smakują ci?

– Są gorzkie i chrupią w zębach, panie – odparł grubas, kręcąc głową.

Zaśmiałem się i nie poczułem bólu. Tupnąłem nogą i ból nadal nie przychodził. Wyciągnąłem się, wciąż ani śladu bólu. Tylko lekko obolały bok i smród.

– To cud. – Uśmiechnąłem się do Finana. – Nie boli.

– Modłę się, żeby tak zostało, panie – odparł z uśmiechem.

– Zniknął! – powiedziałem, dobyłem Oddech Węża i z całej siły wbiłem

go w kadłub okrętu. Wciąż nie czułem bólu. Kilkakrotnie powtórzyłem cios, ale ból nie przeszył mi ciała. Wsunąłem miecz do pochwy i rozwiązałem sznurki przywiązujące mieszek do pasa. – Jest twój. – Podałem woreczek Eadith.

– Panie! – Kobieta wpatrywała się w złoto. – Nie, panie...

– Zatrzymaj to – poleciłem.

– Nie zrobiłam tego...

– Zatrzymaj to!

Szeroko uśmiechnąłem się do syna, który pospiesznie wracał od kutra.

– Znalazłeś pajęczyny?

– Nie, ale znalazłem to – odparł i pokazał krucyfiks. Krzyż i ofiara, wycięte z bukowego drewna, były tak nadgryzione zębem czasu, że ciało wyblakło i całkiem się wygładziło. Jednego ramienia krzyża brakowało, więc ręka Chrystusa sterczała w powietrzu. U góry i u dołu pionowej części krzyża widniały dwa pordzewiałe otwory po gwoździach. – Był przybity do masztu, a kuter nie jest porzucony – mówił mój syn. – Używano go jeszcze kilka dni temu.

Chrześcijańska łódź na pogańskim brzegu. Rzuciłem krzyż synowi.

– Czyli ludzie Rognvalda schwyтали walijski kuter rybacki?

– Zwany Godspellere? – spytał syn i skinął głową na niewielki kuter. – Taki napis wydrapano na dziobie, ojcze. Godspellere.

Kaznodzieja, człowiek głoszący słowo boże. Typowa nazwa chrześcijańskiego statku.

– Może Walijczycy używają tego samego słowa?

– Może – odparł z powątpiewaniem.

Kaznodzieja. Wydawało się mało prawdopodobne, aby Walijczycy posługiwali się tą samą nazwą, co by znaczyło, że kuter był saski.

Przypomniałem sobie, że Eardwulf wykradł łódź z Saefern.

– Twój brat? – zwróciłem się do Eadith.

– Możliwe – odparła niepewnie.

Jednak im dłużej nad tym myślałem, tym mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że to on. Po wypłynięciu z Saefern Eardwulf z pewnością chciałby jak najszybciej schronić się na brzegu, ponieważ niewielki kuter na pełnym morzu stanowił łatwy łup. Czemu więc nie miałyby się schronić na terytorium Hywela? Ponieważ Eardwulf miał opinię człowieka, który walczył z Walijczykami. Gdyby dobił do brzegów Hywela, mógłby skończyć, wrzeszcząc równie głośno jak Rognvald, za to Norwegowie mogliby go serdecznie powitać jako wroga ich nieprzyjaciół.

– Sprawdź, czy jest wśród poległych – poleciłem synowi, który posłusznie zaczął chodzić pośród ciał. Kilka odwrócił nogą, ale ani śladu Eardwulfa. Nie znaleziono go też wśród ludzi zabitych w osadzie, co znaczyło, że jeśli tu był, odpłynął na jednym z okrętów Sigtryggra. – Berg! – wezwałem chłopaka i wypytałem o kuter, on jednak wiedział tylko, że przypłynął razem z flotą Sigtryggra. – A jednak go porzucili – stwierdziłem.

– Jest za wolny, panie – wyjaśnił Berg, zgodnie z prawdą.

Marszcząc czoło, wpatrywałem się w kuter rybacki.

– Sigtryggr przypłynął tu tydzień temu?

– Tak, panie.

– Potem odpłynął? Dlaczego?

– Najpierw mówiono, że tu zostanie i pomoże nam w zdobyciu nowym ziem.

– Ale się rozmyślił?

– Tak, panie.

– Dokąd zmierza jego flota?

– Podobno na północ – odparł bez przekonania Berg, choć chciał mi pomóc. – Mówili, że poześlują na północ.

Sigtryggra wysłano w celu znalezienia miejsca, gdzie siły jego ojca mogłyby się bezpiecznie wycofać w razie zbyt silnego naporu Irlandczyków. Sigtryggr obejrzał żalną osadę Rognvalda, rozważał rozbudowanie jej w większe królestwo, ale jednocześnie eksplorował północ. Nagle wrócił, przekonał Rognvalda, by opuścił Abergwaun i pomógł mu podbić inne miasto. Inne miasto na północy, lepsze i bogatsze.

Ceaster.

Później dowiedzieliśmy się, że *godspellere* bynajmniej nie jest walijskim słowem na kaznodzieję.

– Moglibyśmy powiedzieć *efengylydd* – wyjaśnił mi ojciec Anwyn. – Ale na pewno nie *godspellere*. Tak się mówi w waszym barbarzyńskim języku.

Patrząc na kuter, rozmyślałem o Eardwulfie, podczas gdy jego siostra zagniotła miód z pajęczynami i umocowała tę miksturę na ranie, którą otworzyła.

Nie bolało.

Nazajutrz mogłem się schylać, robić mieczem, przekreślać ciało, nawet napierać na rumpel, ale nie czułem bólu. Poruszałem się ostrożnie, powoli, w każdej chwili spodziewając się powrotu udręki, ale ból zniknął na dobre.

– To było zło uwięzione w twoim ciele – wyjaśniła ponownie Eadith.

– Duch – dorzucił Finan.

– A miecz był zaklęty – stwierdziła Eadith.

– Dobrze się spisała, panie – powiedział żarliwie Finan, a kobieta uśmiechnęła się na ten komplement.

– Ale jeśli miecz był zaklęty, to czemu nie zwiększył zła, kiedy mnie

ugodziłaś? – spytałem, marszcząc brwi.

– Nie ugodziłam ciebie, panie – sprostowała Eadith. – Ugodziłam złego ducha.

Ponownie znaleźliśmy się na pokładzie Drines. Sihtric przyprowadził okręt z powrotem do smoczej paszczy, a Hywel posłał ludzi, by go powitali. Popłynął z nimi Gerbruht, by przekazać Sihtricowi moje rozkazy – miał przeczekać noc – podczas gdy Hywel ugościł nas ucztą, na której podano zapasy zabrane z okrętów Rognvalda. Nastrój był jednak daleki od świątecznego. Wspomnienie o umęczonych ciałach wisiało nad osadą niczym woń spalenizny.

Hywel, skory do rozmowy, wypytywał mnie o Aethelflaed. Czy jej reputacja dobrej chrześcijanki jest uzasadniona?

– To zależy, których chrześcijan zapytasz – odparłem. – Wielu uważa ją za grzesznicę.

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami – powiedział Hywel.

– Aethelflaed to dobra kobieta.

Hywel chciał wiedzieć, co Aethelflaed sądzi o Walijszykach.

– Jeśli zostawicie ją w spokoju, ona odpłaci wam tym samym – odparłem.

– Ponieważ bardziej nienawidzi Duńczyków?

– Nienawidzi pogan.

– Słyszałem, że z jednym wyjątkiem – stwierdził oschle, ale puściłem to mimo uszu. Z uśmiechem przysłuchiwał się grze harfisty, w końcu powiedział: – A Aethelstan?

– Co z nim, panie?

– Chcesz, żeby został królem. Pan Aethelhelm tego nie chce.

– To jeszcze chłopak – powiedziałem wymijająco.

– A mimo to uważasz, że zasługuje na koronę. Dlaczego?

– To zacny, silny młodzian, lubię go – wyjaśniłem. – Poza tym jest z prawego łoża.

– Naprawdę?

– Mam u siebie kapłana, który udzielił ślubu jego rodzicom.

– Jakże to niewygodne dla pana Aethelhelma – powiedział z rozbawieniem Hywel. – Co z ojcem chłopca? Jego też lubisz?

– Wystarczająco.

– Jednak Aethelhelm rządzi w Wessexie, więc stanie się to, co on zechce.

– Wasza Wysokość musi mieć dobrych szpiegów na jego dworze – stwierdziłem, nie kryjąc rozbawienia.

– Nie potrzebuję ich – powiedział ze śmiechem Hywel. – Zapominasz o kościele, panie Uhtredzie. Duchowni nieustannie piszą listy. Przekazują sobie wiadomości i mnóstwo plotek!

– Musisz więc wiedzieć, czego chce Aethelflaed – powiedziałem, wracając do tematu. – Ona zignoruje Aethelhelma i jego ambicje, bo zależy jej tylko na przepędzeniu Duńczyków z Mercji. Potem wygna ich z Northumbrii.

– Ach, ona pragnie Engalandu! – stwierdził Hywel. Jedliśmy na dworze, pod zadymionymi gwiazdami. – Engaland – powtórzył, obracając w ustach nieznanne słowo, wpatrzony w jedno z wielkich ognisk, wokół których siedzieliśmy. Przez pewien czas król wsłuchiwał się w pieśń barda, potem zaczął mówić. Cicho, melancholijnie, wpatrzony w płomienie. – Słyszę, jak mówią „Engaland”, ale my nazywamy ten kraj Lloegyr. Utracone ziemie. Kiedyś należały do nas. Te wzgórza i doliny, rzeki i pastwiska należały kiedyś do nas, nosiły nasze nazwy, a w tych kryły się opowieści naszego ludu. Każde wzgórze, każda dolina miała swoją historię. Przybyli Rzymianie, potem odeszli, ale nazwy pozostały, potem zaś przyszliście wy, Sasi, a nazwy zniknęły jak ten dym. Wraz z nimi ulotniły się opowieści, teraz zostały tylko

wasze nazwy. Saskie. Posłuchaj go! – Skinął ręką na barda, który wyśpiewywał pieśń, przygrywając sobie na małej harfie. – Śpiewa o Caddwychu, który wybił naszych wrogów.

– Naszych wrogów? – zapytałem.

– To pieśń o tym, jak wybiliśmy was, Sasów – przyznał Hywel, potem się zaśmiał. – Mówiłem mu, żeby nie śpiewał o martwych Sasach, ale wygląda na to, że nawet królowie nie mogą rozkazywać poetom.

– My też śpiewamy pieśni – zauważyłem.

– Wasze pieśni będą opowiadać o Englalandzie, o zabitych Duńczykach, a co się stanie potem, przyjacielu?

– Potem, panie?

– Kiedy już zdobędziecie swój Englaland. Kiedy poganie odejdą. Kiedy Chrystus będzie władał Brytanią od południa do północy. Co wtedy?

– Wątpię, czy dożyję tych czasów – stwierdziłem, wzruszając ramionami.

– Czy Sasi zadowolą się swoim Englalandem? – spytał Hywel, po czym pokręcił głową. – Będą patrzeć na te wzgórza, na te doliny.

– Możliwe.

– Zatem musimy być silni. Powiedz swojej Aethelflaed, że nie zamierzamy z nią walczyć. Nie wątpię, że niektórzy z naszych będą kraść wasze bydło, ale młodzi ludzie muszą się czymś zająć. Powiedz jej jednak, że mam marzenie takie jak jej ojciec. Marzenie o jednym kraju.

Wtedy mnie to zdziwiło, ale właściwie dlaczego? Hywel był inteligentnym człowiekiem, nie mniej niż Alfred. Wiedział, że słabość prowadzi do wojny. Tak jak Alfred marzył o zjednoczeniu saskich królestw w jeden silny kraj, tak Hywel marzył o zjednoczeniu królestw walijskich. Rządził na południu, ale północ stanowiła pstrokaty kobierzec małych kraików, a małe kraiki są słabe.

– Twoja Aethelflaed usłyszy o wojnie w naszym kraju, ale zapewnij ją, że

to nie jej sprawa. To nasza sprawa. Zostawcie nas w spokoju, a my odpłacimy wam tym samym.

– Do czasu, panie – stwierdziłem.

– Do czasu? – Hywel znów się uśmiechnął. – Tak, pewnego dnia będziemy musieli walczyć, ale najpierw stworzycie swój Englland, a my swoją Cymru. Zanim te tarcze zewrą się w walce, przyjacielu, my obaj już pewnie dawno będziemy martwi.

– Cymru? – spytałem, z trudem wymawiając obce słowo.

– Wy mówicie „Walia”.

Gnani południowo-zachodnim wiatrem opuściliśmy Cymru, morze pieniało się pod dziobem Drines, za nami zostawał biały, wzburzony kilwater. Polubiłem Hywela. Znałem go krótko, spotkaliśmy się zaledwie kilka razy, a jednak spośród wszystkich królów, jakich poznałem w swoim długim życiu, największe wrażenie wywarli na mnie Hywel i Alfred. Hywel nadal żyje, włada znaczną częścią Walii, z roku na rok rośnie w siłę i pewnego dnia z pewnością ludzie z Cymru przyjdą, by odebrać opowieści, które my, Sasi, im ukradliśmy. Albo my pomaszerujemy na nich, żeby ich zniszczyć. Pewnego dnia. Nie teraz.

Żeglowaliśmy na północ, by ocalić królestwo Aethelflaed.

Mogłem się mylić. Może Sigtryggr szukał nowej ziemi w Szkocji lub nawet na poszarpanym wybrzeżu Kumbrii, albo w najdalej na północ wysuniętym królestwie walijskim zwanym Gwynedd, ale nie bardzo w to wierzyłem.

Dawniej pływałem wzdłuż zachodniego wybrzeża Brytanii, gdzie fale smagają groźne skały, lecz na północ od Saefern znajduje się jedno łagodne miejsce, gdzie rzeki zapraszają statek w głąb lądu, nie ma tam stromizny ani skał, bydlę może dogodnie się paść, wschodzi jęczmień. To Wirhealum, kraina między rzekami Maerse a Dee. Tam też znajdował się Ceaster, gdzie

niegdyś Aethelflaed ruszyła na czele swoich wojsk na ludy Północy. Zajęcie tego miasta oraz okolicznych żyznych ziem dokonało się dzięki uporowi córki Alfreda i właśnie ono skłoniło witan do powierzenia jej Mercji. Teraz, o ile moje podejrzenia były słuszne, do Wirhealum zmierzało więcej Norwegów, nowa flota z setkami wojowników. Jeśli Aethelflaed rozpocznie swoje rządy od utraty Ceasteru, jeżeli ta wielka połać świeżo podbitej ziemi padnie łupem wroga, ludzie zaczną szeptać, że chrześcijański bóg zemścił się w ten sposób za wyniesienie na tron kobiety.

Bezpiecznie byłoby wrócić do Gleawecestre. Moglibyśmy się tam szybko dostać, bo przez dwa z trzech dni wiał południowo-zachodni wiatr, ale stamtąd mielibyśmy jeszcze tydzień marszu do Ceasteru. Zakładałem, że Aethelflaed została w Gleawecestre, gdzie mianowała urzędników, skrybów i kapłanów, by zarządzali władanymi przez nią ziemiami, wiedziałem też jednak, że posłała co najmniej pięćdziesięciu ludzi na północ, by wsparli garnizon w Ceasterze. To właśnie z nimi miałyby walczyć Sigtryggr, o ile rzeczywiście zmierzał do krainy w międzyrzeczu.

Dlatego ruszyłem na północ. Przed nami płynęły okręty Sigtryggra, ponad dwadzieścia załóg składających się na armię co najmniej pięciuset wojowników. Pięć setek wygłodniałych dusz w poszukiwaniu ziemi. Ilu ludzi Aethelflaed miała w Ceasterze? Przywołałem syna do steru i zadałem mu to pytanie.

– Kiedy tam byłem, w mieście stacjonowało nieco ponad trzystu wojów – odparł.

– Włącznie z twoimi?

– Włącznie z naszymi trzydziestoma ośmioma – potwierdził.

– Wyjechaliście, Aethelflaed zabrała trzydziestu dwóch ludzi na południe. Ilu więc zostało w Ceasterze? Dwustu pięćdziesięciu?

– Może trochę więcej.

– Albo trochę mniej. Ludzie chorują. – Popatrzyłem na odległy brzeg, gdzie pod zwałami chmur wznosiły się nieprzyjazne wzgórza. Wiatr wieńczył fale pianą, ale zarazem gnał naszą łódź na północ. – Wiemy, że dopiero co posłała pięćdziesięciu mężczyzn na północ, więc garnizonu bronią ze trzy setki. Pod dowództwem Merewalha.

– To dobry człowiek – stwierdził mój syn i skinął głową.

– Dobry – przyznałem.

– Lecz niewystarczająco? – spytał Uhtred, słysząc wahanie w moim głosie.

– Będzie walczył jak lew, jest uczciwy – zapewniłem. – Ale czy jest też przebiegły jak lis? – Lubiłem Merewalha, ufałem mu. Nie wątpiłem, że Aethelflaed go wyniesie, może uczyni ealdormanem, myślałem nawet o Merewalhu jako o mężu dla Stiorry. To nadal mogło się wydarzyć, na razie jednak Merewalh musiał bronić Ceasteru, a trzystu ludzi powinno sobie poradzić. Gród miał kamienne mury i głęboką fosę. Rzymianie znali się na budowaniu, ale podejrzewałem, że Sigtryggr zna siłę Ceasteru, i obawiałem się, że jest przebiegły jak lis. – Co robiła Aethelflaed, kiedy opuszczała Ceaster? – zapytałem Uhtreda.

– Wznosiła nowy gród.

– Gdzie?

– Na brzegu Maerse.

To miało sens. Fortu Ceaster chroniła Dee, rzeka położona najdalej na południe, ale Maerse stanowiła otwarte wrota. Gdyby jednak wznieść tam gród, nieprzyjaciele nie mogliby zapuszczać się rzeką w głąb lądu.

– Czyli Merewalh potrzebuje ludzi, by dokończyć budowę nowego burhu – stwierdziłem. – Potrzebuje też więcej ludzi do obsady garnizonu, który broniłby Ceasteru. Nie poradzi sobie z tym wszystkim przy pomocy trzystu wojów.

- A Osferth zmierza tam z rodzinami – przypomniał posepnie mój syn.
- Jest z nimi Stiorra – dodałem z poczuciem winy.

Jako ojciec postępowałem lekkomyślnie. Mój najstarszy potomek stał mi się obcy z powodu jego przeklętej religii. Uhtred wyszedł na ludzi, choć nie było w tym mojej zasługi, a Stiorra stanowiła zagadkę. Kochałem ją, ale oto naraziłem ją na niebezpieczeństwo.

- Jedzie z rodzinami i twoimi pieniędzmi – stwierdził syn.

Los to sprzedajna dziewczka. Posłałem Osfertha na północ, ponieważ Ceaster wydawał się miejscem bezpieczniejszym niż Gleawecestre. Jeśli jednak się nie myliłem, to wysłałem Osfertha, moją córkę, rodziny i cały nasz dobytek prosto w łapy wroga. Co gorsza, Eardwulf mógł dołączyć do Sigtryggra, a nie wątpiłem, że miał w sobie przebiegłość sfory lisów.

- Przypuśćmy, że Eardwulf uda się do Ceasteru – zasugerowałem, na co mój syn spojrzał na mnie zaskoczony. – Czy wiedzą, że jest zdrajcą?

Uhtred rozumiał moje obawy.

- Jeśli jeszcze tego nie wiedzą... – zaczął powoli.

- To otworzą mu bramę – wtrąciłem.

- Ale do tej pory musieli się już dowiedzieć – upierał się mój syn.

– Owszem, dowiedzieli się o Eardwulfie – przyznałem. Ludzie, których Aethelflaed wysłała jako wsparcie dla Gleawecestre, zanieśliby tę nowinę. – Ale czy znają jego wszystkich zwolenników?

- O Boże – wykrztusił Uhtred, bo dotarło do niego niebezpieczeństwo. – Jezu!

- Akurat nam pomoże – warknąłem.

Drines uderzyła w wysoką falę i zimny deszcz zmoczył pokład. W ciągu dnia wiatr się wzmaczał, fale pędziły teraz chyżo, ale wraz z nadejściem nocy wiatr ustał i morze się uspokoiło. Straciliśmy z oczu ląd, bo właśnie

przecinaliśmy rozległą zatokę wyznaczającą zachodnie wybrzeże Walii. Północny kraniec zatoki, sterczący niczym skaliste ramię gotowe schwytać nieostrożne statki, budził moje obawy. Opuściliśmy żagiel, wzięliśmy się do wiosł i trzymaliśmy kurs dzięki sporadycznie wyłaniającym się gwiazdom. Wiosłowaliśmy powoli, patrząc, jak woda migoce osobliwymi światłami, jakie czasem widzi się nocą na morzu. Nazywamy je klejnotami Ran. Nieziemskie migotanie pochodzi od kamieni szlachetnych, które zazdrosna bogini nosi na szyi.

– Dokąd płyniemy? – spytał mnie Finan w skrzęcej się klejnotami ciemności.

– Do Wirhealum.

– Na północ czy na południe?

Dobre pytanie, na które nie znałem odpowiedzi. Gdybyśmy popłynęli południową rzeką Dee, moglibyśmy powiosłować niemal do samych bram Ceasteru, jeśli jednak Sigtryggr zrobił to samo, stanęlibyśmy oko w oko z jego ludźmi. Jeśli byśmy wybrali rzekę na północy, moglibyśmy zostawić statek na brzegu w sporej odległości od Ceasteru i najpewniej uniknąć spotkania z flotą Sigtryggra, ale stamtąd mielibyśmy znacznie dłuższą drogę do grodu.

– Według mnie Sigtryggr chce zająć Ceaster.

– Jeżeli popłynął do Wirhealum, to masz rację.

– Jeżeli – powiedziałem z przekąsem. Instynkt jest dziwną sprawą. Nie można go dotknąć, poczuć, powąchać ani usłyszeć, a jednak trzeba mu ufać. Tej nocy, wsłuchując się w plusk fal i skrzypienie wiosł, miałem pewność, że moje obawy są uzasadnione. Gdzieś przed nami płynęli Norwegowie, którzy postanowili zająć Ceaster, miasto Aethelflaed. Ale jak zamierzali tego dokonać? W tej sprawie mój instynkt milczał. – On zechce szybko zająć miasto – powiedziałem.

– Tak – zgodził się Finan. – Jeśli będzie zwlekał, garnizon się wzmocni.

– Dlatego wybierze szybszą drogę.

– Dee.

– Popłyniemy na północ, do rzeki Maerse – postanowiłem. – Jutro rano zdejmujemy z dziobu ten przeklęty krzyż.

Krucyfiks na wzniesionym dziobie Drines oznajmiał, że jesteśmy chrześcijańskim statkiem, i zapraszał wszystkich Duńczyków i Norwegów do ataku. Duński okręt pyszniłby się na dziobie figurą smoka, węża lub orła, ale takie podobizny osadzano zawsze ponad dziobem. Rzeźbionych i malowanych stworów nigdy nie prezentowano na ojczystych wodach, te bowiem były przyjazne i nie potrzebowano żadnych bestii, by uśmierzyć gniew nieprzychylnych duchów. Wrogie wybrzeża wymagały jednak takich zabiegów. Krzyż na dziobie Drines został umocowany na stałe. Wspornik był po prostu belką dziobową uniesioną nieco nad pokładem, co znaczyło, że moi ludzie musieli się posłużyć toporami, by zrąbać to cholerstwo. Dzięki temu przestaniemy być narażeni na atak. Nie miałem wątpliwości, że przed nami nie płynęły żadne chrześcijańskie okręty, ale sami wrogowie.

W mdłym szarym świetle świtu topory wykonały swoją robotę. Kilku chrześcijan skrzywiło się, gdy wielki krzyż w końcu runął z chlustem do wody, mocno obił się o kadłub i został w tyle. Wiatr zmarszczył morze, znowu wciągnęliśmy żagiel, schowaliśmy wiosła i pozwoliliśmy, by słaba bryza niosła nas na północ. Daleko na wschodzie dostrzegłem ciemne żagle, należące prawdopodobnie do walijskich statków rybackich. Chmara mew unosiła się nad statkami, które na nasz widok pozegłowały pospiesznie w stronę lądu. Ten ukazał się naszym oczom mniej więcej godzinę po świcie.

Płynęliśmy. Ale dokąd? Nie wiedziałem. Dotykając młota na szyi, modliłem się do Thora, żeby mój instynkt okazał się mylny, żebyśmy dopłynęli do Maerse i zastali błogi spokój.

Przeczenie mnie jednak nie myliło. Żeglowaliśmy w sam środek kłopotów.

Następną noc spędziliśmy u północnego wybrzeża Walii, kotwicząc w zatoczce, gdzie nad naszymi głowami wył wiatr. Siekł deszcz. Pioruny uderzały o brzeg, a każda błyskawica ukazywała nagie wzgórza i gołoledź. Burza przyszła nagle i szybko odeszła. Na długo przed świtem ustał ten gniew bogów. Nie wiedziałem, co oznaczała ta nawałnica, mogłem się tylko bać, jednak o świcie wiatr znowu się uspokoił, chmury się rozpiezchły, wschodzące słońce połyskiwało na coraz spokojniejszych falach, gdy wyciągnęliśmy kamień kotwiczny i wsunęliśmy wiosła w dulki.

Sam sięgnąłem po wiosło. Nic mnie nie bolało, choć po godzinie trud wiosłowania dał mi się we znaki. Skandowaliśmy starodawną pieśń o Beowulfie, opowiadającą o tym, jak bohater płynął cały dzień, by dotrzeć na dno wielkiego jeziora i stoczyć walkę z potworną matką Grendela.

– *Wearp ðã wunden-mæl!* – wołaliśmy, gdy nasze wiosła siekły wodę. – *Wrættum gebunden!* – Napieraliśmy z całej siły. – *Yrre oretta, þæt hit on eorðan læg!* – Ciągnęliśmy kadłub po migoczącym morzu. – *Stið ond styl-ecg!* – Wyciągaliśmy wiosła z wody, by wziąć kolejny zamach.

Pieśń opowiadała, jak Beowulf zrozumiał, że jego miecz nie przebije grubej skóry potwora, więc odrzucił ostrze zdobione podobnymi do dymu zawijasami, tak jak Oddech Węża. Bohater zaczął się mocować z bestią, rzucił ją na dno. Tam przyjmował jej ciosy, oddawał je, wreszcie chwycił jeden z mieczy potworzycy, pochodzący z czasów, gdy po ziemi chodzili olbrzymi, tak ciężki, że tylko bohater mógł go unieść. Beowulf wbił klingę w szyję bestii, a jej agonalne wrzaski odbiły się echem od firmamentów. To dobra opowieść. W dzieciństwie nauczyłem się jej od kowala Ealdwulfa, on jednak śpiewał dawną wersję, nie nowszą, którą wykrzykiwali ludzie, gdy

Drines sunęła po porannym morzu. Wioślarze wołali, że zwycięstwo dał Beowulfowi *Hālig* Bóg, ale według Ealdwulfa to nie Święty Bóg, lecz Thor dał bohaterowi moc, która pozwoliła mu pokonać nikczemnego stwora.

Sam też modliłem się do Odynowego syna o siłę, dlatego napierałem na wiosło. Mężczyzna potrzebuje sił, by utrzymać miecz, wymachiwać nim, ugodzić wroga. Oto ruszałem do walki, ale czułem się słaby, tak słaby, że po godzinie wiosłowania przekazałem wiosło Eadricowi i dołączyłem do syna przy sterze. Ręce miałem zmęczone, lecz nie dokuczał mi ból.

Wiosłowaliśmy przez cały dzień, aż słońce znalazło się za naszymi plecami i dopłynęliśmy do rozległych bagien rozciągających się od Wirhealum do miejsca, gdzie rzeki, łąd i morze łączą się ze sobą, pływy przewalają się po mokradłach, a stada ptaków morskich są gęste jak tumany śniegu. Na południe od nas znajdowało się ujście Dee, szerszej niż Maerse, i zastanawiałem się, czy nie dokonałem błędnego wyboru – może należało wpłynąć na Dee i powiosłować prosto do Ceasteru. Zamiast tego przybiliśmy do brzegu Maerse. Obawiałem się, że Sigtryggr, o ile tu przybył, ruszył rzeką Dee i wyszedł na łąd, by zająć Ceaster. Dotykając młota na szyi, zmówiłem modlitwę.

Błoto ustąpiło miejsca trawie i drzewom, potem pojawiły się pastwiska i wrzosowiska, niskie lasy i łagodne wzgórza pokryte jasnożółtymi kwiatami żarnowca. Na południu leżało Wirhealum. Słupy dymu wśród drzew zdradzały siedziby ludzkie, ale wieczornego nieba nie znaczyła łuna pożaru. Wszędzie panował spokój. Na łące pasły się krowy, na wzgórzach owce. Bezskutecznie rozglądałem się za nowym grodem Aethelflaed. Wiedziałem, że wznosiła go w celu obrony tej rzeki, a nie była głupia, zatem burh musiał się znajdować na południowym brzegu, by ludzie mogli łatwo dostać się tam z Ceasteru. Nasze cienie na wodzie stawały się coraz dłuższe, ale nie widziałem murów ani palisady.

Drines płynęła dalej. Niesieni silnym przyływem w górę rzeki, używaliśmy wiosł tylko do utrzymania kursu. Z powodu zdradzieckich mielizn płynęliśmy powoli. Po obu stronach widziało się błotniste brzegi, ale rwący nurt ciemniejszej wody wskazywał nam drogę w głąb lądu. Na północnym brzegu kopał w błocie chłopiec, który przerwał pracę i do nas pomachał. Odwzajemniłem jego gest, ciekaw, czy to Duńczyk czy Norweg. Raczej nie był Sasem. Ludzie Północy od lat władali tą okolicą, ale po zajęciu Ceasteru mogliśmy teraz odebrać tereny wokół miasta i zapełnić je Sasami.

– Tam – powiedział Finan.

Oderwałem wzrok od chłopca i spojrzałem w górę rzeki, gdzie nad zagajnikiem wznosił się gąszcz masztów. Początkowo wziąłem je za drzewa, ale stały zbyt prosto, całkiem nagie na tle ciemniejszego nieba, przyływ nas niósł, a ja nie śmiałem skrócić, bo mogłem wpakować Drines na mieliznę. Rozsądek nakazywał zwrot, ponieważ maszty dowodziły, że Sigtryggr przybył tu, na Maerse, jego okręty nie stały pod Ceasterem, lecz pod Wirhealum. Norweska armia czekała na nas, ale przyływ niósł nas nieustępliwie jak los. W głębi lądu, niedaleko od masztów, ujrzałem dym, nie gęste kłęby oznaczające zniszczenie, ale łagodne dymy z palenisk na wieczornym niebie nad niskimi drzewami. Domyśliłem się, że odnaleźliśmy nowy gród Aethelflaed.

I tak, po raz pierwszy, ale nie ostatni w życiu, przybyłem do Brunanburha.

Po wzięciu łagodnego zakola ujrzeliśmy okręty Norwegów. Większość z nich wyciągnięto na ląd, ale kilka kotwiczyło przy błotnistym brzegu. Zacząłem liczyć.

– Dwadzieścia sześć – powiedział Finan.

Na niektórych statkach na lądzie ściągnięto żagle, co oznaczało, że

Sigtryggr zamierzał zostać dłużej.

Rzeka sprawiała wrażenie wystarczająco szerokiej, ale to było złudne, bo zewsząd otaczały nas mielizny.

– Co robimy? – spytał mój syn.

– Powiem ci, jak się dowiem – warknąłem.

Naparłem na rumpel i podpłynęliśmy do flotyli Sigtryggra. Słońce prawie zaszło, długie ciemne cienie zlewały się w zapadającym zmierzchu.

– Sporo tych drani – stwierdził cicho Finan, patrząc na łąd.

Ja również tam spoglądałem, lecz przede wszystkim obserwowałem rzekę, żeby Drines nie osiadła na mieliznie. Moi ludzie gapili się na południe, zapominając o wiosłach, więc kazałem im wiosłować, a gdy łódź łagodnie ruszyła dalej, oddałem ster synowi i przyjrzałem się nowemu grodowi Aethelflaed. Na wzniesieniu nad rzeką jej budowniczości zdążyli usypać wał ziemi wysokości człowieka i długi na ponad dwieście kroków. Obok dwóch mniejszych domów dostrzegłem stajnię, ale ani śladu palisady. Do zbudowania drewnianej ściany potrzebne były setki krzepkich pni dębu lub wiązu, ale w pobliżu usypanego wału nie rosły duże drzewa.

– Będzie musiała sprowadzić tu drewno – powiedziałem.

– O ile kiedykolwiek ukończy budowę – zauważył Finan.

Podejrzewałem, że burh zbudowano na planie kwadratu, ale z pokładu Drines nie sposób było tego stwierdzić. Świeże drewno niewielkiej sali jaśniało w zapadającym zmierzchu. Domyślałem się, że sala miała pomieścić budowniczych Aethelflaed, a po ukończeniu prac miała powstać większa komnata. Wtedy na wykuszu ujrzałem krzyż i o mały włos nie wybuchnąłem śmiechem.

– To nie jest sala, lecz kościół! – powiedziałem.

– Ona chce mieć Boga po swojej stronie – stwierdził Finan.

– Najpierw powinna była zatroszczyć się o palisadę – warknąłem. Okręty

wyciągnięte na ląd oraz te kotwiczące prawie całkowicie zasłaniały brzeg rzeki, ale wydawało mi się, że dostrzegam świeżo wykopany kanał, mający pewnie doprowadzać wodę Maerse do fosy wokół nowego grodu, teraz znajdującego się w rękach Norwegów.

– Jezu, tych drani są setki! – wykrztusił Finan.

Z kościoła wychodzili ludzie, by nam się przyjrzeć. Irlandczyk miał rację, były ich setki. Inni siedzieli wokół ognisk. Na brzeg ciągnęły kobiety i dzieci, żeby na nas popatrzeć.

– Do wiosła! – rozkazałem i odebrałem synowi ster.

Nie ulegało wątpliwości, że Sigtryggr zajął na wpół ukończony burh, ale obecność tylu ludzi świadczyła o tym, że jeszcze nie ruszył na Ceaster. Nie miał dość czasu, ale z pewnością przypuści atak, gdy tylko zdoła. Popłynięcie z ludźmi w górę Dee i natychmiastowe uderzenie na Ceaster wiązałoby się z dużym ryzykiem, ponieważ wówczas utknąłby wśród tamtejszych rzymskich murów. Ja bym tak postąpił, ale Sigtryggr wykazał większy rozsądek. Zajął mniejszy fort, a jego ludzie z pewnością wznosili palisadę z wszelkich drzew, jakie mogli ściąć, a także z ciernistych krzaków. Pogłębią fosę, a po ukończeniu budowy grodu, po otoczeniu go ziemią, drewnem i ciernistymi gałęziami Sigtryggr będzie w Brunanburhu niemal tak bezpieczny, jak byłby w Ceasterze.

Jakiś człowiek przelazł przez okręty na plaży, złączone razem jakby dla ochrony, potem wskoczył na jedną z łodzi na wodzie, coraz bardziej się do nas zbliżając.

– Kim jesteście?! – Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej i bałem się, że zaryjemy w brzeg, ale nie miałem odwagi się zatrzymać. – Kto wy?! – zawołał znowu tamten.

– Sigulf Haraldson – wymyśliłem naprędce.

– Co tu robicie?

– A kto pyta?! – odkrzyknąłem powoli po duńsku.

– Sigtryggr Olafson!

– Powiedz mu, że tu mieszkamy! – Zastanawiałem się, czy mam do czynienia z samym Sigtryggrem, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Najpewniej wysłał jednego ze swoich, żeby nas przepytał.

– Jesteście Duńczykami?! – zawołał, ale puściłem pytanie mimo uszu. – Mój pan zaprasza was na brzeg!

– Powiedz mu, że chcemy zdążyć do domu przed zmrokiem!

– Co wiecie o Sasach z tego miasta?!

– Nic! Ignorujemy ich, a oni nas!

Minęliśmy łódź, z której wołał tamten, on jednak zwinnie przeskoczył na następną, żeby wciąż trzymać się blisko.

– Zejdźcie na ląd! – zawołał.

– Jutro!

– Gdzie mieszkacie?!

– W górze rzeki! – odkrzyknąłem. – Godzina drogi!

Warknąłem do swoich ludzi, żeby mocniej wiosłowali, i Thor musiał nam sprzyjać, bo Drines utrzymała się w kanale, chociaż wiosła kilkakrotnie uderzyły w muł, a kadłub dwa razy łagodnie otarł się o brzeg, zanim znaleźliśmy głębszą wodę. Tamten nie przestawał wykrzykiwać pytania w ciemności, ale odpłynęliśmy: łódź zjawa rozplynęła się w mroku nocy.

– Módl się, żeby nie rozpoznali twojego głosu – powiedział Finan.

– Na brzegu nie mogli mnie słyszeć – odparłem z nadzieją, że to prawda. Oszczędzałem głos, aby usłyszał mnie tylko człowiek z łodzi. – Zresztą kto miałby go rozpoznać?

– Mój brat? – podsunęła Eadith.

– Widziałaś go?

Pokręciła głową. Odwróciłem się i próbowałem dostrzec cokolwiek za rufą, ale gród stał się zaledwie cieniem w cieniu, cieniem migoczącym ogniskami, a na zachodnim niebie rysowały się mroczne maszty okrętów Sigtryggra. Zaczął się odpływ i Drines sunęła w górę rzeki w leniwym nurcie. Nie wiedziałem, jak daleko jest z Brunanburha do Ceasteru – z dziesięć mil? Nie miałem pojęcia, a żaden z moich ludzi nie odwiedził wcześniej nowego grodu Aethelflaed, więc nikt nie mógł mi powiedzieć. Ja sam bywałem na rzece Maerse, pływałem nią nieopodal Ceasteru, ale w gęstniejącym mroku nie sposób było dostrzec żadnych charakterystycznych punktów. Patrzyłem za siebie, na zostające w dali dymy Brunanburha, patrzyłem, jak zachodni horyzont czerwieni się od nadchodzącego zmierzchu, a na czarnym niebie zapalają się gwiazdy. Nie obawiałem się pościgu. Okręt nie poradziłby sobie w takiej ciemności, a ludzie, pieszo czy konno, musieliby brnąć przez nieznaną okolicę.

– Co robimy? – spytał Finan.

– Ruszamy do Ceasteru – odparłem.

Ochronić tron Aethelflaed.

Chmury często zasłaniały księżyc, ale jego blasku wystarczyło, by oświetlać rzekę. Wiosłowaliśmy w milczeniu, aż w końcu kadłub zarył w muł, Drines zadrżała i znieruchomiała. Południowy brzeg znajdował się zaledwie dwadzieścia kroków od nas, kilku ludzi wyskoczyło za burtę i brnęło na ląd.

– Kolczugi i broń – zarządziłem.

– Co z łodzią? – zapytał Finan.

– Zostawimy ją – odparłem.

Przypływ poniesie Drines w dół rzeki i z pewnością znajdą ją ludzie Sigtryggra, ale nie miałem czasu, by ją spalić, a gdybym przycumował,

zdradziłaby miejsce, w którym wyszliśmy na brzeg. Lepiej pozwolić jej swobodnie dryfować. *Wyrð bið ful āræd.*

Czterdziestu siedmiu mężczyzn i jedna kobieta zeszli na ląd w kolczugach, z tarczami i bronią. Ubraliśmy się na wojnę, bo wojna się zbliżała. Obecność tak licznych ludzi w Brunanburhu powiedziała mi, że Ceaster wciąż znajdował się w saskich rękach, ale Sigtryggr z pewnością wkrótce ruszy na większą fortecę.

– Może postanowił zostać w Brunanburhu – zasugerował Finan.

– I zostawi nas w Ceasterze w spokoju?

– Jeśli ukończy palisadę w Brunanburhu? Jeśli zacznie się naprzykrzać? Może liczy, że zapłacimy mu za to, żeby oszedł?

– W takim razie jest głupcem, bo nie zapłacimy.

– Ale tylko dureń przypuściłby atak na kamienne mury Ceasteru.

– My to zrobiliśmy – zauważyłem, a Finan się roześmiał. Pokręciłem głową. – Nie będzie chciał siedzieć w Brunanburhu. Ojciec wysłał go, żeby zajął ziemię, i on spróbuje tego dokonać. Poza tym jest młody. Musi zdobyć sławę. Berg twierdzi, że Sigtryggr jest uparty.

Rozmawiałem z Bergiem. Jako jeden z ludzi Rognvalda nie widywał często Sigtryggra, ale ten i tak wywarł na nim duże wrażenie.

– Jest wysoki, panie – mówił mi młodzian. – Ma złote włosy, jak twój syn, twarz jak orzeł. Dużo krzyczy i się śmieje. Ludzie go lubią.

– Ty też?

Berg się zawahał, po czym wypalił z typową dla młodych żarliwością:

– On jest jak bóg, który zstąpił na ziemię, panie!

– Bóg? – spytałem z uśmiechem.

– Jak bóg – wymamrotał, zawstydzony własnymi słowami.

Jednak bóg, który zstąpił na ziemię, musiał zdobyć sławę, a czy mógł być

na to lepszy sposób niż zajęcie Ceasteru? Dlatego też nie zwalnialiśmy tempa, a w końcu miasto okazało się łatwiejsze do znalezienia, niż się obawiałem. Podążaliśmy wzdłuż rzeki na wschód, aż dotarliśmy do rzymskiej drogi, którą ruszyliśmy na południe. Droga wiodła przez rzymskie cmentarzysko, które ludzie Północy i Sasi zostawili w spokoju, bo roilo się od duchów. W milczeniu szliśmy wśród grobów, zobaczyłem, że chrześcijanie się żegnają, dotknąłem młota na szyi. Szliśmy nocą, w porze wędrówek zmarłych. Gdy mijaliśmy ich posępne siedziby, dało się słyszeć jedynie nasze kroki na kamiennej drodze.

Wreszcie ujrzeliliśmy przed sobą Ceaster.

Do miasta dotarliśmy tuż przed świtem. Na wschodnim niebie pojawił się szary pasek światła, nie szerszy niż ostrze miecza. Rozśpiewały się pierwsze ptaki. Jasne mury spowijał mrok nocy, północna brama ginęła w czerni. Jeśli powiewała nad nią flaga, to nie mogłem jej dostrzec. Za murami płonęły ognie, ale na blankach nie widziałem ludzi, wziąłem więc Finana i syna i we trzech podeszliśmy do bramy. Wiedziałem, że jesteśmy widoczni.

– Ostatnim razem otworzyłeś tę bramę – powiedział do mojego syna Finan. – Może będziesz musiał zrobić to jeszcze raz.

– Wtedy miałem konia – zauważył Uhtred. Staął wówczas na siodle, przeskoczył przez bramę i odebraliśmy miasto Duńczykom. Miałem nadzieję, że nadal było w naszych rękach.

– Kim jesteście?! – zawołał z muru człowiek.

– Przyjaciółmi! – odkrzyknąłem. – Czy Merewalh wciąż dowodzi?!

– Owszem – odparł niechętnie tamten.

– Przyprowadź go.

– Jeszcze śpi.

– Powiedziałem: przyprowadź go! – warknąłem.

– Kim jesteś?

– Człowiekiem, który chce rozmawiać z Merewalhem! Ruszaj!

Usłyszałem, jak strażnik rozmawia z towarzyszami, potem zapadła cisza. Czekaliśmy, podczas gdy cienki pasek światła na wschodzie się rozszerzał. W mieście piałły koguty i wyły psy, w końcu na murze zamajaczyły cienie.

– Jestem Merewalh! – zawołał znajomy głos. – Ktoś ty?!

– Uhtred – odparłem.

Na chwilę zapadła cisza.

– Kto? – spytał znowu.

– Uhtred! – krzyknąłem. – Uhtred z Bebbanburga!

– Panie? – W głosie Merewalha brzmiało niedowierzenie.

– Czy Osferth do ciebie dotarł?

– Tak! I twoja córka.

– A Aethelflaed?

– Pan Uhtred? – Wciąż nie mógł uwierzyć.

– Otwórz tę cholerną bramę, Merewalhu – zażądałem. – Chcę zjeść śniadanie.

Brama powędrowała w górę i weszliśmy. W łukowatym sklepieniu płonęły pochodnie i ujrzałem ulgę na twarzy Merewalha, gdy mnie rozpoznał. Za jego plecami stał tuzin ludzi z włóczyniami i dobytymi mieczami.

– Panie! – Merewalh podszedł do mnie. – Wyzdrowiałaś, panie!

– Owszem – potwierdziłem. Dobrze było go zobaczyć. Ten dzielny wojownik był szczerym człowiekiem i przyjacielem. Prostoduszny, o krągłej twarzy, promieniejącej radością z powodu naszego przybycia. Był jednym z ludzi Aethelreda, ale zawsze ochraniał Aethelflaed i cierpiał z powodu tej lojalności. – Czy Aethelflaed jest tutaj? – spytałem.

Merewalh pokręcił głową.

– Powiedziała, że kiedy będzie mogła, sprowadzi więcej ludzi, ale od tygodnia nie dała znaku życia.

Zerknąłem na jego wojów, którzy z uśmiechem chowali miecze.

– Ilu masz ludzi?

– Dwustu dziewięćdziesięciu dwóch zdolnych do walki.

– Włącznie z pięćdziesięcioma, których przysłała Aethelflaed?

– Tak, panie.

– Czyli jest tu królewicz Aethelstan?

– Tak, panie.

Odwrociłem się i patrzyłem, jak opuszczają ciężką bramę i zakładają masywny rygiel.

– Wiesz, że w Brunanburhu jest pięciuset Norwegów?

– Mówiono mi, że sześciuset – odparł posępnie Merewalh.

– Kto tak mówił?

– Wczoraj przyjechało pięciu Sasów z Mercji. Widzieli, jak Norwegowie dobili do brzegu i uciekli tutaj.

– Pięciu z Mercji? – spytałem, ale nie dałem mu czasu na odpowiedź. – Powiedz, czy miałeś ludzi w Brunanburhu.

Merewalh pokręcił głową.

– Pani Aethelflaed powiedziała, żeby porzucić gród do jej powrotu. Uznała, że damy radę obronić zarówno Ceaster, jak i nowy burh. Po jej powrocie wznowimy tam prace.

– Pięciu z Mercji? – powtórzyłem. – Mówili, kim są?

– Och, dobrze ich znam! – zapewnił. – Służyli panu Aethelredowi.

– A teraz służą pani Aethelflaed? – spytałem, a Merewalh przytaknął. – Po co więc ich przysłała?

– Chciała, żeby przyjrzeni się Brunanburhowi.

– Przyjrzeni się?

– W Wirhealum przebywają Duńczycy – wyjaśnił. – Nie ma ich wielu i twierdzą, że są chrześcijanami. – Wzruszył ramionami, sugerując, że to wątpliwe. – Głównie wypasają owce i nie nękamy ich, dopóki oni nas nie nękają, ale pani Aethelflaed mogła się spodziewać kłopotów z ich strony.

– Czyli tych pięciu przyjechało tu na rozkaz Aethelflaed – powiedziałem. – Minęli waszą południową bramę i nie chcieli się z tobą widzieć? Pojechali do Brunanburha? – Czekałem na odpowiedź, ale Merewalh milczał. – Pięciu ludzi przyjechało tu, by sprawdzić, czy jacyś pasterze owiec nie zniszczyli wału ziemnego? – Nadal milczał. – Musiałeś posłać własnych ludzi, żeby obejrzeni nowy gród, prawda?

– Tak, panie.

– Mimo to Aethelflaed ci nie ufała? Musiała posłać pięciu ludzi, by wykonali zadanie, którym sam już się zajmowałeś?

Biedny Merewalh zasępił się, strapiiony pytaniami.

– Znam tych ludzi, panie – powiedział, ale w jego głosie brakowało pewności.

– Znasz ich dobrze?

– Wszyscy służyliśmy panu Aethelredowi. Nie, nie znam ich dobrze.

– A tych pięciu służyło Eardwulfowi – zasugerowałem.

– Wszyscy mu służyliśmy. Dowodził strażą przyboczną pana Aethelreda.

– Ale tych pięciu było z nim blisko – stwierdziłem, a Merewalh niechętnie przytaknął. – A teraz Eardwulf dołączył pewnie do Sigtryggra.

– Kim jest Sigtryggr, panie?

– Człowiekiem, który właśnie sprowadził pięciuset czy sześciuset Norwegów do Brunanburh.

– Eardwulf jest z... – zaczął Merewalh, potem odwrócił się i spojrzał na

główną ulicę Ceasteru, jakby spodziewał się norweskiej inwazji.

– Eardwulf jest pewnie u Sigtryggra – powtórzyłem. – Eardwulf jest zdrajcą i banitą. Najpewniej zmierza w naszą stronę, ale nie sam.

– Dobry Boże – wykrztusił Merewalh i uczynił znak krzyża.

– Podziękuj swojemu bogu – powiedziałem.

Wkrótce miała się zacząć rzeź, a my zdążyliśmy na czas.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sigtryggr przybył w południe.

Wiedzieliśmy, że nadejdzie.

Wiedzieliśmy, gdzie zaatakuje.

Mieli nad nami przewagę liczebną, ale nas chroniły mury Ceasteru, warte tysiąc ludzi. Sigtryggr również to wiedział i jak wszyscy ludzie Północy, nie miał cierpliwości do oblężenia. Brakowało mu czasu, by zrobić drabiny, nie miał narzędzi do wykonania podkopu, miał jedynie odwagę swoich ludzi oraz świadomość, że nas przechytrzył.

Tyle tylko, że my wiedzieliśmy, na czym polegał jego fortel.

Witamy w Ceasterze.

Słońce wzeszło, ale w wąskim rzymskim domu, w głównej komnacie panował mrok. W palenisku dymił ogień, dym kłębił się pod dachem, nim odnalazł wybity w dachówkach otwór. W komnacie rozlegało się gromkie chrapanie ludzi śpiących pod ścianami. Niektórzy spali na stołach, przy których stały ławy. Dwaj służący rozkładali placki owsiane na kamieniach paleniska, trzeci przyniósł drewno, by wskrzesić ogień.

Przed domem leżały wielkie sterty drewna. To nie był opał, lecz pobieżnie ociosane pnie dębów i wiązów. Zatrzymałem się, żeby się im przyjrzeć.

– To na palisadę w Brunanburhu? – spytałem Merewalha, który

przytaknął.

- Na Wirhealum nie ma już dużych drzew, więc musieliśmy ścinać tutaj.
- Zawieziecie je wozem?
- Pewnie łodzią – odparł.

Pnie miały obwód dorównujący pasowi dorosłego mężczyzny, na długość dwukrotnie przekraczały jego wzrost. Wokół szczytu kopca w Brunanburhu wykopią rów i umieszczą pnie szczytami w dół. Dzięki temu drewno wytrzyma dłużej. Drobniejsze kawałki posłużą na wykonanie podestów do walki i schodów. Merewalh posępnie patrzył na drewno.

- Ona chce, żeby wszystko zostało ukończone przed adwentem.
- Nie będziecie się nudzić!

Do komnaty zaczęli się schodzić ludzie. Niebo jaśniało, piały koguty, czas wyjść na spotkanie dnia. Kilka minut później, ziewając i drapiąc się, zjawił się Osferth. Na mój widok stanął jak wryty.

- Panie!
- Dotarłeś bezpiecznie.
- Tak, panie.
- A moja córka?

– Cała i zdrowa, panie. – Osferth obejrzał mnie od stóp do głów. – Nie krzywisz się z bólu!

- Ból zniknął.

– Chwała Bogu – powiedział, po czym mnie objął. – Finanie! Sihtricu! Uhtredzie! – Nie krył radości z tego, że znów dołączył do towarzyszy wojennych, potem jego wzrok padł na Eadith i spojrzał na mnie, prosząc o wyjaśnienie.

- Panią Eadith należy traktować z należnym szacunkiem – upomniałem.
- Naturalnie, panie. – Osferth najeżył się na sugestię, że mógłby nie

okazać szacunku kobiecie. Wtedy Finan mrugnął do niego, spojrzął na dziewczynę, a potem na mnie. – Oczywiście, panie – powtórzył Osferth, tym razem nieco sztywniej.

– Co z Aethelstanem? – spytałem.

– O, jest tutaj, panie.

Ogień zapłonął na nowo, a ja zaprowadziłem swoich ludzi do ciemnego kąta komnaty, gdzie ukryliśmy się, gdy Merewalh wezwał pięciu Sasów, którzy przybyli poprzedniego dnia. Przyszli uśmiechnięci. Komnata zapełniła się ludźmi, którzy po przebudzeniu rozglądali się za ale i strawą. Większość nie miała przy sobie mieczy ani tarcz, ale tych pięciu stawilo się z mieczami u boku.

– Siadajcie! – zaprosił ich Merewalh, wskazując stół. – Jest piwo, wkrótce podadzą jedzenie.

– To są ludzie mojego brata – szepnęła do mnie Eadith.

– Właśnie wydałaś na nich wyrok śmierci – odszepnąłem.

– Wiem – odparła po chwili wahania.

– Jak się nazywają?

Eadith wymieniła ich imiona, a ja bacznie przyglądałem się całej piątce. Wszyscy byli zdenerwowani, ale oprócz jednego próbowali to ukryć. Najmłodszy, właściwie jeszcze dzieciak, sprawiał wrażenie przerażonego. Pozostali rozmawiali zbyt głośno, przekomarzali się, jeden klepnął w tyłek dziewczkę, która przyniosła ale, lecz pomimo całej tej udanej swobody widziałem, że czujnie się rozglądają. Najstarszy, Hanulf Eralson, wodził wzrokiem po komnacie i wpatrywał się w kąt, gdzie kryliśmy się w cieniu za stołami. Pewnie sądził, że nadal śpimy.

– Spodziewasz się dziś walki, Merewalhu?! – zawołał Hanulf.

– Wkrótce musi nadejść.

– Oby tak się stało, bo nigdy nie zdołają sforsować tych murów –

powiedział żarliwie Hanulf.

– Panu Uhtredowi to się udało – zauważył Merewalh.

– On zawsze ma diabelskie szczęście, a diabeł dba o swoich – stwierdził z przekąsem Hanulf. – Słyszałeś coś o nim?

– O diable?

– O Uhtredzie.

Wcześniej poinstruowałem Merewalha, jak ma odpowiedzieć na to pytanie.

– Podobno pan Uhtred umiera – odparł i się przeżegnał.

– O jednego poganina mniej – stwierdził lekceważąco Hanulf, po czym zamilkł, bo na stole pojawiły się chleb i ser. Zaczął obmacywać dziewczę, która przyniosła jedzenie, szepnął jej coś na ucho, aż spłonęła się i odsunęła.

Jego ludzie roześmiali się, ale młodzik chyba jeszcze bardziej się przeraził.

– Diabeł dba o swoich, co? – mruknął Finan.

– Sprawdźmy, czy zadba o tych pięciu – odparłem.

Odwróciłem się, bo do komnaty wszedł Aethelstan, a w ślad za nim trzech chłopców i dwoje dziewcząt. Żadne nie miało więcej niż jedenaście–dwanaście lat. Śmiali się, gonili po komnacie, potem Aethelstan dostrzegł przy ogniu dwa charty, więc przykucnął, żeby pogłaskać długie grzbiety i siwe pyski. Pozostałe dzieci go naśladowały. Ciekawe – pomyślałem – Aethelstan jest niekwestionowanym przywódcą małej grupy. Chłopak posiadał ten dar, który niewątpliwie miał mu też towarzyszyć w wieku dorosłym. Na moich oczach zwędził z paleniska dwa placki owsiane, które podzielił między siebie, psy i dwie dziewczynki.

– Czyli dzisiaj możemy ci pomóc na murach? – zwrócił się do Merewalha Hanulf.

- Niczego innego się po was nie spodziewałem – odparł Merewalh.
- Gdzie zaatakują?
- Chciałbym to wiedzieć.
- Może od strony bramy? – podsunął Hanulf.
- Pewnie tak.

Zebrani w komnacie przysłuchiwali się tej wymianie zdań. Dużo ludzi Merewalha wiedziało o mojej obecności w komnacie, lecz polecono im zachować to w tajemnicy. Większość sądziła, że Hanulf chce jedynie pomóc w obronie murów. Dla nich on i jego towarzysze byli po prostu pięcioma przybyszami z Mercji, którzy szczęśliwie zjawili się, by pomóc w obronie grodu.

- A co z bramą lądową? – zapytał Hanulf.
- Lądową?
- Tak, przez którą weszliśmy wczoraj.
- A, chodzi ci o Bramę Północną!
- Jeśli pozwolisz, może będziemy walczyć właśnie tam.

W ten sposób dowiedziałem się, że Sigtryggr nie nadciągał od morza. Nie spodziewałem się tego. Musiałby powiosłować rzeką Maerse, skręcić na południe, powiosłować Dee, by po całym dniu dotrzeć do Bramy Południowej. Zamiast tego postanowił ruszyć lądem, a bramą położoną najbliżej Brunanburha była ta od północy, ta sama, przez którą dopiero co weszliśmy.

- Mogę walczyć przy Bramie Północnej? – spytał Merewalha Aethelstan.
- Ty, królewiczu, będziesz się trzymał z dala od walki! – upomniał go surowo Merewalh.
- Pozwól chłopcu pójść z nami! – zaproponował wesoło Hanulf.
- Zostaniesz w kościele i będziesz się modlił o nasze powodzenie –

nakazał Aethelstanowi Merewalh.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, w komnacie zrobiło się jasno.

– Już czas – zwróciłem się do Finana. – Weźmy tych drani.

Dobyłem Oddech Węża, ale nadal nie miałem zaufania do własnych sił, pozwoliłem więc, by Finan i mój syn powiedli tuzin naszych w stronę stołu. Razem z Eadith podążyliśmy za nimi.

Hanulf wyczuł, że się zbliżamy. Trudno, żeby było inaczej, ponieważ wszyscy ludzie w komnacie zastygli i przyciszyli głosy. Hanulf obrócił się na ławie, ujrzał zbliżające się miecze, zobaczył też Eadith. Oszołomiony wybałuszył na nią oczy, próbował wstać, ale gdy wyciągał miecz z pochwy, utknął za ławą.

– Naprawdę chcecie z nami walczyć? – zapytałem.

Z dziesięciu ludzi Merewalha również dobyło mieczy. Większość nadal nie miała pewności, co się właściwie dzieje, ale szli w ślady Finana, co oznaczało, że Hanulf został otoczony. Aethelstan wstał i wpatrywał się we mnie zdziwiony.

Hanulf kopnął ławę na podłogę i spojrzał w stronę drzwi. Tamtędy nie mógł uciec. Przez chwilę sądziłem, że rzuci się na nas, by polec w nierównej walce, ale on upuścił miecz, który z brzękiem upadł na podłogę. Hanulf Eralson milczał.

– Rzućcie miecze – rozkazałem. – A ty chodź tutaj – zwróciłem się do Aethelstana.

Pozostało tylko ich przesłuchać, a odpowiedzi posypały się szybko. Czyżby liczyli na to, że ocaleją, jeśli wyznają prawdę? Tak, byli ludźmi Eardwulfa – razem z nim uciekli z Gleawecestre, popłynęli Kaznodzieją na zachód, aż natknęli się na flotę Sigtryggra. Teraz przybyli do Ceasteru, aby otworzyć Bramę Północną jego ludziom.

– To się stanie dzisiaj? – zapytałem.

– Tak, panie.
– Jaki da wam sygnał?
– Sygnał, panie?
– Żebyście otworzyli bramę.
– Opuści proporzec, panie.
– Wtedy zabijecie każdego, kto się nawinie, i otworzycie bramę naszym wrogom? – pytałem.

Hanulf nie miał na to odpowiedzi, ale młodzik zaczął błagać.

– Panie! – wykrztusił.
– Milczeć! – warknąłem.
– Mój syn nie... – zaczął inny, ale zamilkł, gdy spiorunowałem go wzrokiem.

Młodzik płakał. Nie mógł mieć więcej niż czternaście, może piętnaście lat i wiedział, jaki ponury los go czeka, ale ja nie byłem w nastroju do wysłuchiwania błagań o litość. Tych pięciu na nią nie zasłużyło. Gdyby Hanulf postawił na swoim, Sigtryggr dostałby się do Ceasteru, a niemal wszyscy moi ludzie i wszyscy ludzie Merewalha zostaliby wycięci w pień.

– Królewiczu Aethelstanie! – zawołałem. – Pozwól tutaj!

Aethelstan przebiegł przez komnatę i stanął przede mną.

– Panie?

– Między innymi ci ludzie zostali wysłani do Alencestre, gdzie mieli cię pojmać, Wasza Wysokość – powiedziałem. – Teraz przybyli, aby wydać Ceaster w ręce naszych wrogów. Sam zdecydujesz o ich karze. Osfercie? Przynieś bratankowi krzesło. – Osferth przyniósł krzesło. – Nie to – zaoponowałem i wskazałem największe krzesło w komnacie, przypuszczalnie to, na którym siadywała Aethelflaed, gdy odwiedzała gród. Miało podłokietniki, wysokie oparcie i najbardziej ze wszystkich krzesła

w pomieszczeniu przypominało tron. Kazałem Aethelstanowi na nim usiąść. – Może pewnego dnia zostaniesz królem tej krainy – oświadczyłem. – Musisz się wprawiać zarówno w królowaniu, jak i we władaniu mieczem. Teraz wymierzysz sprawiedliwość.

Aethelstan spojrział na mnie. Był jeszcze chłopcem.

– Sprawiedliwość – powtórzył nerwowo.

– Sprawiedliwość – powiedziałem, patrząc na pięciu zdrajców. – Dobre uczynki nagradzasz srebrem lub złotem, występki zaś karzesz. Wymierz sprawiedliwość. – Chłopiec przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem, jakby starał się ustalić, czy mówię poważnie. – Oni czekają – ponagliłem szorstko. – Wszyscy czekamy!

Aethelstan spojrział na pięciu ludzi i zaczerpnął tchu.

– Jesteście chrześcijanami? – zapytał w końcu.

– Głośniej – poleciłem.

– Jesteście chrześcijanami? – powtórzył wciąż jeszcze wysokim, chłopięcym głosem.

Hanulf spojrział na mnie, jakby prosił, abym oszczędził mu tych bzdur.

– Odpowiedz królewiczowi – nakazałem.

– Jesteśmy chrześcijanami – rzekł krnąbrnym tonem Hanulf.

– A mimo to chcieliście pomóc poganom zająć to miasto? – spytał Aethelstan.

– Wypełnialiśmy rozkazy naszego pana – odparł Hanulf.

– Wasz pan jest banitą – oświadczył Aethelstan, na co Hanulf nie miał już nic do powiedzenia.

– Wyrok, Wasza Wysokość – naciskałem.

Aethelstan nerwowo zwilżył wargi.

– Muszą umrzeć – oznajmił.

– Głośniej!

– Muszą umrzeć!

– Jeszcze głośniej – powtórzyłem. – Nie zwracaj się do mnie, ale do nich.

Popatrz im w oczy i wygłoś wyrok.

Chłopak kurczowo zaciskał dłonie na krześle, knykcie mu zbieleły.

– Musicie umrzeć, ponieważ zamierzaliście zdradzić swój kraj i swojego Boga – zwrócił się do pięciu więźniów.

– My... – zaczął Hanulf.

– Cisza! – warknąłem, po czym zwróciłem się do Aethelstana: – Powoli czy szybko, Wasza Wysokość? W jaki sposób?

– Sposób?

– Możemy ich powiesić szybko lub wolno, panie – wyjaśniłem. – Możemy też zrobić to mieczem.

Chłopak przygryzł wargę i zwrócił się do pięciu oskarżonych.

– Zginiecie od miecza – oświadczył zdecydowanie.

Czterej starsi więźniowie usiłowali chwycić miecze, ale byli stanowczo zbyt wolni. Całą piątkę wywleczono na szary świt, a ludzie Merewalha zdarli z nich kolczugi i ubrania, zostawiając ich w brudnych koszulach sięgających kolan.

– Dajcie nam kapłana – błagał Hanulf. – Przynajmniej kapłana.

Duchowny Merewalha imieniem Wissian zaczął się modlić ze skazańcami.

– Niech to nie trwa zbyt długo, ojciec – ostrzegłem. – Mamy robotę do wykonania.

Aethelstan przyglądał się skazańcom, którym kazano klęknąć.

– Czy dokonałem właściwego wyboru, panie? – zwrócił się do mnie.

– Kiedy zaczniesz ćwiczyć z mieczem, czego uczysz się na początku? –

spytałem.

– Parowania ciosów.

– Parowania – zgodziłem się. – Czego jeszcze?

– Uczę się parowania, zamachów i cięć.

– Zaczynasz od łatwych rzeczy – powiedziałem. – Podobnie jest ze sprawiedliwością. To była prosta decyzja, dlatego pozwoliłem ci ją podjąć.

Aethelstan spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

– Proste? Odbierać człowiekowi życie? Odebrać życie pięciu ludziom?

– To są zdrajcy i banici. Zginęliby bez względu na twoją decyzję. – Patrzyłem, jak kapłan dotyka czół skazańców. – Ojczy Wissantie! – zawołałem. – Diabeł nie ma ochoty czekać, kiedy ty mitrężysz. Pospiesz się!

– Zawsze powtarzasz, że jednemu należy darować życie – odezwał się cicho Aethelstan.

– Tak mówię?

– Owszem, panie – powiedział, pewnym krokiem podszedł do klęczących i wskazał najmłodszego.

– Jak ci na imię?

– Cengar, panie.

– Chodź – rzekł Aethelstan, a gdy młodzik się zawahał, pociągnął go za ramię. – Powiedziałem: chodź. – Przyprowadził Cengara. – Uklęknij – rozkazał, po czym zwrócił się do mnie: – Czy mogę pożyczyć twój miecz, panie Uhtredzie?

Podąłem mu Oddech Węża i patrzyłem, jak zaciska drobne dłonie na rękojeści.

– Teraz złóż mi przysięgę wierności – powiedział do Cengara.

– Jesteś skończonym idiotą, Wasza Wysokość – stwierdziłem.

– Przysięgnij – powiedział do Cengara Aethelstan.

Chłopak ujął dłonie młodego królewicza i ślubował mu wierność. Wypowiadając słowa przysięgi, podniósł wzrok na Aethelstana i zobaczyłem, że po twarzy płyną mu łzy.

– Masz tyle rozumu, co wykastrowana ropucha – powiedziałem do Aethelstana.

– Finanie! – zawołał Aethelstan, ignorując moje docinki.

– Wasza Wysokość?

– Daj Cengarowi jego ubranie i broń.

Irlandczyk spojrzał na mnie.

– Rób, co ci mówi ten półgłówek – nakazałem, wzruszając ramionami.

Zabiliśmy pozostałych czterech. Wszystko odbyło się szybko, kazałem Aethelstanowi patrzeć. Kusiło mnie, by pozwolić mu zabić Hanulfa, ale się spieszyłem i nie chciałem marnować czasu na przyglądanie się, jak chłopak stara się zadźgać człowieka, dlatego Hanulfa zabił mój syn, spryskując krwią rzymską ulicę. Błady Aethelstan przyglądał się rzezi, Cengar płakał, może dlatego, że musiał oglądać śmierć ojca. Odciągnąłem chłopaka na bok.

– Posłuchaj, jeśli złamiesz tę przysięgę, ja złamię ciebie. Łasice będą gryzły twoje jaja. Odetnę ci przyrodzenie plasterek po plasterku. Oślepię cię, wyrwę ci język, zedrę ci skórę z pleców, połamię ci przeguby i kostki. Potem daruję ci życie. Rozumiesz, chłopcze?

Zbyt przerażony, by się odezwać, skinął głową.

– To przestań się mazać i bierz się do roboty.

Zakrzętnęliśmy się chwacko.

Nie widziałem, jak mój ojciec umiera, choć znajdowałem się niedaleko. Gdy miałem mniej więcej tyle lat co Aethelstan, Duńczycy najechali na Northumbrię i zajęli główne miasto Eoferwic. Mój ojciec wziął swoich ludzi

i dołączył do armii, która usiłowała odbić ten gród. Sprawa wydawała się prosta, ponieważ Duńczycy pozwolili, by część palisady Eoferwicu runęła, otwierając drogę do miasta. Do dziś pamiętam, jak szydziliśmy z Duńczyków za tę głupią niedbałość.

Na moich oczach nasza armia utworzyła trzy kliny. Ojciec Beocca, który miał się mną opiekować i pilnować, żebym nie wpadł w kłopoty, powiedział, że klin nazywa się *porcinum capet*, świński łeb, i z jakiegoś powodu na zawsze zapamiętałem te łacińskie słowa. Podekscytowany Beocca był pewien, że wkrótce zobaczy chrześcijańskie zwycięstwo nad pogańskimi najeźdźcami. Podzielałem jego podniecenie. Pamiętam łopoczące chorągwie i krzyki, gdy nasi wojownicy z Northumbrii przeleźli przez niski wał, resztki palisady i wdarli się do miasta.

Gdzie zginęli.

Duńczycy nie byli ani głupi, ani niedbali. Wręcz chcieli, żeby nasi ludzie weszli do miasta. Kiedy to zrobili, przekonali się, że Duńczycy wzniesli nowy mur, odgradzający plac rzezi, i tak nasze wojsko znalazło się w pułapce. Eoferwic przemianowano na Jorvik, Duńczycy objęli panowanie nad Northumbrią – z wyjątkiem twierdzy Bebbanburg, zbyt mocnej nawet dla duńskich włóczyków.

Dzięki Aethelflaed w Ceasterze mieliśmy wiele tuzinów krzepkich pni, czekających na transport do Brunanburha, gdzie mieli z nich zbudować palisadę.

My wykorzystaliśmy drzewa do budowy ściany.

Kiedy człowiek wejdzie do Ceasteru przez Bramę Północną, znajdzie się na długiej ulicy biegnącej prosto na południe. Po obu stronach stoją rzymskie domy z kamienia i cegły. Po prawej stronie ulicy znajduje się długi budynek, który zawsze uważałem za koszary. Miał okna, lecz tylko jedne drzwi, a wszystkie te otwory dało się łatwo zasłonić. Domy po lewej stronie były

przecinane zaułkami, które zabarykadowaliśmy pniami, a drzwi i okna domów zabiliśmy gwoździami. W wąskich zaułkach pnie ułożyliśmy wzdłuż, dzięki czemu jakieś pięć stóp nad ulicą powstała platforma do walki. Samą długą ulicę również zabarykadowaliśmy wielką stertą drewna. Ludzie Sigtryggra mogli wejść do miasta, ale znajdą się na ulicy prowadzącej donikąd, zabarykadowanej drewnem, w pułapce z drewna i kamieni, gdzie czekała ich śmierć od ognia i mieczy.

Ogień. Najślabszym elementem naszej pułapki był długi budynek po zachodniej stronie ulicy. Nie mieliśmy czasu na zburzenie dachu i zbudowanie nad ścianą platformy do walki, a uwięzieni Norwegowie bez trudu mogli rozłupać drzwi i okna toporami. Dlatego poleciłem ludziom wypełnić długie pomieszczenie chrustem i słomą, dołożyć drewno i wszystko, co się pali. Jeśli wojownicy Sigtryggra włamią się do koszar, powita ich płonące piekło.

Na platformie do walki nad bramą ułożyliśmy sterty drewna. Kazałem rozebrać dwa rzymskie domy, a ludzie zawlekli kawały muru na barykady i do bramy. Zgromadziliśmy oszczepy, by ciskać nimi w ludzi Sigtryggra. Słońce wędrowało coraz wyżej, a my pracowaliśmy, dodając do pułapki drewno, kamienie, stal i ogień. W końcu zawarliśmy bramę, rozstawiliśmy ludzi na murach, wznieśliśmy jasne proporce i czekaliśmy.

Witajcie w Ceasterze.

– Aethelflaed wiedziała, że nie przybędziesz od razu tutaj – powiedziała moja córka. – Domyśliła się, że wyposażasz łódź.

– A mimo to mnie nie powstrzymała?

– Mam powtórzyć, co powiedziała? – spytała z uśmiechem Stiorra.

– Lepiej to zrób.

– „Twój ojciec jest najlepszy, kiedy jest nieposłuszny”.

Prychnąłem. Razem ze Stiorrą staliśmy na platformie nad Bramą Północną, skąd obserwowałem odległy las, z którego, jak się spodziewałem, miał się wyłonić Sigtryggr. Przez cały ranek świeciło słońce, ale teraz z północy i zachodu napłynęły chmury. Daleko na północy, nad dziką Kumbrią, deszcz padał już cienistymi woalami, ale Ceaster pozostawał suchy.

– Więcej kamieni? – zapytał Gerbruht.

Na wysokiej platformie leżało już z dwieście kawałków muru, żaden nie mniejszy od ludzkiej głowy.

– Więcej kamieni – potwierdziłem i odczekałem, aż grubas odejdzie. – Na co miałbym się tu przydać, gdybym nie mógł walczyć? – zwróciłem się do Stiorry.

– Myślę, że pani Aethelflaed to wiedziała.

– Cwana z niej suka.

– Ojczy!

– Z ciebie zresztą też – dodałem.

– Ona uważa, że najwyższy czas, bym wyszła za mąż – powiedziała Stiorra.

Nieco się obruszyłem. Małżeństwo mojej córki nie było sprawą Aethelflaed, chociaż miała rację, sądząc, że czas był już najwyższy.

– Czy ma na myśli konkretną ofiarę? – spytałem.

– Sasa zachodniego.

– Sasa zachodniego! Co? Dowolnego?

– Aethelflaed mówi, że pan Aethelhelm ma trzech synów.

Głośno się roześmiałem.

– Masz dla niego zbyt słabe atuty. Ani ziemi, ani majątku. Mógłby cię wydać za swojego zarządcę, ale nie za jednego z synów.

– Pani Aethelflaed mówi, że każdy syn saskiego ealdormana stanowiłby

dobrą partię.

– Nie dziwię się.

– Dlaczego?

– Aethelflaed chce mnie uwięzić do królestwa swojego brata – wyjaśniłem. – Obawia się, że po jej śmierci ponownie dołączę do pogan, uważa więc, że twoje małżeństwo z Sasem zachodnim mogłoby pomóc.

– A mogłoby? – spytała Stiorra.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że walczę z ojcem twoich dzieci. W dodatku gdybyś go lubiła. Zatem owszem, takie małżeństwo mogłoby pomóc.

– Czy mam wybór?

– Oczywiście, że nie.

Stiorra się skrzywiła.

– Czyli ty i pani Aethelflaed wybieriecie za mnie?

W oddali nad lasem ujrzałem przelatujące ptaki. Coś je zaniepokoiło.

– To nie jest sprawa Aethelflaed – powiedziałem. – Wybiorę ci męża.

Stiorra również zauważyła ptaki, które poderwały się z drzew.

– Czy matka miała wybór?

– Żadnego. Zobaczyła mnie i jakby ją piorun strzelił. – Mówiłem lekkim tonem, ale to była prawda, w każdym razie dla mnie. – Kiedy ja ją zobaczyłem, też uderzył mnie piorun.

– Ale wydasz mnie za mąż dla korzyści? Dla ziemi i pieniędzy?

– A na co jeszcze możesz się przydać? – spytałem surowo. Córka spojrzała na mnie, próbowałem zachować powagę, ale mnie rozśmieszyła. – Nie oddam cię złemu człowiekowi – obiecałem. – Dostaniesz sowity posag, ale wiesz dobrze, że ślub bierze się dla korzyści. – Wpatrywałem się w daleki las, nie widziałem nic niepokojącego, ale byłem pewien, że kryją się tam

Norwegowie.

– Ty nie ożeniłeś się dla korzyści – stwierdziła oskarżycielskim tonem Stiorra.

– Za to ty to zrobisz – odparłem. – Dla mojej korzyści. – Odwróciłem się, gdy Gerbruht przytaszczył kolejny kawał muru na platformę. – W mieście muszą być nocniki – zwróciłem się do Fryza.

– Garnki na gówno, panie?

– Przynieś ich jak najwięcej.

– Tak, panie – odparł z uśmiechem.

Promień słońca padł na rzymskie cmentarzysko, odbijając się od białych kamieni.

– Czy jest mężczyzna, którego chciałabyś poślubić? – spytałem Stiorę.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie ma.

– Ale myślisz o małżeństwie?

– Chciałabym cię uczynić dziadkiem.

– Może pošlę cię do klasztoru – warknąłem.

– Nie zrobisz tego.

Wtedy przypomniałem sobie, co dawno temu wywróżyła Gisela z patyków runicznych. Jeden syn złamie mi serce, z drugiego będę dumny, a Stiorra zostanie matką królów. Na razie patyczki runiczne mówiły prawdę. Jeden z moich synów został kapłanem, drugi wyrastał na wojownika, pozostawało jedynie ustalić los Stiorry. Patyczki przywiodły mi na myśl Aelfadell, staruchę wieszczącą przyszłość zmarłych królów, pomyślałem o jej wnuczce, niemej dziewczynie, która oczarowywała mężczyzn urodą. Babka nazywała ją Erce, ale później, gdy wyszła za Kanuta Długiego Miecza, otrzymała imię Frigg. Kanut nie poślubił jej dla korzyści, tylko dlatego, że była śliczna. Jeszcze przed Teotanheale pojaliśmy ją razem z synem, ale

potem byłem tak obolały, że całkiem o niej zapomniałem.

- Ciekawe, co się stało z Frigg – powiedziałem do córki.
- Nie wiesz? – spytała zdziwiona.
- A ty wiesz? – Zdziwienie Stiorry mnie zdziwiło.
- Twój syn ją utrzymuje – powiedziała z nieznacznym uśmiechem.
- Uhtred ją utrzymuje? – Otworzyłem szeroko oczy ze zdumienia.
- Na farmie koło Cirrenceastre. Tej, którą mu dałeś.

Nie odrywałem wzroku od córki. Sądziłem, że mój syn zapalał podziwu godnym zamięłowaniem do uprawy ziemi, sam go do tego zachęcałem. Teraz pojąłem, skąd ten entuzjazm dla gospodarstwa.

- Czemu mi nie powiedział?
- Pewnie nie chce, żebyś ją odwiedzał, ojczy. – Stiorra uśmiechnęła się słodko. – Lubię ją.
- Chyba się z nią nie ożenił? – zaniepokoiłem się.
- Nie, ojczy, choć już najwyższy czas. Uhtred jest starszy ode mnie. – Stiorra cofnęła się, krzywiąc twarz, ponieważ Gerbruht przyniósł wielki, metalowy nocnik pełen gówna i szczyń. – Nie wylej tego! – zawołała.
- To tylko gówno z wartowni, pani – powiedział Gerbruht. – Jeszcze nigdy nikomu nie zrobiło krzywdy. Po prostu ździebko cuchnie. Gdzie mam to postawić, panie?
- Jest tego więcej?
- Całe mnóstwo, panie. Pełne wiadra delicji.
- Postaw je w miejscu, skąd będzie można to wylać na Norwegów – poleciłem.

Witajcie w Ceasterze.

Sigtryggr przybył w południe. Słońce znowu skryło się za chmurami, ale

klingi rozbłysły. Z Irlandii przywiózł tylko tuzin koni, pewnie dlatego, że z wierzchowcami trudno się obchodzi na morzu, toteż większość jego wojska stanowiła piechota. Domyślałem się, że sam Sigtryggr galopuje w niewielkiej grupie pod białą flagą z czerwonym toporem.

Przynajmniej w jednej kwestii się pomyliłem. Sigtryggr przywiózł drabiny. Wydały mi się bardzo nieporadne, aż zobaczyłem, że są to maszty okrętów, do których przybito lub przywiązano poprzeczki. Dwanaście drabin, wystarczająco długich, by sięgnąć za naszą fosę i oprzeć się o mury.

Armia przemaszerowała po grobach rzymskiego cmentarzyska i zatrzymała się w odległości stu kroków od murów. Norwegowie wyzywali nas, ale nie słyszałem obelg, jedynie ryk męskich gardeł i łoskot mieczy uderzających o tarcze. Drogą nadjechali jeźdźcy bez tarcz. Jeden z nich trzymał liściastą gałąź na znak, że chcieli rozmawiać. Wypatrywałem Eardwulfa, ale go nie widziałem. Konni stanęli, wszyscy prócz jednego, który podjechał pod bramę na rośłym rumaku.

– Porozmawiaj z nim – zwróciłem się do Merewalha. – Nie powinien wiedzieć, że tu jestem. – Cofnąłem się i opuściłem przyłbicę.

Moja córka została obok Merewalha i spojrzała w dół na samotnego jeźdźca.

– To musi być Sigtryggr – powiedziała, dołączając do mnie.

Tak też było. Po raz pierwszy zobaczyłem Sigtryggra Ivarsona. Był młodym, bardzo młodym człowiekiem. Chyba nie miał jeszcze dwudziestu lat, a dowodził armią. Nie miał hełmu, długie jasne włosy opadały mu na plecy. Miał gładko ogoloną, pociągłą twarz o ostrych rysach łagodzonych uśmiechem. Sprawiał wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie i jak podejrzewałem, bardzo próżnego. Jego kolczuga lśniła, szyję owijał trzykrotnie złoty łańcuch, na rękach błyszczały bransolety, pochwa i uzda były szamerowane srebrem. Jego koń miał wzbudzać nie mniejszy podziw

niż pan. Przypomniały mi się bojaźliwe słowa Berga, że Sigtryggr jest bogiem, który zstąpił na ziemię. Jego siwek, którego Sigtryggr zatrzymał zaledwie dziesięć kroków od fosy, tańczył na drodze pełen wigoru.

– Nazywam się Sigtryggr Ivarson. Życzę wam wszystkim dobrego dnia.

Merewalh nie odpowiedział. Jeden z jego ludzi tłumaczył cicho.

– Milczycie – stwierdził Sigtryggr. – Czy to ze strachu? Macie rację, że się nas boicie, ponieważ was wyrzniemy. Zabierzemy wasze kobiety, zniewolimy wasze dzieci. Chyba że wycofacie się z miasta, rzecz jasna.

– Nic nie mów – mruknąłem do Merewalha.

– Jeżeli odejdziecie, nie zamierzam was ścigać. Charty nie ścigają myszy polnych. – Sigtryggr dotknął piętami konia i zbliżył się kilka kroków. Zaglądnął do fosy, obejrzał zastrzone pale tuż nad wodą, potem znów spojrział na nas. Teraz, gdy stał bliżej, zrozumiałem bojaźliwy podziw Berga. Sigtryggr był niewątpliwie przystojny: złotowłosa, błękitnooki i najwyraźniej nieustraszony. Nasze milczenie chyba go bawiło. – Macie w mieście psy i świnie?

– Daj mu mówić – mruknąłem.

– Musicie mieć jedno i drugie – ciągnął, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Pytam jedynie z powodów praktycznych. Pochowanie waszych ciał zajęłoby mnóstwo czasu, a palenie zwłok ciągnęłoby się całymi dniami, w dodatku palące się trupy okropnie cuchną. Za to psy i świnie szybko zeżrą wasze truchła. Chyba że teraz odejdziecie. – Zamilkł, spoglądając na Merewalha. – Wolisz milczeć? Wiedz zatem, że moi bogowie przepowiedzieli mi dziś zwycięstwo. Patyczki runiczne przemówiły, a one nie kłamią! Ja zwyciężę, wy poniesiecie klęskę, ale pocieszcie się, że wasze psy i świnie nie będą głodować. – Zawrócił konia. – Żegnam! – zawołał i odjechał.

– Arogancki drań – mruknął Merewalh.

Wcześniej zamierzaliśmy przypuścić atak przez Bramę Północną, ale gdyby Sigtryggr zebrał ludzi i przygotował się na stawianie oporu, nawet gdyby Hanulf i jego towarzysze przeżyli i zdradzili nas, otwierając bramy, byłoby nas dość, by wszcząć krwawą walkę w sklepieniu wejściowym. Dlatego Sigtryggr postanowił nas przechytrzyć. Rozdzielił siły, połowę posyłając na północno-wschodni kraniec miasta, drugą zaś na północny zachód. Ten pierwszy bastion stanowił najsłabsze ogniwo, ponieważ wczesną wiosną został miejscami uszkodzony przez powódzie, jednak nawet częściowo zawalony był nie lada przeszkodą. Mury wzmocniono drewnem, fosa była głęboka i szeroka. Podobnie jak na wałach północno-wschodnich mieliśmy tam dobrych ludzi, choć większość z nich ukryła się w miejscu, gdzie urządziliśmy zasadzkę. Przy Bramie Północnej Sigtryggr zobaczy tylko z tuzin ludzi na wałach.

Sigtryggr trzymał na drodze niewiele ponad stu ludzi. Siedzieli na trakcie lub na polach po obu stronach. W zamierzeniu mieliśmy pewnie uważać, że są to rezerwy, ale oczywiście czekali na otwarcie bramy. Inni Norwegowie wałęsali się pod północnym murem, rzucali włóczniami, wyzywali się dla zabawy, wszystko po to, by nasi obrońcy wyglądali na zewnątrz, zanim pięciu zdrajców otworzy bramę. Sigtryggr, wciąż na koniu, znajdował się w odległości sześćdziesięciu–siedemdziesięciu kroków od muru w otoczeniu jeźdźców i piechoty. Patrzył w kierunku północno-zachodniego bastionu, udając, że brama nic go nie obchodzi. Dobył miecza, na moment go uniósł, po czym opuścił, dając sygnał do natarcia na tamtą część miasta. Norwegowie wznieśli okrzyki wojenne, ruszyli przez fosę i oparli wielkie, nieporadne drabiny o blanki. Wyciągnęli topory i włócznie, ogłuszająco łomotali mieczami o tarcze, ale żaden nawet nie próbował stanąć na byle jakich drabinach. Chorąży Sigtryggra nagle pomachał wielką flagą, po czym uroczystym gestem opuścił ją, aż czerwony topór znalazł się na drodze.

– Teraz! – zawołałem.

Ludzie czekający pod sklepieniem unieśli ciężką bramę.

Norwegowie wtargnęli do miasta. Poruszali się tak szybko, że moi czterej ludzie, którzy odryglowali i podnieśli bramę, o mały włos nie wpadli pod kopyta koni pierwszych napastników. Ci jeźdźcy uważali się pewnie za szczęściarzy, ponieważ z bramy nie posypały się na nich włócznie. Nie chciałem wstrzymywać natarcia, pragnąłem, by na zabarykadowanej ulicy znalazło się jak najwięcej Norwegów, toteż konie galopowały bez przeszkód, kopyta stukały głośno na starych kamieniach, za nimi następowała piechota. Ludzie udający atak na narożny bastion zawrócili i runęli przez otwartą bramę.

Sigtryggr znalazł się w mieście i przez krótką chwilę musiał uważać, że odniósł świetne zwycięstwo, potem jednak ujrzał przed sobą wysoką barykadę, zobaczył ludzi czekających po wschodniej stronie ulicy i szybko zawrócił konia, wiedząc, że jego atak jest skazany na klęskę, a nacierający za nim zderzyli się z jego rumakiem.

– Teraz! – krzyknąłem. – Wybić ich!

Poleciały pierwsze włócznie.

Konie dobiegły prawie do wysokiej barykady przecinającej ulicę i nie miały szans. Rżały, padając, wydawały przeraźliwe dźwięki, gdy z trzech stron nadleciały włócznie i topory. Krew zbryzgała kamienie, kopyta wierzgały, jeźdźcy próbowali się wyswobodzić, a od tyłu wciąż napierali na nich Norwegowie, nieświadomi pułapki.

Oto jak zginął mój ojciec – pomyślałem. Tak właśnie padła Northumbria. W ten sposób Duńczycy rozpoczęli podbój saskiej Brytanii, który niemal się powiodł. Niczym powódź rozlali się po południowej części kraju, ich zwycięstwa sprowadziły Norwegów, a teraz musieliśmy odbijać hrabstwo po hrabstwie, wioskę po wiosce, bo odbierali nam naszą ziemię od południa po

północ.

– Panie? – zapytał gorliwie Gerbruht.

– Tak – odparłem.

Gerbruht z towarzyszami zrzucili grube pnie, by zatarasować bramę, po czym radośnie wylali nocniki na kotłujących się Norwegów. Pod bramą tłoczyli się kolejni, nie pojmując, co ich zatrzymuje, nie zdając sobie sprawy z piekła, jakie im zgotowaliśmy, a czterej moi ludzie zaczęli ciskać wielkie kamienie, z których każdy mógł roztrzaskać czaszkę w hełmie.

To była żalosna, jednostronna rzeź. Kilku ludzi Sigtryggra usiłowało się wdrapać na barykady, ale nasi stali nad nimi, a wspinający się człowiek nie może się bronić przed ciosami włóczni, nie mówiąc już o toporze. Obserwowałem wszystko z bramy, chętnie pozostawiając walkę młodym. Norwegowie próbowali oddawać ciosy, ale tylko powiększali liczbę zabitych na barykadach. Tuzin wojowników usiłował wedrzeć się do długiego budynku, licząc na ucieczkę tylnymi drzwiami. Drzwi od ulicy wyłamali toporami, ale Osferth rozkazał cisnąć do środka płonące pochodnie, więc gęsty dym oraz nagły, ognisty podmuch odepchnął napastników od wejścia.

Niektórzy ludzie Sigtryggra chcieli uciec przez otwartą bramę, ale inni nadal starali się wejść, tymczasem Gerbruht z czterema towarzyszami ciskali wielkie kamienie. Jedni krzyczeli, żeby oczyścić bramę, inni próbowali uciekać przed kawałami muru, a wtedy Finan zaatakował od strony dużej ulicznej barykady.

Wcześniej nie pozwolił mi walczyć.

– Jeszcze nie masz dość sił, panie – powiedział stanowczo.

– On ma rację – poparł Irlandczyka mój syn.

Z platformy nad bramą patrzyłem więc, jak Finan i mój syn prowadzą pięćdziesięciu ludzi przez wysoką barykadę. Zeskoczyli na ulicę, w miejsce oczyszczone włóczniami i kamieniami, gdzie leżały ciała wrogów i koni,

i tam utworzyli mur tarcz, a rozwścieczeni, ranni, przestraszeni, zdezorientowani Norwegowie rzucili się na nich jak szaleńcy. Jednak wściekli Norwegowie nie utworzyli muru – po prostu zobaczyli nieprzyjaciół i na nich ruszyli, natykając się na zwarte tarcze i opuszczone na sztorc włócznie Finana.

– Naprzód! – zawołał Irlandczyk. – Powoli i spokojnie! Naprzód!

Tarcze łomotały o siebie, ale z za załomu ulicy na spanikowanych Norwegów wciąż leciały pociski, a gdy tylko ludzie Finana postąpili kilka kroków do przodu, z barykady zeszli następni. Ze szczytu bramy widziałem jedynie szereg połączonych tarcz, nad którymi górowały hełmy, długie włócznie wysuwały się w przód, a cała tyraliera napierała powoli, bardzo powoli. Nie mogli posuwać się inaczej. Na drodze leżało zbyt wielu zabitych lub konających, umierające konie wierzgały na ulicy. By utrzymać zwarty mur tarcz, ludzie Finana musieli omijać te przeszkody. Idąc, skandowali:

– Zabić, zabić, zabić, zabić, zabić!

Ilekcroć Norwegowie usiłowali zewrzeć szyk, od wschodniej strony ulicy leciał na nich kamień. Żar z płonącego domu odpychał wrogów na zachód, a Finan i mój syn napierali z południa.

Wtedy ujrzałem Sigtryggra. Sądziłem, że zginął na początku starcia albo przynajmniej został ranny, gdy jego koń runął, ale oto stał, nadal bez hełmu, z długimi włosami poplamionymi krwią. W samym środku tłumu nieprzyjaciół wołał do swoich, by szli za nim. Innym kazał uprzątnąć bramę. Wiedział, że mur tarcz Finana zamieni walkę w rzeź, dlatego pobiegł – w pierwszej chwili myślałem, że do bramy, lecz w ostatnim momencie skręcił i dał susa na barykadę blokującą wąski zaułek, który biegł od północnego muru do najbliższego domu.

Sigtryggr skakał jak jeleń. Co prawda, stracił tarczę, wciąż jednak miał na sobie kolczugę i skórzany kaftan. Tak nieoczekiwanie znalazł się na szczycie

barykady, że trzech broniący jej ludzie dali się zaskoczyć, Sigtryggr poderżnął jednemu gardło i z impetem wpadł na drugiego, tak że ten runął. W ślad za swoim panem podążyli inni Norwegowie. Ujrzałem, jak trzeci obrońca zamierza się na Sigtryggra mieczem, ale kolczuga zatrzymała cios i mój człowiek krzyknął, trafiony norweskim toporem. Na barykadzie znalazło się już pół tuzina Norwegów, Gerbruht z towarzyszami miotali kamienie, by powstrzymać innych, ale Sigtryggr zeskoczył z pni na schody wiodące na mury. Uśmiechnięty od ucha do ucha, wyraźnie świetnie się bawił. Jego ludzi miażdżono, zabijano, palono, bito, on jednak był wojownikiem w wirze bitewnym, oczy iskrzyły się czystą radością walki. Odwrócił się i zobaczył nas u szczytu długich schodów.

Zobaczył mnie.

Zobaczył innego pana wojny. Człowieka, który wzbogacił się w bitwie: w pysznym hełmie, lśniącej kolczudze, z licznymi bransoletami na rękach, jakie zdobywa się po zwycięstwie, człowieka z twarzą ukrytą za srebrną przyłbicą, ze złotym łańcuchem na szyi, człowieka, który niewątpliwie zaplanował tę zasadzkę. Sigtryggr zrozumiał, że z całej tej klęski może wynieść jeden triumf, więc wbiegł po stopniach, nie przestając się uśmiechać. Gerbruht nie stracił rezonu i cisnął kamieniem, ale Norweg był tak zwinny, że niemal tanecznym krokiem uskoczył przed pociskiem. Był młodym wojownikiem zakochanym w wojnie.

– Kim jesteś?! – zawołał, wspinając się na najwyższe stopnie.

– Jestem Uhtred z Bebbanburga – odparłem.

Sigtryggr krzyknął z radości. Sława będzie jego.

Ruszył, żeby mnie zabić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zazналиśmy pokoju. Przychodzą czasy, kiedy zasiewamy pola i wiemy, że dożyjemy zbiorów, czasy, gdy nasze dzieci dowiadują się o wojnie tylko z pieśni poetów. To są rzadkie czasy, a mimo to próbowałem wyjaśnić wnukom, czym jest wojna. Robię to, co do mnie należy. Mówię im, że wojna jest zła, rodzi smutek i żal, ale wnuki mi nie wierzą. Mówię im, żeby poszły do wioski i obejrzały sobie kaleki, żeby stanęły nad grobami i posłuchały łkania wdów, ale wnuki nie wierzą. Słyszą poetów, słyszą rytmiczne pieśni, które przyspieszają jak serce podczas bitwy, słyszą pieśni o bohaterach, o mężczyznach i kobietach, którzy ruszali z mieczem na wroga, kiedy chciał nas zabić i zniewolić, słyszą o wojennej chwale i na podwórkach bawią się w wojnę, uderzają drewnianymi mieczami w wiklinowe tarcze i nie wierzą, że wojna jest rzeczą odrażającą.

Może mają rację. Są kapłani, którzy pomstują na wojnę, ale ci sami chyłkiem chowają się za naszymi tarczami, gdy tylko nieprzyjaciel zagraża, a tych ostatnich nigdy nie brakuje. Okręty ze smokami na dziobach nadal przybijają do naszych brzegów, Szkoci posyłają swoje oddziały na południe, a Walińczycy niczego nie kochają bardziej niż martwego Sasa. Gdybyśmy słuchali kapłanów, gdybyśmy przekuli miecze na lemieszce, zginęlibyśmy albo dostalibyśmy się do niewoli, dlatego dzieci muszą się uczyć władania mieczem, muszą mieć siłę, by utrzymać tarczę z wierzbowych desek wzmocnionych żelazem i oprzeć się furii dzikich wrogów. Niektóre z nich poznają radość bitwy, pieśń miecza, dreszcz niebezpieczeństwa.

Sigtryggr znał te rzeczy. Upajał się wojną. Nadal widzę, jak wbiega po tych kamiennych schodach, z radosną twarzą i wyciągniętym mieczem. Czy tak wyglądałem, kiedy zabiłem Ubbę? Czy on widział moją młodość, zapał i ambicję, a w nich własną śmierć? Na tym świecie nie zostawiamy nic prócz kości i sławy, a Sigtryggr, z mieczem wymierzonym we mnie, widział swoją sławę jaśniejącą w ciemności jak gwiazda.

Potem zobaczył Stiorrę.

Moja córka stała za mną, zasłaniając usta dłońmi. Skąd o tym wiem? Nie patrzyłem na nią, ale później wszystko mi opowiedziano. Stiorra zakryła usta dłońmi, by stłumić krzyk. Odepchnąłem Gerbruhta, bo nie chciałem, żeby Fryz walczył za mnie, i córka stała teraz najbliżej mnie. Jej krótki okrzyk wyrażał raczej szok niż lęk, choć miała się czego bać, widząc, jak śmierć chyżo wbiega po schodach. Wtedy Sigtryggr ujrzał moją córkę i na mgnienie oka zatrzymał na niej wzrok. Na polu bitwy spodziewamy się zobaczyć mężczyzn, ale kobieta? Jej widok go rozproszył.

Norweg wahał się tylko tyle, ile trwa uderzenie serca, lecz to wystarczyło. Wcześniej patrzył mi w oczy, jednak na widok Stiorry na chwilę skupił na niej spojrzenie, i w tej właśnie chwili ruszyłem. Nie byłem tak szybki jak dawniej ani tak silny jak kiedyś, ale całe życie spędziłem w walce, więc przesunąłem tarczę w lewo, sparowałem miecz wroga, Sigtryggr spojrzał na mnie, wykrzyknął wyzwanie, próbował zadać cios klingą ponad moją tarczą, ale Oddech Węża już się poruszył, ja razem z nim, zszedłem o jeden stopień, tarczę wciąż trzymałem wysoko, by nie mógł opuścić miecza, Norweg zobaczył, jak mój miecz zbliża się do jego brzucha, przekreślił się rozpaczliwie, by uniknąć cięcia, potknął się na schodach, a wściekły zew wojenny przeszedł w krzyk niepokoju. Cofnąłem Oddech Węża w chwili, gdy odzyskał równowagę na tyle, by zadać cios mieczem pod moją tarczą. To było dobre pchnięcie, szybki ruch człowieka, który jeszcze nie w pełni

odzyskał równowagę. Jego klinga rozplatałaby mi lewe udo, ale w porę opuściłem tarczę i siekłem Oddechem Węża, żeby przeciąć mu gardło, a Sigtryggr odrzucił głowę.

Zrobił to odrobinę za późno. Wciąż starał się odzyskać równowagę, gdy poślizgnął się na stopniu, głowa mu opadła, a ostry koniec Oddechu Węża pozbawił go prawego oka. Miecz drasnął go w oko i skórę na nosie. Trysnęła krew, pociekła bezbarwna ciecz, Sigtryggr okręcił się, kiedy Gerbruht odepchnął mnie, by zakończyć sprawę toporem. Właśnie wtedy Norweg znowu dał susa, tym razem jednak był to długi skok ze schodów prosto do fosy. Gerbruht krzyknął, rozwścieczony ucieczką, cisnął toporem w innego wroga, który przyjął cios na tarczę, zatoczył się w tył, a sześciu Norwegów czmychnęło w ślad za swym panem. Wszyscy zeskoczyli z murów. Jeden nadział się na zaostrowany pal, pozostali, w tym Sigtryggr, przeleźli przez fosę.

Tak oto pokonałem Sigtryggra i wydłubałem mu oko.

– Jestem Odyn! – ryknął z drugiej strony fosy Sigtryggr. Okaleczoną twarz przekrzywił tak, by spojrzeć na mnie ocalałym okiem. – Jestem Odyn, posiadam mądrość! – wołał z uśmiechem.

Odyn poświęcił oko, by zdobyć mądrość, a pokonany Sigtryggr pękał ze śmiechu. Jego ludzie odciągnęli go z dala od ciskanych z murów włóczni, on jednak, oddalony najwyżej o tuzin kroków, znowu się odwrócił i pozdrowił mnie mieczem.

– Zabiłbym go, gdyby nie skoczył – stwierdził Gerbruht.

– On by cię wypatroszył. Nam obu wyprułyby flaki – odparłem.

Sigtryggr był bogiem, który zstąpił na ziemię, teraz jednak ten bóg poniósł klęskę i oddalił się poza zasięg naszych włóczni.

Finan dotarł do bramy. Ocalali Norwegowie wracali biegiem w miejsce, skąd rozpoczęli natarcie, i utworzyli mur tarcz wokół ранego dowódcy. Pozorowany atak na północno-zachodni bastion już dawno zarzucono i na

drodze znajdowało się teraz około pięciuset Norwegów.

Nadal przewyższali nas liczebnie.

– Merewalhu, czas wypuścić jeźdźców – rozkazałem, potem wychyliłem się za mur i zawołałem: – Finanie?! Widziałeś Eardwulfa?!

– Nie, panie!

– Wobec tego jeszcze nie skończyliśmy!

Pora przenieść walkę poza mury.

Merewalh poprowadził dwustu jeźdźców na pola, na wschód od Norwegów. Trzymająca się w sporej odległości pogoń miała stanowić zagrożenie. Gdyby Sigtryggr próbował wycofać się do Brunanburha, przez całą drogę byłby nękany, i dobrze o tym wiedział.

Jaką właściwie miał szansę? Mógł kazać ludziom szturmować mury, ale wiedział, że nigdy nie zdobędzie Ceasteru w otwartym natarciu. Mógł jedynie liczyć na podstęp, ale ten spalił na panewce i na ulicach zostało pięćdziesięciu–sześćdziesięciu zabitych Norwegów. Dwunastu ludzi Finana krążyło po ulicach, podrzynając gardła konającym i zdzierając kolczugi z poległych.

– Dobry dzień na zbieranie łupów! – zawołał radośnie jeden z ludzi.

Inny zbiegł po zalanych krwią schodach w hełmie zwieńczonym wielkim skrzydłem orła.

– Czy on był szalony? – spytała Stiorra.

– Szalony?

– Sigtryggr. Dlaczego wbiegł po schodach?

– Był w szale wojennym – wyjaśniłem. – A ty ocalałaś mi życie.

– Naprawdę?

– Spojrzał na ciebie i to go rozproszyło.

Wiedziałem, że będę się budził w nocy i drżał na wspomnienie jego miecza, pewien, że w żaden sposób nie zdołałbym odeprzeć jego ataku. Tylko kaprys losu ocalił mnie przed śmiercią. Jednak Sigtryggr zobaczył Stiorrę i się zawahał.

– Teraz chce rozmawiać – powiedziała moja córka.

Odwróciwszy się, zobaczyłem Norwega machającego liściastą gałęzią.

– Panie?! – zawołał od bramy Finan.

– Widzę go!

– Pozwolić mu wejść?!

– Wpuść go! – powiedziałem i pociągnąłem Stiorrę za rękaw. – Ty też chodź.

– Ja?

– Ty. Gdzie Aethelstan?

– Z Finanem.

– Mały drań stał w murze tarcz? – spytałem zaskoczony.

– W tylnym szeregu. Nie widziałeś?

– Zabiję go.

Stiorra zachichotała i zeszła ze mną z barykady. Zeskoczyliśmy na ulicę i zaczęliśmy przestępować kawały murów i zakrwawione ciała.

– Aethelstanie!

– Panie?

– Czy nie miałeś zostać w kościele? – spytałem ostro. – Czy pozwoliłem ci dołączyć do muru tarcz Finana?

– Wyszedłem z kościoła, żeby się wysikać. Wcale nie zamierzałem dołączać do ludzi Finana. Chciałem tylko popatrzeć ze sterty drewna, ale się potknąłem.

– Potknąłeś się?

Królewicz gorliwie przytaknął.

– Potknąłem się, panie, i spadłem na ulicę.

Cengar, chłopak, któremu Aethelstan ocalił życie, trzymał się blisko, wyraźnie go chroniąc, podobnie jak dwaj ludzie Finana.

– Wcale się nie potknąłeś – stwierdziłem i dałem mu w ucho, ale ponieważ nosił hełm, mnie zabolalo znacznie bardziej niż jego. – Idziesz ze mną – oświadczyłem. – Ty też – rzuciłem do Stiorry.

We trójkę przekroczyliśmy bramę, omijając ciała z głowami zmiażdżonymi przez kamienie, unikaliśmy kałuż gówna, aż szeregi Finana się rozstały.

– Wy dwaj idziecie z nami – zwróciłem się do Finana i syna. – Reszta zostaje tutaj.

Przeszliśmy drogą trzydzieści, może czterdzieści kroków. Stałem i przyłożyłem dłonie do ust.

– Możesz przyprowadzić dwóch ludzi!

Sigtryggr przywiódł tylko jednego, barczystego wielkoluda z pokaźną czarną brodą, w którą wplótł kości szczękowe wilków czy psów.

– Ma na imię Svart – wyjaśnił wesoło Sigtryggr. – Zjada Sasów na śniadanie. – Dotknął lnianego bandaża na wydłubanym oku. – Przez ciebie nie jestem już taki przystojny, panie Uhtredzie.

– Nie rozmawiaj ze mną – odparłem. – Rozmawiam tylko z mężczyznami. Przyprowadziłem ci kobietę i chłopca, żebyś mógł sobie pogwarzyć z równymi sobie.

Norweg się zaśmiał. Najwyraźniej obelgi spływały po nim jak woda po kaczce.

– Wobec tego pomówię z równymi sobie – powiedział i uklonił się przed Stiorrą. – Jak ci na imię, pani?

Córka zerknęła na mnie, ciekawa, czy naprawdę chcę, by prowadziła negocjacje.

– Ja się nie odzywam – powiedziałem do niej po duńsku, powoli, żeby Sigtryggr zrozumiał. – Ty rozmawiaj z chłopcem.

Na słowo „chłopiec” Svart warknął, ale Sigtryggr położył mu rękę na ramieniu ze złotymi bransoletami.

– Spokojnie, Svarcie, oni się bawią w gry słowne. – Z uśmiechem zwrócił się do Stiorry. – Jestem jarl Sigtryggr Ivarson, a ty?

– Stiorra Uhtredsdottir – odpowiedziała.

– A wziąłem cię za boginię – stwierdził.

– To jest królewicz Aethelstan – ciągnęła Stiorra po duńsku wyniosłym, opanowanym głosem.

– Królewicz! To zaszczyt poznać Waszą Wysokość. – Sigtryggr skłonił się przed chłopcem, który nie miał pojęcia, o czym rozmawiali. Norweg dodał z uśmiechem: – Pan Uhtred powiedział, że muszę rozmawiać z równymi sobie, i przyprowadził mi boginię z królewiczem! Zaszczycą mnie!

– Chciałeś rozmawiać, więc rozmawiajmy – powiedziała chłodno moja córka.

– Cóż, pani, przyznaję, że sprawy nie potoczyły się po mojej myśli. Ojciec przysłał mnie, żebym założył w Brytanii królestwo, ale spotkałem twojego ojca. To przebiegły człowiek, prawda?

Moja córka tylko na niego patrzyła. Stała tak, wyniosła, wysoka, wyprostowana, wykapana matka.

– Sas Eardwulf powiedział nam, że twój ojciec umiera – wyznał Sigtryggr. – Twierdził, że jest słaby jak robak. Według niego pan Uhtred czasy świetności ma już dawno za sobą i na pewno nie będzie go w Ceasterze.

– Mój ojciec nadal ma dwoje oczu – stwierdziła Stiorra.

– Ale nie są tak piękne jak twoje, pani.

– Przyszedłeś marnować nasz czas czy chcesz się poddać? – spytała Stiorra.

– Tobie, pani, oddałbym wszystko, co mam, ale moi ludzie? Potrafisz liczyć?

– Owszem.

– Jest nas więcej.

– On chce, żebyśmy pozwolili mu spokojnie wycofać się na okręty – powiedziałem po angielsku do Finana.

– A czego ty chcesz? – spytał Irlandczyk, wiedząc, że prowadzimy rozmowę na użytek Stiorry.

– Nie może sobie pozwolić na kolejną walkę – stwierdziłem. – Straciłby zbyt wielu ludzi, ale my też.

Sigtryggr nie rozumiał, o czym rozmawiamy, ale przysłuchiwał się bacznie, jakby z obcej mowy miał się wyłonić sens.

– Czyli po prostu pozwolimy mu odejść? – spytał Finan.

– Może wracać do ojca – zarządziłem. – Musi jednak zostawić połowę mieczy i zakładników.

– I dać nam Eardwulfa – dodał Finan.

– I dać nam Eardwulfa – zgodziłem się.

Sigtryggr usłyszał znajome imię.

– Chcecie Eardwulfa? – zapytał. – Jest wasz. Daję go wam! Razem z jego Sasami.

– Tak naprawdę chcesz obietnicy, że pozwolimy wam wrócić na okręty – powiedziała Stiorra.

Sigtryggr udał zaskoczenie.

– Nie przyszło mi to na myśl, pani, ale istotnie! Co za szczodrość. Moglibyśmy wrócić na okręty.

– I popłyniesz do ojca.

– Nie będzie uradowany.

– Będę go opłakiwać – stwierdziła szyderczo Stiorra. – Zostawisz tu połowę swoich mieczy i zakładników jako gwarancję dobrego zachowania.

– Zakładników – powtórzył i po raz pierwszy w jego głosie brakowało pewności.

– Wybierzemy tuzin twoich ludzi – powiedziała Stiorra.

– Jak będziecie ich traktować?

– Oczywiście z szacunkiem, chyba że zostaniesz w naszym kraju. Wtedy ich zabijemy.

– Będziecie ich karmić?

– Naturalnie.

– Będą ucztować?

– Będziemy ich karmić – powiedziała.

– Nie mogę się zgodzić na dwunastu, pani. – Sigtryggr pokręcił głową. – Tuzin to zbyt wielu. Zostawię wam jednego zakładnika.

– Kpisz.

– Siebie, droga pani. Oferuję siebie.

Muszę przyznać, że mnie zaskoczył. Stiorra, nie mniej zdumiona, nie wiedziała, co odpowiedzieć, i spojrzała na mnie pytająco. Po chwili skinęłam głową.

– Jego ludzie mogą wrócić na okręty – zwróciłem się do córki po duńsku. – Połowa z nich musi tu zostawić miecze. Mają dzień na przygotowanie okrętów.

– Dzień – powtórzyła.

– Za dwa dni przyprowadzimy rano Sigtryggra. Jeżeli okręty będą na wodzie, gotowe do drogi, będzie mógł dołączyć do swoich. W przeciwnym razie zginie. Muszą nam też wydać Eardwulfa i jego ludzi.

– Zgoda – powiedział Sigtryggr. – Mogę zatrzymać miecz?

– Nie.

Norweg odpiął miecz, podał go Svartowi i podszedł do nas z uśmiechem. Tej nocy ucztowaliśmy z Sigtryggrem.

Nazajutrz przyjechała Aethelflaed. Nie uprzedziła o swoim przybyciu, ale przed południem pojawili się jej pierwsi jeźdźcy, a godzinę później ona sama minęła Bramę Południową na czele ponad setki ludzi na zdrożonych koniach, białych od potu. Aethelflaed miała na sobie srebrną kolczugę, a siwiejące włosy spięła srebrną opaską. Chorąży dzierżył proporzec jej męża, tańczącego siwka.

– Co się stało z gęsią? – zapytałem.

Zignorowała moje pytanie i spojrzała na mnie z siodła.

– Lepiej wyglądasz!

– Lepiej się czuję.

– Naprawdę? – spytała ożywiona.

– Wyzdrowiałem.

– Bogu niech będą dzięki! – Mówiąc to, popatrzyła w zachmurzone niebo. – Jak to się stało?

– Niedługo ci opowiem, ale co się stało z gęsią? – odparłem.

– Zachowałam chorągiew Aethelreda – ucięła szorstko. – Do tego przyzwyczała się Mercja. Ludzie nie lubią zmian. Wystarczająco trudno jest im zaakceptować kobietę na tronie, nie trzeba narzucać im dalszych nowych rzeczy. – Zsiadła z Gasta. Na kolczudze, butach i długim białym płaszczu

widniały plamy błota. – Miałam nadzieję, że cię tu zastanę.

– Kazałaś mi tu być.

– Ale nie kazałam marnować czasu na rychtowanie okrętu – odpaliła. Giermek wziął od niej konia, jeźdźcy zsiadali i rozprostowywali kończyny. – Krążą plotki, że zmierzają tu Norwegowie – mówiła.

– Zawsze są jakieś plotki – odparłem lekceważąco.

– Z Walii nadeszła wiadomość, że niedaleko wybrzeża widziano flotę. – Nie zwróciła uwagi na mój lekceważący ton. – Może nie płyną tutaj, ale na północ od Maerse jest pustkowie, które może ich skusić. – Aethelflaed zmarszczyła czoło, pociągnęła nosem i zapach nie przypadł jej do gustu. – Nie przepędziłam Hakiego z tej ziemi po to, by zagnieździł się tu kolejny pogański watażka! Musimy tu osiedlić ludzi.

– Sigtryggr – powiedziałem.

– Sigtryggr? – Zmarszczyła brwi.

– Twoi walijscy szpiedzy mieli rację – wyjaśniłem. – Norweską flotą dowodzi Sigtryggr.

– Wiesz o nim?

– Oczywiście! Jego ludzie zajęli Brunanburh.

– O Boże! Boże, nie. Czyli naprawdę tu przyszli! Cóż, nie zabawią długo. Musimy szybko się ich pozbyć.

– Zostawiłbym ich w spokoju. – Pokręciłem głową.

– W spokoju? – Spojrzała na mnie zdumiona. – Oszalałeś? Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to Norwegowie kontrolujący rzekę Maerse. – Ruszyła do głównej komnaty. Jej dwaj kapłani pospieszyli za nią z naręczami pergaminów. – Znajdźcie kufer – rzuciła przez ramię. – Dopilnujcie, żeby dokumenty nie zmokły! Nie mogę tu długo zostać. – Najwyraźniej zwracała się do mnie. – W Gleawecestre panuje spokój, ale wciąż jest tam mnóstwo do zrobienia. Dlatego chcę się pozbyć tych Norwegów!

– Ich jest więcej – zauważyłem z powątpiewaniem.

Aethelflaed odwróciła się energicznie i wycelowała we mnie palec.

– Jeśli damy im czas, nadciągną posiłki. Wiesz o tym! Musimy ich wypędzić!

– Jest ich więcej, są zaprawieni w bojach – mówiłem. – Walczyli w Irlandii, a tam ludzie stają się nieprzejednani. Jeśli mamy zaatakować Brunanburh, chcę co najmniej trzystu ludzi!

Aethelflaed, nagle zaniepokojona, zmarszczyła czoło.

– Co z tobą? Czyżbyś bał się tego Sigtryggra?

– To wielki wojownik.

Aethelflaed spojrzała mi w oczy, próbując ocenić prawdziwość moich słów, i najwyraźniej nabrała przekonania, że nie kłamię.

– Dobry Boże – powiedziała, marszcząc brwi. – To chyba przez tę ranę – dodała pod nosem i zaczęła się oddalać. Uwierzyła, że straciłem odwagę, i oto miała na głowie jeszcze jeden kłopot. Szła przed siebie, aż spostrzegła miecze, tarcze, włócznie, kolczugi, hełmy i topory przed drzwiami komnaty, pod przybitą do ściany flagą Sigtryggra z czerwonym toporem. Zatrzymała się i spytała zdumiona: – Co to jest?

– Zapomniałem ci powiedzieć, że zaprawieni w bojach ludzie wczoraj zaatakowali. Zabili trzech naszych, ranili szesnastu, ale my zabiliśmy siedemdziesięciu dwóch i wzięliśmy Sigtryggra do niewoli. Zatrzymamy go do jutra, kiedy jego flota odpłynie z powrotem do Irlandii. Naprawdę nie musiałaś przyjeżdżać! Oczywiście dobrze cię widzieć, ale Merewalh i ja doskonale sobie radzimy z wielkimi, niedobrymi Norwegami.

– Ty draniu – powiedziała Aethelflaed, choć bez złości. Raz jeszcze spojrzała na łupy i wybuchnęła śmiechem. – Bogu niech będą dzięki – dodała, dotykając srebrnego krzyża na piersiach.

Raz jeszcze ucztowaliśmy z Sigtryggrem, chociaż przez to, że

Aethelflaed przybyła z licznym oddziałem, mięsa nie było zbyt wiele. Piwo lało się za to strumieniami, a rządcą zadbał o bukłaki z winem i sporą beczkę miodu. Obecność Aethelflaed w komnacie sprawiała, że atmosfera była bardziej przygaszona niż poprzedniej nocy. Mężczyźni mówili ciszej, rzadziej się mocowali czy wrzeszczeli sprośne pieśni. Nastrój dodatkowo tonowało kilku kapłanów przy głównym stole, przy którym Aethelflaed wypytywała Merewalha i mnie o bitwę przy Bramie Północnej. Sigtryggr dostał zaszczytne miejsce, podobnie jak moja córka.

– To wszystko jej wina – powiedział i skinął głową na Stiorrę.

Gdy przetłumaczyłem jego słowa Aethelflaed, zapytała:

– Dlaczego to jej wina?

– Widok mojej córki go rozproszył – wyjaśniłem.

– Szkoda, że nie na dłużej – dodała chłodno Stiorra.

Aethelflaed uśmiechnęła się z aprobatą. Siedziała wyprostowana jak struna i bacznie wodziła wzrokiem po komnacie. Jadła mało, piła jeszcze mniej.

– Czyli ona się nie upija? – zwrócił się do mnie cierpkim tonem Sigtryggr, wskazując skinieniem głowy Aethelflaed. Siedział naprzeciwko mnie.

– Nie – potwierdziłem.

– Moja matka mocowałaby się już z wojownikami albo ich przepijała.

– Co on mówi? – wtrąciła Aethelflaed, która zauważyła, że Norweg jej się przygląda.

– Chwali wino – powiedziałem.

– Wyjaśnij mu, że to prezent od mojej młodszej siostry Aelthryth.

Aelthryth poślubiła Baldwina z Flandrii, władającego krainą na południe od tej krainy, a jeśli to było flandryjskie wino, to wolałbym pić końskie

szczyzny, choć Sigtryggowi najwyraźniej smakowało. Chciał nalać trochę mojej córce, ale Stiorra odmówiła zdawkowo i wróciła do rozmowy z ojcem Fraomarem, młodym kapłanem na służbie u Aethelflaed.

– To dobre wino! – nalegał Sigtryggr.

– Sama sobie naleję – powiedziała wyniośle Stiorra.

Chyba jako jedyna spośród całej mojej rodziny i popleczników zdawała się odporna na urok Norwega. Ja również go polubiłem. Przypominał mi samego siebie, w każdym razie człowieka, którym byłem w młodości, gdy uparcie podejmowałem ryzykowne przedsięwzięcia, które przynoszą śmierć albo sławę. Sigtryggr oczarował moich ludzi. Finanowi podarował naramiennik, wychwalał waleczność moich wojowników, przyznawał, że został pokonany, ale obiecywał, że pewnego dnia wróci i weźmie odwet.

– Pod warunkiem że ojciec da ci kolejną flotę – zauważyłem.

– Da – zapewnił. – Ale następnym razem nie będę walczył z tobą. Znajdę sobie jakiegoś łatwiejszego do pokonania Sasa.

– Czemu nie zostaniesz w Irlandii? – zapytałem.

Sigtryggr wahał się z odpowiedzią i spodziewałem się jakiegoś żartu, w końcu jednak spojrzał na mnie jedynym okiem.

– Oni walczą jak dzikusy, panie. Napadasz na nich, pokonujesz, ale nagle pojawia się kolejna banda. Im głębiej zapuszczasz się w ich kraj, tym jest ich więcej, poza tym zazwyczaj wcale ich nie widać. Są jak zjawy, wyrastają jak spod ziemi i atakują. – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Mogą sobie zatrzymać swój kraj.

– Podobnie jak my zatrzymamy nasz.

– Może tak, może nie. – Uśmiechnął się szeroko. – Powiosłujemy wzdłuż walijskiego wybrzeża i zobaczymy, czy uda się nam zabrać do domu paru niewolników. Ojciec wybaczy mi wiele, jeśli przywiozę mu nowe dziewczęta.

Aethelflaed odnosiła się do Sigtryggra z pogardą. Był poganinem, a ona nienawidziła wszystkich pogan oprócz mnie.

– Szkoda, że go nie zabiłeś – powiedziała do mnie podczas uczty.

– Próbowałem.

Aethelflaed patrzyła, jak Stiorra odrzuca wszystkie umizgi Sigtryggra.

– Twoja córka wyrosła na świetną kobietę – powiedziała ciepło.

– To prawda.

– W przeciwieństwie do mojej córki – dodała cicho i westchnęła.

– Lubię Aelfwynn.

– Ma siano w głowie – stwierdziła lekceważąco. – Ale już czas, żebyś znalazł męża dla Stiorry.

– Wiem.

Aethelflaed umilkła i powiodła wzrokiem po oświetlonej pochodniami komnacie.

– Żona Aethelhelma umiera.

– Mówił mi o tym.

– Może już nie żyje. Aethelhelm wyznał mi, że kapłani dali jej ostatnie namaszczenie.

– Biedna kobieta – powiedziałem skwapliwie.

– Przed wyjazdem z Gleawecestre odbyłam z nim długą rozmowę – powiedziała, nadal rozglądając się po komnacie. – Rozmawiałam z nim i moim bratem. Obaj uznali decyzję witanu. Zgodzili się też pozostawić Aethelstana pod moją opieką. Chłopiec będzie dorastał w Mercji i nikt nie będzie próbował go uprowadzić.

– Wierzysz w to?

– Wierzę, że musimy go chronić – odparła cierpko i popatrzyła na Aethelstana, który razem z siostrą bliźniaczką siedział przy jednym

z mniejszych stołów. Z racji królewskiego pochodzenia należało mu się miejsce przy głównym stole, ale postanowiłem mu oszczędzić rozmowy z kapłanami Aethelflaed. – Wierzę, że mój brat nie życzy źle temu chłopcu – ciągnęła. – Twierdzi stanowczo, że między Mercją a Wessexem nie powinno być wrogości.

– I nie będzie, chyba że Aethelhelm znowu da się ponieść ambicji.

– Przesadził, i dobrze o tym wie – odparła. – Wylewnie mnie przeprosił. Ale owszem, jest ambitny, więc może żona odwróciła jego uwagę. Kobieta, o której myślę, z pewnością zadbałaby o to, żeby się nie nudził.

Dopiero po chwili zrozumiałem, do czego zmierzała.

– Ty? – spytałem zdumiony. – Zamierzasz poślubić Aethelhelma?

– Nie, nie ja.

– Kto więc?

Aethelflaed zawahała się na moment, po czym spojrzała na mnie wyzywająco.

– Stiorra.

– Stiorra! – odezwałem się zbyt głośno i córka popatrzyła w moją stronę. Pokręciłem głową i wróciła do rozmowy z ojcem Fraomarem. – Stiorra! – powtórzyłem ciszej. – Mogłaby być jego wnuczką!

– Zdarzało się już, że mężczyźni żenili się z młodszymi kobietami – stwierdziła kąśliwie i zerknęła na Eadith siedzącą przy małym stole z Finanem i moim synem.

Obecność siostry Eardwulfa w Ceasterze nie ucieszyła Aethelflaed, ale żarliwie broniłem Eadith, twierdząc, że zawdzięczam jej wyzdrowienie. „Co jeszcze jej zawdzięczasz?” – spytała wtedy ostro, lecz zignorowałem to pytanie, podobnie jak od tej pory Aethelflaed ignorowała Eadith.

– Aethelhelm cieszy się dobrym zdrowiem – ciągnęła teraz. – Jest zamożny. To dobry człowiek.

– Który próbował cię zabić.

– To był Eardwulf, który opacznie pojął wolę Aethelhelma.

– On by cię zabił – powiedziałem. – Zabiłby Aethelstana i każdego, kto stoi na drodze jego wnukowi.

– Mój brat potrzebuje Aethelhelma – westchnęła. – Jest zbyt potężny, by go lekceważyć, zbyt pożyteczny. Jeśli Wessex potrzebuje Aethelhelma, to Mercja również.

– Twierdził, że Aethelhelm rządzi Wessexem?

Wzruszyła ramionami, nie chcąc przyznać mi racji.

– Mówię tylko, że Aethelhelm jest zacnym człowiekiem. Owszem, ambitnym, ale skutecznym. Potrzebujemy jego poparcia.

– I w tym celu pošlesz Stiorrę do jego łóża?

Skrzywiła się na ton mego głosu.

– Uważam, że twoja córka powinna wyjść za mąż, a pan Aethelhelm ją podziwia.

– Chcesz powiedzieć, że ma ochotę ją chędożyć – warknąłem. Spojrzałem na córkę, która z pochyloną głową słuchała ojca Fraomara. Stiorra wyglądała poważnie i pięknie. – Czyli ma zostać krową pokoju między Wessexem a Mercją? – spytałem. Krową pokoju nazywano kobietę, która poślubiła jednego z wrogów, aby przypieczętować sojusz.

– Zastanów się nad tym – mówiła żarliwie Aethelflaed. – Kiedy Stiorra owdowieje, odziedziczy taką ilość ziemi, o jakiej ci się nie śniło. Dostanie więcej wojowników, niż kiedykolwiek zdołałbyś zebrać, więcej pieniędzy, niż znajduje się w skarbcu Edwarda. – Umilkła, ale nic nie powiedziałem. – To wszystko będzie nasze – dodała cicho. – Wessex nie połknie Mercji, to my połkniemy Wessex.

W Biblii jest opowieść o kimś, kogo zabrano na szczyt wzgórza

i zaoferowano mu cały świat. Nie pamiętam teraz tej historii, wiem tylko, że ten idiota odrzucił propozycję. Podczas tej uczty czułem się jak tamten głupiec.

– Czemu nie wydasz Aelfwynn za Aethelhelma? – spytałem.

– W przeciwieństwie do Stiorry moja córka nie jest bystra – odparła Aethelflaed. – A tylko taka kobieta poradzi sobie z Aethelhelmem.

– To co zrobisz z Aelfwynn?

– Wydam ją za kogoś. Może za Merewalha? Sama nie wiem. Ta dziewczyna jest moim wielkim zmartwieniem.

Stiorra. Popatrzyłem na córkę. Istotnie była bystra i piękna, musiałem znaleźć dla niej męża, czemu więc nie miałyby to być najbogatszy człowiek w Mercji?

– Zastanowię się – obiecałem i przypomniała mi się dawna przepowiednia, że moja córka zostanie matką królów.

Tak też się stało.

Świt. Z rzadkiej mgły na rzece Maerse wyłoniło się dwadzieścia sześć ciemnych smoczyc łodzi, których załoga wiosłowała powoli, by sprostać przypływowi. Ludzie Sigtryggra dotrzykali słowa. Statki były gotowe do drogi, Brunanburh znowu należał do nas. Jedyne Norwegami na brzegu byli Svart i sześciu innych, pilnujących Eardwulfa oraz jego trzech zwolenników. Natychmiast po klęsce Sigtryggra chciałem, by przekazano mi Eardwulfa, ale ten szybko uciekł. Udało mu się dotrzeć tylko do Duńczyków w Wirhealum, gdzie nakryli go ludzie Sigtryggra. Teraz Eardwulf oczekiwał na nasze przybycie.

Przyjechałem z Finanem, synem i dwudziestką ludzi. Aethelflaed eskortowało trzydziestu dwóch wojów. Nalegałem, by Aethelstan

towarzyszył mi w drodze do Brunanburha, moja córka również chciała zobaczyć, jak Norwegowie odpływają, więc dołączyła do nas ze swoją służką Hellą.

– Dlaczego wzięłaś ją ze sobą? – spytałem.

– Czemu nie? Chyba nie grozi nam niebezpieczeństwo?

– Żadne – zapewniłem.

Wierzyłem w obietnicę Sigtryggra, że nie dojdzie do walki między jego a naszymi wojownikami. Nie myliłem się. W pobliżu niedokończonego grodu spotkaliśmy Svarta i jego ludzi, Sigtryggr zsiadł z pożyczonego konia. Svart przywiózł swojemu panu miecz, a Sigtryggr spojrzął na mnie, jakby pytał o pozwolenie. Skinąłem głową. Norweg wyciągnął ostrze z pochwy i ucałował stal.

– Chcesz, żebym zabił Sasów? – zapytał i wskazał głową Eardwulfa.

– Sam wykonuję swoją pracę – odparłem i zeskoczyłem z siodła, zdumiony brakiem bólu.

– Ojczy! – zawołał Uhtred. – On też chciał zabijać!

– Sam wykonuję swoją pracę – powtórzyłem i choć nie czułem bólu, oparłem się o konia. Udając, że znowu cierpię, krzyknąłem, odepchnąłem się od zadu rumaka i pokuśtykałem do Eardwulfa. To utykanie również było grą.

Patrzył, jak podchodzę. Wąska twarz tego wysokiego mężczyzny nie wyrażała nic. Ciemne włosy, już nienatłuszczone jak dawniej, związał wstążką. Długi podbródek porastał kilkudniowy zarost, płaszcz miał brudny, buty wytarte.

– Powinieneś był mnie zabić pod Alencestre – stwierdziłem.

– Gdybym to zrobił, teraz rządziłbym Mercją – odparł.

– A tak będziesz rządził tylko grobem w Mercji – powiedziałem, dobywając Oddech Węża. Skrzywiłem się, jak gdyby miecz za bardzo mi ciążył.

– Zabijesz bezbronniego człowieka, panie Uhtredzie? – zapytał Eardwulf.

– Nie. Bergu! – zawołałem, nie odwracając się. – Daj temu człowiekowi broń!

Wsparłem się na rękojeści miecza, umieszczając jego koniec na płaskim kamieniu. Za plecami Eardwulfa znajdował się nieukończony gród, z długim wałem ziemi zwieńczonym tymczasową palisadą z ciemnych krzaków. Sądziłem, że Norwegowie spalą kościół i stajnie, ale stały nietknięte. Svart i jego ludzie pilnowali popleczników Eardwulfa.

Berg przytruchtał na koniu. Zerknął na mnie i rzucił Lodową Furię na mokrą od rosy trawę u stóp Eardwulfa.

– To jest Lodowa Furia – oznajmiłem. – Broń Kanuta Długiego Miecza. Twoja siostra mówiła, że kiedyś próbowałaś ją kupić, teraz ci ją daję. To ostrze o mały włos mnie nie zabiło, zobaczymy, czy potrafisz dokończyć dzieła.

– Ojczy! – zawołała niespokojnie Stiorra. Według niej nie mogłem sobie poradzić z Lodową Furią w rękach Eardwulfa.

– Milcz, dziewczyno. Jestem zajęty.

Dlaczego postanowiłem z nim walczyć? I tak musiał umrzeć, a był niebezpiecznym, dwa razy młodszym ode mnie wojownikiem. Ale chodzi o sławę, zawsze wyłącznie o sławę. Duma jest chyba najbardziej zdradziecką z cnót. Chrześcijanie nazywają ją grzechem, ale poeci nie śpiewają o ludziach bez dumy. Według chrześcijan cisi odziedziczą ziemię, ale na cześć cichych nie powstają pieśni. Eardwulf chciał mnie zabić, chciał zabić Aethelflaed i Aethelstana. Eardwulf pragnął rządzić, był ostatnią pozostałością nienawiści Aethelreda. To właśnie ja powinienem go zabić, a cały saski Engaland powinien usłyszeć, że go zabiłem.

Eardwulf pochylił się i podniósł miecz.

– Masz na sobie kolczugę – stwierdził, po czym poznałem, że jest

zdenerwowany.

– Jestem stary i ranny – odparłem. – Ty jesteś młody. Poza tym Lodowa Furia już raz przebiła moją kolczugę, niechaj więc uczyni to ponownie. To magiczna klinga.

– Magiczna? – zapytał, przyjrzał się mieczowi i zobaczył napis „†VLFBERH†T”.

Szeroko otworzył oczy i dźwignął miecz.

Uniosłem Oddech Węża, krzywiąc się, jakby jego ciężar nadmiernie nadwyręzał mi żebra.

– Poza tym bez kolczugi człowiek porusza się szybciej – mówiłem.

– A jeśli cię zabiję? – spytał Eardwulf.

– Wtedy mój syn zabije ciebie – odparłem. – Ale po wsze czasy ludzie będą wiedzieli, że pan Eardwulf pokonał Uhtreda. – Słowo „pan” wymówiłem szyderczym tonem.

Eardwulf ruszył na mnie szybko. Nie miałem tarczy, a on wycelował Lodową Furię w mój niechroniony lewy bok, był to jednak tylko rekonesans, próba sprawdzenia, czy potrafię sparować, ja jednak nawet nie musiałem o tym myśleć. Ostrza zwarły się i Oddech Węża zatrzymał Lodową Furię. Cofnąłem się, opuszczając miecz.

– Nie zabijesz mnie cięciem – stwierdziłem. – Nawet ostrza Vlfberhta nie przecinają kolczugi. Musisz dźgnąć.

Eardwulf patrzył mi prosto w oczy. Unosząc miecz, postąpił krok w przód, ale nie drgnąłem, więc się cofnął. Sprawdzał mnie, ale wyraźnie się denerwował.

– Twoja siostra mówiła mi, że walczyłeś w tylnym szeregu muru tarcz, nigdy z przodu.

– Łże.

– Nie tyle łąe, ile leżała. Leżała w moim łożu, kiedy mi o tym mówiła. Jej zdaniem pozwalałeś, żeby inni walczyli za ciebie.

– W takim razie jest kłamliwą ladacnicą.

Znów się skrzywiłem, zgiąłem się nieznacznie jak wtedy, gdy nieoczekiwanie przeszywał mnie ból. Eardwulf nie wiedział, że wyzdrowiałem, zobaczył, jak Oddech Węża opuszcza się jeszcze niżej, zrobił raptowny krok prawą nogą w przód, zamierzył się Lodową Furią w moją pierś, ale ja uskokczyłem w bok i trzasnąłem go w twarz ciężką rękojeścią swojego miecza. Eardwulf się zatoczył. Usłyszałem chichot Finana, gdy mój przeciwnik ponownie zamierzył się mieczem, znowu celując w mój lewy bok, ale w jego ataku nie było siły, bo nadal odzyskiwał równowagę po moim uderzeniu, więc tylko uniosłem ręce, pozwalając ostrzu uderzyć w kolczugę. Ta zatrzymała klingę tuż nad starą raną i nie poczułem bólu. Uśmiechnąłem się do Eardwulfa i drasnąłem go Oddechem Węża w lewy policzek, już krwawiący po uderzeniu.

– Jeśli twoja siostra się dla kogoś hańbiła, to dla ciebie – powiedziałem.

Eardwulf dotknął lewą dłonią policzka, wyczuł krew. Teraz ujrzałem w jego oczach lęk. Owszem, był wojownikiem, nawet całkiem dobrym. Zastawiał zasadzki na Walińczyków na granicy z Mercją, przepędzał ich, ale jego talent polegał na zastawianiu i unikaniu pułapek, na przechytrzeniu wrogów i napadaniu na nich, kiedy sądzili, że są bezpieczni. Niewątpliwie walczył w murze tarcz, chroniony z obu stron przez swoich ludzi, zawsze w tylnym szeregu. On nie napawał się pieśnią mieczy.

– Stręczyłeś rodzoną siostrę Aethelredowi, dzięki czemu nabiłeś kabzę – powiedziałem. Ponownie zamierzyłem się Oddechem Węża w jego twarz, ale tym razem szybko uskokczył. Opuściłem miecz. – Jarlu Sigtryggrze! – zawołałem.

– Panie Uhtredzie?

– Wciąż masz pieniądze Eardwulfa? Te, które zabrał ze skarbcza w Gleawecestre?

– Owszem!

– Należą do Mercji – powiedziałem.

– Wobec tego Mercja musi po nie przyjść – odparł.

– Czyli jednak nie wrócisz do domu z pustymi rękami – stwierdziłem ze śmiechem. – Dużo ukradł?

– Sporo – odrzekł Sigtryggr.

Ciąłem Oddechem Węża po nogach Eardwulfa, jednak niezbyt groźnie, bo chciałem go tylko odepchnąć.

– Jesteś złodziejem – stwierdziłem.

– Dostałem te pieniądze. – Eardwulf zrobił krok w przód, uniósł miecz, ale nie zareagowałem, więc znów się cofnął.

– To złoto należało wydać na ludzi, broń, palisady, tarcze. – Postąpiłem do przodu i uderzyłem na odlew, odpychając przeciwnika w tył. Ruszyłem z uniesionym mieczem, a Eardwulf musiał już wiedzieć, że ból mnie opuścił, bo poruszałem się zwinnie i lekko, choć czułem, że wkrótce się zmęczone. Oddech Węża to ciężki miecz. – Wydałeś to złoto na pomadę do włosów, błyskotki dla swoich dziewczek, futra i konie, biżuterię i jedwabie. Mężczyzna, panie Eardwulfie, ubiera się w skórę i żelazo. I walczy. – Z tymi słowami natarłem, on sparował, ale okazał się zbyt wolny.

Miecz towarzyszył mi przez całe życie. Niemal od chwili, gdy nauczyłem się chodzić, miałem go w ręku i uczyłem się nim posługiwać. Początkowo traktowałem Eardwulfa z ostrożnością, zakładałem, że okaże się ode mnie szybszy i przebiegły w sztuce walki, on jednak potrafił tylko ciąć, dźgać i desperacko blokować. Odpychałem go, krok za krokiem. Eardwulf obserwował moje ostrze, celowo spowalniałem ciosy, żeby je widział i mógł parować. Dążyłem do tego, by je widział, ponieważ nie chciałem, aby

spojrzał za siebie. Kiedy znalazł się na skraju fosy, przyspieszyłem, płazując go Oddechem Węża, aby go upokorzyć, nie myśląc, parowałem jego marne kontrataki, nagle dźgnąłem, Eardwulf przewrócił się w tył, poślizgnął na błocie i runął.

Wylądował na plecach w fosie z niezbyt głęboką wodą. Zaśmiałem się, gdy ostrożnie zszedł po śliskim zboczu i stanął. Nad fosą zebrali się gapie, zarówno Sasi, jak Norwegowie, Eardwulf spojrzął w górę, zobaczył posępnych wojowników, a jego upokorzenie było tak wielkie, że chyba zbierało mu się na płacz.

– Jesteś zdrajcą i banitą – powiedziałem i wycelowałem Oddech Węża w jego brzuch.

Eardwulf uniósł Lodową Furię, jakby chciał uderzyć, ja jednak cofnąłem rękę i ciąłem. W ten ruch włożyłem wszystkie pozostałe siły, Oddech Węża spotkał Lodową Furię, która wówczas pękła. Sławetna klinga pękła na pół, dokładnie tak jak chciałem. Saskie ostrze złamało najlepsze dzieło Vlfberhta, a wszelkie czary i zło zaklęte w mieczu Kanuta się rozwiały.

Eardwulf zaczął się cofać, lecz zatrzymałem go, przyciskając mu Oddech Węża do brzucha.

– Chcesz, żebym cię rozplątał? – zapytałem, po czym podniosłem głos: – Królewiczu Aethelstanie!

Chłopiec zszedł do fosy i stanął w wodzie.

– Panie?

– Jaki wydajesz wyrok na tego banitę?

– Śmierć, panie – odpowiedział niewzruszenie.

– W takim razie zadaj mu ją – powiedziałem, wręczając mu Oddech Węża.

– Nie! – krzyknął Eardwulf.

– Panie Uhtredzie! – zawołała Aethelflaed.

– Pani?

– To jeszcze chłopiec – stwierdziła, patrząc na Aethelstana ze zmarszczonym czołem.

– Ten chłopiec musi się nauczyć bycia wojownikiem i królem – oświadczyłem. – Przeznaczeniem tego jeńca jest śmierć. Królewicz musi się nauczyć ją zadawać. – Poklepałem Aethelstana po ramieniu. – Spraw się szybko, chłopcze. Ten człowiek zasłużył na powolną śmierć, ale to twoje pierwsze zabójstwo. Nie utrudniaj sobie zadania.

Na twarzy Aethelstana zobaczyłem zdecydowanie. Patrzyłem, jak zbliżył ciężki miecz do szyi Eardwulfa, lekko się skrzywił i wbił ostrze. Krew zbryzgała moją kolczugę. Aethelstan, wpatrując się w twarz Eardwulfa, ciął ponownie, oparł się na rękojeści Oddechu Węża, klinga zagłębiła się w gardle wroga, brudna woda w fosie zabarwiła się na czerwono, Eardwulf miotał się przez chwilę, rzeził, więcej krwi wypłynęło do wody, chłopiec wciąż opierał się na moim mieczu, aż wierzganie ustało i woda się uspokoiła. Objąłem młodzieńca, ująłem jego twarz w dłonie i zmusiłem, by na mnie spojrzał.

– To jest sprawiedliwość, królewiczu. Dobrze się spisałeś – powiedziałem, odbierając mu Oddech Węża. – Bergu! – zawołałem. – Potrzebny ci nowy miecz! Tamten był do niczego.

Sigtryggr wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wyjść z fosy. W jedynym oku płonęła ta sama radość, jaką widziałem na wałach Ceasteru.

– Nie chciałbym mieć w tobie wroga, panie Uhtredzie – stwierdził.

– W takim razie nie wracaj, jarlu Sigtryggrze – odrzekłem i ścisnąłem jego przedramię, Norweg zaś odwzajemnił uścisk.

– Wróć, ponieważ tego chcesz – oznajmił.

– Naprawdę?

Sigtryggr odwrócił głowę, by popatrzeć na okręty. Jeden z nich stał

nieopodal brzegu, z cumą przywiązaną do palika. Na dziobie widniał pomalowany na biało wielki smok, dzierżący w szponach czerwony topór. Okręt czekał na Sigtryggra, ale tuż obok, w miejscu, gdzie trawa przechodziła w błoto na brzegu rzeki, stała Stiorra. Jej służka Hella zdążyła już wsiąść na pokład.

Aethelflaed obserwowała wcześniej śmierć Eardwulfa, teraz jednak spostrzegła Stiorrę obok zacumowanego okrętu. Zmarszczyła brwi, nie mając pewności, co właściwie widzi.

– Panie Uhtredzie?

– Pani?

– Twoja córka... – zaczęła, lecz zabrakło jej słów.

Mój syn i Finan przyglądali mi się, ciekawi, co zrobię.

– Finanie! – zawołałem.

– Panie?

– Zabij te ścierwa. – Skinąłem głową na zwolenników Eardwulfa, potem ująłem Sigtryggra pod ramię i ruszyłem w stronę jego okrętu.

– Panie Uhtredzie! – zawołała ostrzejszym tonem Aethelflaed.

Machnąłem ręką i zasadniczo ją zlekceważyłem.

– Sądziłem, że moja córka cię nie lubi – powiedziałem do Sigtryggra.

– Chcieliśmy, żebyś tak myślał.

– Przecież jej nie znasz.

– A ty znałeś jej matkę, kiedy ją spotkałeś?

– To szaleństwo.

– A ty słyniesz ze zdrowego rozsądku, panie?

Stiorra na nas czekała, wyraźnie spięta. Spojrzała na mnie buńczucznie, ale nic nie powiedziała.

Poczułem gulę w gardle, zapiekły mnie oczy. Wyjaśniłem sobie, że to od

dymu z porzuconych norweskich ognisk.

– Jesteś głupia – powiedziałem szorstko.

– Zobaczyłam go i jakby mnie piorun strzelił – stwierdziła po prostu.

– Z nim było tak samo? – spytałem, na co skinęła głową. – I dwie ostatnie noce, po uczcie? – Nie dokończyłem pytania, ale ona i tak odpowiedziała twierdzącym skinieniem głowy. – Jesteś nieodrodną córką swojej matki – stwierdziłem i mocno ją przytuliłem. – Ale to ode mnie zależy, kogo poślubisz. – Poczułem, jak córka sztywnieje w moich ramionach. – Pan Aethelhelm chce się z tobą ożenić.

Sądziłem, że Stiorra łka, ale kiedy wypuściłem ją z objęć, zobaczyłem, że się śmieje.

– Pan Aethelhelm? – spytała.

– Zostaniesz najbogatszą kobietą w Brytanii – obiecałem.

Stiorra nadal mnie obejmowała, wpatrując się w moją twarz. Uśmiechnęła się do mnie tak, jak uśmiechała się jej matka.

– Ojczy, przysięgam na swoje życie, że przyjmę mężczyznę, którego wybierzesz dla mnie na męża.

Znała mnie. Widziała moje łzy i wiedziała, że nie spowodował ich dym. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

– Zostaniesz krową pokoju między mną a Norwegami. Jesteś głupia. Ja też. Twoim posagiem – powiedziałem głośniej, cofając się – są pieniądze Eardwulfa. – Spostrzegłem, że poplamiałem jej lnianą suknię krwią Eardwulfa. Popatrzyłem na Sigtryggra i powiedziałem: – Daję ci ją, więc mnie nie zawieź.

Pewien mądry człowiek, nie pamiętam kto, powiedział, że musimy pozostawić swoje dzieci losowi. Aethelflaed była na mnie zła, ale pozostałem głuchy na jej protesty. Słuchałem rytmicznego śpiewu Norwegów, pieśni wioseł, patrzyłem, jak smocze łodzie płyną w dół Maerse i znikają

w rzednącej mgle.

Stiorra patrzyła na mnie. Pomyślałem, że mi pomacha, ale ona stała nieruchomo, aż zniknęła.

– Musimy skończyć budowę grodu – powiedziałem do swoich ludzi.

Wyrđ biđ ful ãræd.

NOTA HISTORYCZNA

Aethelflaed naprawdę władała Mercją po śmierci męża, choć nigdy nie została obwołana królową tego kraju. Znano ją jako panią Mercji, a jej dokonania zasługują na bardziej znaczące miejsce w długiej historii tworzenia Anglii. Wrogość między Aethelflaed a Aethelredem jest całkowicie fikcyjna, podobnie jak obrady witanu, które doprowadziły ją do władzy. Nie ma dowodów na to, by Aethelhelm, teść Edwarda, usiłował pozbawić Aethelstana prawa do tronu, chociaż są wątpliwości co do tego, czy Aethelstan był ślubnym potomkiem.

Król Hywel istniał i znany jest dziś jako Hywel Dda – Hywel Dobry. Ten niezwykle inteligentny, ambitny i zdolny człowiek pod wieloma względami osiągnął dla Walii to, co Alfred pragnął zyskać dla Anglii.

Sigtryggr również istniał, naprawdę zaatakował Chester i w pewnym momencie swojego życia stracił oko. W mojej wersji ów atak nastąpił pewnie wcześniej, niż istotnie do niego doszło. Zanglicyzowana forma jego imienia to Sihtric, ale zdecydowałem się na pisownię norweską, aby uniknąć mylenia go z oddanym przyjacielem Uhtreda Sihtrikiem.

Jestem wdzięczny mojemu dobremu przyjacielowi, lekarzowi Thomasowi Keane'owi, za opis cudownego wyzdrowienia Uhtreda. Doktor Tom nigdy nie twierdził, że coś takiego jest prawdopodobne, nie jest jednak wykluczone. A w ciemną noc, gdy wieje wiatr i masz w brzuchu whisky? Kto wie? Uhtred zawsze ma szczęście, więc się udało.

Synowi Uhtreda również się poszczęściło, ponieważ zdobył miecz

wykuty przez płatnerza, który ozdobił klingę imieniem czy słowem „†VLFBERH†T”. Takie miecze naprawdę istniały, niektóre przetrwały do dnia dzisiejszego, choć wydaje się, że klingi ceniono tak bardzo, że w IX i X wieku powstały falsyfikaty. Za podobny miecz trzeba było zapłacić majątek, ponieważ stal Vlfberhta nie miała sobie równej przez tysiąc lat. Żelazo jest kruche, lecz kowale nauczyli się, że gdy dodali do niego węgiel, uzyskiwali stal. Twarde, ostre, giętkie ostrze stalowe nie pękało tak łatwo w walce. Typowa metoda dodawania węgla polegała na paleniu kości w ogniu w kuźni, był to jednak proces losowy i do metalu przenikały zanieczyszczenia. W IX wieku ktoś odkrył sposób topienia mieszanki żelazowo-węglowej w tyglu, co pozwalało uzyskiwać sztabki pierwszorzędnej stali. Nie wiemy, kim był ten odkrywca ani gdzie wytwarzano stal. Prawdopodobnie sprowadzano ją do Europy Północnej z Indii lub z Persji podobnymi szlakami, jakimi do Brytanii wędrował jedwab i inne luksusowe towary.

Żadne miejsce w Brytanii nie kojarzy się z tworzeniem Anglii bardziej niż Brunanburh. To prawdziwa kolebka tego kraju i część moich czytelników z pewnością obruszy się na to, że umiejscawiam ją w wiosce Bromborough na półwyspie Wirral. Wiemy, że Brunanburh istniał, ale nie ma zgody ani pewności co do jego położenia. Wysuwano wiele propozycji: od Dumfries i Galloway w Szkocji po Axminster w Devonie, przekonują mnie jednak argumenty Michaela Livingstona zamieszczone w skrupulatnej monografii *The Battle of Brunanburh. A Casebook* (Exeter 2011). Bitwa opisana w powyższej publikacji nie jest tą, o której piszę w swojej książce, lecz znacznie słynniejszym, decydującym starciem z 937 roku. Właśnie bitwa pod Brunanburhem pozwoliła w końcu urzeczywistnić marzenie Alfreda o zjednoczonej Brytanii. Ale to już inna historia.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Nazwy geograficzne

Prolog

Część pierwsza. Umierający pan

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Część druga. Pani Mercji

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Część trzecia. Bóg wojny

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Nota historyczna

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Empty Throne*

Copyright © Bernard Cornwell 2014

Copyright for this edition: © Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Jakub Jedliński

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-564-8



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek